ŚLADY MIASTA

EWALD i MAJ

LARS SAABYE CHRISTENSEN

LARS SAABYE CHRISTENSEN

ŚLADY MIASTA

EWALD i MAJ

Z norweskiego
przełożyła
Iwona Zimnicka

WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

CZĘŚĆ I
- Babie lato
- Inter arma caritas
- Świeży śnieg
- Opiekunka
- Premie
- Lista życzeń
- Świąteczny nastrój
- Dzień przed wigilią
- Wymiana
- Wyprzedaż
- Pudełko rodzynek
- 1949
- Obfitość przeżyć
- Powiązania
- Nauka o zwierzętach domowych
- Konstytucje
- Rabarbar

Plany zajęć
Prześwietlony
Dzień sądu
Masa spadkowa
Okna
Amerykańska miara
Bałwan
Piętki
Crown cork
Słuch
Wina
Reperacja
Echo
Trampoliny
Poezja
Tablica
Nieobecność
Reperacje
Złodzieje
Jazda na koźle
Kolejność
Finanse
Przyjaźń

Przypisy

Tytuł oryginału: BYENS SPOR. EWALD OG MAJ

Opieka redakcyjna: ANITA KASPEREK
Redakcja: ANNA MILEWSKA
Korekta: JOANNA ZABOROWSKA, BIANKA DZIADKIEWICZ, MARIA ROLA
Projekt okładki © Alette B.
Projekt wyklejek © Stian Hole
Opracowanie okładki oraz układ typograficzny wersji papierowej: MAREK PAWŁOWSKI
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

Copyright © Cappelen Damm AS, Oslo 2017
© Copyright for the Polish translation by Iwona Zimnicka
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2020
Published by the Agreement with Cappelen Damm Agency, Norway and Book/lab Literary Agency, Poland

This translation has been published with the financial support of NORLA.
Tłumaczenie dofinansowane w ramach programu dotowania tłumaczeń literatury norweskiej NORLA (Norwegian Literature Abroad).

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07141-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

PROLOG

Kirkeveien zaczyna się na Frogner plass, tam gdzie tramwaj skręca na wschód w stronę okolic Elisenberg i Solli, oczywiście jeśli ktoś podąża w tym kierunku i chce się oddalić od dzielnicy Fagerborg, od Majorstua, od tego miasta, które mimo wszystko kocham, na dobre i na złe; dobre: jego rozmiary i liczba drzew odpowiadają mojemu nastrojowi, złe: jego ciągłe rozrastanie się źle wpływa na mój nastrój. Miasto musi wyglądać na swój wiek. Inaczej przypomina dziecko w smokingu albo starca w marynarskim ubranku. Wzbudza wówczas jedynie śmiech, a nie nostalgię. Chłopak – chociaż nie, młody mężczyzna, bo mężczyzną już się staje, ten, który siedzi w tramwaju; widzisz go przelotnie w ów wczesny poranek, obwieszczający wszystkim najsmutniejszą wiadomość, jakiej może się spodziewać wdzięczny naród – ten chłopak pragnie się oddalić, oddalić od Fagerborga, oddalić od miasta, oddalić od wszystkiego, po prostu się oddalić. Nazywa się Jesper Kristoffersen i na siedzeniu obok położył wypakowany worek. Jeśli zdążysz, zwróć uwagę na jego spojrzenie: puste i jednocześnie otwarte – on widzi i jest widziany, pod lewym okiem zalega zresztą niebieski cień, wspomnienie. Kiedyś postawiono mu diagnozę: wrażliwy. My idziemy w przeciwnym kierunku, lewą stroną Kirkeveien, wzdłuż parku Frogner, z okazałym – zdaniem nielicznych przesadnie okazałym – zespołem rzeźb Vigelanda, który jesienią, tak jak teraz, potrafi przypominać wielkie ogrody w Rosji z przełomu stulecia: opuszczone, melancholijne, a przede wszystkim sztuczne połacie ziemi z rzeźbami dźwigającymi na grzbietach pokrywę chmur. Wiosną i latem rozgrywają się tu jednak inne historie. Matki opalają się na ławkach, ale nie spuszczają z oka dzieci bawiących się na trawnikach. Młodzież karmi łabędzie, lecz wyłącznie po to, by ukryć swoje prawdziwe zamiary, a mianowicie flirtowanie. Okruchy wrzucane do sadzawki to delikatny pył zakochania. W dwóch restauracjach zaś,

Broen i Herregårdskroen, siedzą ojcowie w białych koszulach i popijają piwo z chłodnych szklanek, zwieńczonych pianą; wszystko jest beztroskie i powolne. Wszystko jest niefrasobliwe i ulotne. Wszystko jest wieczne, błękitne niebo odbija się w gładkim świetle stawu. Wówczas to nie sztukę ceni się najbardziej, lecz życie. Zimą sytuacja wygląda inaczej. Życie usuwa się w tył, a rzeźby występują naprzód – szeregi postaci z oszronionego granitu, zamrożona armia – i nasuwa się wręcz myśl, że park to gotyckie pole bitwy albo rozszerzenie Cmentarza Zachodniego, położonego nieopodal, z jego ponurymi krematoriami i szpiczastymi, czarnymi cyprysami. Zimą w ogóle to miasto staje się nędzne i przytłaczające, chociaż do zimy jesteśmy najbardziej przyzwyczajeni. Zima zamyka nas między zaspami, wysokimi krawędziami odgarniętego śniegu i lichymi marzeniami. Zima to pora powieści w odcinkach, pokuty i radia. Teraz jednak jest wrzesień, i to nie byle jaki wrzesień. To najsmutniejszy wrzesień w tym roku. Liście spadają jak żółte łzy. Mogę się tak wyrazić: liście spadają jak żółte łzy. Gazeciarz biegnie z nadzwyczajnym wydaniem „Aftenposten" na wózku. Czy ten nastrój wynika stąd, że Jesper Kristoffersen ma zamiar zamustrować się na MS „Bergensfjord"? To niemożliwe. Codziennie młodzi chłopcy i mężczyźni, ba, nawet niektóre dziewczęta, postanawiają iść na morze, a nikt za bardzo się tym nie przejmuje, z wyjątkiem być może jakiejś matki, siostry czy narzeczonej. Tak powinno być. Człowiek się odrywa, bez względu na ból, jaki to sprawia. Na kortach tenisowych zwinięto siatki. Biała piłka leży na żwirze niczym kropka wieńcząca ostatni serw lata. Ale na Stadionie Frogner, vis-à-vis warsztatów samochodowych firmy Sørensen i Balchen na Middelthuns gate, sezon trwa bez przerwy – biegi na łyżwach, jazda figurowa, bandy, lekkoatletyka i piłka nożna – kalendarz dyscyplin sportowych na okrągło przez cały rok. Mieszkanki miasta zapewne najlepiej będą pamiętać wejście Sonji Henie w powodzi świateł, kiedy przy wtórze głośnych okrzyków zachwytu sunęła po lodzie jak anioł, tyłem, wywijając rękami niczym skrzydłami; o mały włos nie wzbiła się w powietrze. Mężczyźni prawdopodobnie będą mieli w pamięci, że Oscar Mathisen pokonał tutaj sławetnego i zarozumiałego Bobby'ego McLeana; z tego powodu Stadion Frogner nazwano amerykańskim Waterloo. Norweski mistrz świata przegrał natomiast na ostatnim łuku,

kiedy roztopił się pod nim lód w mieszkaniu na Bogstadveien. Czempion najpierw zastrzelił żonę, a potem odebrał życie sobie. Często się nad tym zastanawiam. Czyżby nawet medale nie stanowiły dla niego pociechy? Czyżby miały jedynie drugie strony? A teraz ktoś inny wbiega na stadion i go okrąża, wykonuje kolejne rundy na ciężkim żwirze, ubrany w sweter robiony na drutach i krótkie niebieskie spodenki, naciągnięte na rajtuzy. Wszyscy wiedzą, że to doktor Lund, specjalista medycyny ogólnej, właśnie tak lubi o sobie mówić. Wciąż nie ma pojęcia o wydarzeniach ubiegłej nocy. Gdyby zaś o nich wiedział, prawdopodobnie przebiegłby dystans dwukrotnie dłuższy, czyli pięćdziesiąt okrążeń, dwadzieścia kilometrów. Zresztą to właśnie doktor Lund zdiagnozował Jespera Kristoffersena jako wrażliwego, ale później uznał go za w pełni zdrowego: „Chłopiec jest dobrego zdrowia i nadaje się do każdego rodzaju pracy". Szybko idziemy dalej, chociaż nam się nie spieszy, przeciwnie, mamy dużo czasu. Jeśli ktoś zechce się do nas przyłączyć, to owszem, prosimy, lecz musi się dostosować do naszego tempa. Taki panuje tu zwyczaj. Zatrzymujemy się przy Maries gate i zaglądamy do szkoły na Majorstua; dozorca, były wychowawca klasy, pan Løkke, zwany również panem Uløkką, co można tłumaczyć jako „pan Nieszczęsny", ubrał się w ciemny garnitur i przez puste szkolne podwórze niesie norweską flagę. Ten obraz nas zaskakuje: pan Løkke trzyma flagę tak, jakby niósł martwe albo ranne dziecko. Potem docieramy do siedziby Armii Zbawienia. Drzwi wejściowe zdobi taki oto napis: *Przez krew i ogień*. W zasadzie trochę dziwi, że ci skromni, uprzejmi i nieuzbrojeni żołnierze, którzy nigdy nie umierają, tylko awansują, gdy przenoszą się do wieczności – jak wynika z nekrologów w „Aftenposten" – mają aż tak bojowe hasło. Czasopismo, które sprzedają w różnych miejscach dzielnicy, szczególnie na placu Valkyrien, też nosi tytuł „Wojenny Zew". Forma i treść nie zawsze pozostają ze sobą w zgodzie. Wreszcie docieramy do głównego placu dzielnicy Majorstua, do skrzyżowania, chętnie nazywanego placem Świętego Piotra przy Kirkeveien, czyli ulicy Kościelnej. Tu zawracają tramwaje i autobusy, tu można wsiąść do kolejki z Holmenkollen, która pod ziemią zawiezie nas do Teatru Narodowego, do samego m i a s t a. Stąd też można podróżować do lasów Nordmarka, które dla wielu stanowią ostateczny dowód na istnienie Boga: życie wieczne objawia się

między Tryvann a Kikut, gdzie można się natknąć na zasuszonych, chudych jak szczapa mężczyzn z kapką wiszącą pod nosem, w aureoli uwitej ze świerkowych gałązek, potu i smaru do nart. Można również wspomnieć, że te same lasy Nordmarka wykorzystywane są jako groźba przez zrozpaczonych rodziców, gdy ich leniwe potomstwo chce w niedzielę spać do południa: jeśli nie znajdziesz się w Nordmarka przed dziesiątą, to znaczy, że wstąpiłeś na złą drogę, możliwe zatem, że trafisz na Bastøy, więzienną wyspę położoną na Oslofjorden, gdzie nieletni mordercy i inni młodzi prostacy uczą się dyscypliny od żelaznej dziewicy, łóżka, w którym zasypia się jako dziecko, a budzi jako poobijany starzec. Cofamy zresztą porównanie do placu Świętego Piotra; powiemy raczej, że skrzyżowanie Majorstua to Times Square przy Kirkeveien. Są tu bank, optyk, apteka, delikatesy, kiosk, fryzjer, perfumeria, budka telefoniczna, sklep z damską bielizną, biuro podróży i poczekalnia, w której popsuta waga wypluwa wróżby na kartonikach przypominających bileciki wizytowe. Jednym tchem wymienić należy reklamy na dachach, w porze mroku można w ich świetle czytać Biblię: *Blue Master* i *Frisco*. Do tego są oczywiście dwa kina, Colosseum z ogromną kopułą i Verdensteatret, które z uwagi na kolumny przypomina grecką świątynię. Już wiem: Majorstua to Akropol przy Kirkeveien. Wodopoje, jak się je potocznie nazywa, również łatwo znaleźć: Gamla, Valka, Larsen, Vinkelkafeen i Tråkka. Z ugaszeniem pragnienia na Majorstua nigdy nie ma kłopotu. No i nie wymieniliśmy jeszcze wszystkich piekarni. Nigdzie nie ma ich więcej niż na Majorstua. Samson, Møllhausen, Hansen, a kawałeczek dalej, na Industrigata, można odwiedzić malutką piekarnię Manfreda. Rano dzielnicę spowija aromat świeżego chleba. Ptakom wystarczy przefrunąć z otwartym dziobem, a już są najedzone. Ale nie dzisiaj, nie dzisiaj. Dzisiaj nie będzie świeżego chleba. Dzisiaj nie zapalą się reklamy, dzisiaj będzie trwała ciemność. W chwili gdy zaczynamy się wspinać na długie, łagodne zbocze, kończące się przy kościele Vestre Aker, który już w roku 1856 dał nazwę tej ulicy, Kościelnej – swego czasu matka Fridtjofa Nansena obsadziła tę aleję drzewami – na schodach do budynku stacyjno-biurowego Majorstuhuset widzimy coś, co w pierwszej chwili bierzemy za opadłe liście, lecz co się okazuje losami Czerwonego Krzyża. Muszą pochodzić z jesiennego kiermaszu. Ci,

którzy nie wygrali, po prostu je wyrzucili. Ogarnia nas przygnębienie. Miasto pełne przegranych losów. Przechodzimy na drugą stronę ulicy i wreszcie bierzemy się do wspinaczki, której trudność początkowo lekceważy wiele osób, zwłaszcza kurierzy rowerowi i ci, co niedawno przybyli do miasta. Ta część Kirkeveien bowiem nie tylko jest długa, trzeba się jeszcze liczyć z wiatrem, który bierze swój początek za lodowcami Svalbardu, zgarnia słone morskie powietrze z wybrzeży Finnmarku, z szumem przelatuje przez regiony Nord-Norge i Trøndelag, nabiera pędu nad górami Dovre i odbija się od dna jeziora Tryvann, zanim przedrze się na drugą stronę Suhms gate z jej narożnikami z żelaza. Minęliśmy już punkt usługowy Ekspert – Naprawa Odzieży i Obuwia oraz kościół Pastorów, skromny i solidny dom Boży, będący darem norweskich pastorów i ich rodzin ze stolicy. Złe języki twierdzą, że więcej ludzi ujrzało światło u eksperta od naprawy odzieży i obuwia aniżeli podczas tutejszych nabożeństw – a jeszcze więcej w knajpie Valka. Ale o tym nie będziemy opowiadać. Światło się zapala i światło gaśnie. Trzeba mieć nadzieję, że się to równoważy. Teraz bowiem interesuje nas witryna u rzeźnika Melsoma: rzeźnik nachyla się nad ladą, zdejmuje zdjęcie syna Josteina reklamującego maść Valcrema w czasopiśmie „Norsk Dameblad" i zamiast niego stawia portret króla Haakona z żałobną wstążką. Na zewnątrz stoi jego żona z zaczerwienionymi oczami i dyryguje mężem: uważaj, czarny jedwab nie może dotykać szynki, portret musi być bliżej drzwi, nie aż tak blisko, zresztą lepiej wymienić szynkę na antrykot z odrobiną zielonej pietruszki. Pozwalamy im się tym zajmować, a sami idziemy dalej, przez Marienlyst, stanowiące granicę Fagerborga od zachodu. Tam, odosobniony jak zamek, stoi budynek Norweskiego Radia, które już do końca dnia będzie wspominało króla i puszczało muzykę żałobną. Czasami można usłyszeć, że to właśnie z tej przyczyny Jesper Kristoffersen uciekł na morze akurat tego poranka, nie znosi on bowiem mrocznych, ciężkich melodii. To nieporozumienie. Jesper Kristoffersen, jak już wspomniałem, przestał być wrażliwy. Docieramy na osiedle Jessenløkken, które z całą pewnością zasługuje na miano fagerborgskiego Wersalu: duże czteroskrzydłowe kamienice ze słonecznymi podwórzami w środku i fasadami wychodzącymi na Kirkeveien, Jonas Reins gate, Jakob Aalls gate i Gørbitz gate.

Zaprojektowane przez Haralda Halsa i wybudowane między rokiem 1916 a 1920, stanowią pierwszy przykład nowoczesnej urbanistyki w Norwegii, zainspirowany twórczością wiedeńskiego architekta Camilla Sittego. Niezwykła myśl w tej dzielnicy, w której w zasadzie niemal wszystko przyjmuje się za oczywistość: modernizm społeczny rozpoczął się na Fagerborgu. Byliśmy pierwsi! Mieszkania również wyprzedzały swój czas, miały wszelkie sanitarne udogodnienia, dwuskrzydłowe okna, pralnie w piwnicy, balkony i pokoje kredensowe. Miały także tajemnicze, chociaż znane wszystkim pomieszczenie, a mianowicie hol. Hol to pokój bez okien. Hol jest nieprzydatny i ciemny. Hol w najlepszym razie służy jako poczekalnia. Architekci uważali, że taka, można rzec, mieszczańska nadwyżka doda mieszkaniu elegancji, a zarazem niezbędnej głębi. Taki hol na pierwszym piętrze domu przy Kirkeveien 127 był do tej pory pokojem, a zarazem poczekalnią Jespera Kristoffersena – tego Jespera Kristoffersena, który nie tak dawno wsiadł do tramwaju jadącego z Majorstua na plac Ratuszowy, aby stamtąd przejść do portu na Vippetangen i zamustrować się na MS „Bergensfjord", należący do norweskiej linii oceanicznej Den Norske Amerikalinje. Na niedużym balkonie ciągle stoją Maj Kristoffersen, jego matka, razem z jego młodszą siostrą Stine i patrzą za tym, który wyjechał. Łatwo odgadnąć, za kim wylewają więcej łez, za królem czy za Jesperem. Powiedzmy tak: człowiek nie jest najbliższy sobie. Człowiek jest najbliższy swoim bliskim. A jeśli chodzi o nas, to mamy do przejścia jeszcze kawałek, zanim uporamy się z Kirkeveien. Cmentarz przy kościele Vestre Aker jest bardziej stromy niż skocznia na Holmenkollen. Ten, kto umiera na Fagerborgu, nie może cierpieć na lęk wysokości. Większość wolałaby jednak spocząć na Cmentarzu Zachodnim; wiedzie do niego nieco dłuższa droga, ale za to jest płaski, przejrzyście rozplanowany i rzadko miewa się tam nieoczekiwane wizyty. Wciągamy w nozdrza niemal upajający aromat benzyny i oleju ze stacji Esso na rogu i przecinamy tory tramwajowe prowadzące na Bislett, w pewnym sensie wyznaczające granicę Fagerborga od wschodu. W Szpitalu Ullevål, swego czasu największym w Europie, również opuszczono flagę do połowy masztu. Liczba zmarłych w dzisiejszym dniu prawdopodobnie wzrośnie, strata króla niezwykle nadweręża zdrowie. Gdy się traci króla, traci się czas.

Znaleźliśmy się już zdecydowanie poza granicami Fagerborga, ale idziemy jeszcze dalej, mijając kolejny cmentarz, Północny, i docieramy do Geitmyrsveien – tam, po drugiej stronie, znajduje się ogród dla szkół. Właśnie ten ogród chciałem wam pokazać. Jabłonie rosną tu szeregiem, krzewy owocowe także. Niewielkie poletko jest zaorane w ładne, równe bruzdy, ciemne, płodne fale. W szopie wiszą narzędzia: szpadle, widły i grabie. O, ktoś zapomniał rękawiczek. Wyglądają niemal tak, jakby wciąż grzebały w miękkiej, uległej ziemi. Chciałem wam pokazać ten zadbany ogród szkolny, abyśmy pamiętali, skąd pochodzimy, bez względu na to, jak nowoczesne wszystko się stało, bez względu na roboty kuchenne, kolorowe filmy, długopisy, sputniki, gitary elektryczne i obraz kontrolny: wszyscy na Fagerborgu pochodzą ze wsi.

CZĘŚĆ I

Krótkie podsumowanie pierwszego roku pracy – 1947

W celu ułatwienia i racjonalizacji pracy Norweski Czerwony Krzyż zdecydował o zbadaniu sytuacji w Oslo i podzieleniu miasta na oddziały, z których każdy ma swój zarząd. W czerwcu 1947 roku utworzono osobny oddział dla dzielnicy Fagerborg. W kościelnej kancelarii wyszukani zostali członkowie mieszkający na terenie nowo utworzonego oddziału. Naszym pierwszym zadaniem będzie werbowanie członków we wrześniu. Już udało nam się zwerbować około 500 członków, z których część to członkowie dożywotni.

Z kiermaszu w dniach 12–19 września uzyskaliśmy 1264,80 korony. Dochód ze zwerbowania nowych członków wyniósł 595,– koron, a zatem łącznie nasze fundusze osiągnęły 1623,87 korony. Jako kapitał początkowy Zarząd Główny obiecał nam 650,– koron.

Pod koniec listopada i na początku grudnia członkowie Oddziału Fagerborg licznie uczestniczyli w sortowaniu i pakowaniu ubrań dla organizacji humanitarnej Europahjelpen. Nasz wkład w gotówce wyniósł 200,– koron.

Ponadto otrzymaliśmy przydział włóczki, która została rozdysponowana. Przystąpiono do wykonywania rozmaitych robótek na drutach: skarpet, rękawiczek, szalików, czapek, rajtuzów itp. Gotowe wyroby będą przeznaczone do rozdania w naszym rejonie lub w innych miejscach w kraju, gdzie niezbędna okaże się natychmiastowa pomoc. Przykładowo paczkę o bogatej zawartości wysłano do pewnej rodziny w Tromsø, która w wyniku pożaru została dosłownie z niczym.

W maju do naszego oddziału zwróciła się pani Fougner (przewodnicząca Stowarzyszenia Pań Szyjących z 1907 Roku) w sprawie pomocy w szyciu bielizny pościelowej oraz znakowaniu koców dla celów bezpieczeństwa publicznego, a konkretnie dla szpitala polowego. Ponadto Komitet Wykonawczy zwrócił się do Oddziału Fagerborg z prośbą o zaopiekowanie się czterdziestoma siedmioma dziećmi żydowskimi, które przyjechały na dwumiesięczny pobyt w Norwegii, i przygotowanie dla nich posiłków. Nasz oddział zajął się dziećmi również podczas ich podróży powrotnej; była to praca przyjemna i interesująca.

W sierpniu podjęto próbę zorganizowania u przewodniczącej spotkania członków – należy je określić jako bardzo rozczarowujące. Z 15 osób, które obiecały przybycie, przyszły tylko 3. Postanowiono wyposażyć w ubranka lalkę przeznaczoną na nagrodę; pracę tę rozdzielono na owe 3 zacne osoby oraz na zarząd.

Tydzień Czerwonego Krzyża, odbywający się w dniach 18–26 września, rozpoczął się 18 września kawalkadą samochodową, w której uczestniczyło jedno przygotowane przez nas auto, ustrojone kwiatami i wiozące dzieci w strojach Czerwonego Krzyża. Kawalkada przyniosła słaby dochód, więc Komitet Wykonawczy zamierza w przyszłości z niej zrezygnować.

Werbowanie członków szło, niestety, opornie. Składki, jak wiadomo, zostały w tym roku podniesione z 2,– do 4,– koron za członkostwo roczne oraz z 20,– do 50,– koron za członkostwo dożywotnie. Takie składki są prawdopodobnie zbyt wysokie.

Dochód z kiermaszu: 1874,05 korony
Sprzedaż znaczków: 206,10 korony

Dla tych środków w bieżącym miesiącu zostanie przygotowany projekt budżetu.

BABIE LATO

Maj Kristoffersen stoi w cieniu na małym balkonie, wychodzącym na podwórze domu przy Kirkeveien 127, i obserwuje dzieciaki bawiące się na dole. Aż się od nich roi. To wojenny rocznik. Dzieci pokoju. Wiele z nich urodziło się jeszcze przed końcem wojny, lecz i tak są dziećmi pokoju. Jej synek, Jesper, miał rok, kiedy eksplodowało Filipstad[1] i wielu osobom wydawało się wtedy, że w powietrze wyleciało całe miasto; nawet na Fagerborgu zatrzęsły się szyby, a te wstrząsy dołączyły do innych śladów wojny – do rys na suficie, szczelin w ścianach, pękniętych błon bębenkowych, przekrzywionych żyrandoli i wszystkiego, co miało zostać zreperowane po nadejściu pokoju, lecz na co ciągle nie starczało czasu, więc odkładano to do jutra, bo pokój ma pełne ręce roboty, w przeciwieństwie do powolności i bezczynności wojny, z wyjątkiem tego momentu, w którym dochodzi do wybuchu na Filipstad. Jesper siedzi w rogu, unosi rękę i macha do matki, a może po prostu znów jest niespokojny. Możliwe też, że ma na sobie za gruby sweter, który gryzie, a on próbuje podrapać się w kark. Jest pierwsza sobota października, 1948 rok. Ale ciągle jest ciepło. Słońce jeszcze grzeje. Wisi nad dachami domów i wznieca pożar w dzikim winie między oknami. Meteorolodzy nazywają takie dni babim latem. Maj Kristoffersen się nimi napawa. Wkrótce stoi w świetle. Może zdjąć rozpinany sweter i mogłaby zapalić papierosa, jeśliby go miała. Gdybyż to mogło trwać. Ale prawdopodobnie już za miesiąc będzie można jeździć na nartach. Nagle Maj traci z oczu Jespera. Nigdzie go nie widać – ani przy śmietniku, ani przy huśtawce, ani na ławce. Maj ogarnia panika. Wie, że Jesper nie może być daleko. Brama wychodząca na Jonas Reins gate jest zawsze zamknięta na klucz. Mimo to Maj wpada w panikę. Jesper mógł zejść do piwnicy, do pralni. Mógł się wdrapać na strych. Wszędzie czyhają niebezpieczeństwa. Już ma go wołać. Już ma się oderwać od tego spóźnionego lata. Ale wtedy Margrethe Vik otwiera okno nad jej głową i wychyla się na zewnątrz.

– Telefon do ciebie.

– To Ewald?

– Nie, jakaś pani.

Maj Kristoffersen po raz ostatni obrzuca spojrzeniem podwórze, lecz nadal nigdzie nie dostrzega Jespera. Wychodzi na kuchenne schody i pospiesznie idzie na górę do pani Vik, która prowadzi ją do przedpokoju, gdzie na sekretarzyku czeka odłożona czarna słuchawka. Maj Kristoffersen odwraca się do pani Vik.

– Mogłabyś w tym czasie poszukać Jespera?

Pani Vik gwałtownie podnosi głowę i wyciera ręce w fartuch.

– Ach tak? Nie zamierzam przeszkadzać.

– Nie o to mi chodzi. Tylko o Jespera. Nie widziałam…

– Szykuję obiad.

– Pachnie wspaniale.

– Odbierz ten telefon, zanim się rozłączą.

Pani Vik wychodzi, głośno zamykając za sobą kuchenne drzwi.

Maj Kristoffersen bierze słuchawkę do ręki i wypowiada swoje nazwisko. Okazuje się, że to niejaka pani Lund z Ullevålsveien pragnie z nią rozmawiać. Dzwoni w imieniu Czerwonego Krzyża, a Maj Kristoffersen przez moment sądzi, że ta pani będzie chciała rozmawiać o Jesperze, bo chłopiec zrobił coś tak złego, że aż wmieszał się w to Czerwony Krzyż. Czuje śmiertelne przerażenie i wściekłość. Niech się nie wtrącają! Niech nikt się nie wtrąca! Sama sobie z tym poradzi! Nie mówi tego jednak na głos. Wypowiada te zdania jedynie w myślach. A może zdarzył się wypadek? Może Ewaldowi coś się stało? Czy Jesper mógł wyrządzić sobie krzywdę w tym krótkim czasie, kiedy znalazł się poza zasięgiem jej wzroku? Ale pani Lund leży na sercu zupełnie coś innego. Pyta, czy Maj Kristoffersen nie zechciałaby przyjść na zebranie zarządu Oddziału Fagerborg Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża, chociażby w roli rezerwowej członkini zarządu. Potrzebują nowych pań. Poza tym podobno Maj Kristoffersen znakomicie sobie radzi z rachunkowością. Maj oddycha z ulgą i ma ochotę zawołać, że oczywiście, ale się opanowuje.

– Muszę najpierw naradzić się z mężem – mówi.

Pani Lund wykazuje pełne zrozumienie, do członkostwa w zarządzie Czerwonego Krzyża nie można podchodzić lekko. Taka funkcja ma wpływ na całą rodzinę. Pani Lund podaje swój numer telefonu i prosi, żeby Maj do niej zadzwoniła, kiedy podejmie decyzję; dobrze, aby to było najpóźniej w niedzielę, bo następne zebranie zarządu jest już w najbliższą środę. Rozłączają się. Maj Kristoffersen słyszy, że pani Vik wróciła. Z kranu leci woda. Jesper krzyczy. Potem zapada cisza. Maj idzie do nich do kuchni.

– Po prostu stał za brzozą – oznajmia pani Vik.

Jesper patrzy na matkę i jak zwykle trudno stwierdzić, czy będzie się śmiał, czy płakał.

– Więc to tam się schował.

– Stał i siusiał.

– Siusiał? O Boże…

– Ale teraz przynajmniej umył ręce.

Jesper zaczyna płakać. Chociaż tyle dobrze. Śmiech w takich okolicznościach, w obecności pani Vik, byłby o wiele gorszy. Maj przyciąga syna do siebie. Jak zwykle jest uległy i niechętny zarazem. Maj nie rozumie, jak to możliwe, ale Jesper przypomina przedziwną strunę, jednocześnie luźną i napiętą.

– Przepraszam za zamieszanie – mówi Maj.

Pani Vik otwiera kuchenne drzwi i daje Jesperowi herbatnika, którego Jesper zamierza od razu włożyć do ust, bez żadnej okrężnej drogi, ale w ostatniej chwili zmienia zdanie, przestaje płakać i szybko chowa ciastko do kieszeni. Maj nieco mocniej ściska go za kark.

– Dziękuję – mruczy Jesper.

Pani Vik głaszcze go po głowie, odwracając się przy tym do Maj.

– Może Czerwony Krzyż pomoże wam w założeniu telefonu?

– To ty powiedziałaś, że z n a k o m i c i e sobie radzę w prowadzeniu rachunków?

Pani Vik się uśmiecha.

– Tak przynajmniej twierdzi twój mąż.

STATUT ODDZIAŁU FAGERBORG CZERWONEGO KRZYŻA

Oddział Fagerborg Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża jest samodzielną jednostką powiązaną z Komitetem Wykonawczym Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża.

Oddziałem kieruje zarząd, składający się z maksymalnie 5 członków, którzy mają swoich zastępców – członków rezerwowych. Zarząd wybierany jest przez walne zgromadzenie każdorazowo na 2 lata.

Walne zgromadzenie odbywa się co roku w marcu. Zwołuje je przewodniczący zarządu z co najmniej 8-dniowym wyprzedzeniem poprzez bezpośrednie poinformowanie o tym członków uprawnionych do głosowania lub zamieszczenie ogłoszenia w jednej z gazet ukazujących się w Oslo.

Oddział reprezentuje w Komitecie Wykonawczym jeden przedstawiciel.

Oddział Fagerborg realizuje cele Czerwonego Krzyża w rejonie parafii Fagerborg.

INTER ARMA CARITAS

Czterej panowie, którzy stoją przy barze w Bristolu, są głośni, hałaśliwi i uparci. Nazywają się Ravn, Johnsen, Strøm i Kristoffersen. Chcą dobrze. Kiedy barman Ulfsen prosi, aby się nieco uciszyli, nie mówi tego głośno, unosi tylko brew, a oni na chwilę milkną i słyszą nawet, jak pianista gra *Rondo Amoroso* – przypuszczalnie po to, aby uhonorować stare ciotki, które jedzą kanapki w drugim końcu sali, koło schodów. Potem panowie zamawiają jeszcze jedną kolejkę ginu z tonikiem; tylko Ewald Kristoffersen najchętniej pije piwo, ale dzisiaj raczy się od czasu do czasu kieliszeczkiem akevittu, żeby nie zostać w tyle. Wszyscy są pracownikami agencji reklamowej Dek-Rek – dwaj to projektanci, a dwaj dekoratorzy – no i mają co świętować, gmina Oslo zleciła bowiem ich firmie przygotowanie wystaw na dziewięćsetlecie miasta. To będzie w roku 1950. Zostały jeszcze dwa lata. Trzeba się spieszyć. Panowie już mają pomysły. Widzą oczami wyobraźni. Widzą przyszłość. Przyszłość się zbliża. Ale najpierw muszą to opić, a potem trochę podkręcić muzykę. Do fortepianu wysłany zostaje Ewald Kristoffersen. Czeka, aż pianista skończy grać swój kawałek. Najwyraźniej nie da się tego zrobić tak hop-siup. Muzyka się ciągnie. Pianista gra w kółko to samo. Na tym polega istota *tafelmusik*, muzyki nazywanej stołową. Na tym polega idea t ł a. W końcu Ewald Kristoffersen kładzie rękę na ramieniu pianisty.

– Moi przyjaciele chętnie posłuchaliby czegoś żywszego – mówi.

Enzo Zanetti, pianista rozrywkowy, zatrudniony w Bristolu na stałe, podnosi głowę, uśmiecha się, ale w jego spojrzeniu widać zmęczenie, a kołnierzyk koszuli, który z daleka wydaje się nienaganny, ma oklapnięte kanty. Pianista mówi cicho, głosem zabarwionym lekkim akcentem.

– Żywszego? Ma pan jakiś pomysł?

– Czy ja mam pomysł? Nie, decyzję w zupełności pozostawiam panu. Ale może coś Silnorękiego?

– Silnorękiego?

– Albo Księcia Ellingtońskiego? Byleby był swing.

Ewald Kristoffersen ma obawy, że nie wyraził się dostatecznie jasno, ale w drodze powrotnej do baru słyszy, że pianista zmienił repertuar i zaczyna grać *W grocie Króla Gór*. Dobre i to. Koledzy biją brawo. Stukają się szklankami. Piją do dna. Wkrótce się rozchodzą. Ktoś na nich czeka. Do zobaczenia w przykrej rzeczywistości. Ewald Kristoffersen nie rusza się z miejsca. Tym razem jego kolej na uregulowanie rachunku. Wydaje mu się, że jego kolej przypada zawsze. Wyjmuje podłużną brązową kopertę, wynagrodzenie za mękę, i kładzie na kontuarze pięćdziesiątkę. Rozumie teraz, dlaczego barmanów nazywa się czarodziejami. Banknot znika, zanim Ewald zdąży westchnąć. W dodatku pięćdziesiątka nie wystarcza. Poszło sporo alkoholu. Ewald Kristoffersen musi dorzucić dychę, ale za resztę może jeszcze zamówić zestaw nazywany Zielonym Swetrem z Golfem: portwajn i piwo. Nagle ogarniają go wyrzuty sumienia, więc szybko opróżnia obie szklanki. Potem musi zejść do Cyrku Schumanna, żeby się wysikać. To zajmuje trochę czasu. Ewald Kristoffersen myśli: sikanie to wolność. Mogłoby to być hasło reklamowe. Tylko czego? Życia? Ciągle słyszy *W grocie Króla Gór*. Myjąc ręce, dostrzega w lustrze własną twarz. Ewald Kristoffersen jest w zasadzie zdumiony tym, że ktoś może go kochać. Kładzie koronę na stoliku babci klozetowej, która z kolei wręcza mu malutkie mydełko marki Sterilan, opakowane w papier. Po powrocie na górę Ewald wtyka piątkę Enzowi Zanettiemu, ten leciutko kiwa mu głową, mówi coś po włosku i gra *Mood Indigo*, głównie dla pań, które przyszły tu na kawę z kropelką czegoś mocniejszego. Ewald Kristoffersen idzie do szatni po płaszcz i kapelusz, wręcza pięćdziesiąt øre Kieszonkowej Wenus, wychodzi i niespodziewanie czuje ciepły wiatr, wiejący przez Rosenkrantz' gate. Człowiek wręcz ma ochotę przejść się po Karl Johans gate. Nie, Ewald musi wracać do domu. Postanawia mimo wszystko nie jechać taksówką. Pieniądze zaoszczędzone to pieniądze zarobione. Idzie wzdłuż Kristian Augusts gate, mija Galerię Narodową i plac Tullinløkka, będący dnem miasta. Tu spływa wszystko ze wzgórz na

północy, wschodzie i zachodzie. Zamiast obejść dom zwany Grotą, wybiera okrężną drogę przez park Zamkowy. Drzewa sprawiają wrażenie zdezorientowanych tą piątą porą roku, babim latem. W świetle znów wyglądają młodo, przynajmniej do czasu. Do czasu niekiedy wystarcza. Ewald idzie dalej. Mija Bislett, gdzie na łuku stadionu rozpoczyna swój szary bieg Thereses gate. Na zboczu Norabakken, które okazuje się bardziej strome, niż zapamiętał, musi sobie zrobić przerwę, lecz dopiero w szalecie, poniżej kościoła Fagerborg. Unosi się tu ostry odór, to nie toaleta w Bristolu, ale sika się tak samo przyjemnie. Nie ma tu babci klozetowej. Tutaj mężczyźni radzą sobie sami. Po załatwieniu sprawy Ewald siada na ławce w Stensparken, ociera pot z czoła i patrzy na chmury, które spowijają cieniem wzgórze Ekeberg. Odnosi wrażenie, że miasto się kurczy. Jak w najlepszy sposób pokazać, że to miasto ma dziewięćset lat? Ma dziewięćset lat, a jeszcze nie jest dorosłe. Od czegoś trzeba zacząć. Ewald Kristoffersen jeszcze nie wie od czego. Wie tylko, z jakiego powodu ma wyrzuty sumienia. To przez Jespera. Jesper to męka. Być daleko od niego to ulga. Jesper nie jest dzieckiem pokoju. Jesper jest dzieckiem wojny. Ewald Kristoffersen wstaje i pokonuje ostatnią część drogi. Niedobry z niego ojciec. Okropny. Przenika go chłód. Powinien mieć coś dla Jespera. Powinien mieć kwiat dla Maj. Na pewno siedzą w kuchni i czekają. Maj słyszy, że mąż wreszcie wraca. Ewald kręci się po przedpokoju. Przebiera się w sypialni. Dużo czasu spędza w łazience. Nie spieszy się. Tym razem Maj nie jest łaskawa. Spóźnił się dwie godziny. Jesper spuszcza głowę i zaciska dłonie w pięści. Ale kiedy w drzwiach ukazuje się okrągła twarz i Ewald strzela szelkami, że aż brzuch wypada mu zza paska, Maj jednak się poddaje. Nawet Jesper na moment się rozluźnia i chowa jedną rękę do kieszeni. Pan domu zajmuje miejsce za stołem.

– Owsianka wystygła – mówi Maj.

– Dostaliśmy zlecenie od gminy Oslo.

– Pewnie to uczciliście, co?

– Tylko po maluchu w Bristolu.

Ewald kładzie kopertę przed Maj. Ona ją otwiera, szybkimi palcami przelicza zawartość i podnosi na niego wzrok.

– Po j e d n y m maluchu?

– Musiałem im postawić, przyszła moja kolej.

– A nie było tak poprzedniej soboty?

– Nie chciałem, aby myśleli, że jestem *tight*.

– Tajt? Mów porządnie, Ewald!

– Skąpiradło.

– No tak, skąpstwo możesz pozostawić mnie. A ty w tym czasie będziesz się szastać.

Ewald Kristoffersen mocuje serwetkę między górnymi guzikami koszuli.

– Poza tym zimna owsianka to moje ulubione danie – oświadcza.

Zjada to, co zostało, a na koniec wyskrobuje głęboki talerz i oblizuje łyżkę. Wtedy Jesper wyciąga rękę z kieszeni i kładzie coś na stole. Herbatnik. Ewald patrzy na syna.

– To dla mnie?

Jesper kiwa głową.

Ewaldowi Kristoffersenowi łzy napływają do oczu. Zawsze łatwo się wzruszał. Chłopiec jest w gruncie rzeczy dobry. Ewald pospiesznie wychodzi do przedpokoju i za chwilę wraca, trzymając coś w ręku. Daje Jesperowi malutkie mydełko, chłopiec je rozpakowuje i od razu chce wsadzić do buzi. Maj powstrzymuje go w ostatniej chwili i zerka na Ewalda.

– Byłeś też w perfumerii?

– Zszedłem tylko do Cyrku Schumanna.

Jesper zaczyna płakać. Całe jego ciało drży. Twarz się rozpada, ręce biją powietrze. Płacz zmienia się w zawodzenie, kiedy usta zamykają się z kłapnięciem. Maj musi go przytrzymać. Musi go przytrzymywać siłą. Ewald odwraca głowę. Jesper się uspokaja. To nigdy nie trwa długo. Ale i tak wystarczy. Ewald powoli odwraca się w stronę syna, który siedzi na kolanach matki, blady i oklapły.

– Wiesz, ja nie byłem w cyrku. Byłem w ubikacji.

Ewald się śmieje, a Jesper unosi głowę i leciutko się uśmiecha.

– Cyrk Schumanna to miejsce, w którym mężczyźni tacy jak ty i ja stoją i sikają. A dlaczego to się nazywa Cyrk Schumanna? Po prostu dlatego, że mieści się tam mniej więcej siedmiu mężczyzn[2]. Któregoś dnia cię tam zabiorę, Jesper.

Później zmywają razem, wszyscy troje. Jesper wyciera łyżki. Udaje mu się nie upuścić żadnej na podłogę. Siedząc w salonie i pijąc kawę, Ewald zjada herbatnika. Jesper wcześnie idzie spać i na szczęście zasypia. Jego łóżko stoi w niedużym holu między przedpokojem a łazienką, w pokoju bez okien. Maj idzie do Ewalda i siada na kanapie. Wiadomości, które do nich docierają, albo przez radio, którego słucha Ewald, albo z gazety „Aftenposten", którą zaczyna przeglądać Maj, mogą brzmieć następująco: „Wykonano ostatnią egzekucję w procesie zdrajców narodu, który tym samym uznaje się za zakończony. Były minister Ragnar Skancke został rozstrzelany". „Długopisy zyskują popularność w Norwegii, chociaż kosztują dwadzieścia pięć koron". Przekazana zostaje również informacja, że Norweski Komitet Noblowski nie przyzna w tym roku nagrody pokojowej. Nastał pokój, ale nagrody nikt nie może dostać. Poza tym zakłady piłkarskie okazały się bezdyskusyjnym sukcesem, chociaż w wielu miejscach pracy efektywność spada o jedną czwartą w środy, kiedy należy złożyć kupony.

– Mówiłeś komuś, że jestem dobra w prowadzeniu rachunkowości? – pyta Maj.

Ewald wyłącza radio.

– Możliwe. A co?

– Dzwonili z Czerwonego Krzyża. Pani Lund chce, żebym weszła do zarządu.

– I co jej odpowiedziałaś?

– Że muszę się naradzić z mężem.

Ewald się śmieje.

– Przecież wiem, że już się zdecydowałaś.

– Może przydałoby mi się zająć myśli czymś innym.

Przez chwilę oboje milczą, nasłuchując. Z holu nie dobiega żaden odgłos. Słyszą jedynie padający deszcz.

– Ale czy masz na to czas? – pyta Ewald cicho.

Teraz z kolei śmieje się Maj.

– Czas? Przynajmniej tego mi nie brakuje.

– A co z Jesperem?

– W razie konieczności pani Vik może go przypilnować. Poza tym…

– Tak?

– Może Czerwony Krzyż pomógłby nam załatwić telefon, żebyśmy nie musieli…

Ewald Kristoffersen, który rzadko wpada w gniew, ma raczej skłonność do melancholii i beztroski, uderza pięścią w stół.

– Nie potrzebujemy niczyjej łaski!

– Obudziłeś Jespera.

Maj wychodzi do holu. Ewald słucha, jak żona śpiewa. Jego też ogarnia senność. Jesper jeszcze przez chwilę płacze. W końcu zapada cisza, jakby ktoś nagle wyłączył dźwięk w całym domu.

Maj i Ewald też się kładą, ale mimo wszystko nie mogą zasnąć. Leżą, wsłuchując się wzajemnie w swój niepokój.

– Jestem złą matką – szepcze Maj.

Ewald siada na łóżku.

– Jak możesz mówić coś takiego? Jesteś…

– Stałam na balkonie i nie widziałam Jespera. Ale zamiast go szukać, poszłam do pani Vik i odebrałam telefon.

– Może przydałby mu się brat. Albo siostra.

Ewald ostrożnie nachyla się nad Maj, ale ona go odpycha.

– Za chwilę znowu obudzisz Jespera.

– Możemy przynajmniej trochę się poprzytulać.

– Poprzytulać, też coś. Śpijmy, zanim on nas obudzi.

Leżą po dwóch stronach łóżka i nie wiedzą, które zasypia pierwsze. Wzdłuż Kirkeveien jedzie karetka, jej niebieskie migotliwe światło przez chwilę przenika przez zasłony. Odgłos kół na mokrym asfalcie sprawia, że czas w mieszkaniu nieruchomieje.

Projekt budżetu na lata 1948–1949

W listopadzie oddziały wysyłają do Komitetu Wykonawczego projekt budżetu i podają, w jaki sposób zarząd zamierza rozdysponować uzyskane środki. Ponadto zaproponowano, aby oddziały, które jeszcze ich nie mają, utworzyły wypożyczalnie ze sprzętem medycznym. Zasugerowano również gromadzenie wyposażenia dla niemowląt, a także nabycie bandaży do wypożyczalni oraz jednego zestawu pomocniczego w ramach rezerwy, w razie konieczności podjęcia działań kryzysowych. W wypadku większości oddziałów sprzęt będzie przechowywany u diakonisy lub – jeśli tak będzie wygodniej – prywatnie, najlepiej u osoby zatrudnionej w szpitalu. Wypożyczanie ma być bezpłatne albo w ramach ustalonej tygodniowej opłaty. Poinformowano, że przy organizacji sprzętu najbardziej pomocna jest firma Plesner. Po przygotowaniu sprzętu informację o tym należy opublikować w magazynie parafialnym lub w notatce w prasie codziennej.

Od Duńskiego Czerwonego Krzyża wypożyczono model kojca dla niemowląt z pomalowanego na biało metalu obitego zdejmowanym pokrowcem płóciennym. Komitet Wykonawczy zajmie się uzyskaniem ofert cenowych na wykonanie takich kojców. Zaproponowano, aby wypożyczać je na sześć miesięcy. W razie skierowanego do oddziału wniosku o wsparcie oraz przy ewentualnych wypożyczeniach sprzętu należy sprawdzić informacje o osobie wypożyczającej w rejestrze Biura Dobroczynności w Oslo. Osobiście proponuję utworzenie żłobka na Fagerborgu.

Działania obecnie przeprowadzane w Oslo:

1. *Kurs pomocy pielęgniarskiej rozpoczyna się 9 listopada w Szpitalu Centralnym.*
2. *Szkolenie z zakresu higieny w Służbie Obrony Cywilnej odbędzie w szkole na Riis dla 150 osób.*
3. *Przyjaciele Pacjentów: odwiedziny w szpitalu, głośne czytanie pacjentom, prace biblioteczne i tym podobne.*

4. Imprezy prywatne: wycieczki, brydż, lokalne loterie.

Oddziałowi Fagerborg zaproponowano pielęgniarską służbę pomocniczą w Klinice przy Wergelandsveien. Na każdym kursie 7 osób, jedna na każdy dzień tygodnia. Osobiście proponuję 2, minimum 1 dodatkową siostrę na zastępstwo w razie choroby, wyjazdów itp. Okres pełnienia służby wyniesie 3 mies. na oddziale medycyny ogólnej, a następnie 3 mies. na chirurgii lub według potrzeb szpitala.

Oslo, 9.11.48
Tove Lund

ŚWIEŻY ŚNIEG

Na Cmentarzu Zachodnim pada śnieg. Ślady pani Vik wkrótce zlewają się z tłem. Każdy jej krok jest pierwszy. Tak tu cicho. Przez to tęsknota staje się jeszcze większa. Otwiera się w niej przestrzeń, którą najchętniej pozostawiłaby zamkniętą. Pani Vik zatrzymuje się przy ostatnim grobie pod srebrnymi świerkami, które również zlewają się z tłem, kuca i szczotką wyjętą z torebki zmiata śnieg z nagrobka. Litery ciągle są białe, więc musi wyskrobywać twardy śnieg wbity w mężowski relief: *Weterynarz Halfdan Vik, 18.3.1890 – 2.6.1945.* Pod spodem jest dużo miejsca dla pani Vik. Nie zajmie go zresztą wiele. Jaka będzie jej ostatnia liczba? Latem skończyła pięćdziesiąt dwa lata. Może pożyć jeszcze trzydzieści, będzie wtedy rok 1978. Albo czterdzieści: 1988. To prawie nie do pomyślenia. Ale jej ciotka przeżyła sto dwa lata. Jeśli pani Vik dotrze tak daleko, będzie mogła zajrzeć w następne tysiąclecie. Wolałaby, żeby ją to ominęło. Pod nią nie będzie już nikogo. Zdejmuje rękawiczkę i dotyka imienia męża. „Ty idioto", szepcze i staje prosto. W tej samej chwili zaczynają bić dzwony w kaplicy. Śnieg zawisa w powietrzu. Na schody wychodzi kondukt. Na samym przodzie stoi zgarbiony mężczyzna, ubrany zdecydowanie za lekko. Młody chłopak narzuca mu płaszcz na ramiona. Za nimi czeka mnóstwo ludzi. Znów zaczyna padać śnieg. Pani Vik mija żałobników, udaje jej się zdążyć na kolejkę na stacji Borgen. W momencie gdy drzwi się zamykają, wchodzi mężczyzna w żałobie i przytrzymuje je, tak aby reszta konduktu również mogła wsiąść. W końcu kolejka rusza w stronę Volvat. Pani Vik pokazuje konduktorowi swój bilet. To bilet w obie strony. Bileter jednak kręci głową i każe jej kupić nowy. Ten został kupiony już ponad godzinę temu. Pani Vik nie posiada się ze zdumienia. To niemożliwe. Czyżby aż tak się zapomniała? Tak długo stała przy grobie męża? Patrzy na stempel: 12.58. Patrzy na zegarek. Już druga. Co za wstyd! Pani Vik spuszcza głowę, zażenowana, zawstydzona, i szukając w torebce pieniędzy, mamrocze: „Nie zrobiłam tego specjalnie, nie specjalnie, nie

zrobiłam…”. Portmonetka leży pod szczotką. Pani Vik nie może jej dosięgnąć. Wagony zatrzymują się w tunelu przy Volvat. Wsiada więcej pasażerów. Tworzy się kolejka. Pani Vik o mało nie wypuszcza torebki z rąk, ale wreszcie udaje jej się wyjąć kilka monet, podaje je konduktorowi, który w końcu wręcza jej ważny bilet. Pani Vik siada na najbliższym wolnym miejscu i spuszcza głowę, żeby nie patrzeć ludziom w oczy. Może myślą, że próbowała jechać na gapę? Co za wstyd! Powtarza to pod nosem, „co za wstyd”, całą drogę aż na Majorstua, gdzie szybko wysiada. Tamten zbyt lekko ubrany mężczyzna w żałobie spogląda za nią, po czym rusza w stronę Sørkedalsveien, skręca w prawo i otwiera drzwi restauracji U Larsena, zapraszając pozostałych żałobników do środka. Wszyscy razem kierują się na górę, do sal bankietowych na piętrze, gdzie czeka już gotowy stół z kanapkami – są kanapki z krewetkami, rostbefem, łososiem i camembertem. Dwie kelnerki nalewają białe wino. Rozmowy początkowo toczą się cicho i powolnie. Wkrótce jednak rozlega się czyjś śmiech. Do kawy podają tartę jabłkową z bitą śmietaną. Olaf Hall wstaje i patrzy na gości. To przyjaciele i koledzy z pracy, ale nie jego, tylko Ragnhild. Piją dużo białego wina, chociaż wielu z nich już za kilka godzin ma przedstawienie. Odwracają się w jego stronę. On ich nie zna. Zatrzymuje wzrok na Bjørnie, synu Ragnhild, swoim pasierbie. Gdzie jego żałoba? Bjørn jest już dostatecznie dorosły, żeby pozwolić żałobie się ujawnić. Olaf Hall nie może jej dostrzec. Wypija łyk wody i zaczyna mówić:

– Po drodze tutaj zwróciłem uwagę na pewną panią. Sądziła, że zdąży wrócić na ten sam bilet. Ale się nie dało. Stracił ważność. Pomyślałem sobie wtedy, że z życiem jest tak samo, nie ma w nim biletu przesiadkowego. I o tym powinniśmy pamiętać, póki żyjemy.

Olaf Hall wznosi kieliszek. Zapada całkowita cisza. Taka, o jakiej w teatrze mówi się: czas się zatrzymał. W końcu jeden ze starszych aktorów również unosi kieliszek i woła: „Brawo! Życie jest jak kolejka na Holmenkollen! Dwie klasy i miejsca stojące”. Ktoś nie może powstrzymać się od śmiechu. Nic nie szkodzi. Później Olaf Hall podchodzi do Bjørna i pyta, czy wrócą razem do domu. Pasierb nie patrzy mu w oczy. Już się z kimś umówił. Olaf Hall chce coś powiedzieć.

Umówił się w dniu pogrzebu matki? Nie mówi nic. Kiedy wychodzi, śnieg już nie pada. Ślady na śniegu nie znikają.

Zebranie zarządu odbyło się 10.11.1948 r. Niestety, pani sekretarz nie mogła w nim uczestniczyć. Na próbę zgłosiła się jednak nowa pani: Maj Kristoffersen, która wywarła dobre wrażenie na nas wszystkich.

Do rozpatrzenia pozostawały sprawy poruszone na zebraniu Komitetu Wykonawczego w dniu 20 października. Zdecydowano, że Oddział Fagerborg zaangażuje się w pielęgniarską służbę pomocniczą w Klinice przy Wergelandsveien. Do zbierania składek członkowskich postanowiono zatrudnić osobę pracującą na zasadach prowizji (10 % od kwoty). Przewodnicząca poinformowała, że oddział przekazał 20,– koron na kwiaty w związku z pogrzebem aktorki Ragnhild Hall. Kilkakrotnie przecież zapewniała nam oprawę artystyczną. Poza tym omawiałyśmy projekt budżetu, do którego wrócimy na następnym zebraniu. Otrzymałyśmy list od pana Henry'ego Karlsena z Grønnegt. 19 z prośbą o koc wełniany. Czerwony Krzyż posiada pewną ilość koców wełnianych na sprzedaż w cenie 25,– koron za sztukę, więc spróbujemy załatwić taki koc dla pana Karlsena, pod warunkiem że rejestr Biura Dobroczynności w Oslo potwierdzi, iż jest on uprawniony do otrzymania pomocy.

OPIEKUNKA

Maj Kristoffersen dzwoni do drzwi pani Vik. Zanim się otwierają, mija dłuższa chwila, a Maj się spieszy. Jesper stoi obok niej sztywny i nieruchomy. Nagle wsuwa rękę w otwór listownika. Maj Kristoffersen łapie go za rękę i ciągnie. Dłoń utknęła. Ani drgnie. Może to dlatego, że Jesper zacisnął ją w pięść? Maj jest bliska płaczu. Tupie nogą. Jest pięć po siódmej. A zaczęło się o siódmej. Mało brakuje, żeby dała chłopcu w ucho. Wreszcie słyszy panią Vik w przedpokoju. Na chwilę zapada cisza. W końcu Jesper wyciąga rękę z listownika i wsuwa do kieszeni kruche ciastko. Pani Vik otwiera i patrzy na Jespera, który znowu stoi sztywno i nieruchomo, trzymając ręce za plecami.

– Czy to listonosz? – pyta pani Vik.

Jesper nie odpowiada.

Maj niemal popycha synka przed sobą.

– Czy on może u ciebie zostać ze dwie godziny?

– Coś się stało?

– Zebranie w Czerwonym Krzyżu. A Ewald znów musiał wyjść do biura.

– O tej porze?

– Jest bardzo zajęty w związku z tym jubileuszem miasta.

– Jesper może u mnie zostać. Jeśli chce.

– Zaczęłaś już piec ciasteczka na święta?

– Wolę się później nie spieszyć.

– Ja też! Bardzo dziękuję!

Maj Kristoffersen zbiega po schodach.

Pani Vik wchodzi z Jesperem do mieszkania i zamyka drzwi. Siadają w kuchni. Tutaj pani Vik czuje się najlepiej. Reszta mieszkania jest za duża. Pani Vik przygotowuje wodę z sokiem. Jesper się nie odzywa, nie

tyka też szklanki. Pani Vik mu się przygląda. Można by przypuszczać, że chłopiec się wstydzi albo jest bardzo uparty. W każdym razie zachowuje się na granicy dopuszczalności. Błądzi gdzieś spojrzeniem. Jego oczy nigdy nie są spokojne. Pani Vik przychodzi do głowy, że chłopiec szuka wyjścia. Czyżby źle się tu czuł? Może się boi?

– Cieszysz się, że idą święta? – pyta pani Vik.

Jesper nie odpowiada.

– Co byś chciał dostać na gwiazdkę?

Dalej milczy.

– Głodny jesteś?

Tym razem pani Vik nie czeka na odpowiedź. Podgrzewa resztki z obiadu na patelni i przekłada je na talerz, który stawia przed Jesperem. Chłopiec nie chce jeść.

– Co się z tobą dzieje?

Uśmiechnął się? Nie, to raczej grymas, powiew wiatru na twarzy. Pani Vik opiera łokcie na stole, dzięki czemu przysuwa się bliżej.

– Ty pewnie nie pamiętasz pana Vika, mojego męża? Nie, nie pamiętasz. Okazał się na tyle głupi, żeby umrzeć akurat wtedy, kiedy nastał pokój. Wyobrażasz sobie? Padł jak długi na Kirkeveien i tyle. Był weterynarzem. To taki lekarz, który leczy zwierzęta. Ale w czasie wojny musiał też operować ludzi. W zupełnej tajemnicy. Co to ja miałam powiedzieć? Wiesz, gdzie jest Wyższa Szkoła Weterynarii? Niedaleko. Pan Vik właśnie tam pracował. A wiesz, co oni trzymają w chłodni? Martwe zwierzęta. Czasami nawet przynosił jakieś do domu. Ciągle zresztą dostaję stamtąd zaopatrzenie. To, co masz na talerzu, to resztki cielęcia.

Jesper grzebie w resztkach palcem wskazującym.

– Ja też upadam. Spadam – mówi.

– Upadasz?

– W nocy.

– Chodzisz przez sen?

– Nie.

– No to jak spadasz? Wypadasz z łóżka?

– Kiedy śpię.

Jesper zaczyna jeść. Je, aż wszystko znika z talerza; opróżnia też szklankę.

Później ciepło się ubierają i schodzą na podwórze. Trzech chłopców spod numeru 123 b lepi bałwana przy stojaku do suszenia bielizny, z którego sznurki zwisają ciężkimi białymi łukami. Pani Vik chce zaprowadzić Jespera do dzieci, ale on się opiera. Jest od niej silniejszy. Niechęć spina całe jego ciało. Lepiej więc wrócić na górę. Siadają w salonie. Jest ciemny. Meble są brązowo-zielone. Na ścianach wiszą obrazy, w których również brakuje światła. Wielka poduszka na kanapie jest jednak żółta i ma cztery pompony, po jednym w każdym rogu. Jesper siada przy niej. Nogi ma wyprostowane. W jednej skarpetce, tej lewej, jest dziura na pięcie. Pani Vik się zastanawia, jak mogło wyglądać jej życie. Odpycha jednak od siebie tę myśl, przynosi parę skarpetek po mężu i naciąga je na te, które Jesper ma na nogach.

– Zagramy w coś? W kości?

Jesper kręci głową.

– Możemy też ułożyć pasjansa.

Jesper zaciska pięści i patrzy w inną stronę.

Pani Vik siada w fotelu uszaku, który ciągle czuć tytoniem; ten zapach prawdopodobnie zostanie tu na zawsze, nawet jeśli wyrzuci ten fotel i kupi nowy, nowoczesny, łatwiejszy do utrzymania w czystości, choć może nie wygodniejszy. Tak czy owak, zatrzyma uszaka. Tęskni za płomieniem, który niespodziewanie wzbijał się z główki fajki. W taki oto sposób duch weterynarza objawia się w mieszkaniu – jako zapach, jako kadzidło, jako plamy. Pani Vik musi wyjść za potrzebą. Korzysta przy tym z okazji, żeby chwilę odpocząć. Jesper potrafi być męczącym towarzyszem, chociaż tylko siedzi i patrzy. Jest w nim coś takiego, co męczy. Kiedy pani Vik wraca do salonu, widzi, że Jesper wyjął książkę, którą powoli przegląda. Pani Vik podchodzi bliżej. To *Podręcznik medycyny sądowej* Francisa Harbitza z osiemdziesięcioma ilustracjami i czterema planszami. Jesper uważnie przygląda się zdjęciu chłopca, który ma zamknięte oczy, otwarte usta i ślady opony na twarzy. Nawet się przy tym nie skrzywi. Jest równie zamknięty w sobie jak zwykle. Pani

Vik wyrywa mu książkę i stawia ją z powrotem na półce. Potem włącza radio. Najpierw słychać trzaski, a później szum między stacjami, między miastami, ale wkrótce w salonie rozlega się dźwięk czysty jak dzwon, fortepian, prosta melodia, melancholijna i lekka zarazem. To mógłby być klaun wygrywający swój smutek. Pani Vik patrzy na Jespera. Położył sobie żółtą poduszkę na kolanach i oparł na niej łokcie. Uspokaja się. Zamyka oczy i się uspokaja.

Zebranie zarządu odbyło się dnia 15.11 u przewodniczącej.

Ponieważ wiceprzewodnicząca, panna Dagny Schelde, poprosiła o zwolnienie jej z pełnionej funkcji, jej miejsce zajęła pani Berit Nordklev. Rezerwowa członkini zarządu, pani Ingrid Arnesen, awansowała na członkinię stałą, a nową członkinią rezerwową została panna Løvslett. Zgodnie zaakceptowano, aby pani Maj Kristoffersen objęła funkcję skarbnika, na co wyraziła chęć. Przewodnicząca podkreśliła, jak ważne jest punktualne przychodzenie na zebrania.

Nasze zebranie zostało zwołane głównie w celu omówienia poszczególnych zagadnień poruszanych na zebraniu Komitetu Wykonawczego, przede wszystkim projektu budżetu na nadchodzący rok. Zdecydowano, że będzie on wyglądał następująco:

20 paczek świątecznych po 20,– koron	*400,– koron*
Rezerwa na magazyn wypożyczalni	*500,– koron*
Rezerwa na wyposażenie dla niemowląt	*500,– koron*
Rezerwa na żłobek	*500,– koron*
Rezerwa na wydatki nadzwyczajne	*1000,– koron*
Rezerwa na wydatki bieżące	*350,– koron*

Dyskutowano również o związanych z zadaniami problemach, jakie należy poruszyć z zarządem okręgu, ale stanęło na tym, że wstępnie zarezerwujemy pieniądze, a z czasem podejmiemy próbę utworzenia żłobka w naszym

rejonie. Uzgodniono także zakup sporej ilości sprzętu medycznego do wypożyczalni.

Ponadto oddział został poproszony o oddelegowanie 7 pań, które w Klinice przy Wergelandsveien przejdą szkolenie z zakresu pomocy pielęgniarskiej; osoby w tej liczbie zostały już zapisane.

Przewodnicząca poinformowała, że sporo odzieży zrobionej na drutach oraz innej wysłano do rodziny rybaka w regionie Nordland na północy kraju; rodzina ta w wyniku pożaru straciła cały swój dobytek.

PREMIE

Doktor Per-Fredrik Lund przebadał już kierownika sali, kelnerów, kucharzy, pokojówki i barmana. Wszyscy z wyjątkiem barmana, któremu dokuczały uciśnięte nerwy w lewym przedramieniu, wydawali się w dobrej formie, w każdym razie nie dolegało im nic groźnego, co oznaczało, iż można się było spodziewać, że śmierć nie dosięgnie ich nazajutrz. Mimo to doktor Lund cieszyłby się, gdyby bardziej o siebie dbali. Część winy za ich stan ponosiła wojna. Utrzymuje się ona w organizmach, ostatni oporny okupant. Nie należy również bagatelizować niewłaściwej diety, złych nawyków i tytoniu. Pokój sprawia, że ludzie stają się nierozważni, na co zresztą zasłużyli sobie po pięciu chudych latach. Doktor nie chce nikogo osądzać. Człowiek zadowolony jest nierozważny. Człowiek zadowolony tyje. Ale tak dalej być nie powinno. Pokój również wymaga dyscypliny. Przed wojną doktor Lund siedem razy reprezentował Norwegię na międzynarodowych zawodach w biegu na czterysta metrów i nosi odznakę honorową Norweskiego Związku Lekkiej Atletyki. Doktor Per-Fredrik Lund jest lekarzem zakładowym w hotelu Bristol i raz do roku, w grudniu, przeprowadza badania pracowników. Został jeszcze tylko pianista. Jest nowy, podczas poprzednich badań go nie było. Nazywa się Enzo Zanetti i pochodzi z Włoch. Nieco przygarbiony ciemnowłosy mężczyzna właśnie siada. Płaszcz i kapelusz kładzie sobie na kolanach i chce zapalić papierosa. Doktor Lund unosi jednak rękę i pianista chowa paczkę z powrotem do kieszeni.

– Przepraszam – mówi Enzo Zanetti.

– Może pan palić na zewnątrz.

– Powinienem rzucić.

– Owszem, z tym się zgodzę.

– Nie powinienem był w ogóle zaczynać.

– Co do tego też jesteśmy zgodni. Ale proszę wszystko robić po kolei. Najpierw pan rzuci, a dopiero potem będzie pan pilnował, żeby znów nie zacząć.

Doktor Lund mierzy ciśnienie i puls, osłuchuje. Sytuacja nie jest dobra. Na korzyść muzyka przemawia jedynie brak nadwagi. Właściwie jest za chudy. Można mu policzyć wszystkie żebra. To nie jest żadna zaleta, to także ślad wojny. Pokój to umiarkowanie. Pokój to złoty środek.

– Czy pan się dobrze odżywia, panie Zanetti?

– Mieszkam sam.

– Rozumiem. Mimo wszystko powinien pan jeść zdrowo i regularnie.

– Jem głównie nocą.

Doktor Lund siada i notuje coś w papierach.

– A w ogóle to jak pan trafił do Norwegii?

Enzo Zanetti wzrusza ramionami i wygląda przez okno.

– Byłem na tournée z orkiestrą jazzową. Właściwie mieliśmy jechać do Ameryki. Ale kiedy wojna wybuchła, zatrzymałem się tutaj, a orkiestra została rozwiązana.

Mówi z przyjemnym, śpiewnym akcentem, niektóre słowa zdają się opadać i wznosić w zdaniach.

– Dobrze się pan nauczył norweskiego – stwierdza doktor Lund.

– To jak ćwiczenie nowego repertuaru. Nie znam jeszcze wszystkich nut.

– Powinien pan się więcej ruszać.

– Ma pan na myśli spacery?

– Owszem. Albo bieganie, lekkie. Nie musi pan biegać szybko. Byleby płuca zaczęły pracować.

– Próbowałem jeździć na nartach, ale cały czas się przewracałem. Nie urodziłem się z nartami na nogach.

– Byleby tylko pozostawał pan w ruchu. Czy coś poza tym panu dokucza?

– Goście.

Doktor Lund wstaje ze śmiechem.

– O, tak, w to wierzę.

Życzą sobie nawzajem wesołych świąt. Enzo Zanetti zabiera płaszcz i szalik, wychodzi na białe ulice. Doktor Lund obserwuje go przez okno. Zanetti się zatrzymuje, osłonięty ciężarówką wyładowaną koksem, i zapala papierosa. Musi użyć do tego kilku zapałek. Pojawia się dyrektor Brun i staje obok doktora.

– Czy mój sztab może dawać z siebie wszystko?

– Myślę, że tak. Ale jeśli mam ich zbadać dokładniej, to powinni przyjść do mojego gabinetu.

– No, to muszą sobie zamówić wizytę na własną rękę.

– Jak sobie życzysz.

– A mój pianista?

– Trochę zmęczony.

– Bardzo go tu cenimy. Przyciąga ludzi.

– Jest samotny.

– Taką diagnozę ja też potrafię postawić. Wszyscy muzycy rozrywkowi są samotni.

Dyrektor Brun zdejmuje marynarkę i koszulę. Lekko czuć od niego potem. Woda po goleniu nie jest w stanie stłumić tego zapachu. Brzuch zwisa nad paskiem. Doktor Lund słucha i mierzy.

– Poświęć urlop świąteczny rodzinie – mówi.

– Jak to nazwałeś? Urlopem?

– Nie jesteśmy już tacy młodzi.

Na twarzy dyrektora Bruna nagle maluje się powaga.

– Coś mi dolega?

– Wszystko jest trochę za wysokie, stary przyjacielu. Ciśnienie, puls, waga. Tak samo jak w zeszłym roku.

– Dobrze! A więc mogę od swoich pracowników wymagać tyle samo, ile wymagam od siebie?

– Akurat w tej kwestii nie za bardzo się ze sobą zgadzamy.

– Jak to?

– Ja przebiegałem czterysta metrów w czterdzieści dziewięć i dziewięć. Od pacjentów nie wymagam takiego wyniku.

– Tylko dlatego, że od czasu, kiedy biegałeś tak szybko, minęło już wiele lat, przyjacielu.

Dyrektor Brun się ubiera. Doktor Lund pakuje swoją aparaturę. Kiedy znów spoglądają w okno, widzą, że Enzo Zanetti ciągle stoi na rogu i pali papierosa. Niskie słońce już nie grzeje. Ostre cienie rozciągają się daleko. Ludzie mijający pianistę spieszą z pełnymi siatkami w rękach i prezentami pod pachą. Niedługo wszystko będzie jak dawniej. Kilku młodych ludzi niesie narty na ramionach. Ich śmiech jest jak chmura unosząca się sponad wesołych twarzy.

– Często popada w zadumę – mówi dyrektor Brun.

– Może zacznie lepiej mówić po norwesku.

– Ten jego akcent jest po prostu czarujący. Poza tym ma artystyczną duszę. W przeciwieństwie do nas.

– I co to ma oznaczać?

– Że ma głębokie przemyślenia, Perze-Fredriku.

Dyrektor wręcza doktorowi kopertę z logo hotelu, premię świąteczną. W chwili gdy obaj mężczyźni znikają z okna na drugim piętrze, Enzo Zanetti podnosi głowę. Zamyka oczy. Myśli o kobietach. Myśli właśnie o nich. Musi wkrótce znaleźć sobie jakąś kobietę. Większość kobiet w Norwegii przez pewien czas chce, a potem nagle już nie chce. Dają mu mały palec, ale reszty już nie. Drożą się. Mógłby się przejść na Tollbugaten albo zadzwonić pod jeden z numerów, które dał mu barman, lecz tak nisko jeszcze nie upadł. Nie ma nic przyjemnego w płaceniu za przyjemność. Jeśli jednak wkrótce nie nadarzy mu się żadna okazja, to nie będzie innego wyjścia. Do domu za daleko. Nie zapomina o wysyłaniu pieniędzy, ale w te święta także nie zdąży tam pojechać. Enzo Zanetti żegna się znakiem krzyża, papieros ląduje w śniegu, a żar znika w czarnej dziurce. Enzo rusza w stronę Karl Johans gate, mijając świąteczne wystawy – wcale nie wprowadzają go w bardziej promienny nastrój, chociaż w sklepach wciąż najwięcej miejsca zajmują towary, których nie ma. Idzie dalej przez dziedziniec ratusza i zatrzymuje się na niemal całkiem wyludnionym placu

Ratuszowym. Lubi tu przystanąć. Lubi obserwować pracę w stoczni, Zakładach Mechanicznych Aker. Lubi patrzeć na dźwigi z niebieskimi kabinami. Przypominają prehistoryczne zwierzęta, szkielety, zwłaszcza zimą, kiedy pokrywa je śnieg lub szron. Lubi obserwować dym, płomienie z palników i niedokończone statki w dokach. Lubi wsłuchiwać się w hałas młotów pneumatycznych, który budzi w nim tęsknotę, gorzką i słodką zarazem. To melancholijny ton zesłania. Kiedy zwraca się w stronę nabrzeża i górującej nad nim twierdzy, widzi żółte bomy i mężczyzn wyładowujących z jednego z liniowców McCormacka towary, które przypłynęły w ramach planu Marshalla. Przez chwilę stoi wpatrzony w fiord, który o tej porze dnia przy bezchmurnym niebie barwi się na czerwono aż po latarnię morską Dyna i dalej, w stronę półwyspu Nesoddlandet. Nagle Enzo Zanetti czuje, że zmarzł, i czym prędzej idzie do Automaten, gdzie można samemu nalać sobie piwa z kurka w ścianie – to jedyny zbytek, jaki potrafi sobie wyobrazić w tym melancholijnym mieście, z którym pozostaje już w pełnej zgodzie. Wypija jednak tylko szklankę i zapala kolejnego papierosa. Ma zwyczaj mówić: piję tylko podczas pracy. Kiedy przy innych stolikach robi się za głośno, wraca do Bristolu. Na dole w szatni dla obsługi przebiera się w smoking. Już słyszy podniesione głosy dobiegające z baru i śmiech przy stolikach. Grudzień to okrutny miesiąc. Najgorsi są pijani mężczyźni i dzieci. Enzo staje przed lustrem, poprawia muszkę i przeczesuje włosy. Śladów na twarzy nie można z niczym pomylić. Ma już prawie czterdzieści lat. Ile tęsknoty może znieść twarz? Jak duże odległości zdoła pomieścić zwyczajne serce? To okaleczone życie. Dni z obcym akcentem. Postanawia, że zacznie od *White Christmas*. Wychodząc z szatni, natyka się na Ainę Strand, pokojówkę z Tvedestrand; jej głos brzmi jak papier ścierny, a włosy mają kolor kwiatu maku. Skończyła już zmianę i nie zamierza tak od razu przepuścić Enza.

– Ciebie też zbadał? – pyta.

– Tak.

– I coś ci dolega?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A tobie?

– Doktor powiedział, że mam sztywny kark. Ale tyle to sama wiedziałam.

– Masz sztywny kark?

– Od podnoszenia materaców. Zobacz.

Pokojówka Aina pochyla głowę i unosi płomienne włosy. Jej kark jest jak gładki łuk. Niesamowity widok. Ale Enzo Zanetti się waha. Aina się niecierpliwi, chwyta jego rękę i kładzie ją na właściwym miejscu. Enzo czuje ciepłą, lekko wilgotną skórę. Czuje bijący w niej puls, miękki metronom.

– Masz delikatne palce – mówi Aina.

Enzo Zanetti odpycha pokojówkę Ainę, zanim zapragnie czegoś więcej i znów zostanie odrzucony. Robi to zbyt gwałtownie. Aina o mało się nie przewraca. Opiera się o ścianę i patrzy na niego wystraszona. Za moment jednak w jej oczach pojawia się pogarda i dziewczyna odwraca się do niego tyłem. Enzo Zanetti wchodzi po schodach. Są bardziej strome niż zwykle. Nie, nie zacznie od *White Christmas*. Jeden czy drugi krzykacz i tak każe mu to zagrać w ciągu wieczoru, a on dwóch razy nie wytrzyma. Zacznie raczej od *Undecided*, utworu, którego się nauczył, kiedy był w drodze do Ameryki, ale rozbił się w Norwegii. Mógłby też zaśpiewać:

First you say you'll play
and then it's no
Then you say you'll stay
That's when you go
You're undecided now
So what are you going to do

Na ostatnim stopniu Enzo Zanetti zatrzymuje się i wyciąga uśmiech pianisty grającego dla rozrywki. Musi go szukać głęboko. Zajmuje miejsce przy fortepianie. Śmiech i gwar nie cichną. Właśnie tak ma być. Pianista jest tłem. Najbliższa mu jest choinka. Mogliby zamienić się miejscami. Enzo kolejny raz zmienia decyzję i gra *Gymonopédie No. 1*

Erika Satiego, utwór, który słyszał w radiu poprzedniego wieczoru. Nie zauważa, że goście w Bristolu milkną i prostują się, wsłuchani w tony, które pasują zarówno do cyrku, jak i na cmentarz.

SPRAWOZDANIE Z ZEBRANIA KOMITETU WYKONAWCZEGO 6.12.48

Oddział Frogner w osobie przewodniczącej, pani Heide, przedłożył propozycję, aby z uwagi na to, iż na jego terenie znajduje się Klinika Czerwonego Krzyża oraz dom sióstr[3], oddział ten zadbał przede wszystkim o ulepszenie i modernizację Domu Sióstr Czerwonego Krzyża, który zdecydowanie wymaga już remontu. Bilans zamyka się stratą, więc wykluczone jest obciążanie rachunków dalszymi wydatkami. Jako pierwszą zgłoszono propozycję nabycia maszyny do obierania ziemniaków, którą obecnie można już zdobyć. Jej cena to 1700,– koron. Oddział Frogner wyłoży 500,– koron. Przedstawiona przez panią Galtung propozycja, aby każdy z pozostałych dwunastu oddziałów w Oslo dołożył po 100,– koron, została przyjęta bardzo przychylnie. Pieniądze zostaną przekazane pani Scheel z adnotacją, na co są przeznaczone. Ponadto zaproponowano, aby każdy oddział odnowił i przygotował w domu sióstr jeden pokój, któremu można na przykład nadać nazwę tegoż oddziału. Zdecydowano, że dekorator wnętrz (najchętniej kobieta) skalkuluje koszty i przedstawi propozycję wyposażenia pokoi, które oczywiście powinno być jednorodne.

Tegoroczne paczki świąteczne, podobnie jak w latach poprzednich, zostaną przekazane do domów starców i domów dziecka w Oslo.

Pokazano łóżeczko dla dziecka, wykonane według wzoru duńskiego „kosza do chodzenia". Czas dostawy wynosi ok. 3 tygodni. Sekcja Pomocy dla Dzieci zamówi łóżeczka. Sekcja ta opracowała już formularz wniosku oraz spis wyprawki. Podczas rozdzielania ubranek dla niemowląt około Nowego Roku należy zbierać kupony z kartek na tekstylia.

Po zebraniu odbyło się spotkanie o charakterze towarzyskim w przyjemnym saloniku w domu sióstr, który specjalnie na tę okazję został ślicznie udekorowany świeczkami i kwiatami. Pani Galtung, pełniącej funkcję przewodniczącej od roku 1944, wręczono wspaniałą srebrną misę z grawerunkiem. Podarunek przekazała pani Berg, wygłaszając przy tym

serdeczną przemowę dziękczynną. Wspaniałe przemówienie wygłosiła również siostra przełożona domu sióstr. Pani Scheel podziękowała w imieniu pozostałych członków zarządu. Pani Diesen przedstawiła podsumowanie kadencji. Była obecna również podczas poprzedniej zmiany na stanowisku przewodniczącej. Na koniec życzliwie powitała nowo wybraną panią przewodniczącą. Pani Molstad podziękowała w imieniu Sekcji Pomocy dla Dzieci i przekazała kwiaty. Na koniec pani Galtung pożegnała się, dziękując za poświęconą jej uwagę.

Z ramienia Oddziału Fagerborg w zebraniu uczestniczyła pani doktorowa Lund.

LISTA ŻYCZEŃ

Maj Kristoffersen bierze Jespera za rękę, w momencie gdy wchodzą w obrotowe drzwi sklepu Steen & Strøm, wielkiego domu towarowego na rogu Prinsens gate i Kongens gate – dwanaście tysięcy metrów kwadratowych rozdzielonych na siedem kondygnacji – który po wielkich niedoborach wojennych, kiedy naziści zamknęli jego drzwi, ledwie zaczyna dochodzić do siebie. Domy towarowe to miara wolnego społeczeństwa. Obrót to demokratyczne wybory przeprowadzane codziennie, a nie raz na cztery lata. Im więcej towarów, tym bardziej jesteśmy wolni. Kupuje się. Sprzedaje. To prawdziwe referendum narodowe. Ale na razie daleko jeszcze do zalewu ofert. Dla Maj Kristoffersen to i tak więcej niż dość. Jej zdaniem jest tu aż za dużo. Czy człowiek naprawdę potrzebuje tego wszystkiego, co w zasadzie nie jest mu potrzebne? W każdym razie Maj Kristoffersen może się obyć bez większości tych rzeczy. Mimo to zatrzymała się na samym dnie padającego z góry światła, wśród słodkiego zapachu rozchodzącego się z perfumerii na parterze, zapachu, który roznosi się po całym budynku, może nawet po mieście, i sprawia, że wszystko kojarzy się z zabawą, beztroską i marzeniami, *Soir de Fête, My Sin, Fille d'Eve, J'aime* oraz *Heure Bleue*. Nagle Maj czuje, że Jesper ją ciągnie. Ciągnie ją z powrotem do świata. Zauważył ruchome schody. Chce tam iść. Maj go przytrzymuje. Ruchome schody są niebezpieczne. Dzieci mogą na nie wchodzić wyłącznie pod opieką osób dorosłych. Ale również dla dorosłych schody ruchome mogą być groźne. Maj czytała w gazecie o pewnej pani, której suknia uwięzła w trybach, i pani ta została wciągnięta między stopnie, aż w końcu wystawała tylko sama głowa. To było za granicą, u Harrodsa w Londynie, no, ale jednak. Idą razem i stają w niewielkiej kolejce, która utworzyła się w miejscu, gdzie schody wynurzają się spod podłogi. Niektórzy, światowcy, po prostu wysuwają nogę i jadą. Wiele osób się waha, przepuszcza tych pewnych siebie. Jeszcze inni się poddają i zostają na parterze albo szukają

schodów, które są nieruchome. Kolej na Maj i Jespera. Jesper się nie waha. Pociąga matkę za sobą. To trochę jak wejście na pokład samolotu. Zaczynają się wznosić. Wznoszą się ukośnie przez światło we wszechświecie domu towarowego. Nawet poręcz sunie za nimi. Jesper się śmieje. A Jesper nie śmieje się codziennie. Teraz muszą wysiąść. Zejście jest jeszcze ważniejsze niż wejście. Stoją oboje na tym samym stopniu i trzymają się za ręce. Jest im dobrze. Jazda mogłaby trwać jeszcze dłużej. Już odliczają. Lądują na planecie działu sportowego. Maj kupuje tam prezent gwiazdkowy dla Ewalda, parę niebieskich stuptutów. Nie będzie już mógł narzekać na śnieg w traperkach i siedzieć w domu w kolejne niedziele. Ale Jesper chce jechać wyżej. A Maj ma dobry humor. To dlatego, że Jesper jest grzeczny. Oboje są w dobrym humorze. To się zdarza tak rzadko. Jadą ruchomymi schodami na następny glob: konfekcji damskiej. W najbliższym rogu wisi *the new look*, rząd długich kreacji. To jest to nowe – podobne do starego, tylko trochę inne. Stare stało się nowością. To Dior. Maj Kristoffersen nie może się powstrzymać. Podchodzi do stojaka i ostrożnie przegląda suknie. Rozchyla gałęzie mody na boki i coraz głębiej zanurza się w las piękna. Jesper ma wielkie oczy. Też chce w tym uczestniczyć. Podchodzi do nich ekspedientka na wysokich obcasach i mierzy Maj wzrokiem, jednocześnie przesuwając wieszaki na swoje miejsca.

– Czym mogę służyć?

Trudno nie zauważyć przyjaznej wyniosłości w spojrzeniu sklepowej. Czy ona myśli, że Maj Kristoffersen nie stać na taką sukienkę?

– Chciałabym przymierzyć tę niebieską.

Ekspedientka znów mierzy ją wzrokiem, ale tym razem raczej po to, aby znaleźć właściwy rozmiar. Potem prowadzi Maj i Jespera do przymierzalni, a suknię ostrożnie przewiesza przez oparcie krzesła.

– Będę w pobliżu, gdyby potrzebowała pani pomocy.

Sprzedawczyni zaciąga zasłonkę, ale widzą jej cień tuż za nią. Cień nie znika. Czyżby ich pilnowała? Maj siada. Ma rozgrzaną twarz. Rozpaloną. Tak czuje. Jesper bacznie się jej przygląda. Coś przeczuwa. Nie chce niczego uronić. Od tak dawna już nie był taki obecny, taki u c z e s t n i c z ą c y. Maj patrzy na metkę z ceną przypiętą do dekoltu:

1865,– koron. Niewiarygodne. To więcej, niż Czerwony Krzyż zarabia na loterii fantowej. Serce przeskakuje jedno uderzenie. Koniuszki palców swędzą.

– Co teraz zrobimy? – pyta szeptem.

Jesper bierze suknię, a Maj o mały włos nie zaczyna krzyczeć. Co będzie, jeśli ją zniszczy? Jeśli w sukience pojawi się choćby małe rozdarcie, jedna luźna nitka? Wtedy będzie musiała zapłacić. Ale Jesper nie niszczy sukienki. Delikatnie podaje ją Maj, która zaczyna się rozbierać aż do bielizny i w końcu może wpełznąć w obcisły, miękki materiał. Ma trzydzieści dwa lata i ciągle zgrabną figurę. Przegląda się w lustrze. Suknia leży jak ulał. Maj się obraca. Tańczy. Ze swoimi ciemnymi włosami mogłaby dziś być Francuzką i grzeszyć. Jesper się śmieje.

– I jak? – pyta ekspedientka.

– Nie pasuje – odpowiada Maj Kristoffersen.

– Nie pasuje? Mam przynieść inny rozmiar?

– Nie, to sukienka nie dla mnie. Jest…

– Jest pani przyzwoicie ubrana?

– Oczywiście. Jestem…

Ekspedientka odsuwa zasłonkę na bok i zagląda do przymierzalni.

– Musi ją pani zobaczyć w dobrym świetle!

Popycha Maj Kristoffersen tam, gdzie stoją inne panie, które tylko patrzą, nie mając odwagi niczego dotknąć, i odwracają się w jej stronę, uśmiechnięte i zazdrosne, a przypuszczalnie również podejrzliwe. Naprawdę stać ją na takie arcydzieło, j ą? Nie stać jej. Maj jest bliska płaczu. Czy nigdy nie uwolni się od tej błękitnej fortuny, *the new look*? Chce jedynie odzyskać swoje stare ja. To wszystko. Ona jest Maj Kristoffersen z Fagerborga. Zatrzymują się przed większym lustrem, ustawionym ukośnie przy ścianie pod żółtą lampą. Maj widzi obcą kobietę. Ekspedientka podciąga jej zamek błyskawiczny na plecach do samej góry, a potem zagląda Maj przez ramię i widzi to samo, ale innymi oczami.

– I pani mówi, że ta sukienka nie pasuje?

Maj Kristoffersen zerka w bok. Jesper ciągle stoi przy przymierzalni i obserwuje. Przez moment sprawia wrażenie nieszczęśliwego i rozgniewanego. Maj musi się pospieszyć, zanim stanie się coś złego. Musi mieć to już za sobą. Musi powiedzieć prawdę.

– Ta suknia jest dla mnie za droga.

– Ależ skąd. To Dior. Może pani tego nie wiedziała?

Maj czym prędzej wraca do przymierzalni, zawstydzona i zacięta. Przebiera się błyskawicznie i oddaje suknię ekspedientce, która znów mierzy ją wzrokiem.

– Ale jedno pani powiem.

Jesper ujmuje matkę za rękę i mocno ją ściska. Maj spuszcza głowę.

– Nikt nie wyglądał w tej sukience lepiej niż pani.

Maj podnosi głowę i oblewa się rumieńcem. Czuje nagłą, dziwną radość. Od tak dawna niczego podobnego nie czuła. Czuje się dumna i lekka. Chce coś powiedzieć, podziękować, ale zanim zdąży otworzyć usta, Jesper już ciągnie ją w stronę ruchomych schodów, które sprowadzają ich z powrotem na ziemię. Tam, wśród zapachów z perfumerii, Maj przypomina sobie, z jaką sprawą tak naprawdę tu przyszła – nie tylko po stuptuty dla Ewalda, ma też kupić prezent gwiazdkowy dla siebie. Wyjmuje portmonetkę i wręcza Jesperowi dokładnie czterdzieści dwie korony. Jesper trzyma je w obu rękach.

– Podejdziesz teraz do lady i kupisz Cztery Tysiące Siedemset Jedenaście. Potem poprosisz tę panią, żeby ci to ładnie opakowała. Dasz radę?

– Tak.

– Cztery Tysiące Siedemset Jedenaście. Powtórz.

– Cztery Tysiące Siedemset Jedenaście.

– To perfumy. Zapamiętałeś?

– Cztery Tysiące Siedemset Jedenaście. Perfumy.

– A ja się teraz odwrócę, żebym nie widziała, co dostanę od ciebie na gwiazdkę.

Maj Kristoffersen prostuje się i patrzy w inną stronę. Słyszy, że Jesper podchodzi do lady. Sprawa się przeciąga. Maj ma wielką ochotę spojrzeć

przez ramię. Może Jesper sobie nie poradzi? Powstrzymuje się jednak. Przecież obiecała mu, że nie będzie patrzeć. Musi dotrzymać słowa. Zamiast tego spogląda na choinkę stojącą na środku holu. Nagle zaczyna się bać nowego roku – będzie musiała pozamiatać wszystkie igły w salonie i nie tylko tam, w całym mieszkaniu. Czasami zdarza jej się znajdować świerkowe igiełki nawet podczas wiosennych porządków. Po prostu nie można się ich pozbyć. Są jak przekleństwo. Mimo to ma nadzieję, że Ewald w porę pójdzie po drzewko i zdobędzie najładniejsze. Jesper wreszcie wraca. Nie zatrzymuje się. Po prostu idzie dalej, mijając ją i kierując się do obrotowych drzwi, które są równie niebezpieczne, jak ruchome schody. Maj czytała o pewnej pani, która kręciła się godzinami, aż w końcu znieruchomiała. To również było u Harrodsa, a może w Magasin du Nord w Kopenhadze. W każdym razie Maj czym prędzej podąża za Jesperem i już razem wychodzą na Prinsens gate. Jest druga. Śnieg nie pada. Chmury się rozsuwają. Czyste niebo opada na Oslo. Buzię Jespera otacza biała para oddechu. Chłopiec wręcza matce flakonik.

– Nie zapakowali ci?

Jesper kręci głową i szybko wsuwa ręce z powrotem do kieszeni.

– Ale prosiłeś?

Chłopiec potakuje. Z kolei Maj kręci głową.

– Co za bezczelność z ich strony! Wobec tego sami będziemy musieli to zrobić.

Chowa wodę kolońską do torebki. Potem idą na stację Teatr Narodowy i jadą kolejką do dworca Valkyrien. Jesper lubi stać z przodu, kiedy przejeżdżają przez tunel. U rzeźnika Melsoma na samym końcu Kirkeveien kupują pięć kotletów mielonych z wieprzowiny ze słoninką i przyprawami. Jeden dla Jespera, jeden dla Maj i trzy dla Ewalda, jeśli wyjątkowo uda mu się zdążyć do domu na obiad.

Zebranie zarządu odbyło się w dniu 9 grudnia u pani Lutken. Obecne były wszystkie członkinie zarządu w liczbie pięciu. Pani Nordklev odczytała sprawozdanie z poprzedniego zebrania Komitetu Wykonawczego (przedstawione powyżej). Postanowiono wyłożyć 100,– koron na zakup maszyny

do obierania ziemniaków dla domu sióstr oraz uczestniczyć w remoncie i modernizacji pokojów dla sióstr, podobnie jak pozostałe oddziały.

Po poprzednim posiedzeniu zarządu pani Lutken odwiedziła diakonisę, Inger Bø, aby się dowiedzieć, czy w domu parafialnym ewentualnie znalazłoby się miejsce na planowaną wypożyczalnię sprzętu medycznego. Ponieważ okazało się to trudne, przewodnicząca obiecała sprawdzić inne możliwości. Pani Lutken podjęła się zbadania, ile kosztowałby zakup rzeczy, które, jak nam podano, są niezbędne.

Jeśli chodzi o wypożyczalnię wyposażenia dla niemowląt, to zdaniem diakonisy nie ma potrzeby organizowania takiej wypożyczalni, dlatego uzgodniłyśmy, że 500,– koron przeznaczonych na ten cel można wykorzystać na zakupy dla wypożyczalni sprzętu medycznego.

W kwestii żłobka pani Lutken uzyskała informację, że w parafii trwają starania o utworzenie przedszkola. Pani Nordklev obiecała wystosować pismo do radnego do spraw mieszkaniowych, aby się dowiedzieć, czy w jakimś nowo wznoszonym budynku znalazłoby się miejsce na żłobek.

Ponieważ wciąż pozostaje dość istotna niejasność w kwestii granic naszego oddziału, panna Aasland obiecała przy okazji porozumieć się z kancelarią Czerwonego Krzyża na Frederik Stangs gate, aby ostatecznie wyjaśnić tę sprawę.

W tym roku rozdane zostaną 22 paczki świąteczne o wartości 20,– koron każda, według listy przygotowanej przez diakonisę. W przygotowaniu paczek pomagają w tym roku rzeźnik Melsom, sklep spożywczy Maślany Petersen oraz piekarnia Samson.

ŚWIĄTECZNY NASTRÓJ

– Co myślisz o pianiście?

– Wygląda na samotnego.

Doktor Lund nachyla się do żony.

– Miałem na myśli m u z y k ę.

Siedzą przy narożnym stoliku w Bristolu, racząc się koktajlami. Później zamierzają przejść do Sali Mauretańskiej i zjeść dobrą kolację. Tak wygląda premia świąteczna dla lekarza zakładowego. Doktor jest ubrany w smoking i pije manhattan. Tove Lund ma na sobie długą szarą spódnicę, białą bluzkę i szal i popija wytrawne martini.

– Muzyka jest chyba taka, jaka powinna być – odpowiada.

– Masz na myśli zagłuszanie?

Ledwie się słyszą nawzajem. W barze serwuje się optymizm. To początek głośnej pory. Doktor Lund obserwuje podnieconych mężczyzn, którzy jedną ręką palą, drugą piją, trzecią gestykulują, a na dodatek się przekrzykują. Zasłużyli na to. Byle nie weszło im to w krew. Byle nie przychodzili tu co wieczór i nie popadli w manię wielkości. Doktor ma swoje credo: szczęśliwym czyni cię reguła, nie wyjątek. Jeśli się jednak nad tym głębiej zastanowić, to się, niestety, nie zgadza. Bo czy nie był najszczęśliwszy wtedy, gdy pobił rekord Norwegii na czterysta metrów? Rekord Norwegii to nie reguła. Ale szczęście to również nie to samo, co radość. Doktor Lund postanawia sformułować to w sposób następujący: reguła to radość, a wyjątek to wszystko inne. Żona ujmuje go pod rękę i skinieniem głowy wskazuje na drzwi.

– Widzisz, kto tam jest?

Doktor Lund patrzy w tamtą stronę, ale nikogo nie rozpoznaje. Śmieje się.

– Nie. Ci wszyscy panowie wyglądają tak samo.

– Ten słusznej tuszy. Właściwie bardzo słusznej. Podobno bywa tu dość często. To Ewald Kristoffersen.

– Mąż Maj Kristoffersen?

– Wiesz, że ona jest naszym nowym skarbnikiem? Mają, zdaje się, trudnego syna.

– Jak to: trudnego?

– Niegrzecznego. Gniewnego. Sika na podwórzu.

– Nie chodzi do szkoły?

– Jest trochę… opóźniony.

Przez chwilę milczą, śledząc wzrokiem Ewalda Kristoffersena. Towarzyszy mu kilku młodszych mężczyzn, prawdopodobnie kolegów z pracy. Oddają płaszcze szatniarce i torują sobie drogę do baru, gdzie czekają już gotowe kieliszki. Opróżnienie ich trwa krótko, a panowie zaraz chcą bisować. Nic dziwnego, że barman ma uciśnięte nerwy w lewym przedramieniu. Doktor Lund w zasadzie się cieszy, że jest odpowiedzialny tylko za pracowników, a nie za gości.

– Wysokie ciśnienie – mówi.

– U kogo?

– U tego Ewalda.

– Nie jesteś w pracy, Perze-Fredriku.

Wreszcie przychodzi po nich kierownik sali. Podano kolację. Idą za nim do Sali Mauretańskiej. Dobrze jest zostawić hałas za sobą. W trakcie jedzenia nie trzeba cały czas rozmawiać. Można ewentualnie k o n w e r s o w a ć, a konwersuje się po cichu. To wojna sprawiła, że ludzie stali się tacy gadatliwi i głośni. Przez pięć lat trzeba było ściszać głos. Teraz nareszcie można go podnosić. Doktor Lund idzie za żoną, wciąż potrafi napawać się jej widokiem. Enzo Zanetti odrywa ręce od klawiszy i gdy doktorowa go mija, na moment unosi wzrok. Zauważa doktora, witają się krótkim skinieniem głowy, po czym Enzo dalej gra *Cichą noc*, chociaż nikt tego nie słyszy. Może doktor mógłby mu przepisać jakieś tabletki przeciwbólowe? Albo coś na sen? Powinien był go spytać. Potem rozpoznaje lwa salonowego, który już poluzował krawat, tego, co zawsze chce słuchać Silnorękiego. Czy na dzisiejszy wieczór też będzie miał jakąś propozycję? Enzo Zanetti pilnuje, żeby ich

spojrzenia się nie skrzyżowały. Woli się raczej uśmiechać do dwóch pań w średnim wieku siedzących przy stoliku koło schodów, które piją herbatę, nie zdjąwszy kapeluszy, i sprawiają wrażenie bezczasowych i zagubionych. Gra dla nich *We'll meet again*. I tak go nie słyszą. Nie, lew salonowy idzie tylko do toalety, mocno się przytrzymując błyszczącej poręczy; chwiejnym krokiem schodzi po schodach do Cyrku Schumanna, jak mówią o tym przybytku dowcipnisie. Wychodzi stamtąd z przyczesanymi włosami i zaciśniętym krawatem. Ale zapomniał o wetknięciu w spodnie jednej poły koszuli. Tak mija ten wieczór. O dziewiątej Enzo Zanetti robi sobie przerwę, wychodzi na zewnątrz i zapala papierosa. Jest chłodno. Marznie. Powinien był włożyć płaszcz. Ale i tak lepiej stać tutaj niż być w środku. W skąpym świetle latarni ciemność jest jeszcze ciemniejsza. Nagle ktoś go łapie i ciągnie za róg. Enzo nie może się uwolnić. Napastników musi być co najmniej dwóch. Jeśli chcą go obrabować, to wiele nie znajdą, nawet premii świątecznej. Jeden wyrywa mu papierosa i gasi go na grzbiecie lewej dłoni Enza. Enzo Zanetti krzyczy, ale ten drugi zatyka mu usta, więc nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Próbuje się oswobodzić. Dostaje cios w brzuch, potem jeszcze jeden, teraz w nerki, zgina się w pół i zostaje podniesiony. Ten, który bije, nachyla się nad nim, zamierza się i głową uderza w jego głowę. Enzo Zanetti, pianista rozrywkowy, wali potylicą o mur, a ze złamanego nosa tryska mu krew.

– Trzymaj się z dala od naszych dziewczyn, makaroniarzu!

Enzo Zanetti ledwie może mówić.

– Od jakich dziewczyn?

– Od mojej dziewczyny, pętaku!

Mężczyzna chwyta jego prawą rękę i odchyla palec wskazujący do tyłu, aż rozlega się suchy trzask; wtedy puszcza i chce uszkodzić również lewą rękę Enza, ale ten, który go przytrzymuje, szepcze:

– Kurwa, nie obie.

– A dlaczego nie? Czy on nie gra obiema rękami?

Od strony Pilestredet nadjeżdża tramwaj, a może wystraszyło ich co innego. W każdym razie puszczają Enza Zanettiego i ruszają biegiem w górę Teatergaten. Enzo osuwa się w śnieg i leży. Tramwaj przejeżdża.

Twarze w wagonach – czemu go nie widzą? Próbuje się podnieść, ale nie daje rady. Przestaje mu być zimno. Jest gorąco. I coraz ciemniej. Wręcz cudownie. Enzo unosi się w powietrzu. Nie wie, w jakim kierunku sunie. Nic nie szkodzi. Może jest w drodze do domu. Wreszcie jednak udaje mu się wstać. Zataczając się, okrąża róg. Pluje krwią, okaleczoną rękę trzyma w górze, nos ma przyklejony do policzka, przynajmniej tak to czuje, może oddychać jedynie przez usta. W takim stanie wchodzi do baru w Bristolu. Najbliżej siedzący goście zaczynają krzyczeć. Enzo sunie obok nich, kierując się do fortepianu. Musi grać. To jego praca. Ale to tak daleko. Dlaczego nikt mu nie pomoże? Barman biegnie do Sali Mauretańskiej. Wreszcie ktoś chwyta Enza Zanettiego za ramię, delikatnie. Enzo się wyrywa. Nie chce, żeby więcej go bito. Nie chce pomocy. Będzie grał. Zawadza o stołek i się przewraca, o mało nie pociągając za sobą Ewalda Kristoffersena. Leży na plecach. Patrzy w górę na choinkę, na gwiazdę, a może to tylko uliczna latarnia, która już gaśnie? Wkrótce światło przesłaniają twarze. Enzo Zanetti już wie, co zagra. Zagra *Sonatine bureaucratique*. Nagle rozpoznaje lekarza zakładowego, który odsuwa Ewalda Kristoffersena i klęka.

– Ojojoj – wzdycha doktor Lund.

Ewald Kristoffersen idzie po płaszcz do szatni i wychodzi akurat w chwili, gdy podjeżdża karetka. Syreny przypominają mu o wojnie. Już dawno nie myślał o wojnie, chociaż wojna wcale nie była dawno. Stawia kołnierz. Idzie na stację Teatr Narodowy i wsiada do kolejki. Są same wolne miejsca, ale on lubi stać z przodu i patrzeć, jak ciemność zbliża się i znika. Poczucie pędu bardzo pociąga Ewalda Kristoffersena. A gdy jednocześnie czuje drżenie pod stopami, jest mu jeszcze lepiej. Ma wysiąść na Valkyrien, stacji powstałej w wyniku wypadku – po prostu ziemia zawaliła się akurat w tym miejscu – ale Ewald jedzie dalej, do Majorstua. Dzięki temu może wypić jeszcze jedno piwo w Tråkka, zanim rozpocznie długie podejście pod pnącą się w górę Kirkeveien. Przychodzi mu do głowy, że bez względu na to, z której strony przychodzi, i tak ostatni kawałek jest stromy. Myśli o jubileuszu Oslo. Od czego zacząć? Jeszcze tego nie wie. Musi mieć pomysły. Na tym polega jego praca. Jeśli nie będzie miał pomysłów, to nie będzie miał też pracy. A może by tak zwyczajnie zapomnieć o tych dziewięciuset latach

i czcić raczej przyszłość? Dlaczego przy każdej okazji musimy dźwigać ze sobą historię? Ewald uznaje to za wspaniały pomysł. Chociaż nigdy nie zostanie zrealizowany. Otwiera kluczem drzwi do przedpokoju najciszej, jak potrafi, wiesza płaszcz i szalik na haczykach, a kalosze ustawia na starych gazetach, którymi wyłożona jest półka na buty. Jesper śpi w holu. Ewald Kristoffersen przechodzi na palcach obok jego łóżka. Potem staje. Maj siedzi przy stole w jadalni i robi rachunki. Ma zeszyt, do którego coś wpisuje. Nie zauważa męża. A on w tej chwili już wie, od czego zacznie: od kobiet. To naprawdę niezły pomysł, myśli Ewald Kristoffersen. Zacznie od kobiet z Oslo.

Dnia 16.12.1948 r. Oddział Fagerborg otrzymał od Okręgu Oslo Czerwonego Krzyża 48 kanadyjskich konserw do rozdania. Po dołożeniu innych produktów spożywczych rozdałyśmy 12 paczek starszym osobom, które wcześniej wysłały do Czerwonego Krzyża wniosek o przydział paczek z Ameryki. Przewodnicząca, która była odpowiedzialna za dystrybucję paczek, powiedziała, że wzbudziły one wielką radość.

DZIEŃ PRZED WIGILIĄ

Pani Vik usuwa śnieg małą łopatką. Uporawszy się z tym, kładzie wieniec i stawia przy nagrobku grubą świecę. Potem zapala ją długimi zapałkami. Knot zajmuje się dopiero przy trzeciej próbie. Pani Vik kuchenną szklanką szybko nakrywa płomień, który przez moment migoce, ale w końcu się uspokaja i pali długą, prostą kolumną. Pani Vik się prostuje, owija łopatkę w gazetę i chowa ją do torby razem z zapałkami. W pewnym oddaleniu stoi mężczyzna i patrzy na nią. Pani Vik się nie myli. On patrzy właśnie na nią. Patrzył przez cały czas. Pani Vik zamierzała wrócić na stację Borgen, ale zmienia decyzję, rusza w stronę parku Frogner. Nie spieszy jej się. Jest wdową. Poza tym świeci słońce. Cienie nagrobków się rozciągają. Na chwilę musi spuścić wzrok, bo słońce ją oślepia. Mężczyzna idzie za nią. Pani Vik przyspiesza. On także. Pani Vik słyszy jego kroki coraz bliżej. Wkrótce ją dogoni. Pani Vik zatrzymuje się gwałtownie i odwraca.

– Czego pan chce?

Mężczyzna spuszcza wzrok, również oślepiony, a może tylko zakłopotany.

– Nie chciałem pani przestraszyć.

– I nie przestraszył pan.

Wtedy pani Vik go poznaje. To on jakiś czas temu stał bez płaszcza na schodach kaplicy. Teraz też jest ubrany za lekko.

– Wypatrywałem pani – oświadcza.

– Co takiego?

Mężczyzna wyciąga rękę.

– Olaf Hall. Widziałem panią przy grobie męża podczas pogrzebu Ragnhild, mojej żony. I nie mogę o pani zapomnieć. Musiałem panią

jeszcze raz zobaczyć. Byłem pewien, że przyjdzie tu pani dzisiaj.

– Naprawdę?

– Gdyby nie przyszła pani dzisiaj, przyszłaby pani jutro.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest pani wierną kobietą.

Pani Vik nie wierzy własnym uszom. Teraz z kolei ona czuje się zakłopotana. O co mu chodzi? Czy nie za wiele sobie pozwala? W każdym razie to nie wypada. Stanowczo nie wypada. Ziemia jeszcze nawet nie rozmarzła, a on już stoi tu, na cmentarzu, w gładkim garniturze i próbuje się do niej zalecać. Mimo to ujmuje jego wyciągniętą rękę, ale zaraz ją puszcza.

– Margrethe Vik.

– Wiedziałem, że jeszcze panią spotkam.

– I już mnie pan spotkał.

– Bardzo się z tego cieszę. Może...

Pani Vik mu przerywa.

– Dalej nie idziemy już w tę samą stronę, panie Hall. Przeciwnie, idziemy w różne strony.

Pani Vik przechodzi przez furtkę do parku i drepcze przez Psie Pole, nie mając odwagi się odwrócić. To jest najgorsze. Zaburzyło ją to. Skrzywdziło. Popsuło miłe chwile. Pani Vik czuje coraz większą złość. Dopiero gdy ma pewność, że mężczyzna nie może jej już widzieć, odwraca się. Widzi tylko wielką rzeźbioną kolumnę, Monolit. Jest coś dziwnego w Monolicie zimą. Pokrywa go szron. Monolit na mrozie znika. To samotność. Słońce i wiatr. Pani Vik pochyla głowę i przytrzymując kapelusz, idzie wzdłuż Middelthuns gate do Kirkeveien. Stąd już prosta droga do domu. Na Majorstua mężczyźni spieszą do sklepu Monopolu Spirytusowego, a kobiety kawałek dalej stoją w kolejce do rzeźnika Melsoma. Pani Vik ma już wszystko, czego potrzebuje. Potrzebuje tak mało. W każdym razie niedużo. Przed klatką od Gørbitz gate na swoje nieszczęście spotyka Maj Kristoffersen z Jesperem. Nie ma ochoty z nikim rozmawiać. Chce wejść do domu. Chce wejść do siebie, dojść do siebie i już tam zostać.

– Źle się czujesz? – pyta Maj Kristoffersen.

Pani Vik mimo wszystko musi się zatrzymać.

– Ależ nie, skąd. Co miałoby mi dolegać?

– Tak mi się wydawało…

Pani Vik wskazuje na siatkę Maj.

– Dziś też idziesz rozdawać paczki?

– Została nam jedna dodatkowa. Pani Lund zależało, żebym ją doręczyła.

– Ktoś się na pewno ucieszy.

– Tak, ludzie są bardzo wdzięczni, kiedy przychodzimy. Właściwie dlaczego nie chcesz się przyłączyć do naszego oddziału? Byłoby bardzo miło.

Pani Vik wyjmuje klucze.

– To dobre dla was, młodych. Ja już jestem za stara na takie rzeczy.

Maj Kristoffersen się śmieje.

– Za stara? Ty? Nie mów tak. Uważasz, że pani Vik jest za stara, Jesper?

Jesper unosi wzrok i długo się zastanawia.

– Nie wiem.

Pani Vik głaszcze go po głowie.

– Możesz mnie jutro odwiedzić, jeśli czas ci się będzie dłużył.

Jesper kiwa głową i idzie za matką na Majorstua. Tam wsiadają do tramwaju jadącego na Disen i przejeżdżają cztery przystanki. Wysiadają przy Uranienborgu. Maj Kristoffersen jeszcze raz zerka na karteczkę z adresem: Jørgen Moes gate 12. To zaledwie kawałek stąd. Ale zaspy powstałe w wyniku odśnieżania są wysokie, więc przejście na drugą stronę jezdni wymaga nadłożenia drogi. Zegar na kościele wskazuje, że jest dziesięć po drugiej. Zaczyna im się spieszyć. Wreszcie trafiają na właściwy róg ulicy. Klatka schodowa pachnie sosem i przypalonymi świątecznymi ciasteczkami. Na drugim piętrze na drzwiach jest wizytówka z nazwiskiem szczęśliwca. *Enzo Zanetti.* Dziwne nazwisko. Pani Lund mówiła, że to Włoch i że jest samotny. Maj Kristoffersen tłumaczy to teraz Jesperowi. Włochy to kraj, który leży

bardzo, bardzo daleko. Rosną tam pomarańcze i jest ciepło przez cały rok. Enzo Zanetti to włoskie nazwisko. Dlatego on też jest Włochem. Utrzymuje się z gry na fortepianie. Maj ma nadzieję, że Enzo Zanetti mówi trochę po norwesku. Zapomniała spytać o to panią Lund. Ale przecież ma mu tylko dostarczyć paczkę, nie konwersować. No a wszyscy wiedzą, czym jest Czerwony Krzyż, bez względu na to, skąd pochodzą. Poza tym czy historia Czerwonego Krzyża nie zaczęła się właśnie gdzieś we Włoszech? Maj pozwala Jesperowi zadzwonić do drzwi. Czekają. Czas płynie. Jesper jeszcze raz naciska dzwonek. Znów to samo, czyli nic. Nie ma go w domu? Ale pani Lund mówiła, że Enzo Zanetti nie może wychodzić. Właśnie dlatego ma dostać tę paczkę. Teraz kolej na Maj, żeby nacisnęła dzwonek. Na wszelki wypadek dzwoni dwa razy. Wkrótce słyszą zbliżające się powoli kroki.

– Na pewno się ucieszy – szepcze Maj Kristoffersen.

Ujmuje Jespera za rękę i cofają się odrobinę, żeby nie stać na wycieraczce. Drzwi się otwierają, nie na oścież, ale dostatecznie szeroko. Patrzy na nich ciemnowłosy, dość niski mężczyzna. Jest w samym szlafroku, lewą ręką opiera się na lasce. Prawą ma w gipsie. Jego twarz wcale nie wygląda lepiej. Pokrywają ją bruzdy, a oprócz tego ma sine, niemal całkiem zaklejone oko, opatrunek na nosie i ciemnozielone, spuchnięte czoło pod gęstymi, czarnymi włosami, które w kilku miejscach, zwłaszcza przy skroniach, zaczynają więdnąć na siwo. Maj Kristoffersen zbiera się na odwagę:

– Pan Enzo Zanetti?

Mężczyzna kiwa głową, ale robi to bardzo ostrożnie.

– Tak?

– Rozumie pan po norwesku?

Mężczyzna znów kiwa głową, coraz bardziej podejrzliwy.

– Tak.

– Przynieśliśmy panu paczkę z Czerwonego Krzyża.

– Skąd?

– Z Czerwonego Krzyża, Oddział Fagerborg.

– A dlaczego?

– Dlatego… Chyba dlatego, że pan jej potrzebuje.

Maj Kristoffersen puszcza Jespera, wyjmuje paczkę z siatki i podaje ją mężczyźnie. Enzo Zanetti otwiera drzwi na oścież, opiera się na lasce i długo wpatruje się w paczkę.

– A co w niej jest?

– Kanadyjskie konserwy, salami, cukier i para skarpet. Same zrobiłyśmy je na drutach.

Enzo Zanetti zaczyna się śmiać. Śmiech przechodzi w kaszel i Enzo musi zgiąć się wpół. Stoi pochylony w drzwiach i trzęsie mu się całe ciało. Maj Kristoffersen kompletnie nie wie, co robić. Ciemnowłosy mężczyzna w szlafroku wreszcie się uspokaja, powoli się prostuje – ma wilgotną twarz – i długo przygląda się Maj.

– Może pani zabrać tę przeklętą paczkę i dać ją sobie. *Pronto*!

Enzo Zanetti zatrzaskuje drzwi i kuśtyka do salonu, w którym większość miejsca zajmuje fortepian. Siada na taborecie, opróżnia kieliszek, ponownie go napełnia i gra Satiego jedną ręką, lewą stroną melancholii. Nagle ogarniają go wyrzuty sumienia. Niektórzy ludzie są tacy dobrzy, że budzą wyrzuty sumienia u innych. Enzo się poddaje i staje przy oknie. Na parapecie leży plik starych nut. Enzo wygląda na ulicę. Po prawej stronie jest remiza straży pożarnej na Briskeby, po lewej króluje kościół Uranienborg. Enzo Zanetti mieszka przy Jørgen Moes gate, wśród ludowej baśniowości[4] między kościołem a remizą. W końcu dostrzega ich w dole między zaspami, otwiera okno i woła:

– Jednak chcę tę waszą paczkę!

Zatrzaskuje okno, wychodzi do przedpokoju, uchyla drzwi i czeka. Marznie. Jeszcze się rozchoruje od stania w przeciągu. A przecież jest już dostatecznie chory. Rozchoruje się przez Czerwony Krzyż. Niech ten Czerwony Krzyż diabli porwą. Wreszcie z paczką przychodzi chłopiec.

– Dziękuję – mówi Enzo Zanetti.

Już ma zamknąć drzwi nogą. Ale chłopiec dalej stoi. Spojrzenie ma zdecydowane, chociaż niespokojne. Sprawia wrażenie udręczonego. Płonie od środka.

– Już słyszałem, jak pan gra – mówi.

– Naprawdę? A gdzie?

– U pani Vik.

– U pani Vik? Czy ja znam panią Vik?

– To nasza sąsiadka.

– Aha. I ja u niej grałem?

– U niej w radiu.

Enzo Zanetti się śmieje.

– To raczej nie byłem ja. Ja gram tylko w Bristolu.

Chłopiec omija go wzrokiem, patrzy w bok, zamyślony.

– To było to samo – mówi. – Ale…

Enzo Zanetti mocniej opiera się na lasce.

– Ale co?

Chłopiec trochę się cofa, jednocześnie zawstydzony i zaciekawiony.

– Pan grał mniej.

Enzo Zanetti reaguje zdziwieniem, ale w końcu zaczyna rozumieć. Unosi rękę w gipsie i lekko stuka nią o futrynę.

– To dlatego, że teraz gram tylko jedną ręką. Ale kiedy wyzdrowieję, będę grał tyle samo. Podziękuj swojej mamie.

Jesper kiwa głową i zbiega ze schodów. Maj czeka zniecierpliwiona pół piętra niżej. Bierze Jespera za rękę, prędko wychodzą i tą samą drogą wracają na przystanek.

– Co ci zajęło tyle czasu?

– Nic.

– Znów się rozzłościł?

– Nie. Był miły.

Udaje im się zdążyć na tramwaj, akurat nadjeżdża. Wciskają się na ławkę. Maj pokazuje bilety. Są w porządku. Mają możliwość przesiadki. Możliwość przesiadki to najwspanialsza rzecz, jaka może człowieka spotkać. Nagle Maj odwraca się do Jespera.

– Miły? Jak to miły?

Jesper wzrusza ramionami. Wolałby stać na którymś końcu. Mógłby wtedy udawać, że to on kieruje tramwajem, nawet gdyby stanął z tyłu;

prowadziłby tramwaj wzdłuż Riddervolds gate, okrążył róg przy Budynku Handlu, przejechałby Drammensveien i w dół Glitnebakken, od przystanku do przystanku, w sieci, w którą prędzej czy później daje się złapać każdy mieszkaniec tego miasta. Najprzyjemniej jest stać na samym końcu, wtedy widać wszystko, od czego się odjeżdża. Ale to nie Jesper kieruje tramwajem. Nie robi tego nawet konduktor. Tylko szyny. To ci, którzy kiedyś te szyny układali, chociaż może już nie żyją, lecz i tak ciągle kierują tramwajem.

Wysiadają przy Teatrze Narodowym i widzą, jak wśród rusztowań rosną wieże nowego ratusza, który ma być gotowy na jubileusz dziewięćsetlecia miasta. Potem idą przez Karl Johans gate, obok choinki na Universitetsplassen, gdzie siostry slumsów z Armii Zbawienia zbierają pieniądze i stare ubrania. Maj Kristoffersen pozdrawia je skinieniem głowy. Właściwie zajmują się tym samym. Pomaganiem. Pomagają tym, którzy są w trudnej sytuacji. Ale siostrom slumsów niewiele udaje się uzbierać. Dzisiaj wszyscy są w trudnej sytuacji. Marznie się, pomagając dzień przed Wigilią, ale pomaganie i tak grzeje. Jesper zatrzymuje się i zadziera głowę.

– My też będziemy mieć taką dużą choinkę?

– Raczej wątpię – odpowiada Maj Kristoffersen.

Zaczyna padać śnieg. Niedługo pozamykają sklepy. O tym, czego zapomniało się kupić, można w ogóle zapomnieć. Ale Maj Kristoffersen ma już wszystko w domu, z wyjątkiem Ewalda i choinki. Nagle Jesper podchodzi do wielkiej skarbonki, grzebie w kieszeniach i wrzuca monetę, jedną koronę. Przez moment stoi odwrócony tyłem, jakby trochę zagubiony, po czym naciąga czapkę na uszy, a siostry slumsów klepią go po ramieniu i uśmiechają się do Maj. Maj i Jesper idą w kierunku Grandu i skręcają w Rosenkrantz' gate. Pod numerem dwunastym, między Teatrem Nowym a Zrzeszeniem Młodzieży Wiejskiej, wchodzą na klatkę schodową i jadą windą na piąte piętro. Jesper lubi jeździć windą. Winda jest wolniejsza niż tramwaj, ale bardziej trzęsie. Maj natomiast się boi. Stoi w kącie z zamkniętymi oczami.

– To dlatego powiedziałeś, że był miły?

Jesper nie odpowiada.

– Dlatego, że dał ci koronę?

– Tak.

– Ty też jesteś miły. Ale nam nie wolno przyjmować pieniędzy. Czerwony Krzyż na to nie pozwala. Dlatego dobrze, że przekazałeś tę koronę dalej. Zdejmij czapkę.

Winda się zatrzymuje, Jesper odsuwa kratę na bok i Maj przeciska się na zewnątrz. Całe piętro zajmuje agencja Dek-Rek. Maj i Jesper idą najpierw do sekretarki, panny Bryn, która siedzi przy owalnym biurku z dwoma telefonami. Za nią jest mapa świata, namalowana bezpośrednio na ścianie. Norwegii prawie nie daje się rozpoznać. Sekretarka wskazuje im drogę do pracowni projektowej, gdzie stoi osiem pulpitów z ukośnie ustawionymi blatami i lampami, które można obracać na wszystkie strony. Lampy są pogaszone. To godzina rozstania. Projektanci odwieszają białe fartuchy, poluzowują krawaty, rozmawiają po cichu. Wśród nich jest Ewald Kristoffersen. Nie miał jeszcze czasu się przebrać. W kieszonce na piersi tkwią rządkiem ołówki i pióra. Wyglądają jak ustawione w szeregu. To Ewald mówi najwięcej. Ktoś nalewa do kieliszków, wznoszą toast. To Ewald wznosi go najgłośniej. Jesper patrzy na ojca i prawie go nie poznaje. To jakiś inny ojciec. Przebrany. Jesper nie wie, którego z nich woli. Matka puszcza jego rękę, a Ewald w tej samej chwili odwraca się i ją zauważa. Zapada cisza. Mężczyźni się witają, nieco zakłopotani, niemal zawstydzeni, już nie tacy rozluźnieni, tylko jeszcze bardziej cisi. Chwila straciła magię. Ktoś ich zobaczył. Ewald podchodzi do Maj i Jespera.

– Coś się stało?

– Musimy iść po tę choinkę, którą miałeś kupić trzy tygodnie temu – mówi Maj.

Ewald wpada w złość, ale próbuje zachować twarz.

– Myślałem, że nie chcesz choinki. Nie musiałabyś zamiatać aż do czerwca.

– Spytaj raczej Jespera, czy chce choinkę.

Ewald patrzy na syna.

– Będziemy mieć choinkę w tym roku, Jesper?

Chłopiec wzrusza ramionami.

– Wszystko mi jedno.

Maj wzdycha i chce coś powiedzieć, „no widzisz, widzisz, co narobiłeś”, ale pojawia się panna Bryn, daje Jesperowi pierniczek i patrzy na Ewalda.

– Pan Rudjord chce z tobą rozmawiać.

– Teraz?

– Natychmiast, Kristoffersen.

Ewald się garbi, a Jesper widzi jeszcze jednego ojca, stłamszonego. W tym wypadku przynajmniej ma pewność. Stłamszony ojciec mu się nie podoba. Ewald daje znak Maj i idzie za panną Bryn przez recepcję do najświętszego miejsca. Koledzy wkładają płaszcze i wychodzą. Szkoda, że nie może się do nich przyłączyć. Zdążyłby wypić z nimi piwo. O co może chodzić? Czego Rudjord może od niego chcieć dzień przed Wigilią? Jest ich za dużo? To Ewald Kristoffersen musi ustąpić? Ale czy nie nadeszły dobre czasy? Czy Dek-Rek nie jest odpowiedzialna za wystawy organizowane przez gminę w związku z dziewięćsetleciem Oslo? Ewald czuje ucisk wokół serca, na chwilę zatrzymuje mu się oddech. Ma czterdzieści jeden lat i nie może teraz umrzeć. Ma czterdzieści jeden lat i nie może wylecieć z pracy akurat teraz, kiedy Maj i Jesper na niego czekają. Już wolałby umrzeć. Poprawia biały fartuch, a panna Bryn otwiera drzwi do gabinetu Rudjorda. Ewald bierze głęboki wdech i wchodzi do środka. Drzwi się za nim zamykają. Rudjord stoi przy oknie, odwrócony tyłem, i pali francuskiego papierosa, który pachnie słodko. Lewa ręka zwisa bezwładnie, to pamiątka z czasu wojny. Był w biurze podczas wybuchu na Filipstad. Rudjord do garnituru zawsze nosi kamizelkę i zegarek z dewizką. Pragnie uchodzić za takiego jak firma, którą założył w 1930 roku – nowoczesnego, a zarazem mającego świadomość tradycji. Wreszcie się odwraca i strzepuje popiół do malutkiej srebrnej popielniczki.

– Jeszcze się nie pozbyłeś roboczego mundurka?

Ewald omija go wzrokiem i patrzy w dal. Stąd widać hotel Bristol na sąsiednim rogu. Ach, móc się tam znaleźć! Ewald pragnie jedynie beztroski. Brak trosk jest równoznaczny ze szczęściem. Czy żąda za dużo?

– Pracuje się do ostatniej chwili – odpowiada Ewald.

– Zrób sobie trochę wolnego.

Co to ma znaczyć? Wolnego? Co Rudjord ma na myśli? Czy to ostrzeżenie? Oznacza, że Ewald ma wziąć wolne i więcej tu nie wracać? Śmieje się.

– Chyba nie mam wyboru.

Rudjord odkłada papierosa na popielniczkę.

– To żona na ciebie czeka, prawda? Maj?

– Tak, Maj.

– I Jonas?

– Jesper.

– Jesper. Przepraszam. Tyle dzieci pojawiło się ostatnio, że trudno spamiętać imiona.

– Rzeczywiście, aż się od nich roi.

– Ile lat ma Jesper?

– W październiku skończył siedem.

– To pewnie chodzi… Zaraz… Do szkoły na Majorstua?

– Pójdzie dopiero w przyszłym roku.

Ewald spuszcza wzrok i porządkuje ołówki w kieszonce na piersiach. Rudjord obchodzi biurko.

– Co to ja miałem powiedzieć? Podoba mi się twój pomysł.

Ewald podnosi głowę.

– Słucham?

Rudjord się śmieje, wypstrykuje jeszcze jednego papierosa z niebieskiej paczki i przypala. Wszystko musi robić jedną ręką.

– Nie pamiętasz własnych pomysłów, Kristoffersen? Kobiety! To mi się podoba.

– Naprawdę się panu podoba?

– O Boże, Ewald, mów mi na ty. Tak, podoba mi się. Zacząć od kobiet. To coś innego. Wyjątkowego. A Dek-Rek ma być w y j ą t k o w a. Ale nigdy nie k o n t r o w e r s y j n a.

Rudjord podsuwa papierosy Ewaldowi, ale ten jest zbyt oszołomiony, żeby palić.

– Wpadłem na ten pomysł, kiedy zobaczyłem swoją żonę – mówi.

Rudjord chowa papierosy do kieszeni i znów się śmieje.

– No tak, wyobrażam sobie.

– Któregoś wieczoru wróciłem do domu i zobaczyłem żonę siedzącą w salonie nad rachunkami Czerwonego Krzyża. Jest skarbnikiem Oddziału Fagerborg i…

– To znakomity punkt wyjścia, Kristoffersen. Kobiety wolontariuszki.

– Właśnie tak sobie pomyślałem. Wyśmienity.

– Tylko to ci chciałem powiedzieć. No i życzę tobie i twojej pięknej żonie wesołych świąt. I Jesperowi oczywiście.

Rudjord poklepuje Ewalda Kristoffersena po ramieniu. To błogosławieństwo. Ewald wychodzi i niesie to błogosławieństwo dalej. Będzie błogosławił wszystkich. Całuje zaskoczoną pannę Bryn w policzek, ściąga biały fartuch i niemal biegnie do pracowni projektowej, gdzie Maj i Jesper czekają, nie ruszywszy się z miejsca. A Jesper widzi jeszcze jednego ojca – to już trzeci, a może i czwarty w krótkim czasie. Właśnie ten ojciec podoba mu się najbardziej, czuje, że tak samo jak matce: ten ojciec, który do nich wraca, jest dumny.

– Pójdziemy teraz prosto na Universitetsplassen i kupimy tę wielką choinkę – oświadcza Ewald Kristoffersen.

Skręcają jednak w Ullevålsveien, a Ewald myśli, że również tu jest pod górkę. Ale w taki dzień jak dzisiaj żadne górki nie są zbyt strome. Idzie mu się lekko. Myśli mu się lekko.

– Co się z tobą dzieje? – dziwi się Maj.

– Rudjordowi spodobał się mój pomysł. I wiesz co?

– Nie wiem. Co?

Ewald Kristoffersen zatrzymuje się, łapie Maj za obie ręce i ją całuje. Robi to na środku ulicy, w przeddzień Wigilii, niedaleko Cmentarza Zbawiciela, gdzie w gaju zasłużonych spoczywają między innymi Wergeland, Welhaven, Ibsen, Bjørnson, Collett i Nordraak, wszyscy ci,

którzy dali nazwy miejskim ulicom. Jesper ma szeroko otwarte, wesołe oczy.

– To ty mnie zainspirowałaś do tego pomysłu.

– Jakiego pomysłu?

– Kobiety! Za każdym miastem stoi kobieta!

– Daj spokój, Ewald!

Kiedy dochodzą na miejsce, okazuje się, że u Hulajduszy, jak mówi się o starym człowieku, który każdego roku wycina kawałek swojego lasu, wiezie go na pętlę tramwajową na Adamstuen i tam sprzedaje, zostały już tylko dwa drzewka. Jedno rzadsze od drugiego. Ewald Kristoffersen wyciąga portfel i wskazuje na pierwsze. Maj uważa, że powinni wziąć to drugie.

– Z tego przynajmniej już opadły igły – stwierdza.

Potem Ewald z Jesperem niosą drzewko na Fagerborg, pogwizdując *Cichą noc.* Maj idzie za nimi. To nędzny świerk. Taki, którego nikt już nie chciał. Ale to nie szkodzi. Dzisiaj w ogóle nic nie szkodzi. Ewald i Jesper gwiżdżą nie całkiem w takt, brzmi to jak dwie różne melodie, no, ale jednak. Niosą drzewko razem, chociaż dźwiga głównie Ewald. Kiedy dochodzą do swojej klatki, Maj dostrzega panią Vik, która stoi u siebie w oknie i czegoś wypatruje albo może się rozmarzyła. Naprawdę ciągle jest w płaszczu? Maj do niej macha. Pani Vik też unosi rękę i kręcąc głową, myśli: ależ choinka! Zresztą to nie ma żadnego znaczenia. Jeśli tylko ładnie się ją ubierze, nikt nie zwróci na to uwagi. Pani Vik skończyła z kupowaniem choinek po śmierci męża. Wiesza tylko wianek na drzwiach, dla pozoru. Musi dbać o własny grób. Śmieje się. Ale w jej śmiechu nie ma wesołości. Słyszy rodzinę Kristoffersenów na schodach, lepiej by było, gdyby korzystali z kuchennego wejścia, na klatce nie zostałoby tyle igieł. Zresztą to też nic nie szkodzi. Drzewko jest takie rzadkie, że da się przez nie zobaczyć świat. Ewald przestaje gwizdać, pani Vik słyszy teraz jego ciężki oddech, za to Jesper gwiżdże coś, co przypomina melodię z radia, *Gymnopédie No. 1.* To przedziwne, wręcz niepokojące połączenie – dziecko gwiżdżące Satiego. Pani Vik siada w uszaku, nie zdejmując płaszcza. Zimno jej. Zapada cisza. Nie ma siły jeść. Nie jest też już zła. Jest po prostu smutna i wystraszona.

Wszystko z niej powoli opada, pozostaje jedynie tęsknota. Pani Vik kładzie się wcześnie i nie może zasnąć. Już się nie boi, ale smutek przechodzi w coś innego, co z trudem rozpoznaje. To było tak dawno temu. Już o tym zapomniała. Jest wytrącona z równowagi. Właśnie tak przedstawia się sprawa z panią Vik w noc przed Wigilią 1948 roku. Pani Vik wstaje, narzuca szal na ramiona, przynosi książkę telefoniczną i odszukuje w niej Ragnhild Hall, aktorkę, Nordraaks gate 11. Uderza ją myśl: zmarli ciągle tu są. Czy Halfdan też? Musi to sprawdzić. Jest. Oczywiście, że jest. To przecież stara książka telefoniczna. Jeszcze sprzed wojny. Zapóźniona. Ale j e j tu nie ma. Panią Vik przenika dreszcz. Na koniec odnajduje Olafa Halla pod hasłem *Antykwariat Halla*, adres to również Nordraaks gate 11.

Ale kiedy z powrotem się kładzie, nadal nie może zasnąć, wstaje więc i idzie do kuchni. Podgrzewa trochę mleka i przelewa je do kubka. Ciągle jest ciemno. Jeszcze nie rano. To będzie najdłuższy wieczór wigilijny od wielu lat. W innych oknach zasłony są zaciągnięte. Jaśnieje tylko śnieg. Pani Vik przynosi ze spiżarni plik gazet „Aftenposten", przegląda nekrologi i wreszcie zaczyna czytać: *Ragnhild Hall, wówczas nosząca nazwisko Stranger, debiutowała w roli Solwejgi w* Peerze Gyncie *w Teatrze Narodowym jesienią 1923 roku, i już wtedy zgotowano jej owację. Od tamtej pory jej wszechstronna kariera toczyła się na rozmaitych scenach, zarówno w kraju, jak i za granicą. Wcześnie owdowiała, kiedy jej pierwszy mąż, dyrektor Oskar Stranger, zginął tragicznie w wyniku utonięcia, a ona została sama z synem Bjørnem. W roku 1936 ponownie wyszła za mąż, tym razem za Olafa Halla. W ostatnich latach najczęściej można było ją zobaczyć na scenach teatrów rewiowych Chat Noir i Edderkoppen. Rozsiewała wokół siebie radość. Zarówno publiczność, jak i koledzy po fachu wysoko ją cenili. Będzie nam jej brakowało. J.H. Wiers Jenssen i Leif Juster.*

Rozlega się dzwonek do kuchennych drzwi. Nie ma jeszcze siódmej. Coś musiało się stać. Pani Vik otwiera. Nic się nie stało. Na zimnej, wąskiej klatce schodowej stoi Jesper, ciągle w piżamie.

– Czas się dłuży – mówi.

1949

Pierwsze zebranie zarządu w nowym roku odbyło się 10 stycznia u pani Ingrid Arnesen. Obecne: przewodnicząca, pani Lutken, pani Nordklev, pani Lund i pani Kristoffersen.

Firma Christiana Plesnera określiła cenę sprzętu medycznego do wypożyczalni na ok. 430,– koron. Sprzęt zostanie zakupiony niezwłocznie i będzie przechowywany u przewodniczącej. Brakuje nam podkładów nieprzemakalnych, ale Czerwony Krzyż obiecał nam materiał na 8 sztuk.

Następnie zaproponowano, aby zebranie członków oddziału odbyło się 21 lutego w domu parafialnym.

Wniosek o lokal na żłobek/dom opieki całodziennej zostanie przesłany radnemu do spraw mieszkaniowych w Oslo.

WYMIANA

W domu towarowym Steen & Strøm zdjęto już świąteczne ozdoby, a półki, przedtem prawie puste, teraz są puste zupełnie. Z perfumerii nie dochodzą niezwykłe zapachy, tylko przeciąg, i nawet ekspedientki się nie umalowały. Patrzą spode łba na skąpych, niezadowolonych klientów, którzy wracają z niechcianymi prezentami. Co więcej, blask straciły ruchome schody. Nie są już samolotem, a jedynie stromym, niespokojnym chodnikiem. W dodatku Maj Kristoffersen ma do załatwienia przykrą sprawę. Jesper stoi przed nią. Idą do działu sportowego. Ten sam ekspedient, co poprzednio, chowa do kieszeni gazetę „Sportsmanden". Maj Kristoffersen zatrzymuje się, kładzie stuptuty na ladzie i spuszcza wzrok.

– Chciałabym je wymienić – mówi.

Ekspedient chwyta ochraniacz dwoma palcami.

– Nie używała ich pani?

– Nie, nie, ależ skąd. To znaczy, mój mąż ich nie używał.

– Pani mąż. Czy te stuptuty nie pasowały?

– Pasowały, ale on chciał inny prezent.

– Na przykład co?

– Nie mogłabym otrzymać pieniędzy z powrotem, żebyśmy mogli się trochę namyślić?

Maj Kristoffersen ostrożnie podnosi głowę. Ekspedient nie wydaje się zbyt przychylnie nastawiony.

– Ostatecznie mogę dać pani talon na wymianę.

– Nie pieniądze?

– To nie jest sklep z używanymi rzeczami, proszę pani. To Steen i Strøm.

– Tylko pytam.

– A co pani myśli o smarach do nart? Mamy zestaw trzech różnych, na każde warunki.

– Nie sądzę.

– Może wiązania?

– Mój mąż w zasadzie niezbyt lubi biegać na nartach.

– Wszyscy się czasem mylimy, proszę pani.

– Wobec tego wezmę chyba ten talon na wymianę.

– Jak pani sobie życzy.

Ekspedient wzdycha, wyciąga formularz i zaczyna go wypełniać.

– Mogę go wykorzystać również w innych działach? – pyta Maj Kristoffersen.

– Zaraz wytłumaczę pani warunki. Talon może pani wykorzystać w całym sklepie, ale tylko na towary, które nie są przecenione.

– To znaczy, że prawie nie ma w czym wybierać.

– Owszem. A talon należy wykorzystać w ciągu tygodnia od dnia dzisiejszego. Pani godność?

– Maj Kristoffersen. To niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe? Nie może pani liczyć na to, że kupi pani coś w pełnej cenie, a później wymieni to na coś innego, przecenionego, i dzięki temu dostanie pani dwa razy więcej.

– Dlaczego?

– W zasadzie też się nad tym zastanawiałem. – Ekspedient rzuca formularz za ramię, patrzy na Maj Kristoffersen i mówi ściszonym głosem: – Cholera, oddam pani pieniądze, bo remanent będzie dopiero jutro!

Jesper nagle robi się niespokojny. Maj się odwraca i widzi trzyosobową grupę schodzącą z ruchomych schodów. Ekspedient również ją dostrzega i przeczuwa nieprzyjemności. Czym prędzej kładzie formularz z powrotem na ladzie i poświęca dużo czasu na wypełnienie go. Nadchodząca grupa składa się z dwóch mężczyzn, młodego i nieco starszego, obu w ciemnych garniturach, oraz z ekspedientki z działu perfumeryjnego. To ona zatrzymuje się

i wskazuje palcem Jespera i Maj. Mężczyźni podchodzą bliżej, poważni i zdecydowani. Jeden staje za Jesperem, drugi łapie za ramię Maj.

– Prosimy, żeby poszła pani z nami.

– Słucham?

– Proszę nie robić scen. Po prostu z nami pójść.

Wszyscy czworo przechodzą do biura obok przymierzalni. Maj i Jesper siadają na krzesłach. Mężczyźni stoją przed nimi. Starszy patrzy na Maj z góry.

– To pani syn?

– Tak, oczywiście. To mój syn.

– Jak mu na imię?

– Jesper. O co panom chodzi?

– Mamy uzasadnione powody, aby przypuszczać, że Jesper tuż przed świętami ukradł na parterze perfumy.

Maj Kristoffersen natychmiast się podrywa.

– Ależ to wykluczone! Dałam mu dokładnie czterdzieści dwie korony! Tyle, ile kosztują Cztery Tysiące Siedemset Jedenaście! A wasza ekspedientka nawet ich ładnie nie zapakowała! – Maj unosi rękę do ust i powoli osuwa się na krzesło, po czym odwraca się do Jespera, który siedzi nieruchomo z rękami w kieszeniach. – Zapłaciłeś za te perfumy, które dla mnie kupiłeś, Jesper?

Jesper nie odpowiada. Maj nachyla się nad nim.

– Jesper, zapłaciłeś?

Maj dłużej tego nie wytrzymuje. Coś się w niej przelewa. Zaczyna potrząsać Jesperem, którego głowa przechyla się z boku na bok. Maj się nie poddaje. Wreszcie młodszy mężczyzna musi ją powstrzymać. Ten drugi pyta:

– Jest pani pewna, że nie poprosiła synka, aby to zrobił?

Maj zapiera dech w piersiach.

– Żeby co zrobił?

– Ukradł ten flakon, proszę pani.

– Jak… Jak w ogóle możecie pomyśleć coś takiego?

– Spędziła tu pani bardzo dużo czasu.

Maj ze szlochem wypuszcza powietrze i zakrywa twarz dłońmi. Jesper huśta się na krześle. Starszy mężczyzna podaje Maj chusteczkę. Maj wyciera nos. Jesper nagle leci do przodu i ląduje na podłodze. Leży na brzuchu i nie wstaje. Maj wypuszcza chusteczkę z rąk, kuca i próbuje obrócić Jespera.

– Uderzyłeś się? Uderzyłeś się, Jesper?

Chłopiec nie chce się odwrócić. Staje się nienaturalnie ciężki. Maj przykłada policzek do jego policzka. Jesper się uśmiecha. Uśmiecha się? Uśmiecha. Maj wreszcie stawia go na nogi. Jesper daje radę stać. Mężczyźni najwyraźniej mają dosyć tej histerii. Młodszy otwiera drzwi. Starszy, nie podnosząc chusteczki, nachyla się do Maj.

– Niech pani już nigdy więcej nie pokazuje się w Steena i Strøma!

Maj Kristoffersen łapie Jespera za rękę i ciągnie go za sobą. Przy ladzie wciąż stoi ekspedientka z ekspedientem, nie spuszczają z nich oka. Mogą sobie wziąć te stuptuty. Mogą zachować talon na wymianę. Maj kieruje się w stronę ruchomych schodów. Jadą tak wolno. Ktoś zmniejszył prędkość tylko po to, żeby ją dręczyć. Chce jak najprędzej stąd wyjść. Pada śnieg. Jest szary. Ulice są ciasne. Wszędzie trzeba iść okrężną drogą. Maj milczy, dopóki nie znajdą się w przedpokoju własnego mieszkania. Chwyta wtedy Jespera z całych sił i pyta:

– Zrobiłeś to specjalnie?

Syn na nią nie patrzy.

Musi go ścisnąć jeszcze mocniej.

– Odpowiadaj! Upadłeś specjalnie?

Jesper ledwie zauważalnie kręci głową i Maj go puszcza. Nie wie już, co o tym wszystkim myśleć.

– Gdzie są pieniądze?

– W kieszeni.

– W jakiej kieszeni?

Jesper spuszcza wzrok. Maj grzebie w kieszeniach jego wiatrówki. W pierwszej znajduje kamień, klamerkę do bielizny i gumkę. W drugiej są pieniądze, trzy banknoty i kilka monet. Przelicza je. Jest dokładnie

czterdzieści jeden koron. Czyli jednej brakuje. Maj rozumie ten rachunek. Potrafi dodać dwa do dwóch. Brakującą koronę Jesper dał siostrom slumsów, a powiedział, że dostał ją od tego włoskiego pianisty. Maj znów jest bliska płaczu. Ma przebiegłego syna. Cały czas miał te pieniądze w kieszeni. Jak on śmiał!? Maj przekłada je do swojej torebki i idzie do sypialni. Jesper rusza za nią zaciekawiony. Maj bierze flakon z perfumami, wychodzi do łazienki i opróżnia go do sedesu. Odwraca się do Jespera i w tym momencie przychodzi jej do głowy myśl: teraz mam na niego haczyk.

– Nie powiemy o tym tatusiowi – mówi Maj Kristoffersen.

Dnia 11 stycznia w biurze okręgu odbyło się spotkanie przygotowawcze dotyczące pomocy pielęgniarskiej. Obecne były: pani Esther Andersen (nowa przewodnicząca Komitetu Wykonawczego), pani Alfa Heide, pani Schlytter, pan Holm i pani Berit Nordklev. Pani Schlytter omówiła służbę w Domu Opieki w Bærum, która trwa już od trzech miesięcy. Po wywiadzie udzielonym przez panią Schlytter prasie codziennej do biura Czerwonego Krzyża zgłosiło się już ok. 40 wolontariuszek. Osoby te zostaną zarejestrowane i wkrótce przejdą krótki kurs (6 godzin), zanim podejmą pracę w szpitalu.

Postanowiono, że Oddział Fagerborg spróbuje mimo wszystko rozpocząć służbę bez „kwalifikacji". Dzień wcześniej wpłynęła do nas z Kliniki przy Wergelandsveien prośba o oddanie do dyspozycji wolontariuszek. Mocno podkreślono, że osoby te przed podjęciem pracy będą musiały podpisać prawnie obowiązujące oświadczenie o dochowaniu tajemnicy oraz przejść odpowiedni kurs.

Wieczorem tego samego dnia odbyło się spotkanie u pani Berit Nordklev. W tak krótkim czasie nie udało się powiadomić o nim wszystkich chętnych. Siostra przełożona z kliniki, siostra Sofie, była obecna na spotkaniu i udzieliła instrukcji. Przygotowano rozkład zajęć, zapisano też wszystkie dane personalne obecnych i inne niezbędne informacje. Podpisane zostały również oświadczenia o dochowaniu tajemnicy. Okazało się, że tych 10 osób, które udało nam się zmobilizować, nie wystarczy. Ich liczba winna być minimum dwukrotnie większa, ponieważ klinika bardzo potrzebuje pomocy. Już następnego dnia dwie pierwsze wolontariuszki rozpoczęły wieczorny dyżur. Dyżury rozdzielone są w sposób następujący: jeden zespół na pierwszym piętrze, drugi na drugim. Czas

dyżuru jest dostosowany do możliwości poszczególnych osób. Są to głównie mężatki, również pracujące zawodowo. Pierwsze zaczynają o godz. 8 lub nieco wcześniej, kolejne o godz. 9. Pełnią dyżur do zakończenia czynności związanych z obiadem, a niektóre zostają nawet do godz. 16. Zmiana popołudniowa także zaczyna się w różnych godzinach – od godz. 16, 17 lub godz. 18 i trwa do końca dnia, czyli do godz. 22–23. Wiele pań bierze dyżury dwa razy w tygodniu, przewodnicząca bierze trzy, a czasami cztery. Niedzielny dyżur nazywany jest dobrowolnym, ale w dotychczasowe niedziele wolontariuszki zgłaszały się do pracy.

Na obu piętrach powieszono rozkład zajęć, panie pilnują swoich godzin i pełnią dyżury stale na tym samym oddziale, tak aby szpital mógł uwzględnić ich obecność w planowaniu pracy i czasu wolnego pielęgniarek. W razie choroby uprzedzają o swojej nieobecności, aby można było wykorzystać rezerwy bez przerywania służby. Mamy nadzieję, że pomoże to szpitalowi w znaczący sposób. Panie są w każdym razie pełne zapału i lubią swoją pracę.

WYPRZEDAŻ

Pani Vik idzie na Majorstua. Pierwotnie zamierzała jechać tramwajem, ale dalej wędruje przez Kirkeveien. Dzięki temu ma więcej czasu na zmianę zdania. Niesie siatkę. W siatce leży *Podręcznik medycyny sądowej* Francisa Harbitza. Pani Vik nie chce, żeby Jesper znów go przeglądał. Może to te okrutne zdjęcia wprawiają go w niepokój. Przy Frogner plass pani Vik skręca w lewo. Tu nie jest tak zimno, jak na Fagerborgu, gdzie wiatry z lasów Nordmarka robią, co mogą, aby obrzydzić człowiekowi życie. Pani Vik przystaje. Ciągle jeszcze może zawrócić i powędrować do domu. Nie zawraca i nie wędruje do domu. Idzie dalej. Patrzy na nazwy ulic. Jest: Nordraaks gate. Na środku łagodnie opadającego zbocza odnajduje numer jedenaście. To dość stara, murowana willa. Na zewnątrz szyld: *Antykwariat Halla*. Musi przejść przez ogród, aby dotrzeć do wejścia znajdującego się tuż przy głównych drzwiach. Puka. Nikt nie odpowiada. Pani Vik wchodzi. Przecież to sklep. Uderza ją zapach książek, skóry i papieru. Kojarzy się z przyrodą, z lasem. W środku od podłogi po sufit stoją i leżą książki. Powieści, leksykony, dzieła zebrane, Biblie, atlasy, tomiki poezji, dramaty, encyklopedie i książki telefoniczne. Tyle zauważa, kiedy się rozgląda. Wreszcie między półkami ukazuje się Olaf Hall. Dzisiaj ma na nosie okulary i czyta *The Complete Angler or The Contemplative Man's Recreation* Izaaka Waltona. Odkłada książkę na biurko, podnosi wzrok i teraz to on zauważa panią Vik.

– Chętnie bym się tego pozbyła – oznajmia pani Vik. Podaje mu *Podręcznik medycyny sądowej*. Olaf Hall bierze książkę do ręki, ostrożnie przerzuca kartki, w końcu podnosi wzrok.

– To klasyka.

– Robię porządki. W rzeczach mojego męża.

– Sądziłem, że pani mąż był weterynarzem?

Olaf Hall nagle sprawia wrażenie zawstydzonego i przeciera usta grzbietem dłoni. Pani Vik się uśmiecha.

– Zawsze interesowało go to, co martwe.

– Mogę pani za to dać pięćdziesiąt koron.

– Pięćdziesiąt? To dużo.

– Biorę pod uwagę wartość emocjonalną.

– Ta książka nie ma już żadnej wartości emocjonalnej.

– I tak chciałbym zaoferować pani dobrą cenę.

– Uważam, że powinien pan zaoferować cenę uczciwą.

Olaf Hall podchodzi o krok bliżej.

– W takim razie nie mogę zaoferować pani nic.

– Uff, teraz to pan przesadził z tą uczciwością.

– To wydanie szóste. A studenci medycyny korzystają wyłącznie z najnowszych wydań. Poza tym są notatki na marginesie.

Olaf Hall chce oddać książkę.

– Najwyraźniej się jej nie pozbędę – mówi pani Vik.

– Może zostać tutaj.

– To miło z pana strony.

– A jeśli ma pani więcej książek, to oczywiście jestem zainteresowany.

Przez chwilę stoją w milczeniu, niepewni. Prawdopodobnie z czasem człowiek przyzwyczaja się do takiego zapachu i przestaje zwracać na niego uwagę. W słabym świetle widać, jak w powietrzu unosi się kurz. Pani Vik zerka na zegarek.

– No, muszę już…

Olaf Hall jej przerywa.

– Może pani pójść ze mną na górę i napić się herbaty. Albo czegoś innego. Jeśli ma pani ochotę.

– Nie sądzę.

– Mieszkam tam. To praktyczne rozwiązanie.

– Razem z synem?

Teraz to pani Vik czuje się zawstydzona. Olaf Hall się uśmiecha.

– Widzę, że pani też poczyniła pewne przygotowania – mówi.

– Widziałam nekrolog.

– To mój pasierb. Syn Ragnhild z pierwszego małżeństwa.

– My nie mieliśmy dzieci.

– My też nie.

Oboje spuszczają wzrok, tym razem tak samo zakłopotani. Szukają słów. Jedno musi coś powiedzieć. Pada na panią Vik.

– Może innym razem.

Olaf Hall patrzy jej w oczy.

– Innym razem?

– Ta herbata.

Pani Vik zwija siatkę i rusza do drzwi. Olaf Hall ją wyprzedza i otwiera je przed nią. Wiatr wwiewa śnieg za próg.

– Może pani uważa, że lepiej spotkać się gdzieś w połowie drogi?

– To już zależy od pana.

– Do kawiarni Teatralnej wolałbym nie chodzić, ale co pani powie na Bristol? Podobno bardzo tam przyjemnie.

– Trudno powiedzieć, żeby to było w połowie drogi.

– Uznaję to za zgodę.

Olaf Hall zamyka za panią Vik drzwi na klucz i tylnymi schodami spieszy na parter willi. Staje przy oknie w kuchni. Stąd widzi ją idącą między zaspami, lekko przygarbioną, może boi się, że się poślizgnie. Odwróci się? Dlaczego miałaby się odwracać? Przecież nie wie, że on ją obserwuje. Przerywa mu Bjørn, który wchodzi, wnosząc na podeszwach topniejący śnieg.

– Kto to był?

– Kto?

– Ta kobieta, która przed chwilą wyszła.

– Ta? Klientka, oczywiście.

– Oczywiście. Dobrze ci idzie w tym twoim sklepie?

– Stałeś tam i patrzyłeś?

– Właśnie wróciłem do domu.

– Zostajesz?

– Być może. Jakiś czas.

Bjørn zdejmuje płaszcz i rusza do swojego pokoju. Olaf chce coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Zamiast tego sięga po ścierkę, szybko wyciera podłogę i pospiesznie wychodzi na taras, gdzie wykręca każdą najmniejszą kroplę brudnej wody. Dostrzega jeszcze panią Vik na skrzyżowaniu przy Sigyns gate. Wydaje jej się, że chłopak, czy też raczej młody mężczyzna, z którym minęła się przy furtce, ciągle ją obserwuje. Nie sprawiał wrażenia życzliwie nastawionego. A może po prostu jest nieśmiały? Czy Olaf Hall coś mu powiedział? Ale co? Co by to miało być? Przecież nic się nie wydarzyło. Pani Vik kieruje się ku Munthes gate. Ma ochotę iść małymi uliczkami. Nie chce być widziana. Czy można to po niej poznać? Jest niewierna. Zdradza zmarłego męża. To wstyd. To boli. Idzie najmniejszymi uliczkami. A mimo to czuje słodycz. Wstyd i słodycz. Pani Vik już myśli o tym, w co się ubierze. Może w domu towarowym Steen & Strøm ciągle trwa wyprzedaż?

Posiedzenie zarządu odbyło się u przewodniczącej, pani Lessund. Obecne: przewodnicząca, pani Nordklev, pani Kristoffersen, pani Lund i panna Løvslett.

Pani Lessund otrzymała zadanie sprawdzenia, czy dom parafialny przy kościele Fagerborg albo dom sióstr przy Gabels gate będą wolne 14 marca. Jeśli okaże się, że tak, postanowiono, że tego dnia odbędzie się walne zgromadzenie członków połączone z nowymi wyborami.

Pani Lund podjęła się przeprowadzenia rozmowy z kimś z grona znanych artystów, kto będzie mógł zapewnić oprawę artystyczną podczas zgromadzenia. Zaproponowano, aby byli to Robert Levin i Randi Heide Steen.

Pani Nordklev przygotowała pismo, które jej zdaniem można powielić i rozesłać do członków dożywotnich. Nie znała ich dokładnej liczby, ale pani Lessund podjęła się sprawdzenia tego i wypisania adresów.

Zastanawiano się również, jak zwiększyć skuteczność zbierania składek członkowskich, zarówno tych za rok 1948, które nie zostały uiszczone, jak i za rok 1949. W celu zdobycia dalszych funduszy zaproponowano loterię, w której nagrodą będzie lalka.

Pani Lessund zatelefonuje do Plesnera i spyta, co ze sprzętem medycznym do wypożyczalni, który został zamówiony, a którego oddział jeszcze nie otrzymał.

Poza porządkiem obrad skarbnik spytała, czy jej mąż, Ewald Kristoffersen, zatrudniony w firmie Dek-Rek, zajmującej się reklamą i aranżacją wnętrz, mógłby uczestniczyć w jednym z zebrań jako obserwator, co będzie miało związek z przypadającym w przyszłym roku jubileuszem 900-lecia Oslo. Nikt się temu nie sprzeciwił, ale przewodnicząca zauważyła, że być może najlepiej by było, gdyby przybył na jedno z zebrań samego Komitetu Wykonawczego, na których omawia się poważniejsze sprawy.

PUDEŁKO RODZYNEK

Cztery kobiety żegnają się na Lyder Sagens gate, a pani Lessund macha do nich z okna swojego salonu pod numerem 24. Pani Nordklev i panna Løvslett ostrożnie odchodzą w stronę Suhms gate. Pani Lund i Maj Kristoffersen idą razem, kierując się ku Kirkeveien. Niebo nad dachami domów na osiedlu Jessenløkken jest czyste i niewidzialne. Śnieg lśni w blasku księżyca. Jest ślisko, niektóre miejsca pokrywa lód. Pani Lund, która jest o dziesięć lat starsza od Maj, bierze ją pod rękę.

– Jeśli któraś z nas się przewróci, to upadniemy obie – mówi.

Idą wolniej. Maj to odpowiada. Coś jej leży na sercu. Już ma to wypowiedzieć, ale pani Lund ją uprzedza:

– Wydaje mi się, że pani Lessund ma rację.

– W czym?

– W tym, że pani mąż powinien przyjść raczej na zebranie Komitetu Wykonawczego.

– Może i tak.

– Widzi pani, my też musimy mieć coś tylko dla siebie. Tak jak mają mężczyźni. Czasami lepiej nie mieszać jednego z drugim.

– Przekażę mu to.

– Ale to wspaniały pomysł, prawda? Kobiety, które tworzą miasto. Musi być pani bardzo dumna z męża.

– Tak, Ewald dostał wiele pochwał.

– A pani? Dobrze się pani czuje w naszym oddziale?

– Tak, jestem bardzo zadowolona – odpowiada Maj.

Pani Lund się śmieje i przyciska się do niej odrobinę mocniej.

– Nie musi pani być aż tak p o p r a w n a. Jeśli chce się pani na coś poskarżyć, to proszę mówić.

– Wydaje mi się, że członkowie źle się zachowują, nie płacąc składek w terminie.

– Owszem, to wstyd.

– Mamy niedobory. A to się odbija na naszej pracy.

– Musimy się uzbroić w cierpliwość. Ludziom ciągle brakuje pieniędzy.

– Ale stać ich na chodzenie na wyścigi łyżwiarskie i do restauracji.

Pani Lund śmieje się z młodej skarbniczki.

– Nie bądź taka surowa, Maj. Ludzie muszą się czasem zabawić.

W milczeniu pokonują ostatni odcinek i zatrzymują się poniżej szkoły na Fagerborgu. W jednej z klas, pogrążonych w ciemności, ciągle wisi gwiazda. Maj Kristoffersen musi to wreszcie powiedzieć, inaczej będzie za późno.

– Czy pani mąż...

– T w ó j, Maj. Mój Boże, czuję się taka stara, gdy tak się do mnie zwracasz.

Maj zbiera się w sobie jeszcze raz.

– Czy twój mąż mógłby któregoś dnia obejrzeć Jespera, naszego syna?

– Zapewne tak. A coś się dzieje?

– Nie wiem. On jest po prostu taki... trudny.

– Trudny? To raczej nie jest działka Pera-Fredrika, ale porozmawiam z nim. Dam ci znać.

– Dziękuję.

– Na pewno nie ma się czym martwić. Wszyscy od czasu do czasu bywają trudni.

Pani Lund idzie dalej do Ullevålsveien, a Maj przecina Jacob Aalls gate i otwiera kluczem bramę na podwórze. Ktoś znów zostawił w śniegu zabawkę, małego skoczka narciarskiego, skaczącego eleganckim stylem, który jednak, niestety, się przewrócił. Maj stawia skoczka na poręczy przy kuchennych schodach i szybkim krokiem pokonuje cztery piętra do suszarni na strychu. Sprawdza pranie, to głównie garderoba Ewalda – skarpety, koszule, podkoszulki i spodnie. Jeszcze nie wyschły. Nigdy do końca nie schną, powietrze jest tu zbyt wilgotne i zimne.

Mimo wszystko układa je w koszu. Niech lepiej przez noc poleżą w jadalni. Jutro rano będzie mogła je poprasować. Nagle dostrzega dwie sukienki wiszące na ostatnim sznurku pod ścianą, zieloną i niebieską, obie z tych do kostek, więc sięgają podłogi. Maj nigdy wcześniej nie widziała tych sukienek. To jak bal, bal w suszarni na strychu. Ma ochotę którąś z nich przymierzyć. Oczywiście tego nie robi. Kładzie torebkę na stosie prania i znosi kosz na dół, ostrożnie, żeby nie potknąć się na stromych stopniach. Na drugim piętrze pani Vik uchyla drzwi.

– Wejdź – mówi.

Maj wzdycha.

– Idę do Ewalda i…

Pani Vik jej przerywa:

– Musisz mi pomóc! Przynajmniej tyle mi jesteś winna.

Maj odstawia kosz. Pani Vik wpuszcza ją do kuchni i szybko zamyka drzwi. Dopiero teraz Maj widzi, że sąsiadka jest w samej bieliźnie.

– Chyba nic się nie stało?

– Stało się! Potrzebuję sukienki! A żadna nie pasuje!

Kopie w czarny strój, który leży na podłodze.

– To twoje suknie wiszą na strychu?

– Tak! One też na mnie nie pasują. Możesz je sobie wziąć!

– Po co ci nowa sukienka?

Pani Vik patrzy na Maj z wściekłością.

– Po co mi? Po prostu mam ochotę się elegancko ubrać! To coś złego?

– Nie, nie. Wcale tak nie pomyślałam.

Pani Vik siada i nieco łagodnieje.

– Od śmierci Halfdana minęły już prawie cztery lata. I…

Milknie. Maj podnosi czarny kostium z podłogi i wiesza go na krześle.

– Oczywiście, że możesz się elegancko ubrać.

Pani Vik wzdycha.

– Tę zieloną nosiłam na naszym srebrnym weselu.

– Ciągle jesteś tak samo szczupła.

– Nic nie mów. Wręcz zapadłam się w sobie od tamtego czasu. Poza tym w zielonym wyglądam strasznie blado. Jakbym była chora.

– No a ta niebieska? Na pewno ci w niej do twarzy.

– Miałam ją na sobie podczas jubileuszu pięćdziesięciolecia Wyższej Szkoły Weterynarii. O czym bardzo chciałabym zapomnieć.

– Dlaczego?

– Między innymi dlatego, że ktoś mi wtedy włożył żmiję do torebki.

– O, nie! Żywą?

– Czy żywą? Nie zdążyłam sprawdzić, bo od razu zemdlałam.

– Żmiję! Kto robi takie rzeczy?

– Weterynarze. Mówią, że to dowcip. Tak późno poszłaś po pranie?

– Muszę wejść kuchennymi drzwiami, żeby nie zbudzić Jespera, więc równie dobrze mogłam…

Maj chce już iść. Pani Vik nagle wstaje.

– Musisz się ze mną wybrać do Steena i Strøma.

Maj, obrócona tyłem, nieruchomieje.

– Po co?

– Po sukienkę.

– Nie sądzę, żeby tam coś mieli.

– U Steena i Strøma? Czy oni nie mają najlepszego asortymentu?

– Byłam tam przed świętami. Same francuskie wydumy. D i o r.

– Chyba mają jeszcze jakieś inne rzeczy?

– Nic innego nie widziałam. Mogę iść z tobą do Francka. Albo do Øyego.

Pani Vik otwiera drzwi i kręci głową.

– Nie wiadomo, czy w ogóle coś z tego będzie.

Maj wychodzi na klatkę i podnosi kosz.

– Z czego?

Pani Vik na moment znika i wraca z pudełkiem rodzynek, które kładzie na torebce.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówi.

Maj patrzy na nią i prawie odstawia kosz z powrotem.

– Tak?

– Coś, co mi powiedział Jesper, kiedy tu był. Powiedział, że w nocy spada.

– Spada? Jak to?

– Tak powiedział. Że spada.

– Jesper mówi dużo dziwnych rzeczy.

Na ostatniej kondygnacji schodów Maj zaczyna płakać. Nic nie może na to poradzić. Nagle czegoś jest za dużo. Nagle coś jest za ciężkie. Łapie oddech, opiera kosz o kolano, ociera łzy grzbietem dłoni i kluczem otwiera drzwi. Ewald siedzi przy kuchennym stole z butelką piwa i szkicownikiem.

Patrzy na zegarek.

– Rozumiem, że nieźle się plotkowało.

– Gdyby ci się chciało podnieść głowę, zrozumiałbyś, że byłam po pranie.

– I co zdecydowała przewodnicząca? Czy łaskawie wyraziła zgodę na mój udział w którymś zebraniu?

– Powiedziała, że najlepiej by było, gdybyś przyszedł na zebranie Komitetu Wykonawczego.

– A co to jest?

– Jednostka, której podlega nasz oddział, Fagerborg. Składamy jej raporty.

– R a p o r t y? O czym?

– O tym, co robimy, oczywiście.

– Dlaczego nie mogę przyjść na wasze zebranie?

– Na pewno możesz, ale…

– Macie jakieś tajemnice? Coś, czego nie powinienem usłyszeć?

– Ależ skąd. Możesz poczytać sprawozdania.

Ewald wreszcie podnosi głowę. Przez moment jest wyraźnie zdziwiony, w końcu wstaje.

– Co się z tobą dzieje?

– A co się ze mną dzieje?

– Mogłaś powiedzieć. Ja bym przyniósł…

– Gdybym miała mówić za każdym razem, to na nic innego nie miałabym czasu.

Ewald bierze od niej kosz i stawia go na krześle.

– Ho, ho. Wydaje mi się, że ten Czerwony Krzyż nie za dobrze na ciebie wpływa.

– Jesper śpi?

Idą razem do holu. Jesper leży w łóżku na plecach, ma zamknięte oczy, ręce złożone na kołdrze. Wydaje się spokojny. Czy on teraz spada? – zastanawia się Maj. Spada we śnie? Kładzie na poduszce pudełeczko z rodzynkami.

Sprawozdanie roczne

W roku 1948 odbyło się 6 zebrań zarządu i 1 zebranie członków. Oddział wykonał sporo robótek na drutach, które rozdano. Ponadto na święta Bożego Narodzenia rozdzielono 34 paczki z rozmaitymi artykułami spożywczymi i innymi rzeczami, przekazano także 50,– koron pewnej gospodyni domowej. Oddział uczestniczył w kiermaszu z dobrym wynikiem, 1874,05 korony brutto. Ponadto sprzedano dużą liczbę znaczków świątecznych. Oddział zorganizował wypożyczalnię sprzętu medycznego.

Obecnie oddział świadczy dobrowolną pomoc pielęgniarską w Klinice przy Wergelandsveien, bierze w tym udział 20 pań, na ogół zarejestrowanych jako członkinie oddziału. Oddział planuje uruchomienie w obrębie parafii przedszkola, ewentualnie domu pobytu całodziennego dla dzieci.

Sprawozdanie roczne i odpis dokumentów księgowych zostały przesłane do kancelarii kościoła.

1949

Doktor Lund stoi przy oknie w swoim gabinecie na Ullevålsveien i patrzy, jak Maj Kristoffersen i Jesper wyłaniają się zza rogu przy końcu Pilestredet. Czasami widać to od razu. Widać, że z człowiekiem jest coś nie tak. Ma coś takiego w ruchach. Są zbyt gwałtowne albo zbyt ospałe. Coś w rysach. Zbyt obojętnych lub zbyt napiętych. Ten Jesper sprawia wrażenie obojętnego i ospałego. Ale wszystkie dzieci boją się lekarza, może to po prostu jego sposób na opanowanie strachu. Doktor Lund otwiera drzwi do recepcji.

– Pobierz krew Jesperowi Kristoffersenowi. Właśnie tu idzie razem z matką.

– Oczywiście.

Pielęgniarka, panna Ågot Rud, wstaje, podchodzi do szafki medycznej i wyjmuje sprzęt.

– I postaraj się, żeby nie poszło ci to zbyt sprawnie.

Pielęgniarka się odwraca.

– Jak to?

– Ukłuj go ze dwa razy. Trochę go podręcz.

Doktor Lund zamyka drzwi i siada za biurkiem. Wkrótce ich słyszy. Matka mówi coś do syna. Potem zapada cisza. Trochę się to przeciąga. Wreszcie pielęgniarka otwiera drzwi gabinetu i wpuszcza Maj Kristoffersen z Jesperem. Siadają. Jesper ma podwinięty rękaw koszuli, lewą rękę trzyma zgiętą. Na podłogę skapuje kilka kropli krwi. Pielęgniarka przykleja chłopcu jeszcze jeden plaster i szybko wychodzi.

– Nie umiała się wkłuć – mówi Maj cicho.

Doktor Lund patrzy na Jespera.

– Bolało?

Jesper kręci głową.

– Bolało? – ponawia pytanie doktor Lund.

Jesper na niego nie patrzy.

– Nie.

Maj Kristoffersen się nachyla.

– Nie chciałam nikogo krytykować. Dziękuję, że mogliśmy…

Doktor Lund uśmiecha się do niej.

– Oczywiście, rozumiem. Proszę mu zdjąć koszulę.

Maj rozpina parę guzików, Jesper podnosi ręce do góry i matka delikatnie zdejmuje mu ją przez głowę. Chłopiec jest za chudy, ale nie on jeden. Większość chłopców jest za chuda. To wcale nie znaczy, że są chorzy. Są zdrowi i głodni. Doktor Lund wstaje i obchodzi Jespera dookoła. Osłuchuje serce i płuca. Sprawdza brązowe, sztywne włosy. Chłopiec przynajmniej nie ma wszy. Doktor Lund siada i podsuwa Jesperowi kartkę i ołówek.

– Możesz napisać swoje imię?

Jesper chwyta ołówek w prawą rękę i rysuje sześć liter. „P" jest do góry nogami, ale oprócz tego wszystko wygląda jak należy.

– Ładnie. Cieszysz się, że pójdziesz do szkoły? Bo zaczniesz chodzić jesienią, prawda?

Jesper wypuszcza ołówek z ręki i nie odpowiada.

– Jakie jest twoje ulubione danie, Jesper?

Maj go szturcha, chłopiec jednak dalej milczy. Doktor Lund się nachyla, próbując spojrzeć mu w oczy, ale nie może pochwycić jego spojrzenia.

– Coś chyba musisz lubić najbardziej?

– Rodzynki – odzywa się Jesper.

Maj się czerwieni.

– Chciałam tylko wtrącić, że mój syn codziennie dostaje porządne jedzenie.

Doktor Lund odchyla się na krześle i ponownie próbuje pochwycić ten niespokojny wzrok.

– Może wybierzesz się kiedyś ze mną pobiegać?

Maj kładzie Jesperowi rękę na kolanie.

– Słyszałeś? Doktor Lund to stary sportowiec. Pobił wiele rekordów.

Jesper ledwie zauważalnie kiwa głową.

Maj prędko podnosi wzrok.

– Nie miałam na myśli, że pan jest stary. Chodziło mi o to, że…

– W porządku. Chcielibyście mi coś jeszcze powiedzieć?

Maj znów dotyka kolana Jespera.

– Powiedz to, co mówiłeś pani Vik.

Oczy Jespera gwałtownie nieruchomieją. Można dotknąć tego wzroku. Niemal obojętne rysy napinają się. Jesper wygląda jak stare dziecko. Nic nie mówi. Maj głaszcze go po policzku.

– Powiedz to też doktorowi Lundowi. To nic strasznego.

Jesper zaciska zęby. Z jego ust wydobywa się ostry, nieprzyjemny zgrzyt. W końcu zaczyna mówić. Doktorowi Lundowi przychodzi do głowy, że jego głos należy do innego miejsca, do innego, mniej udręczonego ciała. Jest spokojny i łagodny.

– Spadam. Lecę do tyłu. Czasami też do przodu. Głównie do przodu.

Doktor Lund znów nachyla się w jego stronę.

– Ś n i ci się, że spadasz, prawda?

– Po prostu spadam.

– Uderzasz się?

Jesper nagle zaczyna się śmiać i już nic więcej nie dodaje. Doktor Lund wstaje. Maj także. Jesper idzie do pielęgniarki, żeby się ubrać. Doktor zatrzymuje Maj i zamyka drzwi. Maj się niepokoi.

– Czy coś…

– Nie, nie. Chciałem tylko zamienić z panią słówko w cztery oczy.

Niepokój Maj, wpatrzonej w drzwi, wcale nie maleje.

– Jesper nie czuje się zbyt bezpiecznie wśród obcych – mówi.

– Czy on siusia w majtki?

Maj prędko odwraca się w stronę doktora i znów się czerwieni.

– Nie. Już od dawna nie.

– I nie moczy się w nocy?

– Nic takiego nie zauważyłam. A oczywiście bym zauważyła.

– Co pani myśli o tym, co on mówi?

– Coś mu się musi śnić.

– Najwyraźniej, pani Kristoffersen. To twardy chłopiec.

– Naprawdę?

– I dobrze. To się zawsze przydaje. To ja poprosiłem pielęgniarkę, żeby go trochę mocniej ukłuła.

Maj się śmieje, zasłaniając usta ręką.

– Ach, tak. Jesper dobrze to przyjął.

– No właśnie. Zobaczymy, czy badanie krwi coś wykaże, ale zapewne wszystko będzie w normie. Nie musi się więc pani ani trochę niepokoić.

– Nie muszę?

– Nie, pani Kristoffersen. Jesper to dobry chłopiec. Ale czy mogę spytać o jego ojca? Jaka jest relacja między ojcem a synem?

Maj spuszcza wzrok; wolałaby teraz myć podłogę.

– Mój mąż dużo pracuje.

– No tak, wszyscy mamy co robić.

– Chodzi panu o coś szczególnego?

– To ważne, aby syn miał dobre relacje z ojcem.

– I takie ma.

– To świetnie! Tak jak powiedziałem, niech się pani nie martwi. Bo wtedy Jesper też się martwi.

– Ale z czego to się bierze? To spadanie, o którym on mówi.

– To wrażliwy chłopiec, pani Kristoffersen.

Maj ostrożnie podnosi głowę, nie bardzo rozumie.

– To znaczy, że Jesper jest wrażliwy? Mówił pan, że jest twardy.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

Doktor Lund otwiera jej drzwi. Jesper stoi już ubrany i ssie karmelka, którego dostał od pielęgniarki. Maj bierze go za rękę, a po drodze do domu, w sklepie rybnym na górze Kirkeveien, kupuje dorsza, pietruszkę i opakowanie majonezu. Jesper znów jest niespokojny. Nie może ustać nieruchomo na sklepowej posadzce w szachownicę. Szybko idą dalej. Wiatr najpierw wieje im w plecy. Nagle zaczyna dmuchać w twarz. Luty

to kapryśny miesiąc. Potrafi się zmienić w mgnieniu oka. Oby tylko Jesper się nie rozchorował, i to teraz, kiedy jest zdrowy. Idzie pierwszy, lewą rękę ciągle trzyma zgiętą. Maj ledwie może dotrzymać mu kroku. Mimo to czuje się lekko, prawie beztrosko. Śmieje się na wietrze. Wreszcie są na klatce. Jesper wchodzi na górę po dwa stopnie. Zatrzymuje się przy drzwiach ich mieszkania. Jeszcze nie skończył jeść karmelka. Maj głaszcze go po policzku.

– Pójdziemy najpierw do pani Vik i powiemy, że wszystko jest w porządku.

Jesper odwraca się tyłem.

– Nie chcesz?

Jesper nie odpowiada.

– Chcesz siusiu?

Jesper jednak zmienia zdanie i idzie z Maj na drugie piętro. Maj naciska dzwonek. Czekają. Pani Vik wreszcie otwiera, ale tylko uchyla drzwi. Włosy ma nawinięte na wałki.

– Co się stało?

– Przeszkadzamy? Wybierasz się na przyjęcie?

– Co się stało? – powtarza.

Maj wypycha syna przed siebie.

– Ty powiedz, Jesper.

Chłopiec przez chwilę milczy. W końcu spuszcza głowę, bierze oddech i wypluwa karmelka. Cukierek ląduje tuż przy polakierowanych paznokciach u stóp pani Vik, która głośno krzyczy ze zdumienia, podobnie jak Maj. Jesper się wyrywa i odchodzi. Kobiety patrzą na siebie.

– Co miał mi powiedzieć? – pyta pani Vik.

Maj dwoma palcami podnosi cukierek.

– Że jest wrażliwy.

– Wrażliwy?

– Tak. Doktor Lund powiedział, że jest zdrowy i wrażliwy.

W tej samej chwili dzwoni telefon. Pani Vik, zdenerwowana, puszcza drzwi. Zatrzaskują się. Maj chce już odejść, zejść do Jespera, ale pani Vik

zaraz otwiera drzwi ponownie.

– To do ciebie. Odbierz, a ja w tym czasie poszukam Jespera.

Maj wchodzi do przedpokoju, w którym pachnie perfumami, i bierze słuchawkę. To Ewald.

– Maj? Możliwe, że wrócę dziś późno do domu.

– Dlaczego?

Ewald ścisza głos.

– Dlatego że mam iść do kierownictwa i przedstawić swoje plany. Rudjord zebrał całą górę.

– Mam nadzieję, że dobrze sobie poradzisz.

Jego głos znów się wznosi.

– Oczywiście, że sobie poradzę. Nie czekaj na mnie z obiadem.

– O, nie! A ja specjalnie zrobiłam zakupy na twoje ulubione danie.

– Nie mam na to wpływu. Ja...

– Chwileczkę, Ewaldzie. Pani Vik chce, zdaje się...

Maj przyciska słuchawkę do piersi, patrzy na sąsiadkę i z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Pani Vik stoi w drzwiach i sprawia wrażenie jeszcze bardziej wzburzonej. Jedna z lokówek we włosach puściła.

– Nie mogę znaleźć Jespera!

– Nie ma go na dole?

– Zniknął. Napluł na mnie!

Maj znów przykłada słuchawkę do ucha, trzymając ją obydwiema rękami.

– Muszę kończyć.

– Nie życzysz mi powodzenia?

– Oczywiście, Ewaldzie, życzę ci powodzenia. Jesteś taki zdolny. Tylko nie zahaczaj dzisiaj do Bristolu.

– Mówi się: nie zahaczaj o Bristol. Nie do.

– Obiecujesz?

– Jasne, jasne.

Ewald przez kilka sekund stoi ze słuchawką w ręku, zanim ją odwiesza i zapala papierosa. Nie rozumie, dlaczego Maj musi go przyprawiać o wyrzuty sumienia. „Specjalnie zrobiłam zakupy na twoje ulubione danie". Przecież prawdopodobnie i tak nie wie, jakie jest jego ulubione danie, bo on ciągle powtarza, że lubi wszystko, co ona ugotuje. Zaraz jednak Ewald ma kolejny przypływ wyrzutów sumienia, ponieważ jest wobec Maj niesprawiedliwy. Przecież żona chce dobrze, a on nie może się teraz denerwować. Wrzuca papierosa do filiżanki z niedopitą kawą i podchodzi do swojego biurka w pracowni. Czy ma zabrać ze sobą szkice? Zostawia je. Koledzy siedzą pochyleni pod lampami i nie podnoszą głów. Czy zdjąć biały fartuch i stawić się w garniturze? Nie, powinien znać swoje miejsce. Porządkuje ołówki w kieszonce na piersi. O pierwszej idzie do gabinetu szefa. Panna Bryn otwiera drzwi. Rudjord wstaje zza biurka i przywołuje go bliżej. Siadają. Nie ma nikogo oprócz nich.

– Miejmy nadzieję, że ratusz będzie gotowy na całą tę hecę – mówi Ewald.

Rudjord się śmieje i kładzie na biurku francuskie papierosy.

– My i tak musimy robić swoje. Byłeś już na jakimś zebraniu Czerwonego Krzyża?

Ewald się rozgląda.

– Nikt więcej nie przyjdzie?

– Będziemy tylko my dwaj.

– Nie, nie byłem. Jeszcze nie. Ale niedługo będzie walne zgromadzenie i wtedy...

Rudjord podaje mu paczkę. Ewald wydłubuje papierosa. Tytoń sypie się z obu końców. Ewald zapala go własną zapalniczką i zaczyna kasłać. Rudjord podchodzi do sekretarzyka, nalewa whisky do dwóch szklanek i podaje jedną Ewaldowi, który prędko wypija łyk, kręcąc głową.

– Mocne jak cholera.

– Nie ty pierwszy tak mówisz.

– Nie jestem przyzwyczajony do tych francuskich grubasów.

– Święte słowa. Pachną perfumami, a smakują dynamitem.

Ewald się śmieje.

– Gitanesy powinny być naszym klientem.

– To i tak nie będzie konieczne.

– Nie? Ale co, przepraszam?

Rudjord z powrotem siada.

– Twój udział w zebraniu Czerwonego Krzyża.

Ewald prostuje się, nie mogąc się pozbyć tego przeklętego papierosa.

– W zasadzie rzeczywiście nie muszę tam iść. Mam już dostatecznie dobry obraz, więc…

– Doceniamy twój pomysł, Ewaldzie, ale doszliśmy do wniosku, że musimy opracować coś bardziej o f i c j a l n e g o.

– Co to znaczy?

– Włączyć historię. Sztukę. Literaturę. Twój pomysł zachowamy w pamięci. Z pewnością zostanie wykorzystany przy innej okazji.

– Może na jubileusz tysiąclecia?

– Może i tak. Wtedy raczej zastąpi nas następne pokolenie. Johnsen wprowadzi cię w najnowsze plany.

Rudjord wstaje i spogląda na zegarek. Ewald dalej siedzi.

– Kobiety nie są dostatecznie oficjalne? – pyta.

– Mogą być, ale raczej na użytek prywatny.

Najpierw Ewald idzie do toalety. Wyrzuca żarzącego się francuskiego peta do kibla i obmywa twarz zimną wodą. Potem przegląda się w lustrze. Koszula ciśnie go w szyję. Na kołnierzyk wylewa się wałek tłuszczu. Zaraz się udusi. Ewald luzuje krawat i rozpina górny guzik. Krew odpływa z głowy do serca, które przepompowuje ją dalej ciężkimi, dramatycznymi uderzeniami. Jego serce kompletnie się pogubiło. Ewald opiera się o ścianę i robi trzy wydechy. W końcu wraca do pracowni projektowej. Podczas jego nieobecności Johnsen położył mu na biurku jakieś kartki. A więc wiedział o tym przez cały czas. Wszyscy wiedzieli przez cały czas. Ewald dowiaduje się jako ostatni. Oszukują go. Przelotnie zerka na kartki. Są Wikingowie, Ibsen, Munch, Vigeland, trasy narciarskie i statki do Ameryki. To jest oficjalne. A poza tym śmiertelnie nudne. Czy nie wbijano im do głów od pierwszego dnia:

bądźcie wyjątkowi, a nie ogólni!? Miasto nie jest ogólne. Miasto to nie przedstawiciele. To zbiór indywidualności. Miasto jest wyjątkowe. Ktoś za jego plecami woła:

– Rudjord był w dobrym humorze, Kristoffersen?

To pewnie Johnsen chce się zakumplować.

– W każdym razie dał mi spróbować tych swoich francuskich papierosów – mówi Ewald.

– No tak, bo sam przestał palić. Płuca.

Ewald Kristoffersen myśli: a więc zdążę na swoje ulubione danie. Siedzi bezczynnie. Jest pusty. Musi zacząć od nowa albo kontynuować tam, gdzie skończył Johnsen. Nie potrafi zrobić ani jednego, ani drugiego. O czwartej zdejmuje biały fartuch, odwiesza go na haczyk, bierze płaszcz, idzie na drugą stronę do Bristolu i w szatni oddaje okrycie Kieszonkowej Wenus. Potem siada przy barze. Piwo już czeka. Dwie godziny później zamawia gin z tonikiem u Ulfsena, który unosi brew, ale leciutko. Nie spieszy mi się, myśli Ewald. Co prawda, spóźni się na obiad, ale i tak będzie wcześnie. Obok niego siada jakiś mężczyzna. Ewald go rozpoznaje. To pianista. Na czole wciąż ma siny cień i sprawia wrażenie lekko podchmielonego. Ulfsen podaje mu lewą rękę.

– Witamy z powrotem.

Enzo Zanetti kiwa głową.

– Dziękuję. I poproszę o kieliszek czerwonego wina.

Ulfsen unosi obie brwi, na jego czole pojawiają się pęknięcia.

– Tutaj?

– Tak. Poproszę o kieliszek czerwonego wina.

Ulfsen wciąż wygląda tak, jakby nie umiał odczytać nut. Nachyla się nad barem i zniża głos:

– Mogę ci nalać do filiżanki.

– Poproszę do prawdziwego kieliszka.

– Jak sobie chcesz. Tylko później mnie nie obwiniaj.

– Zaczynam pracę dopiero za godzinę.

– A ja myślałem, że ty pijesz tylko w czasie pracy.

Ulfsen kręci głową, niechętnie robiąc to, o co poprosił go Zanetti.

Ewald unosi swoją szklankę.

– Dla mnie też jeszcze parę kropli, Ulfsen. Tylko żeby tym razem to nie były już takie siki świętej Weroniki.

Taki już jest Ewald, humor nigdy go nie opuszcza. Ewald próbuje się go pozbyć, ale mu to nie wychodzi. Gdy tylko zaczyna tonąć, od razu się wznosi. Urodził się w pasie wypornościowym. Rozgląda się. Przez drzwi wlewają się goście. Panie idą do toalety, a mężczyźni oddają płaszcze Kieszonkowej Wenus, której o tej porze musi asystować dziewczyneczka o imieniu Jenny. „No, pospiesz się, Jenny". Szatnia to dla mężczyzn ostatni przystanek przed zabawą i podbojami. Wkrótce roznosi się zapach cygar, śmiechu i perfum. Ulfsen stawia kieliszki na barze. Ewald odwraca się do Enza Zanettiego i pociąga ze szklanki.

– Durszlak czy moloch?

– Słucham?

Ewald się śmieje.

– Jesteś dzisiaj w nastroju dur czy moll, kolego?

– Raczej w moll.

– No tak, ostatnio nieźle ci się dostało.

Enzo Zanetti podnosi głowę.

– Byłeś wtedy tutaj?

– Czy byłem? Powiedziałbym, że byłem tak zdecydowanie, że niemal cię uratowałem.

– No tak, bywasz tu prawie co wieczór. Ale i tak dziękuję.

Ewald znów się śmieje. Czy tak ma zostać zapamiętany? Jako ten, który był tu zawsze, a mimo to odszedł w zapomnienie?

– Może ktoś uznał, że fałszujesz? – pyta.

Enzo Zanetti opróżnia kieliszek, zapala papierosa i patrzy na Ewalda.

– Masz jakieś życzenia? Oprócz Silnorękiego i Księcia Ellingtońskiego?

Ewald Kristoffersen już nie bardzo go słucha. Zauważył panią Vik. Ciarki przechodzą mu po plecach. Niech to szlag trafi. Nawet tu nie może mieć spokoju? Pani Vik zatrzymuje się przy wejściu, zdyszana, nie

bardzo wie, co ma robić. Jakiś starszy mężczyzna z siwymi, niemal zupełnie białymi włosami toruje sobie drogę przez tłum i pomaga jej zdjąć futro, które następnie oddaje do szatni. Potem idą do narożnego stolika. Pani Vik jest w długiej niebieskiej sukni. Za bardzo się wystroiła. Wygląda jak choinka w lutym. Prędko rzuca spojrzenie przez ramię. Ewald Kristoffersen się schyla. Wprawdzie nie robi nic złego, nie chce jednak, by go zauważyła.

– Może *Lot trzmiela* – mówi.

Ale Enzo Zanetti już siedzi przy fortepianie. Gra dla uszu, które nie słyszą. To bez znaczenia. Jest cząstką hałasu. Wszystkie dźwięki spływają do kanalizacji i znikają gdzieś w fiordzie, oprócz tych wydawanych przez ptaka, który nie przestaje intensywnie dziobać w jego głowie. Nagle ktoś do niego podchodzi i pyta po cichu:

– Zna pan Chopina?

Enzo Zanetti kiwa głową; chociaż ludzi w dużej mierze należy uważać za idiotów, przynajmniej tych w Bristolu, to nagle okazuje się, że jednak warto żyć. Czy zna Chopina? Nareszcie jakieś cywilizowane życzenie. Gra jedno z preludiów, a w tym czasie Olaf Hall z powrotem siada przy pani Vik. Kelner przynosi jej kieliszek sherry. Olaf Hall pije whisky z wodą sodową. Stukają się kieliszkami i przez chwilę wsłuchują w polski smutek z niewielką domieszką włoskiej wesołości. Muzyka tłumi otaczający ich hałas. Nagle oboje zaczynają mówić równocześnie. Oboje milkną i wybuchają śmiechem.

– Pani pierwsza – prosi Olaf Hall.

– Nie, pan.

– A może przejdziemy na ty?

– To dobry wybór.

– Bristol? Czy forma zwracania się?

– Chopin.

– To dla nas.

Pani Vik trzyma malutki kieliszek w obu dłoniach.

– Dziś w naszej kamienicy zgubił się chłopiec. Dlatego się spóźniłam.

– Nie szkodzi. Mam nadzieję, że się odnalazł.

– Tak, w końcu się odnalazł. Schował się w suszarni na strychu. A pan? To znaczy ty?

– Wyszedłem w odpowiednim czasie.

– Chodzi mi o to, co t y chciałeś powiedzieć.

– Lubisz Chopina?

– Jest cudowny.

– Pianista ma niepewną prawą rękę. Nie sądzisz?

– Nie znam się na muzyce. Ale uważam, że gra ładnie.

– Wszyscy znają się na muzyce, tylko o tym nie wiedzą.

Pani Vik popija sherry małymi łyczkami i próbuje skoncentrować się na Chopinie. Nie jest to proste. Nie słyszy żadnej różnicy. Prawa ręka nie jest wcale gorsza od lewej. Poza tym pani Vik przeszkadzają spojrzenia, które ślą jej ludzie. A może to sobie wmawia? Może tylko jej się wydaje, że wszyscy się zastanawiają, z kim tego wieczoru umówił się wdowiec po Ragnhild Hall?

– Tak samo dobrze znasz się na łowieniu ryb? – pyta.

Olaf Hall najpierw lekko się dziwi, a potem się śmieje.

– Ach, myślisz o *Wędkarzu doskonałym*. Jesteś spostrzegawcza.

– Przeglądałeś tę książkę.

– Lubię spostrzegawcze kobiety.

– Nie mogłam tego nie widzieć…

Przerywa im kelner, który przychodzi z Sali Mauretańskiej i podaje im karty. Olaf Hall nie rusza swojej. Obserwuje panią Vik, która powoli wodzi palcem od dania do dania. Rzuca mu się w oczy jej obrączka. No tak, oczywiście ją nosi. On swoją zdjął.

– Pomyślałem, że zjemy w pokoju – mówi.

Pani Vik podnosi głowę.

– Słucham?

– Zamówiłem dla nas pokój.

Pani Vik znów patrzy na menu. Nie ma tam żadnych cen. Ceny są w jego karcie. Pani Vik wstaje, Olaf Hall także.

– Muszę przypudrować nos – mówi pani Vik.

– W pokoju jest łazienka.

– To zajmie tylko chwilę. Przepraszam.

Pani Vik schodzi do toalety, zamyka się w kabinie i zaczyna płakać. To gorsze niż żmija w torebce. Zanosi się płaczem tak, że nie może złapać oddechu. Ktoś puka do drzwi i pyta, czy coś się stało. Nic się nie stało. Nic. Wreszcie się uspokaja, wyjmuje chusteczkę, wyciera nos i otwiera drzwi. Twarz jej spływa. Pani Vik opłukuje ręce, wypija łyk wody i się prostuje. Jakaś młodsza kobieta w opiętej spódnicy stoi oparta o ścianę. Podsuwa pani Vik małą, srebrną piersiówkę. Pani Vik kręci głową i wczepiona w torebkę, potykając się, wymija głośne towarzystwo, które chce wejść do środka – wszyscy jednocześnie. Znów nie może złapać tchu. Stoi u stóp schodów na miękkim, ciemnoczerwonym dywanie. Słyszy głosy dochodzące z piętra wyżej, szum o ostrych kantach. Słyszy wyłącznie to, powiewy wiatru głosów. Ktoś schodzi na podest schodów. Pani Vik znów chce szukać schronienia w toalecie. Ale to tylko pianista. Pani Vik czeka, aż będzie ją mijał.

– Czy jest stąd jakieś inne wyjście? – pyta.

Enzo Zanetti się zatrzymuje.

– Inne?

– Niż to na górze.

Enzo Zanetti patrzy na tę panią, która wygląda na zagubioną i zarazem ściganą – w za długiej sukni, z torebką, którą trzyma przed sobą jak miękką tarczę. To ona siedziała przy stoliku w rogu. Czy to nie dla niej grał Chopina? Jeśli tak, to niewiele z tego przyszło. Kiwa głową. Ma niejakie zrozumienie dla wszystkich, którzy chcą skądś uciec.

– Jest wyjście za kuchnią.

– Bardzo pana proszę…

– Ale czy pani nie ma okrycia w szatni?

– To nic nie szkodzi, tylko…

– Mogę przynieść.

– Nie, proszę mi jedynie pokazać…

Pani Vik idzie korytarzem za pianistą, skręcają za róg, przechodzą przez kuchnię, w której kucharze biegają od garnków do patelni i wszyscy do siebie krzyczą, aż wreszcie, minąwszy chłodnię, docierają do jakichś drzwi, które Enzo Zanetti otwiera.

Pani Vik, z trudem łapiąc równowagę, wychodzi na Rosenkrantz' gate i przez moment sprawia wrażenie za małej dla tego miasta. Otaczają ją mgła, dalekie światła i cienie. Enzo Zanetti zapala papierosa i patrzy, jak kobieta idzie w stronę Pilestredet, stąpając niepewnie na wąskich, wysokich obcasach. Jej nagie ramiona są białe i kościste, drży z zimna. Koło przystanku tramwajowego zatrzymuje się taksówka i pani Vik wsiada, zajmuje miejsce z tyłu. Enzo Zanetti uznaje swoje zadanie za wykonane, pstryknięciem wyrzuca niedopałek i wraca tą samą drogą. Zapomniał już, co właściwie zamierzał zrobić. Aha, wysikać się. Zapalić papierosa. Uciec. Koło „pań" stoi ów siwowłosy pan w tweedowym garniturze i czeka. Patrzy na zegarek. Niepokoi się. Dobrze mu tak, myśli Enzo Zanetti i wolno pokonuje ostatnie stopnie, masując palce prawej dłoni. Przy pierwszym stoliku czeka na niego kierownik sali.

– Dyrektor Brun prosi cię na słowo – mówi.

Enzo Zanetti patrzy na półkę nad recepcją.

– W części prywatnej – dodaje kierownik sali.

– Dostanę reprymendę? Przecież nie zrobiłem sobie aż tak długiej przerwy.

– Nic o tym nie wiem.

Enzo Zanetti śmieje się cicho.

– Na pewno wiesz.

Kierownik sali kładzie mu rękę na ramieniu w nietypowym dla niego, niemal przerażającym geście.

– Zawsze uważałem, że nadajesz tej naszej budzie pewien sznyt. Dopóki znasz swoje miejsce.

– Nie podobał ci się Chopin? Goście się skarżyli?

– Dyrektor czeka – ucina kierownik sali.

Enzo Zanetti idzie na drugie piętro. Czy chodzi o to, że pił w barze? Dostaje zadyszki już na pierwszym. Winda nie jest dla pracowników.

Winda jest tylko dla gości. W końcu zatrzymuje się przed częścią prywatną, puka i wchodzi. Dyrektor Brun siedzi w skórzanym fotelu przy oknie i przerzuca plik papierów. Zerka przez ramię, jeszcze przez chwilę przekłada kartki i wreszcie wstaje.

– Nie sądziliśmy, że wrócisz – mówi.

Enzo Zanetti patrzy na swoje buty. Świeżo wyczyszczone, nienaganne.

– Wróciłem.

– W tym czasie zaszły pewne zmiany.

– Nie jestem tu mile widziany?

– Zaczynamy grać jazz.

Enzo Zanetti podnosi wzrok.

– Ja gram jazz, dyrektorze.

– To orkiestra jazzowa. Co oznacza…

– Wiem, co to oznacza. Tańce.

Dyrektor Brun przynosi dwie koperty. W jednej jest wypłata za dwa miesiące. Enzo Zanetti wsuwa ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Druga koperta jest od pokojówek.

– Podczas twojej nieobecności Aina zorganizowała małą zbiórkę.

– Aina?

– Tak, ta z okolic Kristiansand. Z tymi włosami i warczącym „r”.

– Wiem, która to Aina.

Enzo Zanetti nie chce żadnych uzbieranych pieniędzy. Brun nalega.

– Dziewczyny naprawdę się postarały. Nie możesz im sprawić zawodu.

Enzo Zanetti chowa i tę kopertę do wewnętrznej kieszeni, po czym wychodzi na korytarz. Mija otwarte drzwi, zatrzymuje się i zagląda do środka. To jeden z apartamentów, który musi być gotowy na jutro. Aina, stojąc tyłem, ściele łóżka. W blasku lampy na suficie jej włosy zdają się żarzyć. Nieświeże prześcieradła leżą na podłodze. Enzo dostrzega w jej ciele ciężką pracę.

– To nie było konieczne – mówi.

Aina odwraca się do niego, poszewka na poduszkę wypada jej z rąk.

– Chciałam tylko, żebyśmy byli kwita.

– Nie potrzebuję jałmużny.

– Wszyscy czegoś potrzebują.

Aina spuszcza wzrok. Enzo nie rusza się z miejsca. On, który zawsze wie, co zagrać, nagle nie ma w głowie żadnej myśli, jest do tego kompletnie nieprzygotowany. Tych dwoje znajduje się na samym dole hotelowej drabiny społecznej – pokojówka, która bierze nadgodziny, i zwolniony pianista rozrywkowy. Na samej górze są goście. O niczym nie decydują, ale mimo wszystko to oni mają władzę.

– A więc chciałaś być kwita.

– Dziękuję, że nie doniosłeś na niego na policję.

– Nie wiem, kto to był.

– Nie jesteśmy już razem.

Aina ostrożnie unosi wzrok. Przez chwilę patrzą na siebie.

– Może się jeszcze zobaczymy – mówi Enzo Zanetti.

Zjeżdża windą. Kiedy przechodzi między stolikami i mija pusty fortepian, uświadamia sobie, że nikt nie zwraca uwagi na to, że pianista ich opuszcza. Nie pozostawi w tym wieczorze nawet zadraśnięcia. Goście zachowują się tak samo jak przedtem. Drinki smakują tak jak przedtem. Rozmowy toczą się tym samym torem. Śmiech trwa dokładnie tyle samo. Enzo Zanetti zatrzymuje się na schodach, zapina płaszcz i zapala papierosa. Obok niego ktoś staje. To żartowniś z baru. Wyciąga papierosa, Enzo Zanetti podaje mu ogień. Ewald Kristoffersen rozgląda się szybko; na szczęście nigdzie nie dostrzega pani Vik, ale widzi jeszcze jej fatyganta, który odbiera w szatni futro.

– Wcześnie kończymy wieczór dziś wieczorem – mówi Ewald.

Enzo Zanetti idzie przez Kristian Augusts gate i znika między latarniami, tak jak zniknął między stolikami w Bristolu.

Kiedy Ewald wraca do domu, Jesper śpi. Śpi głęboko. Maj natomiast jest bardzo rozbudzona. Ewald w zasadzie się cieszy, że żona nie pyta, jak mu poszło na zebraniu, chociaż czuje rozczarowanie, że o tym zapomniała. Ale Maj co innego leży na sercu.

– Martwię się, Ewaldzie.

Ewald przyciąga żonę do siebie i nie wie, co o tym myśleć. Jest tyle powodów do zmartwienia, że niczym nie można się martwić zbyt długo.

– O co?

– Stałam w oknie i czekałam na ciebie. Nagle przed domem zatrzymała się taksówka. Myślałam, że to ty.

Ewald leciutko odsuwa ją od siebie i w końcu puszcza.

– Już jestem w domu. Z trudem wyrwałem się od Rudjorda.

– Ale to była Margrethe. Przyjechała taksówką, w samej sukience. Wyglądała na strasznie nieszczęśliwą, biedaczka.

– Wróciła w samej kiecce?

– Tak. Poszłam do niej, zadzwoniłam do drzwi, ale mi nie otworzyła.

– Ojojoj.

– Jeśli nie otworzy jutro rano, będę musiała poprosić dozorcę…

Jesper wzdycha przez sen, więc małżonkowie milkną na kilka sekund.

– Był dzisiaj grzeczny? – pyta Ewald.

– Tak, tak.

– Tak, tak? Na pewno?

Maj gasi górne światło.

– Tylko trochę niespokojny.

Ewald znów ją obejmuje.

– To akurat ma po swoim ojcu.

Następnego dnia rano Maj dzwoni do drzwi pani Vik, która również tym razem nie otwiera, ale przynajmniej odpowiada.

– Jestem przeziębiona – mówi, a jej głos brzmi tak, jakby była gdzieś daleko.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie.

– Coś ci kupić?

– Nie jestem głodna.

– A co z gazetą? Z „Aftenposten”?

– Tam i tak nie ma nic do czytania. Idź już.

Dopiero tydzień później pani Vik zabiera gazety sprzed drzwi. Dzieje się to akurat wtedy, gdy Maj podnosi z wycieraczki wieczorne wydanie. Widzi, jak pani Vik mozoli się piętro wyżej. Skoro chce mieć tajemnice, to niech ma, przynajmniej przez pewien czas.

– Lepiej się już czujesz? – woła Maj.

Ale z góry dobiega jedynie odgłos zamykających się drzwi. Maj idzie do Ewalda, który siedzi w salonie razem z Jesperem. Ostatnio codziennie wracał do domu na obiad, a czasami przychodził nawet jeszcze wcześniej. Jesper klęczy na kanapie. Maj przypomina sobie nagle, o co zapomniała spytać Ewalda, i czuje wstyd.

– Jak ci poszło to spotkanie z Rudjordem?

Ewald wzrusza ramionami i rzuca skarpetką w Jespera, który głośno się śmieje.

– Dobrze.

– Dobrze?

– Bardzo dobrze. Jak inaczej miałoby pójść?

Maj też się śmieje i pokazuje mu ogłoszenie na stronie dwunastej: *Wzywamy na walne zgromadzenie Oddziału Fagerborg Norweskiego Czerwonego Krzyża w dniu 3 marca 1949 roku o godz. 19.00 w kościele Pastorów. Skromny poczęstunek.*

– Możesz tam pójść po jeszcze więcej inspiracji – mówi Maj.

Jesper rzuca skarpetką w Ewalda, który usiłuje wymyślić jakąś wymówkę, aby nie iść na to zebranie, ale nic mu nie przychodzi do głowy. Cholera, na nic nie może wpaść. Jest bliski wybuchu. Nie ma żadnego pomysłu. Nie ma żadnej wymówki. Nawet z kłamstwami u niego krucho. Zaraz serce wyskoczy mu spod koszuli.

– A ty nie idziesz?

– Ktoś musi przypilnować Jespera.

– Pani Vik nie mogłaby…

Jesper zeskakuje z kanapy, przewraca popielniczkę, wychodzi do holu i kopniakiem zamyka za sobą drzwi. Ewald patrzy na Maj.

– Nie mógłbym zabrać go ze sobą? Wtedy może i ty byś poszła?

– Uważam, że powinieneś iść sam – mówi Maj.

W wieczornym wydaniu „Aftenposten" jest również inne ogłoszenie, tuż pod tamtym: *Enzo Zanetti, prywatne lekcje gry na fortepianie, muzyka klasyczna, jazz i szlagiery. Cały dzień. Oprócz poniedziałków. Tel. 558456.*

Walne zgromadzenie w kościele Pastorów 3.03.1949 r.

Frekwencję na walnym zgromadzeniu należy ocenić negatywnie. Odczytano sprawozdanie roczne i rachunek wyników, skontrolowany przez rewidenta oddziału. Nikt nie zgłosił żadnych uwag, oprócz Ewalda Kristoffersena, który uczestniczył w zgromadzeniu jako obserwator w związku z rocznicą 900-lecia Oslo. Był zdania, że fatalna frekwencja wynika z niedostatecznej liczby ogłoszeń. Według niego bowiem nikt nie oferuje lepszego towaru niż Czerwony Krzyż. Był gotów w związku z tym udzielić kilku rad, gdyby wyrażono takie życzenie. Propozycja padła na podatny grunt i została dobrze przyjęta. Ewald Kristoffersen jest mężem skarbnik Maj Kristoffersen z Oddziału Fagerborg. Niektóre osoby uznały jednak, że nie należy używać słowa „towar". Ewald Kristoffersen stwierdził wówczas, że równie dobrze może mówić o „ideach".

§ 2 statutu mówi: „Co roku z zarządu ustępuje połowa jego członków", postanowiono zatem, że z zarządu odejdzie dwóch członków. Wiceprzewodnicząca, panna Dagny Schelde, odeszła z zarządu na własne życzenie w sierpniu 1948 roku, a sekretarz i była skarbnik, panna Vanda Aasland, musi tymczasowo wycofać się z działalności z powodów zdrowotnych. Wyraziła zgodę na przyjęcie funkcji rezerwowej członkini zarządu.

Do zarządu wybrano następujących 5 członkiń: panią Maję Lessund, panią Else Larsen, panią Maj Kristoffersen, panią Ingrid Arnesen i panią Berit Nordklev. Rezerwowymi członkiniami zostały: panna Vanda Aasland, jak wspomniano powyżej, oraz pani Ingrid Foss.

Ani Randi Heide Steen, ani Robert Levin nie mogli przybyć w celu zapewnienia oprawy artystycznej zgromadzenia, ale w ostatniej chwili okrężnymi drogami udało się zaprosić włoskiego pianistę Enza Zanettiego, który mieszka w Oslo. Na początku sprawiał niestety wrażenie, że czuje się nieswojo i tak nie na miejscu, iż pani Nordklev już chciała interweniować. Po pewnym

czasie jednak zaczął grać naprawdę dobrze, między innymi Sindinga; powiedział też, że pochodzi z Solferino, gdzie w roku 1859 doszło do krwawej bitwy, podczas której poległo 40 000 żołnierzy. A trzy lata później Henri Dunant, nasz założyciel, napisał Wspomnienie Solferino*, apel do świata o pomaganie rannym na polu walki podczas wojny. To było wzruszające. Świat jest mały! Enzo Zanetti, ku wielkiemu zachwytowi przybyłych pań, uczył nas również włoskiego. Swój występ zakończył bowiem hasłem* Tutti Fratelli *i poprosił, aby wszyscy powtórzyli je chórem.*

OBFITOŚĆ PRZEŻYĆ

Bjørn Stranger patrzy na martwą kobietę i mdleje. Przytomność odzyskuje w gabinecie dziekana. Teraz to Bjørn leży sztywny, wyciągnięty na zielonej kanapie dziekana, i chciałby również być martwy.

– Nie pan pierwszy – stwierdza dziekan.

Bjørn Stranger wstaje.

Dziekan podaje mu szklankę wody.

– Będzie dobrze. Tak jak powiedziałem, nie pan pierwszy.

– Dziękuję.

– I również nie ostatni.

Bjørn trzyma szklankę w obu rękach, wypija łyk i spuszcza wzrok.

– Nie nadaję się do tego.

– Proszę nie mówić z taką ostatecznością, ale rzeczywiście powinien pan dogłębnie się nad tym zastanowić.

– Nad czym?

– Nad tym, co pan powiedział. Czy się pan do tego nadaje.

Bjørn Stranger liczył być może na inną odpowiedź, ale i tak jest zadowolony. Zabiera swoje rzeczy z czytelni i wychodzi na Universitetsplassen, na którym studenci stoją w grupkach, rozmawiają, śmieją się i palą papierosy. Niektórzy gapią się na Bjørna Strangera. Większość jednak w ogóle go nie zauważa. Bjørn przechodzi na drugą stronę Karl Johans gate, nie oglądając się za siebie, i idzie wzdłuż Drammensveien aż do Bygdøy allé. Kapie z dachów. Z chodników już niedługo całkiem zniknie śnieg. Bjørna Strangera wypełnia nagle niesamowite poczucie wolności – możliwości dosłownie przepychają się w kolejce. Czas na niego czeka. Ale już moment później ta wolność zaczyna go dławić. Co mu po niej? Wyrzuca notatki z wykładów do kosza na śmieci przy postoju taksówek na Frederik Stangs gate.

Jednocześnie dzwoni telefon na słupie. Ale nie ma żadnej taksówki. Bjørn Stranger się śmieje. Ma ochotę z kimś porozmawiać. Rozgląda się. Telefon dalej dzwoni. Bjørn odbiera. Jakaś kobieta prosi o auto na Gabels gate 19, jak najszybciej.

– Zaraz tam będę – mówi Bjørn Stranger.

Odkładając słuchawkę, przez moment się waha: tak łatwo zrobić coś złego.

Po powrocie do domu Bjørn Stranger przynosi pustą skrzynkę i idzie do sypialni matki. Nikt nie wchodził tu od tamtej pory. Powietrze jest ciężkie, łóżko niezaścielone. Najpierw Bjørn otwiera okno. Potem szafę. Jej ubrania wiszą jak dawniej, ustawione w kolejce kostiumy – od tych do kawiarni Teatralnej po te do restauracji Larsena. To nie wśród nich zamierza zaprowadzić porządek. Kuca i zaczyna zbierać puste butelki. Głównie po ginie Gordon's, łatwo je ułożyć jedna na drugiej. Później zanosi skrzynkę do kuchni i stawia na blacie. Schodzi do antykwariatu. Ojczym stoi zwrócony do niego plecami. Na ogół stoi tyłem. Nie zauważa obecności Bjørna. A może właśnie zauważa i dlatego się nie odwraca. Bjørn widzi futro wiszące na haczyku przy drzwiach. Czyżby ojczym również zaczął sprzątać?

– To nie matki – mówi Bjørn.

Olaf Hall jednocześnie wzdryga się i nieruchomieje.

– Co?

– Futro.

– Nie, nie matki.

– Nie mów „matki".

– To nie jest futro Ragnhild.

– A czyje w takim razie?

Olaf Hall się odwraca. Bjørn siedzi na stołku, którego Olaf używa, aby sięgnąć do najwyższych półek.

– Klientka zostawiła.

Bjørn się śmieje.

– Zniszczyłeś matkę.

Olaf Hall przysuwa się o krok.

– Zniszczyłem Ragnhild czy zniszczyłem jej życie?

– Na jedno wychodzi.

– Nie, wcale nie.

– Cieszę się, że zachowałem nasze nazwisko.

– To oczywiste, że je zachowałeś.

– Ragnhild H a l l. Odkąd przyjęła to nazwisko, zaczęła się dla niej droga w dół.

– Nie musiałeś tego mówić, Bjørn.

– Zaczęła od Ibsena, a skończyła w Chat Noir. Wystarczy przeczytać nekrolog. Juster go napisał.

Olaf Hall patrzy na tego chłopaka, na tego młodego, niedokończonego mężczyznę, który zamyka oczy i opiera głowę na dłoniach. Nic nie mija. Wszystko zostaje w tym chłopcu. W jego twarzy już jest wyryta gorycz, krzyż w każdym kąciku ust.

– Uważasz, że jeśli ktoś źle kończy, to wyłącznie wina innych? – pyta Olaf Hall.

Bjørn Stranger podnosi wzrok.

– Postawiłem w kuchni skrzynkę z pustymi butelkami. Na wypadek gdybyś chciał dostać zastaw. – Wstaje, otwiera drzwi. Wiatr podrywa papiery przy kasie. Olaf Hall unosi rękę, chcąc zatrzymać chłopaka.

– Sprzedałem niedawno książkę, *Wędkarza doskonałego.* Sekretarzowi ambasady angielskiej. Zgadnij, za ile?

– Za pięć koron.

– Razy tysiąc. Za pięć tysięcy.

– Nie przyjdę do domu na obiad.

– Wykłady?

– Bo co?

– Powinieneś chyba coś na siebie włożyć.

– To jedyna rzecz, jakiej mnie nauczyłeś. Marznąć.

Bjørn Stranger zatrzaskuje za sobą drzwi, pchając je nogą.

Olaf Hall myśli to samo, co on: tak łatwo zrobić coś złego. Ale dodaje jeszcze jedną myśl: tak trudno to naprawić. Kiedy dzwoni do pani Vik,

ona nie odbiera. Nie wie, ile razy już próbował. Pani Vik po prostu nie podnosi słuchawki. Olaf musi to naprawić. Tylko tego jest pewien. Wypisuje pozdrowienia na starej pocztówce, wsuwa ją do kieszeni futra i otwiera drzwi. Bjørn ciągle stoi przy furtce, waha się.

– Możesz mi wyświadczyć przysługę? – woła Olaf Hall.

Bjørn wraca niechętnie.

– Mógłbyś odnieść to futro do pani Vik, na Kirkeveien sto dwadzieścia siedem?

– A co za to dostanę?

– Może nagrodę w niebie.

Bjørn wzrusza ramionami.

– Mam coś powiedzieć?

Olaf Hall wkłada futro do torby.

– Tylko to, że bardzo chętnie obejrzę więcej książek.

– Ty się cieszysz, że matka nie żyje.

Olaf Hall wpatruje się w napięte rysy pasierba. Uświadamia sobie, że to wcale nie jest rozgoryczenie. Rozgoryczenie wymaga pewnego doświadczenia, którego chłopakowi ciągle brakuje. Zimą skończył dwadzieścia trzy lata. To raczej uraza, która jest wiekiem dojrzewania rozgoryczenia. U Bjørna uczucia wciąż jeszcze dojrzewają.

– Tego nie powinieneś był mówić – stwierdza Olaf Hall.

Bjørn bierze torbę i kieruje się w stronę Majorstua. Numer 127 musi być prawie na samej górze, bliżej Szpitala Ullevål. Idzie najpierw wzdłuż Jacob Aals gate, przy Valkyrien przecina Bogstadveien, a po drugiej stronie Jacob Aals gate zmienia charakter. Rozszerza się i staje elegantsza. Przed kamienicami ozdobionymi berlińską sztukaterią jest miejsce na malutkie trawniki – teraz, w marcu, zbrązowiałe i mokre. Wszędzie bawią się dzieci. Są brudne i hałasują. Więcej wózków dziecięcych niż samochodów. W jednej z bram stoi koń. Bjørn idzie środkiem ulicy. Co ma zrobić z tym futrem? Może je wyrzucić, oddać komuś, zniszczyć. Ale jest ciekawy. Chce zobaczyć, jak zachowa się pani Vik, kiedy dostanie futro z powrotem. Kto zapomina futra? Przy Suhms gate skręca w lewo i podąża w kierunku Kirkeveien. Za błoniami

i stadionem na Marienlyst widzi budynek Norweskiego Radia, biały gmach, który z daleka wygląda jak zamek. Jest za dwadzieścia druga. W chwili gdy skręca za róg kwartału, nazywanego Jessenløkken, słyszy pisk hamulców, krzyk i głuche uderzenie, któremu towarzyszy wręcz niemożliwy do zidentyfikowania, suchy odgłos. Do Bjørna Strangera wszystko to dociera równocześnie, nie jest w stanie określić, w jakiej kolejności następują dźwięki. Odwraca się i widzi trolejbus stojący ukosem między przystankami. Plątaninę zerwanych kabli na dachu. Na środku skrzyżowania leży na brzuchu jakaś postać, chłopiec, z policzkiem wtulonym w asfalt. Ludzie zatrzymują się na chodnikach i patrzą na dziecko, które wydaje się nieosiągalne i samotne. To Bjørn Stranger podbiega do niego pierwszy i klęka. Z głowy chłopca płynie krew. Włosy są lepkim, czarnym kołtunem. Prawa noga jest dziwnie wykręcona. Oczy usuwają się do tyłu, twarz przybiera inną barwę, robi się sina i błyszcząca. Bjørn Stranger podkłada chłopcu dłoń pod kark, rozwiera mu wargi, wsuwa dwa palce do gardła i wyciąga język. Potem wdmuchuje w jego usta powietrze, mały szarpie się i jęczy. Teraz zbiegają się ludzie. Karetka już jedzie. Bjørn Stranger puszcza chłopca, wstaje, mija gapiów, którzy nie zwracają na niego uwagi, zabiera torbę i pokonuje ostatni kawałek drogi do numeru 127, do którego wejście jest od strony Gørbitz gate. Obok niego przejeżdża karetka. Syreny przypominają coś w rodzaju ciszy. Bjørn Stranger czuje się pusty, obcy, myśli: tak łatwo zrobić coś dobrego. Pani Vik mieszka na drugim piętrze. Bjørn dzwoni do drzwi. Nikt nie otwiera. Dzwoni jeszcze raz. Jeśli nie otworzy i tym razem, Bjørn będzie musiał uznać, że nie ma jej w domu. Nie potrafi się zdecydować, czy ma zostawić torbę na wycieraczce, czy może raczej jeszcze tu wrócić. Nagle ze środka słyszy głos.

– Kto tam?

– Posłaniec, proszę pani.

Pani Vik otwiera. Najpierw tylko uchyla drzwi, potem otwiera je na oścież. Natychmiast rozpoznaje Bjørna Strangera, chociaż ledwie rzuciła na niego okiem, kiedy mijali się koło furtki przy Nordraaks gate.

– Po co przyszedłeś?

– Chciałem to pani oddać – wyjaśnia Bjørn Stranger.

Przez moment obserwuje panią Vik, ale dłużej nie ma na to siły. Wszystko w tej zwyczajnej kobiecie – szarej od stóp do głów, od płaskiej fryzury po równie płaskie kapcie – wręcz go brzydzi. Bezceremonialnie wyciąga futro z torby. Nawet jej zażenowanie jest zwyczajne. Pani Vik stoi z futrem w rękach i nie wie, co powiedzieć. Mogłaby oświadczyć, że już nigdy więcej go nie włoży. Bjørn Stranger może je zabrać, zanieść z powrotem. Ona nie chce tego futra. To również Bjørn może przekazać.

Młody człowiek ma już zamiar odejść.

– Wejdziesz? – pyta pani Vik.

Bjørn zatrzymuje się i łapie powietrze.

– Idę na wykłady.

– Studiujesz medycynę?

– Co jeszcze Olaf o mnie mówił?

Pani Vik patrzy na Bjørna Strangera, który spuszcza wzrok. To ładny chłopiec, choć trochę chuderlawy, prawie przezroczysty, taki jak jego cienkie, jasne włosy, które sczesał do przodu, prawdopodobnie po to, by ukryć już całkiem głębokie zakola. Szare spodnie na jednym kolanie są rozdarte. Przewrócił się?

– Przykro mi z powodu twojej matki – mówi pani Vik.

– Czy pani ma zwyczaj zapominania futra?

– Widziałam ją kiedyś w Teatrze Narodowym. Jako panią Alving. Była wspaniała.

Bjørn Stranger podnosi głowę, czoło ma wilgotne od potu.

– Czy mogę dostać szklankę wody?

Pani Vik wpuszcza go do mieszkania. W salonie Bjørn przysiada na samym brzeżku krzesła. Pani Vik idzie do kuchni po wodę i przynosi mu szklankę.

– Mogę ci też zrobić coś innego do picia. Kawy?

Bjørn wypija wodę jednym haustem i siedzi z pustą szklanką w rękach, wykończony i chyba zagubiony.

– Dziękuję.

– Źle się czujesz?

– Trochę za szybko wszedłem po schodach.

– Skoro tak mówisz… Przecież studiujesz medycynę.

Pani Vik się śmieje. Nie trwa to długo. Bjørn Stranger podrywa się gwałtownie i staje do niej tyłem.

– Mam też przekazać, że Olaf chętnie obejrzy więcej książek.

Teraz pani Vik spuszcza wzrok.

– No to możesz powiedzieć, że niestety więcej książek nie mam.

– Wyraził się nawet: bardzo chętnie.

Bjørn Stranger się odwraca, oddaje pustą szklankę i nagle zaczyna mu się spieszyć. Pani Vik odprowadza go do drzwi. Potem podchodzi do okna i obserwuje, jak Bjørn spiesznym krokiem idzie w stronę Jacob Aals gate. W tej samej chwili zza rogu od strony Kirkeveien wyłaniają się Maj i Jesper. Każde niesie siatkę z zakupami. Pani Vik robi krok w bok. Wkrótce słyszy ich na schodach. Za chwilę dzwonek. Że też nie może mieć sekundy spokoju! Wkłada futro do szafki pod zegarem.

– Teraz już musisz mi otworzyć! – krzyczy Maj.

Pani Vik wychodzi do przedpokoju i uchyla drzwi.

– Dlaczego miałabym ci nie otworzyć?

– Dlatego że całymi dniami siedzisz zamknięta. Zaczęliśmy się już niepokoić.

– Niepotrzebnie. Ale dziękuję. Coś się stało?

Jesper chowa się za Maj, która odstawia siatkę.

– Może już słyszałaś?

– Co miałam słyszeć? O niczym nie słyszałam.

– O tym wypadku.

– Jakim wypadku? Mówże wreszcie! Nie mam całego dnia.

– Jostein miał wypadek. Synek rzeźnika. Trolejbus go potrącił przy Suhms gate.

– O mój Boże! Zawsze powtarzałam, że to skrzyżowanie jest śmiertelnie niebezpieczne. Żyje?

– Tak. Dzięki młodemu człowiekowi, który akurat się tam znalazł.

– Jakiemu młodemu człowiekowi?

– Nie wiem. Odszedł, kiedy przyjechała karetka. Ale znał się na pierwszej pomocy i to uratowało Josteinowi życie. Sama widzisz, jak ważne są te kursy, które organizujemy w Czerwonym Krzyżu.

Pani Vik na chwilę się zamyśla, uśmiecha się, co jest wysoce nie na miejscu, i mówi:

– Czy nie tego właśnie wszyscy pragniemy?

– Czego?

– Ratować życie.

Pani Vik chce zamknąć drzwi. Zostać sama. Ale Maj ją uprzedza. Wypycha przed siebie opierającego się Jespera.

– Teraz przeprosisz panią Vik.

– Nie trzeba. – Pani Vik kładzie mu rękę na głowie.

Jesper się odsuwa. Maj przytrzymuje go jeszcze mocniej.

– Owszem, trzeba. Wypluł cukierka. Powiedz „przepraszam", Jesper.

Jesper podnosi wzrok na panią Vik; w jego oczach jest coś, co ją przeraża, coś, co odpycha wszystko stojące na drodze.

– To pani powinna przeprosić – mówi Jesper.

Wyrywa się i zjeżdża po poręczy na pierwsze piętro. Maj wzdycha.

– Ciągle przy odkurzaniu znajduję igły z choinki.

Biegnie za Jesperem, mądra po szkodzie, tym razem chłopak już jej nie umknie. Pani Vik zamyka drzwi i czuje nagłe zmęczenie. Ogarnia ją niespodziewanie. Ma ochotę się położyć. Ale jest za wcześnie. Właśnie w taki sposób zaczyna się umieranie. Człowiek kładzie się za wcześnie. Pani Vik podgrzewa jakieś resztki z poprzedniego dnia, których nie zjada. Jutro będzie za późno, żeby podgrzać je jeszcze raz. Dwa razy można, ale nie trzy. Na tym polega ograniczenie, jakiemu podlegają resztki. Wyrzuca ostatki do kubła na śmieci, nie ma siły go wynieść i może jedynie mieć nadzieję, że w nocy nie zaśmiardną. Zanim pogasi światła w mieszkaniu, wyjmuje futro. Podjęła już decyzję. Nigdy więcej go nie włoży. Poza tym sezon minął, futro pójdzie w odstawkę. Może powisieć w chłodni u Eksperta od Odzieży i Obuwia. We wrześniu będzie mogła je oddać na kiermasz organizowany przez Czerwony Krzyż. Myśli sobie, że na starość większość rzeczy pojawia się

w niewłaściwej kolejności. Pozbędzie się futra, a sama zapadnie w sen zimowy. Zapada się w obfitość przeżyć, między resztki, które z taką samą prędkością opadają ku początkowi nocy. I właśnie wtedy w kieszeni futra znajduje pocztówkę. To stary motyw z Boulevard St. Michel, z Café Fleur i Café Odeon po bokach. Pani Vik siada w uszaku pod ciemnożółtym światłem i czyta: *Droga Margrethe! Wybacz mi. Nie wiem, kiedy jest za wcześnie, bo się boję, że na wszystko będzie za późno. Wiem tylko, że gdy Cię zobaczyłem, najpierw na Cmentarzu Zachodnim, a później w kolejce jadącej na Majorstua, wiedziałem, że to Ty jesteś moim biletem przesiadkowym do życia, jakiego pragnę. Twój Olaf.* Pani Vik czyta całość jeszcze raz. Bilet przesiadkowy? Co za głupek! Drze widokówkę na tyle kawałeczków, na ile zdoła, i wyrzuca je, tam gdzie resztki.

Dnia 6 marca odbyło się posiedzenie Komitetu Wykonawczego.

Odczytano rozmaite podziękowania od emerytów oraz innych osób za otrzymane podarki gwiazdkowe, a także noworoczne pozdrowienia z życzeniami dla Komitetu Wykonawczego od pani Bergljot Galtung. Sekretarz, pani Petra Scheel, odczytała sprawozdanie roczne oraz skontrolowany przez rewidenta rachunek wyników za rok 1948. Jego kopię dołączono do teczki z rachunkami oddziału.

W sprawie kiermaszu obwieszczono, że odbędzie się on w dniach 10–21 września. Jak zwykle 35 % zysków zostanie przekazanych Kościołowi, taka jest decyzja Zarządu Krajowego. Liczba nagród w loterii to maksimum 5. Jeden kurs dla Przyjaciół Pacjentów już się odbył, a kolejny rozpocznie się w najbliższych dniach. Usługi dobrowolnej pomocy w szpitalach ruszyły w Klinice przy Wergelandsveien z udziałem 20 chętnych. Raport z oddz. Fagerborg został odczytany przez przewodniczącą, panią Esther Andersen. Służba zostanie rozszerzona między innymi na Szpital Centralny, Dom Opieki na Adamstuen oraz Klinikę Inwalidów.

Wśród zakończonych kursów wymieniono kursy dla uczennic klasy siódmej z zakresu pielęgniarstwa domowego, pierwszej pomocy oraz pielęgnacji niemowląt. Najwyraźniej uznano za słuszne, aby koszty tych kursów pokrywała gmina i aby stanowiły element edukacji. Zorganizowano także kursy pierwszej

pomocy dla oddziałów Obrony Terytorialnej w szkole Huseby oraz 4-godzinny kurs pomocy pielęgniarskiej dla wolontariuszek.

Trwają intensywne prace nad znalezieniem większego, 50-pokojowego domu dla emerytowanych pielęgniarek. Podjęto negocjacje ze spółdzielnią mieszkaniową Obos. Według przewodniczącej taki dom jest bardzo potrzebny.

Dnia 7.03.1949 r. odbyło się posiedzenie zarządu u przewodniczącej, pani Berit Nordklev, która odczytała powyższe sprawozdanie z ostatniego walnego zgromadzenia/posiedzenia Komitetu Wykonawczego.

POWIĄZANIA

Jesper słyszy głosy. Nikomu o tym nie mówi. Ale je słyszy. Kiedy przykłada ucho do ściany w salonie, tej wychodzącej na Kirkeveien, słyszy głosy, chociaż nikt nie rozmawia. Ojciec leży na kanapie i przegląda gazetę. Od dawna się nie odzywa. A matki nie ma w domu. Głosy muszą tkwić w ścianie albo znajdować się gdzieś na zewnątrz. Najwyraźniejsze bywają wieczorami, tak jak teraz. Jesper je słyszy. Czy słyszy je tylko on? Na pewno nie słyszy ich ojciec. Inaczej odłożyłby gazetę. Jesper jednocześnie się boi i czuje ulgę. Te głosy mówią do niego. Słyszy, jak chłopiec od rzeźnika szepcze: „Nie chcę umierać". Słyszy, jak kierowca trolejbusu krzyczy: „Wybiegł mi prosto pod koła!". Słyszy, jak doktor Lund pociesza: „Nie umrzesz. Wszyscy umrą". Nie wiedzą, że Jesper ich słyszy. Nie wiedzą, że słucha. Słyszy, jak pani Vik się modli: „Ojcze nasz, któryś jest…". I znów chłopca od rzeźnika: „Dlaczego jest tak cicho?". I słyszy matkę:

– Czy naprawdę musiałeś coś mówić?

Jesper się odwraca i widzi ją w drzwiach, rozzłoszczoną, ciągle w płaszczu. Ojciec leniwie zerka znad gazety.

– A coś powiedziałem?

– Na walnym zgromadzeniu!

– Uznałem, że będzie słusznie i sprawiedliwie, jeśli dam się poznać.

– Miałeś tam być jako obserwator! Taka była umowa.

Ewald odkłada gazetę na stół.

– Wstydzisz się własnego męża?

Maj dopiero teraz dostrzega Jespera, który siedzi w kącie i rękami obejmuje kolana.

– Jeszcze się nie położył?

– Najwyraźniej. Wstydzisz się mnie?

Maj robi krok w kierunku Jespera.

– Idź do łazienki i szykuj się do spania. Zaraz do ciebie przyjdę.

Jesper podnosi się powoli i wychodzi ze spuszczoną głową.

Maj znów zwraca się do Ewalda:

– A tobie by się podobało, gdybym wparowała do Dek-Rek i zaczęła tłumaczyć, co i jak należy robić?

Ewald głośno się śmieje.

– Nigdzie nie wparowałem.

– Dlaczego nie położyłeś Jespera?

– Poza tym tego nie można porównywać. Dek-Rek to moja praca.

– Aha! Wobec tego przepraszam, że istnieję.

Ewald już się nie śmieje.

– O co ci chodzi?

– Wszystko, co t y robisz, jest o wiele ważniejsze.

Ewald wstaje.

– Między innymi zarabiam pieniądze. A ty zarabiasz? Nie.

Maj pozwala mu się wygadać i idzie do łazienki, gdzie Jesper myje zęby nad umywalką. Krzywo zapiął piżamę. Maj chce to poprawić, ale rezygnuje. Odprowadza go do holu. Jesper się kładzie i odwraca do niej plecami.

– Nie możesz się gniewać na panią Vik – mówi Maj.

Jesper nie odpowiada.

– Jeśli już musisz się na kogoś gniewać, to raczej gniewaj się na mnie.

Syn ciągle leży odwrócony tyłem. Maj nachyla się nad nim.

– Pani Vik powtórzyła mi to, co jej powiedziałeś, bo bardzo cię lubi. Jesper?

Odgłos jego oddechu przypomina dźwięk fletu.

– Spadasz teraz?

Maj przytrzymuje go mocno. Kiedy ma pewność, że zasnął, puszcza go i idzie do Ewalda, który jeszcze nie skończył swojej przemowy.

– Czy Czerwony Krzyż zdołał załatwić nam telefon? Co? Nie, tego Oddział Fagerborg Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża nie zdołał załatwić.

Maj ostrożnie zamyka za sobą drzwi, a Jesper słyszy, jak matka mówi:

– Bardzo by ci to pasowało, prawda? Nie musiałbyś dzwonić do pani Vik, żeby się ze mną porozumieć za każdym razem, kiedy utkniesz w Bristolu.

– Nie zauważyłaś, że wracam do domu na obiad? A może zrobiłem się ostatnio niewidzialny?

Jesper słucha, ale te głosy są inne od tamtych, które słyszał wcześniej. Są obce, chociaż je zna, chociaż to te głosy są mu najbliższe. Nie mówią dla niego. Nie mówią do niego. Mówią jeden obok drugiego, aż w końcu któryś się poddaje i oba na pewien czas milkną. Wreszcie matka odzywa się cicho:

– Nie kłóćmy się.

Ojciec też zniża głos:

– Zamiast tego możemy się trochę popieścić.

– Ewald! Obudzisz Jespera!

Ale nie mogą obudzić Jespera, bo Jesper nie śpi. Leży w ciasnym łóżku w wąskim holu bez okien, a przez jego głowę przechodzą wyładowania elektryczne. Głowa zmieniła się w poduszeczkę do igieł. Wkrótce słyszy rodziców szykujących się do snu. Widzi przesuwające się cienie, w ciemności zostaje po nich welon tytoniu i perfum. Zaraz potem słyszy ciszę, która mimo wszystko nie jest cicha. Dźwięki płyną przez nią wszerz i wzdłuż. To dźwięki między głosami. Słychać trzaski. W każdej chwili może dojść do wybuchu. Ale wybuch nie następuje. Trzaski się nie kończą. Jesper wstaje, otwiera drzwi do przedpokoju i zamyka je za sobą. Wsuwa stopy w kalosze ojca, a na piżamę wkłada jego płaszcz. Wychodzi. Miasto jest cichsze niż mieszkanie. Świat spokojniejszy niż hol. Jesper podnosi wzrok na mur przy oknie ich salonu. W tym miejscu umocowana jest wiązka przewodów. Ciągną się łagodnym łukiem do cienkich kabli, pod którymi przejeżdża trolejbus i z których często się iskrzy, sypią się niebieskie, niemal czworokątne błyskawice. Teraz się nie błyska. Jesper idzie wzdłuż kabli przez Kirkeveien. Przypominają mu ruchome schody w Steen & Strøm. Zatrzymuje się przy sklepie rzeźnika. Na drzwiach wisi tabliczka: *Zamknięte z powodu wypadku.* Czy nie wszystko jest zamknięte nocą? Jesper żałuje, że nie jego to spotkało.

Idzie dalej na Majorstua, tam kable rozbiegają się na wszystkie strony. Nie widać, gdzie jeden się kończy, a zaczyna drugi. Przypomina sobie, że przed świętami jechał z matką tramwajem. Wybiera tę drogę. Nigdzie nikogo nie widać. Jesper jest jedynym człowiekiem na ulicy. Kalosze są tak duże, że ledwie unosi stopy. Płaszcz ciągnie się po chodniku. Jesper dochodzi do jakiegoś kościoła, który stoi na szczycie wzgórza; zegar na wieży przypomina księżyc w pełni ze wskazówkami – jest piętnaście po czwartej. Nagle Jesper słyszy muzykę. W wąskiej bocznej uliczce jedno z okien jest uchylone. Ktoś gra na pianinie. Słyszał tę melodię już wcześniej. To już trzeci raz. Dźwięki są od siebie odległe, wahają się, przeciągają, ale nie zawodzą. Wpadają na swoje miejsca, tam gdzie mają wpaść, i Jesper też trafia na swoje miejsce. Rozpoznaje się. To tutaj chciał dotrzeć. Muzyka jest lepsza niż głosy. Jesper płacze. Nie rozumie dlaczego. To tęsknota, o której nie wiemy. To coś, czego tylko się domyślamy, mgliste i niepojęte, coś, co pewnego dnia się ukaże, wyraźne i już przeżyte. Nagle muzykę przerywa ryk syreny, rozdzierający również ciemność. Alarm w remizie straży pożarnej na Briskeby. Jesper zatyka uszy palcami. Wozy z drabinami aż się przechylają na skręcie przy Bondebakken. Gdzieś się pali. To niebo płonie. Noc jest zepsuta. Jesper wraca do domu. Nie ma klucza. Siada na schodach i czeka. Wkrótce zjawia się roznosiciel gazet. Przebiega obok Jespera i zanim „Aftenposten" wyląduje na wycieraczce, on już jest piętro wyżej. Kiedy pędzi na dół, zatrzymuje go pani Vik, która prosi, żeby zachowywał się trochę ciszej i tak nie tupał, bo przecież obudzi całą klatkę. Gazeciarz nie ma czasu się tym przejmować, śmieje się tylko, a na odchodne rzuca jeszcze: „Na co pani «Aftenposten», jeśli się pani nie obudzi?". Pani Vik wychyla się przez poręcz, żeby powiedzieć mu kilka dodatkowych słów do słuchu, ale wtedy zauważa Jespera siedzącego pod płaszczem. Schodzi i siada przy nim.

– Co robisz, Jesper?

– Nie powiem.

– Chcesz, żebym cię pierwsza przeprosiła?

– Nie musi pani.

Pani Vik delikatnie kładzie mu rękę na ramieniu.

– Ty też nie możesz spać?

Jesper na nią nie patrzy.

– Jak się nazywała ta piosenka, którą u pani słyszałem?

– Jaka piosenka?

– W radiu.

– Nie pamiętam.

Jesper zaczyna nucić. Z zamkniętymi oczami nuci *Gymnopédie No. 1* Erika Satiego. Pani Vik uważnie mu się przygląda. Napięte usta nagle miękną i łagodnieją. Kiedy Jesper otwiera oczy, znów milknie, ale jeszcze przez chwilę pozostają w nim elastyczność melodii, łagodność w twarzy, melancholia dziecka.

– Mam tu posiedzieć, dopóki Ewald nie przyjdzie po gazetę?

– Może.

– A co mu powiemy?

Jesper wzrusza ramionami.

– Że szukałem dla nich telefonu.

Dnia 4.04.1949 r. odbyło się zebranie członków w domu parafialnym na Fagerborgu. Za radą Ewalda Kristoffersena wcześniej rozdano w dzielnicy 1500 okólników z informacją o zebraniu. Porządek dzienny obejmował informację o pracy Oddziału Fagerborg Czerwonego Krzyża, przygotowaną przez przewodniczącą oddziału, panią Berit Nordklev, referat na temat pracy Czerwonego Krzyża w Norwegii oraz w innych krajach, wygłoszony przez zastępcę sekretarza generalnego Jensa Meinicha, a także część artystyczną, podczas której wystąpił Bjørn Wall. Następnie pan Bendiksen, inspektor do spraw pedagogicznych ze szkoły na Majorstua, wzruszająco opowiedział o swoim pobycie w obozie koncentracyjnym Grini, a następnie w Bergen-Belsen. Opowieść o tym, jak Czerwony Krzyż ratował ludzkie życie i niósł pociechę zarówno u nas w kraju, jak i w Niemczech, wzruszyła nas wszystkich i umocniła nasze zaangażowanie i optymizm. Sprzedaż losów na loterię, w której nagrodą był kosz z artykułami delikatesowymi, przyniosła 180,– koron. Ponadto z Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża przewodnicząca otrzymała 20 par butów; był to dar organizacji Norgeshjelpen z Ameryki. Obuwie zostało już przekazane diakonisie, która podjęła się jego rozdzielenia, tak aby buty trafiły do

potrzebujących z naszej parafii. Łączne koszty organizacji zebrania, takie jak wynajem sali, kwiaty, a zwłaszcza kopie okólnika itp., wyniosły 214,– koron.

W zebraniu uczestniczyło 160 osób.

NAUKA
O ZWIERZĘTACH DOMOWYCH

Pani Vik siedzi przy jednym z okrągłych stolików na tarasie i czeka. Nigdy nie widziała miasta od tej strony. Wydaje się takie małe. Karl Johans gate wygląda jak cienki sznurek, na którym zawieszony jest Dworzec Wschodni. Światło zamazuje budynki. Kościół Ris na wzgórzu po przeciwnej stronie przypomina białą plamę na zielonej zasłonce. I gdyby ktoś nie wiedział, że jest inaczej, mógłby pomyśleć, że wielki budynek Magazynu Portowego to zamek królewski. Prom do Danii cumuje przy nabrzeżu Vippetangen, a w zatoce Bjørvika stoją w kolejce frachtowce. Kuter przecina fiord między wyspą Hovedøya a latarnią morską Dyna. Słońce świeci nieprzerwanie. A jednak chłodny powiew potrafi przyciemnić cienie pod drzewami na zboczu, stromo opadającym ku torom kolejowym. Podchodzi kelner. Pani Vik mówi, że jeszcze zaczeka. Kelner uśmiecha się porozumiewawczo i powoli się wycofuje, dając jej czas na zmianę zdania. W restauracji na wzgórzu Ekeberg wolno zmieniać zdanie. Pani Vik odwraca głowę. Przy innych stolikach siedzą pary niebędące parami. Słyszała plotki. Teraz może to zobaczyć na własne oczy: urzędnicy biurowi i kobiety, które nie są ich żonami. Za bardzo się wystroiły. Nikt się tak nie stroi dla własnego męża. W dodatku wszyscy mówią tak cicho, że równie dobrze mogliby milczeć. Ujawniają to, co próbują ukryć. Dłonie na obrusie są zbyt niespokojne. Dotykają się palcami. To ohydne. Duszno tu, chociaż jest wiosna, maj. Pani Vik żałuje. Raz już popełniła błąd, zgadzając się na spotkanie w Bristolu. Teraz popełnia go po raz drugi. Dlaczego chciał się umówić właśnie tutaj? I jeszcze się spóźnia. Dlaczego nie w gospodzie Herregård, która jest znacznie bliżej? Albo mogli po prostu pójść na spacer. Tak, tak byłoby najlepiej – na spacer, może do parku Frogner, a potem się rozejść. To takie zwyczajne. Niezobowiązujące. Tak się robi. Pani Vik wciąga rękawiczki i odsuwa krzesło. Wtedy

zauważa Olafa Halla na zboczu. Wygląda na spoconego i zdyszanego. Podnosi głowę, macha do niej, a ostatni odcinek przebywa prawie biegiem. Wreszcie siada. Kładzie dłonie na obrusie, ale zaraz je stamtąd zabiera, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić.

– Zmarzłaś? – pyta.

– Nie, dlaczego?

– Bo włożyłaś rękawiczki.

– Właśnie miałam wychodzić.

– Przepraszam. Tyle rzeczy się dzisiaj wydarzyło. Naprawdę przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

– Owszem, ale tak jak powiedziałem…

Przerywa im ten sam kelner, który kładzie między nimi menu. Zamawiają kawę i szarlotkę. Potem rozmowa zamiera. Nie odzywają się do siebie ani słowem, dopóki kelner nie przyniesie zamówienia. Szarlotka jest na ciepło, z niedużą porcją bitej śmietany. Najpierw próbują kawy. Olaf Hall pije ją ze śmietanką, pani Vik bez.

– Duży ruch w antykwariacie? – pyta pani Vik.

– Nie, we wtorki mam zamknięte. Ale przyszedł list. Nieznośny list. Musiałem wykonać kilka telefonów.

Olaf Hall wyjmuje kopertę i kładzie ją na stoliku. W jednym rogu widnieje symbol Czerwonego Krzyża. Adresatką jest Ragnhild Hall. Pani Vik nie sięga po kopertę. Nie chce czytać cudzych listów. Olaf Hall nachyla się nad stolikiem, nagle rozzłoszczony. Przyciska list palcem.

– To zaproszenie od zarządu Oddziału Fagerborg Czerwonego Krzyża. Dla Ragnhild. Pytają, czy nie zechciałaby wystąpić w części artystycznej na walnym zgromadzeniu. Słyszałaś coś podobnego?

– Rzeczywiście, źle się stało.

– Nie dość, że w ogóle się nie zorientowali, że Ragnhild nie żyje, to jeszcze w dodatku uważają, że mogłaby się angażować w coś tak prostackiego jak działalność charytatywna czy inne wygłupy.

Pani Vik nic na to nie mówi, chociaż miałaby ochotę, mogłaby na przykład powiedzieć, że działalność charytatywna wcale nie jest

prostacka i nie można jej nazwać wygłupami. Ale potrafi zrozumieć Olafa Halla. Sama znajdowała w skrzynce pocztowej spóźnione listy zaadresowane do Halfdana Vika, to bolało. Olaf Hall wzdycha ciężko i chowa kopertę z powrotem do kieszeni blezera.

– Rzadko wpadam w gniew. Ale tym razem tak się stało.

– Miałeś ku temu wszelkie powody.

Przez chwilę jedzą szarlotkę. Śmietana jest rzadka, spływa z widelczyków. Powiew wiatru porywa serwetkę pani Vik. Olaf Hall ją łapie i oddaje jej z powrotem.

– Może nie potrafię znieść prawdy – mówi.

– Jakiej prawdy?

– Że pod koniec Ragnhild właśnie tym się stała. Rozrywką podczas przerwy.

– Aż tak źle chyba nie było?

– Owszem, było aż tak źle. Nie dostała pracy nawet w Edderkoppen. Nikt jej nie chciał. Mogła występować jedynie wtedy, gdy wszyscy inni odmówili, i to bezpłatnie.

– Ale przecież otrzymywała duże role?

– Tak, na początku. Potem się rozpadła. Zniszczyła się. Są ludzie, którzy wybierają samozniszczenie. Niszczenie w sobie wszystkiego, co dobre.

– Nie wiadomo, czy to na pewno ich wybór.

– Sam już nie wiem. Wiem jedynie, że w końcu nic nie zostało z osoby, dla której kiedyś straciłem głowę.

Olaf Hall gwałtownie milknie i patrzy na fiord, spowity błękitną mgiełką. Wzgórza za nim są bezbarwne, zlewają się z niebem. Powietrze drży. Pani Vik nie podoba się ta rozmowa. Nie powinna siedzieć tu, w restauracji na Ekebergu, i rozmawiać o zmarłych. Zwłaszcza o Ragnhild Hall. Rozumie, że to błąd, ale nie potrafi go naprawić.

– Często tu przychodzisz? – pyta.

Olaf Hall patrzy na nią.

– Dziękuję, że w ogóle chciałaś się ze mną spotkać.

– Nie co dzień dostaję pocztówkę w futrze.

Olaf Hall śmieje się cicho i odkłada widelczyk.

– Lubię ten widok. A skoro nie mogliśmy się umówić w Café Fleur ani w Odeonie w Paryżu, uznałem, że tu będzie najlepiej.

– Przyniosłam ze sobą książkę – dodaje pani Vik.

Wyjmuje z torebki stary tom i kładzie go na stole. To *Nauka o zwierzętach domowych* Bernta Holstmarka, opublikowana przez wydawnictwo Grøndahl & Søn w roku 1913. Olaf Hall przegląda ją z roztargnieniem, zatrzymując się przy niektórych kolorowych planszach, przedstawiających różne rasy koni. Na marginesie są notatki.

– Opowiedz o swoim mężu.

Pani Vik spuszcza wzrok. Czy można być niewiernym wobec zmarłych? Za plecami słyszy śmiech. Musi z wielką starannością dobierać słowa.

– Halfdan był odpowiedzialny za psy króla.

– Pewnie był dobrym człowiekiem.

– Tak, był dobrym człowiekiem. Tylko że odszedł za wcześnie.

– Mogę spytać, jak to się stało?

Pani Vik podnosi wzrok. Olaf Hall powiesił blezer na oparciu krzesła. Biała koszula jest odprasowana, ale leciutko pożółkła, za długo leżała w szafie. Panią Vik nagle zalewa czułość.

– Tobie chyba nigdy nie jest zimno, Olafie.

Wychwyciła poufałość w swoich słowach, on również zwrócił na nią uwagę. To przyznanie się. Pani Vik przyznaje się, że go obserwuje. Olaf Hall przesuwa rękę w jej stronę.

– Jest maj. Słońce grzeje. Jesteś pewna, że t o b i e nie zimno?

Pani Vik przyciąga rękę do siebie.

– Umarł w trakcie wykładu dla studentów Wyższej Szkoły Weterynarii. Na temat inseminacji świń.

– No tak, wojna zniszczyła ludzi.

– Nie umarł przez wojnę, tylko na serce.

– Zawsze umiera się na serce.

Pani Vik woli rozmawiać o czymś innym.

– Może nie interesuje cię ta *Nauka o zwierzętach domowych*?

– Plansze są ciekawe.

Olaf Hall jeszcze raz otwiera książkę i zakłada okrągłe okulary w cieniutkich oprawkach. Przez chwilę milczy, w końcu patrzy znad szkieł na panią Vik.

– Mogę ci coś przeczytać?

– Byle nie z rozdziału o ciężarnych maciorach.

Olaf Hall popycha okulary na nos i zaczyna czytać. Głos ma przyjemny, powolny, kojarzący się z radiem.

– „Niniejszy podręcznik pod żadnym względem nie wziął sobie za cel oryginalności, do napisania takowego brak mi zarówno niezbędnego praktycznego doświadczenia w pielęgnacji zwierząt domowych, jak i obszernej wiedzy teoretycznej, umożliwiającej samodzielne potraktowanie tak wszechstronnego materiału. Dlatego gorąco pragnąłem, aby ktoś posiadający odpowiednie warunki w tym zakresie podjął się takiej pracy. Ponieważ jednak nikt nie wykazał ku temu chęci, brak tego rodzaju podręcznika zmusił mnie do podjęcia próby, której efektem jest ta książka. Zważywszy na to, proszę o jej wyrozumiałą i łaskawą ocenę".

Olaf Hall zamyka podręcznik, zdejmuje okulary i patrzy na panią Vik.

– Napijemy się białego wina, Margrethe?

Pani Vik jest tak zaskoczona, że tylko kiwa głową. Natychmiast tego żałuje, ale jest już za późno. Olaf Hall zdążył zwrócić na siebie uwagę kelnera i wkrótce na stoliku stają dwa schłodzone kieliszki. Olaf Hall i pani Vik wznoszą toast, po czym Olaf się nachyla.

– Chciałbym ci się z czegoś zwierzyć.

– Nie musisz.

– Owszem, nalegam. Będziesz pierwszą osobą, której to wyznam.

– Wobec tego mów.

– Jesteś gotowa?

– Chyba tak.

– Pracuję nad tomikiem wierszy.

Pani Vik nie bardzo wie, gdzie ma podziać oczy. Postanawia patrzeć na wejście do restauracji. Tam może zatrzymać wzrok.

– Muszę przypudrować nos – mówi.

Olaf Hall chwyta jej rękę i natychmiast ją puszcza.

– Tylko nie zniknij mi i tym razem.

Pani Vik znajduje toaletę przy szatni. Na szczęście nikogo tam nie ma. Opiera się o umywalkę. Co ona sobie wyobraża? Jest dobrze po pięćdziesiątce. Jest wdową. Życie już włączyło dla niej stoper. Podnosi głowę. Twarz w lustrze jest zarumieniona. Najwidoczniej z powodu słońca, wiatru. Z powodu całego tego światła. Pani Vik lekko się pudruje, oddycha głęboko i wraca do stolika.

– O czym są twoje wiersze? – pyta.

– O życiu i człowieku. O życiu człowieka.

– To rozległy temat.

– Czułem dokładnie to samo, co ten Holtsmark. Musiałem napisać własną książkę, ponieważ jeszcze nie istniała.

– Jest już gotowa?

– Nie można się spieszyć. Trzeba na to poświęcić tyle czasu, ile się potrzebuje. Ja poświęcam noce.

– Może mógłbyś mi kiedyś przeczytać jakąś strofkę?

Olaf Hall nakrywa jej dłoń swoją i na chwilę ją tak zostawia.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, Margrethe.

Mogą wsiąść do tramwaju albo kawałek się przejść. Decydują się na to drugie. Popołudnie jest przyjemne, mimo pojedynczych porywów wiatru, od których fiord pokrywa się pianą. Olaf Hall zostawia pięciokoronowy banknot jako napiwek i kładzie na nim popielniczkę, żeby nie zwiał go ostrzejszy podmuch. Pani Vik uświadamia sobie, że Olaf Hall sprawia wrażenie nawykłego do takich zachowań. Poza tym uważa to za grubą przesadę. Połowa tego to i tak byłoby za dużo. Ale nic nie mówi. To nie jej sprawa. Idą przez zagajnik, przechodzą przez tory tramwajowe, mijają Szkołę Morską. Nie trzymają się zbyt blisko siebie. Gdyby ktoś ich zobaczył, nie wiedząc, jak jest, mógłby pomyśleć, że idą

osobno. Chwilę później jednak, na ostrym zakręcie, z którego widać północne krańce miasta, znów przybliżają się do siebie.

– Musisz być dumny ze swojego syna – mówi pani Vik.

– Pasierba.

– Z Bjørna. Naprawdę dumny.

Olaf Hall zatrzymuje się i łapie ją za ramię. W oczach ma jakiś niepokój, udrękę. Patrzenie na to niemal boli.

– Myślisz o czymś konkretnym?

– Nie mówił ci?

– W ogóle mało mi mówi.

– Tamtego dnia, kiedy przyniósł futro, uratował ludzkie życie – wyjaśnia pani Vik.

Czuje szarpnięcie za rękę.

– Twoje?

Pani Vik się śmieje.

– Nie, aż tak źle nie było. Uratował syna rzeźnika.

Olaf Hall stoi jeszcze chwilę, po czym puszcza panią Vik i pospiesznie przeczesuje dłonią siwą czuprynę. Pani Vik wygładza rękaw płaszcza. Powietrze jest przejrzyste i nieruchome. Idą dalej obok ruin kościoła Świętego Hallvarda i znikają w Oslo.

Dnia 14 maja odbyło się posiedzenie zarządu u pani Ingrid Arnesen. Obecne: przew. pani Berit Nordklev, pani Ingrid Arnesen, panna Vanda Aasland i pani Maj Kristoffersen. Do omówienia: wpłynęło pismo z odpowiedzią od radnego do spraw mieszkaniowych w Oslo, w którym informuje on, że obecnie niemożliwe jest uzyskanie lokalu na żłobek w okręgu Fagerborg. Przewodnicząca będzie pamiętać o tej sprawie i jeszcze do niej wróci.

Do Urzędu ds. Tekstyliów przesłano wniosek o przydział białego płótna do wykorzystania w naszym magazynie.

Zarząd Główny Czerwonego Krzyża przekazał list Torsteina Malma z okręgu Fagerborg, który prosi o pomoc dla siebie i swojej rodziny. Przewodnicząca przeanalizuje tę sprawę z pomocą diakonisy.

Zakupiono lalkę, która będzie główną nagrodą na loterii podczas wrześniowego kiermaszu Czerwonego Krzyża, i rozpoczęto prace polegające na szyciu ubranek dla niej.

Omówiono dwa pisma z podziękowaniami za otrzymane obuwie.

Nasz oddział omyłkowo wysłał do aktorki Ragnhild Hall prośbę o występ podczas walnego zgromadzenia. Wyrażamy z tego powodu ubolewanie, ponieważ Ragnhild Hall zmarła w zeszłym roku. Wdowcowi po niej, Olafowi Hallowi, przesłano kwiaty i list z przeprosinami, zaproponowano mu również dwuletnie bezpłatne członkostwo w Czerwonym Krzyżu.

KONSTYTUCJE

Pani Vik podrywa się gwałtownie. Wcale nie obudzili jej maturzyści, którzy z krzykiem biegną przez Gørbitz gate do szkoły na Fagerborgu, obudził ją sen. Przyśnił jej się koń tarzający się w błocie. A ten sen przypomniał jej o czymś. Siedzi na łóżku, ale musi się go mocno przytrzymywać, żeby nie upaść: *Nauka o zwierzętach domowych*! *Nauka o zwierzętach domowych* Holstmarka! Czy książka została w restauracji na Ekebergu? Czy może Olaf Hall ją zabrał? Może powinna zadzwonić i spytać? Już dwukrotnie odmówiła, gdy proponował jej, by spędzili ten dzień razem, więc jeśli teraz zadzwoni z pytaniem o książkę, gotów pomyśleć, że chodzi jej o coś zupełnie innego, że żałuje swojej decyzji i mimo wszystko chce się z nim spotkać. A przecież ona wcale tego nie chce. Mogą się spotykać w dni powszednie. To niezobowiązujące. Ale nie Siedemnastego Maja, w święto narodowe. Święta zobowiązują. Święta obiecują zbyt wiele. Zresztą to bez znaczenia, czy Olaf Hall zabrał tę książkę. To ona o niej zapomniała. Zwróciła uwagę na napiwek, na banknot położony pod popielniczką, ale nie na to, czy książka leży na stole. Pani Vik opada z powrotem na poduszkę, odwraca się do ściany i płacze. To tak, jakby sam Halfdan został w restauracji na Ekebergu, porzucony, zapomniany, wymieniony na innego. Tak czuje. Idzie do łazienki. W bojlerze jest za mało gorącej wody na prysznic, więc musi się zadowolić obmyciem twarzy zimną wodą i przetarciem pach myjką. Nie szkodzi. Dziś będzie się trzymać z dala od ludzi. Patrzy na swoje dłonie. Też się postarzały. Zmieniają kolor. Pojawiają się na nich plamy. Są wstrętne. Próbuje zdjąć obrączkę, którą Halfdan kupił u złotnika Davida Andersena w roku 1917 i którą wsunął jej na palec w kwietniu tego samego roku, kiedy ich ręce były jeszcze młode i puste. Obrączka ani drgnie. Pani Vik smaruje palec wazeliną. To też nie pomaga. Obrączka tkwi jak przymurowana. Pani Vik się poddaje. To obrączka nosi ją, a nie odwrotnie. Pani Vik traktuje to jako znak, ubiera się, przypina sobie siedemnastomajowy kotylion,

wypija filiżankę kawy i udaje jej się zdążyć na nabożeństwo w kościele Fagerborg. Siada w ostatniej ławce. Nie ma tylu ludzi, co w zeszłym roku. Z każdym rokiem ich ubywa. Proboszcz Bergesen wygłasza władcze kazanie, w którym z przekonaniem głosi pochwałę odpowiedzialności i radości, przyjmując za punkt wyjścia Ewangelię Świętego Jana, rozdział 12, wers 36. *Dopóki światłość macie, wierzcie w światłość, abyście byli synami światłości*[5]. Śpiewają psalm 432. Odmawiają Modlitwę Pańską. Otrzymują błogosławieństwo. Później słońce oświetla kościelne schody, ludzie ocieniają oczy i witają się ze sobą. Dzieciaki się niecierpliwią, przytrzymywane przez matki, które nawet dziś nie mają wolnego, lecz mimo to czują się wolne. Pani Vik wolałaby nie ściskać proboszczowi dłoni. Tego jednak nie da się uniknąć.

– Kazanie rzeczywiście daje do myślenia – mówi pani Vik.

Pastor Bergesen uśmiecha się i gładzi ją po ręce.

– Dzisiaj nie trzeba się tak przejmować.

Pani Vik myśli o tych słowach, kiedy przeciska się między ludźmi, by wrócić do domu. Nie wie, czy do końca je pojmuje, ale i tak dobrze jej robią. Nie trzeba się tak przejmować. Ciężar spada jej z barków. Prostuje plecy. Czuje się lekko. Jest dla niej miejsce. Stensparken się zieleni. Na samej górze przy niewielkim brodziku ptaki przyszywają trawę do nieba. Ktoś stoi na drodze. To panie z Czerwonego Krzyża, pani Nordklev, pani Arnesen, panna Aasland i pani Lund. Ale Maj Kristoffersen nie ma wśród nich. One zresztą nie stoją na drodze. Pani Vik chętnie się zatrzymuje. Mężczyźni zgromadzili się bliżej Norabakken. Śmieją się z czegoś i wszyscy jak jeden mąż palą papierosy, oprócz doktora Lunda. Może to jego nieustanne połajanki wywołują rozbawienie.

– To bardzo wspaniałomyślnie z pani strony, że oddała pani futro na nasz kiermasz.

– Skoro już poruszyła pani ten temat, to niestety, zmieniłam zdanie – mówi z uśmiechem pani Vik.

– Zmieniła pani zdanie?

– Tak. Żałuję swojej decyzji. Czułabym się strasznie, gdybym spotkała inną osobę noszącą futro, które swego czasu podarował mi Halfdan.

Panie przez chwilę milczą, wymieniając spojrzenia. Wreszcie pani Lund się opamiętuje i także się uśmiecha.

– Oczywiście, rozumiemy. Ale następnym razem nie może nas pani zawieść. Potrzebujemy wszelkich środków, jakie możemy uzyskać.

– Wcale nie chciałam was rozczarować. Chętnie podaruję coś innego. Narty Halfdana ciągle są dobre. I buty…

– Te rzeczy może pani oddać na pchli targ. My organizujemy k i e r m a s z.

Mężczyźni zaczynają się niecierpliwić i podchodzą bliżej. Ciągle roześmiani, kręcą głowami. Pan Nordklev, który świąteczne dni najchętniej zaczyna od jednego małego, całuje panią Lund w policzek i ujawnia, co jest takie śmieszne, a w najgorszym razie skandaliczne.

– Ten twój doktor nie lubi pochodu dzieci. Słyszałaś coś podobnego?

Pani Lund po przyjacielsku się od niego opędza.

– Tylko tak gada.

– Z nami jest szczery. Powiedz to też paniom, Perze-Fredriku.

Doktor Lund nie daje się prosić dwa razy:

– Chodzi mi po prostu o to, że wolałbym zobaczyć na Karl Johans gate broń i żołnierzy niż wystrojone, hałasujące dzieciaki.

Zapada cisza. Cały zarząd Oddziału Fagerborg Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża, wyjąwszy skarbniczkę, patrzy po sobie i ma wątpliwości, jak odnieść się do tej wypowiedzi. Czy doktor Lund mówi poważnie? Wreszcie przewodnicząca, pani Nordklev, woła ze śmiechem, tak na wszelki wypadek:

– Ależ pan niedobry!

– Dla kogo?

– Dla dzieci, drogi doktorze.

– Nie mam nic do dzieci. Jestem po prostu realistą. Widzieliśmy, jak było w czterdziestym roku. Czy ktoś wierzy, że pochód dzieci uzbrojonych we flagi, lody i głupawe trąbki zadziała odstraszająco?

– Ależ przecież wcale nie chodzi o to, żeby pochód dzieci działał odstraszająco. To ma być wesołe uczczenie święta!

– Tak, zdążyliśmy się już rozleniwić i poczuć zadowolenie.

Pan Nordklev wzdycha.

– A czy to nie wspaniałe być rozleniwionym i zadowolonym?

Pani Lund próbuje uciszyć męża, ale na próżno. Już się zacietrzewił:

– Przypuszczam, że naszych ludzi w Eidsvoll[6], niech Bóg się nad nimi zmiłuje, bardziej zajmowały powaga i interes narodu niż wygłupy i orkiestry dęte. To ten pijak Wergeland[7] chciał się bawić.

Pani Vik wyczuwa, że śmiech i światło wkrótce nie zdołają ukryć narastającego złego nastroju. Dlatego klepie doktora po ramieniu i mówi:

– Pamiętajmy o słowach proboszcza. Dzisiaj nie trzeba się tak przejmować.

Pan Nordklev uchyla kapelusza.

– Takie podejście bardzo mi odpowiada.

Grupka się rozchodzi. Jedni idą w stronę placu Zamkowego, drudzy na tort do cukierni Sim. Solberga przy Hegdehaugsveien, jeszcze inni na Stortorget, plac, z którego za godzinę wyrusza pochód dzieci, a pozostali biorą się za ręce i po prostu ruszają ulicami, aby napawać się wspaniałością tego dnia. Pani Vik wraca do domu. Na schodach spotyka Maj i Ewalda, którzy prowadzą między sobą Jespera. Maj włożyła zieloną sukienkę w kwiatki i buty na obcasach, czego z pewnością pożałuje już za kilka godzin, a przypuszczalnie jeszcze zanim dotrą na Karl Johans gate. Ewald jest w szarym garniturze i lekkim prochowcu. W klapie ma wpięty kotylion ze wstążkami najdłuższymi na całym Fagerborgu, za całą rodzinę. Maj bowiem ma przypięty do piersi jedynie znaczek Czerwonego Krzyża, a Jesper w ogóle odmówił zrobienia dziury w swoim ubraniu. On również ma na sobie odświętny strój, blezer, który na razie jest na niego za duży, białą koszulę zapiętą pod samą szyję, odprasowane spodnie i wypastowane buty. Ale jego twarz nie jest odświętnie przyozdobiona. Widać na niej bunt i zmęczenie. W tej chwili Jesper stanowi przeciwieństwo innych dzieci. Jest oporny i udręczony. W jego oczach pani Vik dostrzega coś, co przypomina

gniew, ale nim nie jest. To ból. Myśli natychmiast: ten chłopiec nie jest wrażliwy, jest wyczulony.

– A pani już się dziś spotkała z naszym Panem? – pyta Ewald.

– Tylko z proboszczem. I z doktorem Lundem.

– No, to niemal na jedno wychodzi.

Śmieją się. Jesper się nie śmieje. Wolałby zawrócić. Maj go przytrzymuje i odsuwa się na bok, żeby przepuścić panią Vik.

– Nie chcesz iść z nami?

– Nie, dziękuję. Chyba muszę trochę odpocząć.

Pani Vik idzie po schodach na górę, podczas gdy Ewald musi niemal wypychać Jespera na Gørbitz gate i dalej za róg. Maj spieszy za nimi i oboje chwytają Jespera za ręce, tak na wszelki wypadek. Wyruszają w drogę do miasta. Są w mieście, a jednocześnie wyruszają w drogę do miasta, co w tych okolicznościach oznacza okolice między Teatrem Narodowym a budynkiem parlamentu, Stortingu, czyli Karl Johans gate, oraz jej wybrukowane dopływy.

– Ostatnio zrobiła się jakaś dziwna – mówi Maj.

– Kto?

– Pani Vik.

– Gdybyś ty wiedziała…

– Co?

– No, naprawdę nie wiem.

– Powiedz!

– Wydaje mi się, że znalazła sobie… Jak by to powiedzieć? Przyjaciela.

– Przyjaciela?

– Okrężnymi drogami doszły mnie plotki, że nie tak dawno siedziała w Bristolu z jakimś panem, całym w tweedach.

Maj się zatrzymuje i zasłania uszy Jesperowi.

– Co ty mówisz? W Bristolu?

– A później ktoś ją widział z tym samym panem w restauracji na Ekebergu.

– Na Ekebergu?

– Czyż to nie miłe?

– Miłe?

– Że znalazła sobie…

Jesper usiłuje się wyrwać, ale Maj jeszcze mocniej przyciska mu ręce do uszu.

– Przecież jej mąż umarł całkiem niedawno – szepcze.

– Ten stary zrzęda! Pani Vik naprawdę zasługuje…

– Cicho!

Ewald milknie i tylko się uśmiecha, więc Maj może spokojnie puścić Jespera. Mijają sklep rzeźnika, u którego na wystawie między solonymi i suszonymi udźcami baranimi stoją norweskie flagi i wypucowane zdjęcie króla Haakona. To samo zdjęcie będzie tam stało osiem lat później, tym razem w godzinie żałoby, nie radości. Na Bogstadveien odbywa się wędrówka ludów w stronę Karl Johans gate, w stronę miasta w mieście. W cukierni Sim. Solberga, gdzie Bogstadveien niepostrzeżenie łączy się z Hegdehaugsveien, państwo Nordklev i państwo Lund siedzą przy kawie i specjalności zakładu: prostokątnych bezach. Pani Nordklev dostrzega Maj, macha do niej zza szyby i wychodzi z lokalu.

– O Boże, muszę trochę odetchnąć – mówi.

– Coś się stało?

– Ach, ten doktor. Woli paradę wojskową od pochodu dzieci!

– Ojej.

– Nie mówi o niczym innym. Czy to Jesper?

– Tak. Bardzo się cieszy, że posłucha orkiestr. Prawda?

Pani Nordklev nachyla się nad Jesperem, który szuka schronienia za Ewaldem. Pani Nordklev musi się więc wyprostować, godząc się z porażką.

– A w ogóle to wspaniale, że nosisz dzisiaj nasz znaczek – mówi do Maj.

Ewald robi krok do przodu.

– Byle tylko nikt nie pomyślał, że to duńska flaga – żartuje.

Pani Nordklev wcale to nie bawi. Odciąga Maj na bok.

– Nie mogę iść na zebranie Komitetu Wykonawczego w przyszłym miesiącu. Wiesz, rodzina przyjeżdża z wizytą. Ani członkini rezerwowa, ani pani Lund też nie mogą się stawić. A ty?

– Będę musiała napisać sprawozdanie?

– Świetnie sobie z tym poradzisz.

– Ale Vanda i Ingrid są w tym takie dobre. Czy nie mogłyby…

– Ewald na pewno ci pomoże. Ogromnie ci dziękuję, Maj. To bardzo miłe z twojej strony.

Ewald przysuwa się jeszcze o krok.

– A co z telefonem? – pyta.

Maj się kuli, a pani Nordklev nie bardzo rozumie.

– Przepraszam, jakim telefonem?

– Jeśli Maj będzie miała więcej roboty, musimy niedługo mieć telefon. Czy to nie słuszne i sprawiedliwe?

– Owszem, też tak uważam. Musicie się zapisać w kolejkę w Urzędzie Telekomunikacji i trzymać kciuki.

Pani Nordklev czym prędzej wraca do swojego towarzystwa. Maj poprawia Jesperowi fryzurę. Ewald prycha:

– Trzymać kciuki? Czy nie należy raczej wierzyć w Czerwony Krzyż?

Maj się nie odzywa. Idą dalej przez Wergelandsveien, mijają Dom Artystów i Grotę, skręcają w prawo przy Frederiks gate i znajdują sobie miejsce w tłumie, tam gdzie zaczyna się łagodne zbocze zamkowego wzgórza. Trwa walka o dobry widok. Niektórzy przynieśli nawet pokojowe drabinki, na które mogą się wspiąć, żeby widzieć lepiej. Wtedy jednak zasłaniają innym i prawie dochodzi do rękoczynów. Policjant decyduje, że ci, którzy mają drabiny, muszą stanąć z tyłu, skoro i tak patrzą ponad głowami innych. Nastroje się wyciszają. Ewald chce wziąć Jespera na ręce, ale Jesper odmawia. Woli stać na dole. Na balkonie między kolumnami, na samej górze wśród świateł, pojawiają się król i następca tronu. Ze Wzgórza Abla podrywają się ptaki, rzucają za sobą szybkie, wąskie cienie. Pierwsze szkoły już nadchodzą: Bolteløkka, Ullevål, Tøyen, Uranienborg, Sinsen, Majorstua. Jesper ciężko oddycha gdzieś na samym dnie 17 Maja. To prawie nie do

wytrzymania. Pęczki hałasu rzucane są raz tu, raz tam: walenie w bębny, tuby, okrzyki maturzystów, trąbki, szczekanie psów, gwizdki, chór męski i trzy razy po trzy „hura!”. Momentami dźwięki rozciągają się w ostre nici, sięgające od ucha do ucha. Chwilę później zawiązują się w supły, których nigdy nie da się rozplątać. Nagle Jesper dostrzega smutną postać w ciemnym ubraniu, którą natychmiast rozpoznaje. To ten Włoch, mężczyzna od fortepianu. Z kieszeni wystaje mu zniszczona flaga. Stoi zgarbiony za pokojowymi drabinkami i zatyka uszy. Jesper robi to samo. Zatyka uszy. Trochę to pomaga, ale nie całkiem. Co może zatrzymać ten hałas? Co może sprawić, że zniknie? Cisza? Nie wtedy, kiedy hałas jest już w głowie. Enzo Zanetti dostrzega Jespera i również rozpoznaje tego udręczonego, ciekawskiego chłopca. Przypomina też sobie jego matkę, panią z Czerwonego Krzyża, ubraną odświętnie zgodnie z zasadami sztuki. Postarała się, jak umiała najlepiej. To wystarczy. Nie wydaje się jednak, aby czuła się tu na swoim miejscu. Przypuszczalnie nie jest w stanie ani się cieszyć, ani udźwignąć tej odświętności. Wysokie obcasy są wykrzywione, sukienka wygnieciona na biodrach, wyraźnie bolą ją plecy i łydki, a na dodatek jest blada. Ale jej dzielnego uśmiechu nie sposób nie zauważyć. Opiera się o dość pulchnego, niemal kwadratowego mężczyznę o życzliwej, pustej twarzy, jakie często charakteryzują ludzi beztroskich, którym się wydaje, że są szczęśliwi. Enzo Zanetti znów przenosi spojrzenie na Jespera i uśmiecha się do niego. Jesper odpowiada uśmiechem. Uśmiechają się do siebie. To znak. Jedynie Jesper Kristoffersen i Enzo Zanetti, nikt inny na świecie, zatykają sobie dzisiaj uszy na Karl Johans gate.

Maj szturcha Ewalda i ruchem głowy wskazuje na Jespera, który zamyka oczy.

– Ależ my jesteśmy głupi – mówi.

– Słucham?

Maj nachyla się do męża.

– Jesperowi oczywiście jest przykro.

– Dlaczego?

– Przecież też powinien iść w pochodzie. Gdyby wszystko…

Ewald jej przerywa i w końcu to on wciela w życie humanistyczne przesłanie proboszcza o tym, żeby się nie przejmować, ponieważ mówi lekko:

– Wobec tego ma szczęście, bo może się na to cieszyć przez kolejny rok.

Jesper wsuwa ręce do kieszeni i całe siedemnastomajowe święto znów się na niego wali. Otwiera oczy. Ma jeszcze czas, żeby zobaczyć, jak nieco przygarbiony Enzo Zanetti odchodzi Frederiks gate. To niewłaściwy kierunek, ale dziś przejście na drugą stronę Karl Johans gate i tak jest niemożliwe. Będzie potrzebował co najmniej godziny na dotarcie do Automaten, przypuszczalnie będzie musiał okrążyć Dworzec Wschodni albo Solli plass. Wyjmuje z kieszeni flagę i trochę nią macha. Mijają go dwa policyjne konie, a siedzący na nich policjanci salutują do czapek. Enzo Zanetti się kłania i jeszcze długo czuje zapach zwierząt, przypominający mu dzieciństwo wśród krajobrazu o barwie ochry, o którym już prawie zapomniał. Idzie dalej wzdłuż parku Zamkowego i przystaje przed Domem Artystów, ale nie widzi ani jednego wolnego stolika. Przy gospodzie Krølle na Uranienborgveien stoi kolejka, składająca się głównie z młodych studentów, a w barze w hotelu West między Riddervolds plass a prywatną szkołą Vestheim jest za drogo. Do Sim. Solberga również nie zagląda. Białe serwetki i brzęk sztućców, zwłaszcza malutkich widelczyków do ciasta, wprawiają go w zdenerwowanie i przygnębienie. Aż do Bristolu nie chce mu się iść. Poza tym przestał tam bywać. Enzo Zanetti wraca do domu. Na klatce schodowej panuje chłód i cisza. Enzo wyjmuje pęk kluczy i otwiera skrzynkę pocztową. Pusta. Czy nikt w tym nędznym mieście, ogarniętym manią wielkości, nie chce się uczyć gry na fortepianie? Zaraz jednak przypomina sobie, że w norweskie święto konstytucji nikt nie roznosi poczty.

Pierwszą rzeczą, jaką widzi po otwarciu drzwi, jest walizka. Stoi w przedpokoju. Z łazienki zniknęły szczoteczka do zębów, perfumy i grzebień. W umywalce nie leżą rude włosy. Enzo zagląda do sypialni. Łóżko jest równo zaścielone. Jej butów nie ma. Enzo nie jest zaskoczony. Wiedział, że to się stanie. Zobaczył to w jej oczach. Ona już go nie dostrzega. Widzi jedynie starszawego, nudnego mężczyznę. Są

kwita. Siedzi w kuchni tak wąskiej, że bez względu na to, co robią, muszą się dotykać.

– Już nigdy nie wyjdę na miasto – oświadcza Enzo Zanetti.

– Czy to nie odpowiedni dzień właśnie na to, żeby wyjść?

– Odpowiedni dzień?

– Mogłeś mnie obudzić. Poszłabym z tobą.

– Dlaczego musicie tak hałasować, kiedy się cieszycie?

– Bo kiedy indziej jesteśmy tacy cisi.

– Ty ostatnio byłaś cicha.

Aina wstaje i gładzi dłonią jego palce.

– Dasz sobie radę?

– Może Czerwony Krzyż zechce znów skorzystać z moich usług.

– Zasługujesz na więcej.

– A ty? Dasz sobie radę?

– Dostałam się do szkoły kolejowej. W Kristiansand.

– Gratuluję.

– W Kolejach Państwowych praca jest pewna. Pewniejszej nie ma.

– Ale wcale nie dlatego wyjeżdżasz.

Aina bez słowa wychodzi do przedpokoju. Enzo Zanetti idzie za nią.

– Może któregoś dnia spotkamy się w pociągu – mówi Aina.

– Tak myślisz?

– Na pewno. Kiedy będziesz miał tournée po kraju.

Całuje go w policzek i znika na schodach. Enzo Zanetti zbliża się do okna w salonie. Wkrótce widzi, jak Aina przechodzi na drugą stronę Jørgen Moes gate. Opuszcza swoją młodość i zmierza na przystanek tramwajowy na zakręcie. Enzo ma nadzieję, że nie obejrzy się za siebie.

Zebranie Komitetu Wykonawczego Okręgu Oslo Czerwonego Krzyża odbyło się w domu sióstr dnia 10 czerwca 1949 roku. Uczestniczyły w nim: przewodnicząca pani Andersen, wiceprzewodnicząca pani Dybvig, kierownik sekretariatu Holm oraz przewodniczące większości oddziałów, z wyjątkiem Oddziału Fagerborg, który reprezentowała skarbnik Maj Kristoffersen.

Przybyłych powitała przewodnicząca, a następnie sekretarz Okręgu Oslo, pani Petra Scheel, która odczytała sprawozdanie z poprzedniego zebrania Komitetu Wykonawczego. Następnie pani Dybvig mówiła o podziale pracy wewnątrz oddziałów i udzieliła wskazówek związanych z planowaniem tej pracy. W związku z tym odczytała statut Norweskiego Czerwonego Krzyża. Kierownik sekretariatu, pan Holm, poinformował o zaplanowanym na wrzesień Tygodniu Czerwonego Krzyża, który rozciągnie się na dwa tygodnie. Osobiście uważam, że to za długo. Tydzień by wystarczył. Kiermasz, tak jak wcześniej, odbędzie się w budynku Izby Rzemieślniczej, natomiast stoiska uliczne zostaną przeniesione z parku Studenckiego w okolice restauracji Skansen. Pan Holm poruszył następujące kwestie: pomocy niezbędnej do zrealizowania „tygodnia" oraz werbowania nowych członków przez osoby już będące członkami. (W związku z tym poinformował, że zorganizowana zostanie „darmowa loteria" i nagrodami w niej będą dwie elektryczne maszyny do szycia marki Elna, a każdy członek, który zwerbuje jednego lub kilku nowych członków, otrzyma bezpłatne losy w liczbie zwerbowanych osób). Dyskutowano o sposobach postępowania przy werbowaniu nowych członków oraz o opłacaniu składek członkowskich. Dyskusja dotyczyła również sprzedaży znaczków Czerwonego Krzyża (w cenie 1,00 korony) oraz ewentualnie baloników, a także znalezienia młodych chłopców i dziewcząt, którzy zajęliby się sprzedażą. Powiedziałam, że na Fagerborgu jest dużo młodzieży, która dobrowolnie nam pomoże.

Przewodnicząca poinformowała, że Oddział Lilleborg przeznaczył 100,– koron na remont domu sióstr, i wyraziła za to wdzięczność.

Ponadto poruszano kwestie różne, na przykład sprawę czterech szpitali polowych – każdy liczy 24 łóżka, które są już zmontowane. Panią Diesen i panią Falling poproszono o przeprowadzanie inspekcji tych szpitali 1–2 razy do roku. Przewodnicząca przedstawiła również sprawę możliwego zakupu działki na Ullernåsen pod budowę domu dla emerytowanych sióstr oraz domu opieki dla starców. Poza tym dyskutowano, czy poszczególne oddziały powinny przygotować spis tekstyliów – włóczki i tkanin – niezbędnych do wykonania garderoby dla potrzebujących – dzięki takim listom można by przed wakacjami letnimi przesłać Urzędowi ds. Reglamentacji wniosek o pozakartkowy przydział niezbędnych materiałów. Omawiano również, jak poszczególne oddziały mają sobie nawzajem pomagać w razie wyjątkowej potrzeby.

Komitet Wykonawczy zajmie się sprawą ewentualnego wypożyczania (wynajmowania) sprzętu medycznego należącego do oddziałów.

Pani Nordklev uprzednio zaproponowała, aby Oddział Fagerborg zorganizował wycieczkę na wieś dla osób starszych, i w związku z tym sprawdziła, jak kształtują się ceny przejazdów autobusowych oraz koszty wyżywienia. Żadna decyzja na razie nie zapadła. O pomoc poproszono wolontariuszy z zarządu. Osobiście chętnie zrobiłabym coś dla naszych seniorów. Uważam, że sama wycieczka nie powinna być na tyle daleka, aby czasu wystarczyło jedynie na przejazd tam i z powrotem. Proponowałabym Tyrihøgdę, gdzie można również liczyć na skromny poczęstunek. W grę wchodzi także Drøbak.

15.06.1949
Maj Kristoffersen

RABARBAR

Lato jeszcze mocniej wciska miasto między wzgórza, natomiast tych, którzy w nim zostają, podczas gdy inni wyjechali – unosi, wzbija w majestatyczną samotność. Tutejsze lato nie jest porą roku. Lato jest chwilą. Dotyczy to również dzielnicy Fagerborg. Przyjrzyjmy się: Kirkeveien wydaje się szersza niż zwykle. Można by ją nazwać bulwarem, ale nie ma na nim ludzi. Doktor Lund zamknął swój gabinet i wyjechał z rodziną na wyspy Hvaler. U rzeźnika Melsoma się nie świeci, a lada jest pusta. Szwagier Melsoma zna kogoś, kto ma domek letniskowy nad jeziorem Øyeren, niedaleko Szpitala Sunnaasów, gdzie Jostein zostanie aż do początku roku szkolnego. Mogą go odwiedzać w niedziele. Są wspólne wakacje[8].

Posmakujcie trochę tego określenia. Przyjemne w smaku. Większość rzeczy jest wspólna w tych powojennych czasach, dopóki dobrobyt za bardzo nie wzrośnie i wszyscy nie zaczną szukać samych siebie, a nie innych; większość rzeczy dzieje się też równocześnie i mówi się o tym samym. Nie oznacza to wcale mówienia tego samego. Ale my zostajemy w mieście, z wyjątkiem jednego dnia, środy, szóstego lipca. Tego dnia Maj Kristoffersen bierze udział w wycieczce dla seniorów, organizowanej przez Oddział Fagerborg Czerwonego Krzyża. Ewald i Jesper odprowadzają ją do kościoła Fagerborg, skąd planowany jest wyjazd o godzinie jedenastej. Pani Else Larsen i pani Ingrid Foss są już na miejscu. Jesper trzyma się z tyłu, podobnie zresztą jak Ewald. Nie należy się wtrącać. Ewald jest jednak zdania, że to niesprawiedliwe, iż Czerwony Krzyż anektuje Maj akurat teraz. Potem zaczynają się schodzić seniorzy, wdowy i wdowcy, małżonkowie i starzy kawalerowie; przybywają z różnych stron, z Sankthanshaugen, z Jessenløkken, z Valkyrien i z Ullevål, poubierani w swoje najlepsze letnie stroje, które i tak już na nich nie pasują. Przestały pasować dawno temu. Pani Else Larsen wpisuje nazwisko każdej osoby do zeszytu, a pani Ingrid Foss

i Maj pomagają staruszkom wsiąść do autobusu, który zawiezie ich na Tyrihøgdę. Kierowca dwa razy trąbi, wycieczkowicze machają, chociaż nie wiedzą komu, autobus rusza w stronę Stadionu Bislett i znika w głębi Josefines gate. Ewald i Jesper zostali w mieście sami. Stoją w milczeniu na placyku przed szarym kościołem. Proboszcza na szczęście nie ma. Słońce zalewa światłem Suhms gate, spływa po Norabakken rwącym strumieniem. Mają szczęście do pogody. Ale Ewalda nagle ogarnia niepokój. Czuje się zagubiony, niemal wystraszony. Zostali sami. Co będą robić we dwóch z Jesperem przez cały dzień? Nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek spędził tyle czasu z synem sam na sam. Po zastanowieniu stwierdza, że właściwie nigdy. Co tu wymyślić? Wrócić do domu i czekać? Na początek Ewald idzie do okrągłego szaletu, a Jesper rusza za nim. Teraz, latem, zapach, który się tu unosi, jest jeszcze ostrzejszy. Podłoga się lepi. Ściany są mokre. W rynnie pisuarowej leżą pety, korki i coś, czego Jesper nie rozpoznaje. Przypomina zdeformowany balon. Ewald rozpina spodnie. Jesper też. Ewald patrzy na syna z uśmiechem. Stopy lekko rozsunięte, żeby było stabilnie. O, tak. Z miejsca, w którym stoi Ewald, dobiega szum. Jesper się napina. Wyciska z siebie zaledwie kroplę, która i tak nie chce spaść. Odwraca się. Ewald wzdycha, lekko się otrzepuje i pakuje. Jesper nie jest gorszy. Za kościołem znajdują kran, pod którym mogą umyć ręce. To bardzo ważne. Po sikaniu zawsze trzeba umyć ręce. I należy pamiętać o kolejności. Ręce można umyć, zanim człowiek pójdzie się wysikać, ale później i tak trzeba je umyć jeszcze raz. Ewald uznaje, że to obiecujący początek dnia. Bierze Jespera za rękę i kierują się w stronę miasta. Idą powoli, dzięki temu czas jakoś płynie. To się nazywa s p a c e r. Spacerkiem mijają browar Frydenlund na Pilestredet, skręcają w prawo przy Parkveien, docierają do parku Zamkowego i również spacerkiem go przemierzają. Króla też nie ma w domu. Król też ma wspólne wakacje. Król nie chce być gorszy od większości ludzi, ale i nie lepszy. Korony drzew i trawa spotykają się pośrodku w drżącym zielonym pasie. Pod Wzgórzem Zamkowym, łagodnym zboczem, po którym spływa się do miasta, do samego miasta w Oslo, w głębi światła widać Karl Johans gate. Jakaś starsza pani usiadła na ławce i trzyma w ręku parasol. Słońce zmienia parasol od deszczu w przeciwsłoneczny. Kiedy w oddali pojawia się fiord, wystarczy tylko minąć kina, Scalę, Sagę

i Klingenberg. Wreszcie zatrzymują się na pustym placu przed nowym ratuszem. Brakuje tylko dzwonów. Mają bić o każdej pełnej godzinie i w połowie godziny, może również co kwadrans. Ewald nie jest pewien, czy chciałby, aby nieustająco mu przypominano, ile czasu jeszcze zostało i ile już go minęło. Natomiast dwie wieże są naprawdę imponujące. Jesper się z nim zgadza. Przesłania dłonią oczy i o mało nie dostaje skurczu karku. Ewaldowi jednak ten ratusz w końcu psuje humor. Przypomina mu o jubileuszu. Schodzą ku nabrzeżu, ale muszą się zatrzymać, żeby przepuścić pociąg towarowy jadący z Dworca Wschodniego na Zachodni. Lokomotywa ciągnie co najmniej pięćdziesiąt dwa wagony, a porusza się tak wolno, że niemal stoi w miejscu. Od tej ciężkiej powolności Ewald czuje w sobie głębię. Widzi, jak ucieka mu czas, wyładowany tym, co już niepotrzebne. Po drugiej stronie w Zakładach Mechanicznych Aker panuje cisza. Praca ustała. Dźwigi spuściły nosy na kwintę. Statki nie mają nazw. Cały świat czeka, aż zostanie zwodowany. Ewald zerka na Jespera. Czy dobrze się czuje? Czy może nudzi się w towarzystwie ojca? Trudno powiedzieć. Wyraz twarzy Jespera nic Ewaldowi nie mówi. Uświadamia sobie, że Jesper wydaje się starszy, niż jest w rzeczywistości, nie z uwagi na tuszę czy wzrost, tylko ze względu na to, co wyraża. To się kryje w jego spojrzeniu. Nie daje się nazwać. Jesper patrzy inaczej. Ewald przeżywa szok. Czy Jesper czuje udrękę w jego towarzystwie? Czy może chodzi o coś więcej? Czuje się udręczony w życiu? Ale się nie skarży. Nie może więc być aż tak źle. Kolej portowa wreszcie przejeżdża i mogą przejść przez tory. Prom na Nesodden jest gotowy do wyjścia z portu. Większość pasażerów została na górnym pokładzie. Mają szerokie kapelusze przeciwsłoneczne i wielkie kosze. Jest tak gorąco, że wyspy w głębi fiordu rozpływają się w błękitnej mgiełce, którą od czasu do czasu przecina jakaś żaglówka. Ewald zdejmuje marynarkę, luzuje krawat i rozpina koszulę pod szyją. Jesper robi to samo, tyle że on nie ma krawata. Ewalda ogarnia czułość. Właśnie tak powinno być. Syn próbuje naśladować ojca. Wracają na Karl Johans gate. W parku Studenckim emeryci siedzą na ławkach, ukryci w rozmigotanym cieniu pod drzewami. Chodniki są szerokie. Na Universitetsplassen stoi samotny profesor. Studenci wrócą dopiero we wrześniu. Wszystko zatrzymało się w oczekiwaniu. Wspólne wakacje. Ewaldowi chce się pić.

Mogą zajrzeć do Bristolu i zjeść tam po kanapce, lecz Maj pewnie by się to nie spodobało. Ewald wpada na lepszy pomysł. Pokaże Jesperowi przyszłość. Zabiera go do Dek-Rek. W windzie wiozącej ich na górę Jesper wreszcie się uśmiecha. W biurze nie ma nikogo. Ale Ewald ma klucze. Otwiera drzwi. To drugi świat Ewalda. W pierwszym są Jesper i Maj. Czasami jednak ten drugi świat musi zająć pierwsze miejsce. Puste pokoje wydają się obce. Drzwi są pouchylane. Na podłodze za biurkiem sekretarki leży arkusz kalki ołówkowej. Wygląda to na niedbalstwo. Nie ma jednak znaczenia, skoro nikt tego nie widzi. Ewaldem wstrząsa nagły dreszcz, ale bierze się w garść, zanim Jesper coś zauważy. Idą do pracowni projektowej. Na stołach kreślarskich leżą czyste kartki. To jest przyszłość. Ewald prosi Jespera, aby zwrócił szczególną uwagę na format czystych kartek. Jesper jest zmęczony. Ewald pozwala mu chwilę posiedzieć na krześle sekretarki i odpocząć. Krzesło się obraca. W tym czasie Ewald wchodzi do gabinetu Rudjorda. Nie pojmuje, dlaczego to robi. To jest jak sen. Gdyby akurat w tej chwili rozległ się alarm przeciwlotniczy, ani trochę by go to nie zdziwiło. Nalewa whisky do szklanki i wypija. Pozwala sobie na jeszcze jednego małego drinka, po czym odstawia karafkę na półkę, dokładnie tam, gdzie stała wcześniej, i wyciera szklankę. Dolna szuflada biurka jest pełna ołówków we wszelkich możliwych wariantach: miękkich, twardych i średnich. Ewald bierze po jednym z każdego rodzaju. Na nic przyszłość, jeśli się nie ma narzędzi. Czym prędzej wraca do Jespera, który z zamkniętymi oczami zatacza powolne koła. Ewald czeka, aż krzesło się zatrzyma. Jesper siedzi tyłem do niego. Ewald lekko trąca krzesło i wręcza synowi ołówki. Jesper otwiera oczy. Potem idą do domu i czekają. Maj wraca dopiero o ósmej. Jej kroki na schodach są tak ciężkie, że słychać każdy stopień. W przedpokoju musi usiąść i odetchnąć. Ewald i Jesper patrzą na nią zdziwieni. Wydaje się udręczona. Opuszcza gumkę w sukience, to trochę pomaga.

– Boże – mówi.

Ewald się nad nią nachyla.

– Co się stało? Czy to…

– Cały czas jedliśmy. Od wyjazdu do przyjazdu.

– Staruszkowie byli tacy wygłodniali?

– Jeszcze jak! Dosłownie wszystko pożerali. Nie mogli się nasycić. A my musiałyśmy dotrzymywać im towarzystwa. Do Bożego Narodzenia nie wezmę nic do ust.

Ewald ze śmiechem pomaga jej wstać.

– Rzeczywiście, widzę, że nieźle przytyłaś. Zwłaszcza…

Maj chce go trzepnąć, ale też się śmieje, chociaż śmiech sprawia jej ból.

– A wam jak było?

Patrzy na Jespera, który kiwa głową.

– Chyba fajnie.

– Chyba? Jedliście coś?

– O jedzeniu zapomnieliśmy – przyznaje Ewald.

– Nie można na sekundę spuścić was z oczu, żeby coś złego się nie stało.

Ewald w zasadzie uważa, że na takie słowa sobie nie zasłużył.

– Nie mogłaś przynieść czegoś do domu, zamiast tyle w siebie wpychać? Skoro tak się objadłaś?

– Miałabym kraść? To masz na myśli? Okraść Czerwony Krzyż?

– To chyba lepsze niż pakowanie wszystkiego w siebie.

Maj wzdycha i idzie do kuchni. Smaży dwa jajka i otwiera puszkę z jasnym lapskausem. Mdli ją od samego zapachu, musi się oprzeć o kuchenkę, żeby utrzymać się na nogach i nie zwymiotować. Zbiera resztki sił.

– Tylko nie zapomnij jutro kupić rabarbaru! – woła.

Ale ta wycieczka nad jezioro Tyrifjord z armią wygłodniałych staruszków z Fagerborga stanowi wyjątek od złotej reguły lata. Jak już wspomniałem, zostajemy w mieście. Nikt nie mówi więcej o pogodzie niż ci, którzy zostają w mieście. Zdarza się, że narzekamy i często mamy coś do zarzucenia Instytutowi Meteorologicznemu, który znajduje się całkiem niedaleko, na Blindern. Ale jeśli zaczyna padać, co w tych okolicach zdarza się często, to nikt nie ucieka biegiem. Ludzie dalej idą tym samym spokojnym krokiem, donikąd się nie wybierając. Kiedy deszcz mija, daje się zauważyć, że budynkom zmienił się kolor,

materiały wypełnia żar. Nie przeprowadzono błyskawicznego remontu i nie stało się to również za sprawą deszczu. To światło chucha na fasady, zwłaszcza wieczorami, które powoli wchłaniają w siebie dzień. W opuszczonych mieszkaniach meble nakryto prześcieradłami, które wkrótce stracą biel, i gdy mieszkańcy wrócą w sierpniu, będą przypominały żółte bandaże. Mieszkania chorują, kiedy stoją puste. Ale w bezchmurne dni, zazwyczaj nadchodzące w pojedynkę, ci, którzy zostali w mieście, wiedzą, dokąd iść. Wybierają się wtedy na plażę, na Ingierstrand, Huk albo nad zatokę Hvervenbukta, na wyspy w głębi fiordu, nad jezioro Sognsvann albo na Fornebu, aby zobaczyć, jak w niebo wzbija się samolot. Pani Vik idzie na Cmentarz Zachodni. Dawno już tam nie była. Przechodzi przez park Frogner. Kupiła begonię. W słońcu stoi mężczyzna w krótkich spodenkach i kapeluszu. Robi zdjęcia. Jakaś matka prowadzi w jego stronę dziecięcy wózek. Pani Vik słyszy płacz dziecka. Mogła pojechać z Olafem Hallem do jego wiejskiego domu na Nesodden. Zaprosił ją. Odmówiła. To nie uchodzi. Nie wypada. Wakacje to również święto. Ale mało brakowało, a by się zgodziła. Nie, tak być nie powinno. Po prostu nie wypada. Taka zgoda oznaczałaby zgodę na o wiele więcej. Pani Vik boi się nawet o tym pomyśleć. Musi się na chwilę zatrzymać i odpocząć. W końcu przecina Psie Pole, opuszczone nawet przez najmniejsze pudle, i otwiera cmentarną furtkę. W cieniu topoli jest przyjemnie chłodno, wręcz zimno. Zatrzymuje się przy zaniedbanym grobie. Jest złą wdową. Rozkłada na ziemi starą gazetę, klęka na niej i zaczyna porządkować grób. Piele, sprząta, sadzi begonię, myje nagrobek i czyści nazwisko: Halfdan Vik. Uświadamia sobie, że jest w stanie zapomnieć. Wstaje, idzie po konewkę i zwilża suchą ziemię. Co tu będzie rosło oprócz begonii? W drodze powrotnej spotyka inne wdowy, przybyłe tu w tej samej sprawie. Zamieniają ze sobą kilka słów, najchętniej o spokoju, jaki panuje w mieście, teraz gdy wszyscy wyjechali. Wszyscy wyjechali. To wdowi refren. Pani Vik próbuje sprawdzić, czy są równie złymi wdowami, czy ich żałoba jest podobna do jej żałoby, ale nie potrafi jej dostrzec. Za to smutku jest dość. Smutek jest dostojny. Smutek wymaga dyscypliny. Smutek to najpowolniejsze ze wszystkich uczuć. Do domu wraca przez Frøen; na Kirkeveien natyka się na Ewalda, który idzie od Maślanego Petersena na Majorstua z pęczkiem rabarbaru. Jego biała

koszula zszarzała od potu i wysunęła się ze spodni. Czy trzeba wyglądać niechlujnie, nawet jeśli są wspólne wakacje? Czasami Ewalda Kristoffersena trudno lubić. Tak czy owak, ostatni kawałek idą razem. Ewald natychmiast zauważa, że tego dnia pani Vik nie jest szczególnie rozmowna. On też nie ma ochoty nic mówić. Nie potrafi jednak długo milczeć, zwłaszcza jeśli nikt inny się nie odzywa i panuje taka cisza, jak teraz. To go denerwuje, wywołuje w nim zniecierpliwienie.

– W zasadzie lubię miasto latem.

– A ja nie wiem.

– Nie? Nie uważa pani, że ten spokój jest przyjemny?

– To dlatego nigdzie się nie wybieracie?

Ewaldowi nie podoba się to pytanie.

– Jesper potrzebuje spokoju – odpowiada.

– Boi się?

– Nie, a czego miałby się bać?

– Myślałam, że wszystkie dzieci boją się iść do szkoły.

Ewald przytrzymuje drzwi i wchodzi na klatkę za panią Vik.

– Poza tym gdzieś się wybieramy.

– Dokąd?

– Na podwórko.

Idzie na skróty przez piwnicę i wychodzi przy pojemnikach na śmieci. O tej godzinie, dziesięć po drugiej, jest tu słońce: od masztu do flagi po stojak na rowery. Dzikie wino zarosło niemal cały budynek, łącznie z oknami, a przez to podwórze przypomina wielką salę ze ścianami pokrytymi zieloną tapetą. Jesper siedzi na stołku pod brzozą i przegląda książkę. Maj, która rano nie była w stanie zjeść śniadania, wyciągnęła się na leżaku przy różach. Ten widok sprawia Ewaldowi Kristoffersenowi wielką przyjemność. Kładzie rabarbar obok Maj i przysiada na schodku.

– Schudła – mówi.

– Kto?

– Vik. Naprawdę. Jedynym miejscem, w którym ma dołeczki, są kolana.

– Cicho! Ewald!

– Dlaczego ona ma telefon, skoro my nie mamy?

– Ponieważ Halfdan Vik był lekarzem.

Ewald zapala papierosa.

– Lekarzem, no wiesz? Był weterynarzem. W dodatku zrzędą. I co, dzwonił do zwierząt? A może to one do niego telefonowały?

Maj nie ma siły się śmiać.

– Ona może cię usłyszeć, Ewaldzie.

– E tam. Ma stale zamknięte okna. A poza tym weterynarz już nie żyje.

– Jesteś okropny.

– Zresztą na co jej telefon, skoro ma lodówkę?

– Wygadujesz głupstwa.

– Pewnie będzie dzwonić do tego swojego słodko pierdzącego gacha.

Maj siada i ścisza głos.

– A skąd wiedziałeś, że byli w restauracji na Ekebergu?

– Skąd?

– Może i ty się tam wybrałeś?

– Nie, no wiesz co? Gdybym się tam wybrał, zaprosiłbym ciebie.

– A ja bym odmówiła. Nie możesz włożyć innej koszuli?

Ewald gasi papierosa, wrzuca niedopałek do studzienki i strzepuje popiół z butów.

– Plotki, Maj. Plotki sturlały się ze wzgórza Ekeberg, pomknęły przez Stare Miasto, przecięły plac Dworcowy i dotarły prosto do Dek-Rek.

– Okropni z was plotkarze.

Maj kładzie się z powrotem, a Ewald się śmieje.

– Nic nie trwa krócej niż tajemnica.

– Mnie nie interesują tajemnice.

– Wiem nawet, jak on się nazywa.

– To też mnie nie obchodzi. To jej sprawa.

Ewald bierze łodygę rabarbaru i wtyka ją do ust. Maj znowu siada.

– No, powiedzże!

– Myślałem, że cię to nie obchodzi.

– Liczę do trzech. Raz…

Ewald nachyla się do niej i szeptem wypowiada nazwisko. Maj podnosi ręce do twarzy.

– Wdowiec po tej aktorce?

– Zgadza się. Niezły bęcwał.

– Boże! A my prosiłyśmy Ragnhild Stranger o występ podczas zebrania siedem miesięcy po jej śmierci.

– Niezłe spóźnienie.

– Zarząd musiał wysłać kwiaty z przeprosinami do Olafa Halla.

– No właśnie. Zawsze mówiłem, że to miasto jest małe.

Na leżak nasuwa się cień. Maj zaczyna obierać rabarbar.

– Co z jubileuszem? Jak tam twoje kobiety?

– Co przegląda Jesper?

– Wyjęłam stare podręczniki. Nie denerwuj go. Jest dzisiaj taki spokojny.

– Dlaczego miałbym go denerwować?

Maj z uśmiechem na chwilę podnosi oczy.

– Wydaje mi się, że wczoraj spędził miły dzień.

– Czemu miałby nie być miły?

Ewald zębami odrywa kawałek rabarbaru i mimo wszystko idzie do Jespera.

Na stołku nie zmieściliby się we dwóch, więc Ewald stoi. Luzuje szelki, bo mokra koszula lepi mu się do pleców. Na ziemi leży *Moja pierwsza czytanka* Marie Gundersen i Mathilde Munch. Jesper przegląda inną książkę, *Zaśpiewajmy!* Margrethe Munthe. Zdaniem Ewalda powinien raczej zagłębić się w czytankę, ale Ewald to przemilcza. Jesper jest wyraźnie zainteresowany nutami, wydrukowanymi na samej górze każdej strony. Powoli gładzi palcem malutkie czarne znaczki, przypominające okruchy wywieszone do suszenia, i pojmuje, chociaż tego nie rozumie, że w tym dziwnym wzorze kryje się sens.

– Pokaż – mówi Ewald.

Jesper w końcu podnosi głowę i podaje ojcu książkę, nie zamykając jej. Piosenka na tej stronie jest zatytułowana *W oknie*, a Ewald czuje jednocześnie pokorę i dumę. Śpiewa tak głośno, że słychać go w całej kamienicy, ale i tak nikogo nie ma w domu:

Do pracy idzie tata,
a ja mu zawsze macham,
przy oknie czekam, aż zobaczy mnie,
odmacha kapeluszem,
ja ciągle machać muszę,
przecież na cały dzień żegnamy się.

Ewald oddaje synowi książkę i oddycha głęboko.

Jesper zamyka *Zaśpiewajmy!*

– Nie umiem czytać – mówi.

– Wiem, Jesper. Nic nie szkodzi. To dlatego…

Jesper przerywa mu, podrywając się gwałtownie.

– Muszę się odlać.

Ewald prędko rzuca okiem na Maj. Słyszała? Ciągle obiera rabarbar. Dlatego to on zajmuje się Jesperem, który przestępuje z nogi na nogę.

– Na razie mówimy „siusiać", Jesper. Kiedy skończysz trzynaście lat, będziesz mógł mówić „sikać", ale nie w domu. Na łonie natury mówimy zazwyczaj „iść na stronę". Albo…

– Do Cyrku Schumanna.

Ewald śmieje się z syna.

– To tylko w restauracji. A w szkole mówimy „ubikacja" albo „toaleta". I „załatwić się". Proszę pani, muszę się…

Jesper biegnie do kuchennego wejścia, Ewald idzie za nim. Macha do Maj, która na moment się prostuje i ociera czoło wierzchem dłoni. Zostaje sama na zielonym podwórzu. Nagle przychodzi jej do głowy oczywista i brutalna myśl: „Ja nigdy nie mam wolnego". Przez moment

nie może znieść rabarbaru, nie może znieść swoich palców, nie może znieść myśli o wszystkich czekających ją obiadach, o menu, które nie ma końca. To zaraz mija. Rozgląda się zawstydzona, wystraszona, że te myśli były tak intensywne, iż ktoś mógł je zobaczyć. Z pralni w piwnicy wyłania się pani Nordklev z koszem. Maj podchodzi do sznurków i pomaga jej rozwiesić pościel.

– Myślałam, że już dawno wyjechaliście – zagaduje.

– Zajrzałam do domu tylko na chwilę, a przy okazji przywiozłam pranie. Na letnisku tak ciężko się pierze.

– Ładnie się opaliłaś.

– Ty też, Maj. Tutaj słońce także opala.

Kończą wieszać bieliznę. Maj chce coś powiedzieć, bo coś jej leży na sercu, ale pani Nordklev ją uprzedza:

– Prawdę mówiąc, chętnie zostałabym w mieście. Boże, jak by było cudownie, gdybym mogła trochę pobyć sama.

Wrzuca do kosza niepotrzebne klamerki. Powiew wiatru wpada na podwórko i podrywa bieliznę na sznurze: prześcieradło, dwie poszewki, dwie koszulki, parę spodni i białą koszulę.

– Do wieczora wyschnie – mówi Maj.

Pani Nordklev podnosi koszyk i kręci głową.

– Na to pewnie nie będzie czasu. Żebym mogła trochę pobyć sama. Tyle jest do załatwienia przed przyjazdem tych żydowskich dzieci. Biedactwa. W porównaniu z nimi nie mamy się na co uskarżać, prawda?

Maj spuszcza głowę i patrzy na swoje sandały, przez chwilę przekonana, że pani Nordklev przejrzała jej myśli. Wstydzi się.

– Mogę w czymś pomóc? Chętnie…

– W zasadzie Oddział Frogner jest za to odpowiedzialny. Poza tym ty i tak już dużo zrobiłaś. Słyszałam, że ta wczorajsza wycieczka była… Jak by to powiedzieć… Wyzwaniem.

Maj się śmieje.

– Rzeczywiście można tak to ująć. Aż tyle jeść to naprawdę przesada.

– Masz rację, żydowskim dzieciom bardziej by się przydało. Mamy je tu trochę podtuczyć i odesłać do Niemiec w dobrych humorach.

– Rachunki za wycieczkę nie wyglądają najlepiej.

– Odbijemy to sobie na kiermaszu.

– Ale proszę, dajcie znać, gdybym była potrzebna.

– Miło z twojej strony. Wystarczy ci cukru do rabarbaru?

Światło przesuwa się bliżej Jacob Aals gate. Słońce świeci Maj prosto w oczy, musi odwrócić wzrok.

– Tak, cukru mamy więcej niż dość. Ale dziękuję.

Pani Nordklev rusza w stronę kuchennych schodów należących do kamienicy przy Jonas Reins gate. Maj z trudem się powstrzymuje, żeby nie powiedzieć, co jej leży na sercu. Ale pani Nordklev się odwraca.

– A tak w ogóle to napisałaś dobre sprawozdanie, Maj.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– Tylko nie pisz zbyt osobiście. Musimy zawsze zachowywać dystans.

– Nie chciałam, żeby tak wyszło.

– Chociaż miałaś całkowitą rację. Tydzień Czerwonego Krzyża nie powinien trwać dłużej niż tydzień.

Maj idzie na górę i wyjątkowo starannie przygotowuje kisiel rabarbarowy. Ewald w tym czasie ucina sobie poobiednią drzemkę jeszcze przed obiadem, a Jesper na krześle w holu studiuje nuty Margrethe Munthe. Maj wrzuca łodygi rabarbaru do wrzątku i pilnuje, żeby za bardzo nie ściemniały. Potem dosypuje cukier i cynamon. Kiedy rabarbar dostatecznie mięknie, dolewa wodę z rozmieszaną w niej mąką ziemniaczaną i szybko zagotowuje całość, która nabiera ładnego żółtawego koloru. Woła Ewalda i Jespera. Obaj zaraz przychodzą i siadają do stołu.

Rodzina Kristoffersenów wcześnie kładzie się spać. Słońce i kisiel z rabarbaru zmęczyły ich, niemal rozleniwiły. Drzwi do holu zostają otwarte, żeby był lekki przeciąg, bo Maj uchyliła kuchenne okno. Jesper nie włożył piżamy. Leży w białych majtkach, trochę za dużych. Okno w sypialni, wychodzące na Gørbitz gate, też zostało otwarte. Noc jest ciepła, jasna, pełna drobnych odgłosów, które jeszcze podkreślają

panującą między nimi ciszę. Maj leży na plecach, kołdrę skopała. Słyszy telefon u pani Vik. Jest tak cicho, że słychać dzwonek. Patrzy na zegarek. Wpół do jedenastej. Tylko o n może dzwonić tak późno. Pani Vik odbiera prawie od razu. Czyżby siedziała w przedpokoju i czekała na ten telefon? Mija chwila. Pani Vik odkłada słuchawkę.

– Jeśli umrę przed tobą, to jak będziesz o mnie wtedy mówił? – pyta Maj.

Ewald długo się nie odzywa, ale Maj czuje uderzenia jego serca i ciężki oddech. W końcu odwraca się do niej. Głos ma ściszony, kruchy, wyładowany niezwykłą w jego przypadku powagą.

– Jesteś chora, Maj?

– Nie, nie jestem chora.

– To dlaczego mówisz takie rzeczy? Nie wolno ci tak mówić.

– Tak się tylko zastanawiałam, Ewaldzie. Nazwałbyś mnie zrzędą?

– Daj spokój. Zrzędą? Nie jesteś zrzędą. Jesteś siewcą radości, Maj. Przynajmniej dla mnie.

– Ładnie to powiedziałeś.

– Poza tym ja umrę wcześniej niż ty.

– Ewaldzie!

– Mam nadwagę, zadyszkę i cierpię na bezsenność.

Maj gładzi go po ramieniu.

– Do naszej śmierci i tak jeszcze daleko.

Powaga Ewalda mija. Ewaldowi na ogół wszystko szybko mija.

– A ty jak byś o mnie mówiła? Nazwałabyś mnie łachudrą?

– Nawet nie wiem, co to znaczy. Łachudrą?

– Czy znalazłabyś sobie innego?

Maj przytula się do niego.

– Masz rację. Nie wolno nam tak mówić. Przepraszam.

Zasypiają wreszcie lekkim, letnim snem. Unoszą się zaledwie na jego powierzchni, ale czasami zanurzają się w niego i z głębi sprowadzają dziwne marzenia senne, których nie mogą się pozbyć aż do następnego dnia rano, kiedy siadają w kuchni do śniadania. Jesper nie ma apetytu.

– Co to znaczy łachudra? – pyta.

Maj i Ewald wymieniają spojrzenia. Ewald już otwiera usta, aby odpowiedzieć synowi, a Maj zastanawia się, jak wyjaśnić całą resztę, którą musiał słyszeć Jesper, ale wtedy rozlega się dzwonek do drzwi. Maj podnosi się szybko i idzie do przedpokoju otworzyć. To pani Vik. Stoi przy poręczy w lekkim płaszczu, butach na płaskim obcasie i kapeluszu z szerokim rondem. W ręku trzyma niewielką walizkę. Wydaje się zakłopotana.

– Możesz podlewać u mnie kwiaty? – pyta.

– Oczywiście.

– Bardzo bym nie chciała, żeby zwiędły.

– No tak, w tym upale…

– Przypilnuj zwłaszcza tego w salonie. Języka teściowej. Mam go jeszcze z czasów…

Pani Vik milknie i na moment musi oprzeć się o poręcz. Jest wytrącona z równowagi. Jej życie się chwieje. Maj robi krok na podest schodów, drzwi zostawia uchylone. Pyta szeptem:

– Dokąd się wybierasz?

– Niedaleko.

– No ale bierzesz walizkę.

Pani Vik się uśmiecha; to smutny, niepewny uśmiech.

– A właściwie bardzo daleko. Nigdy wcześniej tak daleko się nie wyprawiałam.

– Czy to do…

– Wiesz o tym?

– Nic nie wiem.

– Niech to zostanie między nami.

Pani Vik wręcza zapasowe klucze Maj, która jednak nie może się powstrzymać, pytanie samo wyrywa jej się z ust:

– Ale chyba wrócisz?

Pani Vik kiwa głową, stoi jeszcze chwilę, po czym rusza w dół po schodach z lekkim bagażem, który nagle wydaje jej się ciężki. Po

każdym kroku musi się przełamywać. Nie powinna była prosić Maj o podlewanie kwiatów. Nawet gdyby zwiędły, to co z tego? Kwiaty mają prawo więdnąć. Taksówka czeka na rogu Kirkeveien. Jakieś dzieciaki z Adamstuen, które też nie wyjechały na wakacje, tłoczą się wokół czarnego mercedesa. Można się w nim niemal przejrzeć. Kierowca ma kłopot z odpędzeniem hałastry. Nikomu nie wolno tknąć jego samochodu. Otwiera drzwiczki jedną ręką, a drugą, zaciśniętą w pięść, wygraża. Pani Vik siada z tyłu, walizkę kładzie obok siebie. Taksówkarz zajmuje wreszcie miejsce za kierownicą, opuszcza szybę i jeszcze chwilę wyklina. W końcu się odwraca.

– Gdzie panią zawieźć w ten piękny poranek?

Pani Vik wie, że wciąż może zmienić decyzję.

– Na prom na Nesodden – mówi.

Na wniosek stowarzyszenia Misja wśród Ludu Izraela Okręg Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża w osobach członków zarządu Oddziału Fagerborg oraz Oddziału Frogner zapewnił opiekę w szkole prywatnej Vestheim ok. 50 niemiecko-żydowskim dzieciom bawiącym przejazdem w Oslo w drodze do swoich opiekunów w całym kraju. Dzieci, które w Norwegii będą przebywać 3 miesiące, przybyły do prywatnej szkoły Vestheim dnia 1 sierpnia około godz. 9 rano i niezwłocznie podano im śniadanie. W ciągu dnia zaserwowano również obiad (lapskaus i zupę owocową z jadłodajni Dampkjøkkenet) oraz kolację, a około ósmej wieczorem ostatnie dzieci opuściły szkołę wraz ze swoimi przewodnikami. Część dzieci już wcześniej odebrali opiekunowie.

Zaplanowana wycieczka dla osób starszych odbyła się 6 lipca. Według pań Foss, Larsen i Kristoffersen wyjazd, któremu sprzyjała również piękna pogoda, był bardzo udany. W wycieczce – łącznie z trzema wymienionymi paniami, towarzyszącymi osobom starszym – wzięły udział 34 osoby. Autobus wyruszył spod kościoła Fagerborg o godz. 11 do Tyrihøgdy, gdzie po przyjeździe zaserwowano kawę, ciasteczka oraz gofry ze śmietaną i dżemem. Później uczestnicy wycieczki jedli obiad, na który podano pieczeń wołową, na deser gruszki i śliwki z bitą śmietaną, a na koniec kawę i drożdżówki. Podróż powrotna rozpoczęła się o godzinie 7.

PLANY ZAJĘĆ

Jest poranek 22 sierpnia 1949 roku; tego dnia Jesper ma iść po raz pierwszy do szkoły na Majorstua. Wszystko jest uszykowane i gotowe, czekało całe lato: w tornistrze leżą piórnik, plan zajęć, drugie śniadanie i zeszyt. Ołówki i gumkę załatwił Ewald, a Maj już dawno wyprasowała koszulę i spodnie, które wiszą w łazience. Ale w nocy Maj źle się poczuła. Na przemian robi jej się zimno i gorąco. Ledwie ma siłę wstać. To do niej niepodobne. Ewald żąda, żeby poszła do doktora Lunda. Sam może zaprowadzić Jespera do szkoły. Oczywiście, że może. Maj płacze, ale jest zbyt osłabiona, żeby protestować. Ewald jednak szybko wpada na inny pomysł, według niego o wiele lepszy. Najpierw pójdzie z Maj do doktora Lunda. Przecież ona ledwie trzyma się na nogach. Poza tym w Dek-Rek jest poranne zebranie, właśnie sobie o tym przypomniał, a tam Ewald Kristoffersen jest osobą zwyczajnie nieodzowną. Jesper dostrzega szansę. Może iść sam. Właśnie tego chciałby najbardziej. Mógłby pójść na wagary. Chyba pobiłby rekord, gdyby zwagarował pierwszego dnia szkoły. Ale to i tak bez znaczenia. Przecież już jest o rok spóźniony. W taki oto sposób dochodzi do tego, że Jesperowi pierwszego dnia szkoły towarzyszy pani Vik. Gdy wróciła z Nesodden, jej twarz miała dziwny kolor. Jesper jeszcze długo będzie słyszał: „Twoja matka jest taka stara? To dlatego jesteś opóźniony, że twoja matka to właściwie prababcia?". A Maj stale będzie powtarzać, że powinna była jednak z nim iść, wyrzuty sumienia nie dadzą jej spokoju przez wiele lat. Jesper i pani Vik są poważni i milczący, kiedy idą przez Kirkeveien. Koło sklepu rzeźnika Melsoma Jesper bierze panią Vik za rękę. Wzrusza ją to i budzi jej wdzięczność. Ale kiedy mijają Majorstua i mają skręcić za róg, przy Maries gate, gdzie stoi już cała gromada zdenerwowanych chłopców i dziewcząt, pełnych wyczekiwania, oraz ich tak samo świeżo wyfryzowanych i dumnych matek, Jesper puszcza dłoń pani Vik i staje. Ten ostatni kawałek chce przejść sam. Pani Vik nie może na to pozwolić. Odprowadzi go pod samą szkołę. Obiecała. Musi

zobaczyć, jak Jesper wchodzi na szkolne podwórze. Jak znajduje swoją klasę. Tłumaczy to Jesperowi. Chłopiec rozumie. Ale dalsze trzymanie jej za rękę jest wykluczone. Pani Vik również to rozumie. Podchodzą do bramy. Jesper rozpoznaje wiele twarzy, ale ich nie zna. Nagle dostrzega Josteina. Syn rzeźnika w wypadku stracił słuch w prawym uchu. Jesper idzie za nim. Stają obok siebie w jednym z dwóch rzędów, które łącznie tworzą klasę I g.

– Moja mama zachorowała – mówi Jesper.

Ale Jostein go nie słyszy, bo stoi zwrócony do niego martwym uchem.

Rozlega się dzwonek na pierwszą lekcję pierwszego dnia szkoły. Jesper się odwraca i widzi, że pani Vik wciąż stoi przy bramie i macha do niego.

Z panem Løkkem na czele maszerują do klasy. Tam Jesper musi usiąść w największej ławce pod ścianą, natomiast Jostein zostaje umieszczony z przodu, w środkowym rzędzie. Reszta chłopców może wybierać. Pan Løkke, który będzie ich wychowawcą przez trzy lata i który na tę okazję włożył dwurzędowy garnitur, zaczyna odczytywać listę. Są Petter, Rolf, Øivind, Birger i Ulf. Jesper wstaje, gdy zostaje wyczytane jego imię.

– Mam nadzieję, że będziesz się u nas dobrze czuł – mówi pan Løkke.

Jesper siada. Odczuwa niepokój. Dlaczego pan Løkke nie powiedział tego innym? Czy oni nie mają się u nich dobrze czuć? Zbyt duża dawka życzliwości budzi jego podejrzenia. Pociesza się tym, że pan Løkke musi wywoływać Josteina aż trzy razy, zanim syn rzeźnika zareaguje. Potem Jesper słucha innych imion, dochodzących jakby z daleka: Stein, Halvor, Asle, Tor, Lars. Jest gdzie indziej, jest w swoim świecie, w niepokoju. Zaczyna się bawić kałamarzem, umieszczonym w otworze na rogu ławki. Ma ochotę odkręcić wieczko i zanurzyć palec w atramencie. Robi to. Kałamarz jest pusty.

– To ważne, żebyś uważał.

Jesper podnosi wzrok. Pan Løkke stoi nad nim wyprostowany z rękami wzdłuż boków.

– Żebyś mógł zapamiętać imiona. Nie chcesz?

Jesper zakręca wieczko, rozgląda się i zaczyna pokazywać palcem.

– Petter, Rolf, Øivind, Birger, Ulf, Stein, Halvor…

Pan Løkke mu przerywa.

– Dobrze.

– Asle, Tor, Lars…

– Wystarczy.

Pan Løkke patrzy na Jespera z góry i przez chwilę nie wie, co ma zrobić. W końcu wiesza marynarkę na gwoździu przy drzwiach, przebiera się w brązowy roboczy fartuch z paskiem i staje za katedrą.

– Teraz się będzie robiło! A potem się będzie przerabiało!

Dwudziestu sześciu chłopców z Fagerborga i okolic otrzymuje rozkład zajęć, którego będą musieli się trzymać już do końca życia.

Kiedy znów wychodzą na szkolne podwórze, dzieje się to, co nieuniknione, co dzieje się na wszystkich szkolnych podwórzach po zakończeniu pierwszego dnia szkoły: niektórzy przyciągają się nawzajem z magnetyczną siłą, zawierają przyjaźnie, które także będą trwały już do końca życia, natomiast inni są odrzucani, odtrącani, odpychani w równie wielką samotność. Jesper stoi nieruchomo w całym tym rojowisku i widzi, że pani Vik ciągle czeka przy bramie. Jest mu wstyd, ale nie chce tego po sobie pokazać. Nie chce ze względu na nią. Jesper wyczuwa w pani Vik coś, co sprawia mu ból. Na szczęście ona tym razem nie macha. Mija go Jostein z przekrzywioną głową. Spieszy się. Ze wszystkich stron otacza go dystans. Jesper wsuwa ręce do kieszeni, podchodzi do pani Vik i razem idą za Josteinem, skręcają za róg, przechodzą przez skrzyżowanie na Majorstua i dalej maszerują Kirkeveien.

– Kiedy zaczynałam chodzić do szkoły, miałam dziesięć kilometrów w jedną stronę, a dwadzieścia kilometrów w drugą – mówi pani Vik.

– Dlaczego?

– Bo mieszkaliśmy na wsi.

– Pani mieszkała na wsi?

– Wszyscy w Oslo są ze wsi, Jesper.

– Ja nie.

– Ale twoja mama tak.

Jesper czuje nagły skurcz.

– Jak pani myśli, co jej dolega?

– To na pewno tylko jakiś wirus. Nie musisz się martwić.

Widzą teraz, że Jostein zdjął tornister i czeka na nich przed sklepem rzeźnika. Zatrzymują się. Jostein nic nie mówi. Może kiedy się źle słyszy, mówi się mniej, bo się nie słyszy, co się mówi?

– Bolało? – pyta Jesper.

Jostein nachyla się bliżej, ale zapomina, na które ucho nie słyszy.

– Co?

– Kiedy wpadłeś pod trolejbus.

– Mogę.

Jostein prędko wchodzi do sklepu, przez okno widzą jego rodziców za ladą. Oboje są w białych fartuchach, ale tylko matka ma siateczkę na włosach. Ojciec podchodzi do gilotyny i kroi kiełbasę. Jostein przynosi dwa plasterki serwolatki na kawałku papieru.

– Pójdziemy jutro razem do szkoły? – pyta.

– Możemy.

Daje serwolatkę Jesperowi, który chowa ją do kieszeni. Potem Jesper z panią Vik pokonują ostatni odcinek drogi. Sąsiadka ciągle nie ma zamiaru go puścić. Na dodatek chce wejść do mieszkania. Pragnie zwrócić Jespera w takim samym stanie, w jakim go zabrała. Poza tym chce się dowiedzieć, co z Maj, chociaż to pewnie tylko jakiś wirus.

Kiedy wchodzą, Maj siedzi w kuchni z rękami na kolanach i patrzy na nich. Jej włosy odzyskały życie, ale ciągle jest blada. Na blacie stoi talerzyk z niedojedzoną kanapką z marmoladą pomarańczową. Jesper kładzie obok plasterki serwolatki i znów odczuwa niepokój.

– Jak poszło? – pyta Maj.

Jesper kiwa głową.

– Dobrze – odpowiada.

Pani Vik kładzie mu ręce na ramionach.

– Jesper ma już nowego przyjaciela – mówi. – Josteina, tego chłopca od rzeźnika.

Jesper ją odpycha.

– On jest głuchy.

Maj wstaje i wyciąga do niego rękę.

– Chyba możesz się z nim przyjaźnić, nawet jeśli trochę gorzej słyszy?

– Poza tym nie lubię kiełbasy.

Jesper podchodzi do okna. Słyszy szelest dzikiego wina na zewnątrz. Suchy, zwiędły odgłos napełnia go smutkiem, który okazuje się nawet przyjemny, jeśli się w niego wsłuchać. Wciąż się nie odwraca. Maj chowa wędlinę do lodówki i ciężko siada z powrotem. Pani Vik nalewa jej szklankę wody.

– A ty jak się czujesz? Doktor coś stwierdził?

– Owszem. I to nie byle co.

– To znaczy?

Maj wzdycha i przenosi wzrok na Jespera.

– Będziesz miał braciszka albo siostrzyczkę.

Jesper obraca się powoli.

– Wolę pianino.

Dnia 21 sierpnia u pani Else Larsen odbyło się posiedzenie zarządu. Pani przewodnicząca Nordklev poinformowała, że 13 sierpnia od Norweskiego Stowarzyszenia Kobiet w Waszyngtonie otrzymała 11 paczek z ubrankami dla niemowląt oraz 3 kupony materiału na sukienki. Część niedokończonych rzeczy (koszulki) rozdzielono między członkinie zarządu, które je wykończą. Pani Nordklev odczytała list z podziękowaniami wysłany do przewodniczącej Norweskiego Stowarzyszenia Kobiet, pani Ragnhild Brekke, dzień po otrzymaniu paczek.

Lalkę zakupioną na kiermasz przekazano pani Lie, która zajmie się wykonaniem dla niej ubranek. Włóczkę na rękawiczki przekazano pannie Else Lange.

Rodzina Torsteina Malma, wspomniana w sprawozdaniu z posiedzenia zarządu z dnia 2 maja, otrzymała za pośrednictwem pani Nordklev odzież, obuwie itp.

Wniosek do Prywatnego Banku Bergeńskiego (w nawiązaniu do rozmowy telefonicznej z panem Torpem z dnia 1 czerwca 1949 r.) o sfinansowanie pobytu trojga dzieci na płatnych koloniach został odrzucony z uwagi na dużą liczbę wniosków, które wpłynęły wcześniej. Pan Torp obiecał jednak dopomóc nam latem przyszłego roku. Pani Nordklev zaproponowała, aby kwota przewidziana w budżecie na tegoroczne wakacje dla trojga dzieci (500 koron) została wobec tego przesłana do organizatorów kolonii letnich w Fagerlandzie.

Sprawa wniosku do radnego do spraw mieszkaniowych o przyznanie lokalu będzie kontynuowana.

W wykonywaniu zdjęć rentgenowskich, przewidzianym na Tydzień Czerwonego Krzyża oraz kilka poprzedzających go dni, potrzebna jest pomoc członków naszego oddziału. Czas pracy to godziny 9–13 i 15–22. Należy się zgłaszać do pani doktorowej Lund. Autobus naszego oddziału będzie stał przy kościele Fagerborg 13 września, a następnie pojedzie dalej na tereny innych oddziałów.

Zdążyłyśmy przygotować 13 paczek z wyprawką dla niemowląt, których zawartość jest niemal identyczna, tzn. obejmuje: kocyk bawełniany, ceratkę, 15–16 pieluch, jeden ręcznik frotté lub myjkę, majtki ceratkowe, 2–3 koszulki i motek włóczki. Diakonisa z parafii Fagerborg pomoże w dystrybucji.

PRZEŚWIETLONY

Johnsen kładzie przed Ewaldem jeszcze jedną kartkę i rzuca zabawną uwagę, która wcale nie jest taka zabawna. Ewald i tak się śmieje, ale zaraz się odgryza: „co, znów mam ścinać drzewa pilnikiem do paznokci?", wówczas jednak Johnsen już dawno jest na swoim miejscu. Ewald ma wyrysować oś czasu dla Oslo – dziewięćset przeklętych lat i symbole, czy też l o g o, powiązane z wydarzeniami, o których warto wspomnieć, a wszystko w myśl głównych założeń firmy: tradycja i nowoczesność. Oś ciągnie się od króla Haralda Hardråde do Haakona VII. Jest tam opiekun miasta, Święty Hallvard. Są królewska rezydencja i drobnomieszczańska prowincja. Są fabryki tekstyliów nad rzeką Aker i testament Edvarda Muncha. Żegluga morska i leśnictwo. Jest ten cholerny Vigeland. Z czterystu pięćdziesięciu trzech kilometrów kwadratowych miasta trzysta dwadzieścia to lasy, lasy i lasy. Oslo to las. Nie można pominąć Karl Johans gate i parku Studenckiego. Ewald ma ochotę dopisać w nawiasie „Parkurw", bo tak bywa nazywany ten park po dwudziestej trzeciej. Nie darowano sobie nawet akcji „Śniadania Oslo", pożywnych śniadań w szkolnych stołówkach dla wszystkich uczniów w stolicy. Ewald się nudzi. Jego pomysł przynajmniej rzucał się w oczy. Ten nie jest lepszy od trzech włosów z przedziałkiem. Ale Ewald jest posłuszny. Rozrysowanie oznacza posłuszeństwo. Ewald rozrysowuje to, co wymyślili inni. Jest kreślarzem. Pomysły nie wchodzą w zakres jego obowiązków. Pomysły to inny rodzaj posłuszeństwa. Człowiek jest wtedy posłuszny samemu sobie. Jest swoim własnym panem. To nie oznacza, że Ewald nie ma pomysłów. Nikt nie ma więcej pomysłów niż on, ale też nikt tych pomysłów nie widzi. Ravn zagląda mu przez ramię.

– Co my byśmy bez ciebie zrobili, Ewaldzie?

– Wsiedlibyście na ostatni prom do domu.

Ravn się śmieje i kładzie mu na biurku kolejną porcję kartek.

– Nie chcę się wtrącać, ale pamiętaj o odstępach między literami, żeby w drukarni zorientowali się, o co chodzi, rozumiesz?

– To jasne jak słońce, Ravn. Mówisz po norwesku jak rodowity Norweg.

Ravn poklepuje go po plecach.

– A ty kolejny raz przechodzisz samego siebie. Aha, jeszcze jedno: Rudjord zwołał zgromadzenie narodowe na punkt drugą.

Ravn wraca na swoje miejsce. Kładzie nogi na stole, zapala papierosa i wykasłuje płuca. Ewald Kristoffersen temperuje ołówek i zmienia tusz. Jest w złym humorze. Ale to wkrótce mija. W zasadzie Ewald jest w dobrym humorze. Czy nie przechodzi samego siebie? Myśli o Maj. Jest nie tylko w dobrym humorze, jest szczęśliwy. Powinien zadzwonić i spytać, jak ona się czuje. Jednak najpierw musiałby porozmawiać z panią Vik, a to ponad jego siły. Wstyd, że nie mają telefonu. Są odłączeni, a on chce być połączony. Chce być połączony ze światem. Na co komu pianino, kiedy się nie ma telefonu? Ewald śmieje się z własnego dowcipu. Może tak powiedzieć. Myśli o Jesperze. Czy on ma jakichś kolegów? Czy nadąża? Wyrzucają go z klasy na korytarz? Jesper chce mieć pianino. Może pianino mogłoby go uszczęśliwić? Ewald tego nie pojmuje, ale ma świadomość, że większość rzeczy jest niepojęta, a reszta prawie nie do pojęcia. Idzie po książkę telefoniczną i otwiera ją na stronie, na której widnieje hasło „Instrumenty". Wtedy jednak jest już druga i Rudjord zbiera współpracowników w recepcji. Mówi, że wszyscy, łącznie z nim, muszą stawiać sobie wielkie wymagania, większe niż kiedykolwiek. Rzecz jasna, oznacza to nadgodziny. Ale Dek-Rek jest, jak wiadomo, nowoczesnym biurem, które dba również o dobro pracowników. Wymagania idą tu ramię w ramię z troską, innymi słowy: cała banda ma się prześwietlić. Zgodnie z ustawą z 12 grudnia 1947 roku każdy ma obowiązek stawić się na prześwietlenie płuc. A tak się składa, że przy Bibliotece Deichmana stoi autobus podstawiony przez Główny Urząd Zdrowia, który we współpracy z Czerwonym Krzyżem przyjmuje mieszkańców miasta. Jednocześnie więc spełnią dobry uczynek, a mianowicie wspomogą Czerwony Krzyż. To również element jubileuszu: Oslo dba o swoich mieszkańców. Należy o tym pamiętać. Tak więc załoga Dek-Rek, z Rudjordem na czele, całą

gromadą rusza pod Bibliotekę Deichmana i ustawia się w kolejce do autobusu. Szef chce dać dobry przykład. Dwie siostry z Czerwonego Krzyża utrzymują porządek w systemie. Ewald nigdy wcześniej ich nie widział, ale też należą one do innego okręgu. Ravn ciągle nie może powstrzymać kaszlu, więc Ewaldowi, który stoi przed nim, spada na kark prawdziwy deszcz kropli. Słyszy odgłos plwociny lądującej na chodniku. Nie jest zbyt dekoracyjna. Ewald się odwraca.

– Zupa z trupa, kotlet z rany świeżą flegmą polewany. Ostatnie stadium gruźlicy.

– Przestań.

– Będziesz mógł oprawić zdjęcie rentgenowskie w ramki i wysłać na Wystawę Jesienną.

– Cholera, wcale nie jesteś zabawny, Kristoffersen. Nigdy nie byłeś.

Ewald widzi, że Ravn jest biały jak prześcieradło, a usta mu drżą. Drżą też pożółkłe palce. Cały facet drży. Ravn się boi. Obawia się najgorszego. Ewald ma wyrzuty sumienia, więc się śmieje.

– We wrześniu wszyscy kaszlą – mówi.

W autobusie muszą rozebrać się do pasa. Ewald nagle widzi, może w ogóle po raz pierwszy, jaki jest gruby. Brzuch, biały i obwisły, przelewa się nad paskiem. Krępuje się, ale nie swojego wyglądu, tylko tego, iż siostry z Czerwonego Krzyża mogą pomyśleć, że opływa w dostatek, że w czasie wojny obżerał się masłem i dalej to robi.

Ewald mówi, że Ravn może wejść przed nim, wcześniej będzie miał za sobą ten przeklęty przesiewowy rentgen. Ale Ravn wcale się z tego nie cieszy, wprost przeciwnie, wpada w gniew. Czy zdaniem Ewalda Ravn jest aż tak chory, że trzeba go przepuścić? Że sprawa jest aż tak pilna? Mamy się zacząć przepychać w kolejce? Ewald wzrusza ramionami i staje w urządzeniu, które przypomina kapsułę kosmiczną, ale to podróż w głąb, do mlecznej drogi albo czarnej dziury płuc. Każą mu przycisnąć klatkę piersiową do ekranu. Ekran jest zimny. Ewald robi co może. Wreszcie słyszy dwa pstryknięcia, widzi błysk światła i już po wszystkim. Wychodzi i szybko się ubiera, odwrócony tyłem do innych. Teraz kolej Ravna. Siostry pomagają mu wejść do aparatu. Potem Rudjord daje już wszystkim wolne, żeby następnego dnia byli

gotowi do walki. Po jego odejściu Ravn proponuje oblewanie rentgena w Bristolu.

Inni się śmieją i idą przez Akersgata, gdzie w przelocie pozdrawiają ich żurnaliści. Przecież pracują prawie w tej samej branży. Prześwietlenie trudno uznać za dobry powód do oblewania, ale kto się oprze propozycji pójścia do Bristolu? Ewald Kristoffersen odmawia. Nie zostaje to dobrze przyjęte. Czyżby chciał im popsuć nastrój? Ravn odcharkuje i zrównuje się z nim.

– Nie chciałem powiedzieć nic złego.

– Już zapomniałem, co mówiłeś. Co to było?

– Do diabła, Ewald, chodź z nami! Bez ciebie to nie będzie to samo.

Ewald ma ochotę powiedzieć, iż nie jest prawdą to, że we wrześniu wszyscy kaszlą. Ewald na przykład nie kaszle we wrześniu.

– Moja żona spodziewa się dziecka – mówi.

Ravn odwraca się do reszty ekspedycji.

– Ewald jest w ciąży!

Musi więc mimo wszystko iść do Bristolu i tym razem to jemu stawiają. Ale tylko jedno piwo. I może przy okazji jeden głębszy. Ulfsen już nalał do kieliszka. Wznoszą toast. Ewald patrzy na fortepian, opuszczony między stolikami a roślinami w doniczkach. Dopija i łaskawie otrzymuje zwolnienie z dalszych obowiązków. Najpierw pospiesznie wraca na Akersgata i w recepcji „Aftenposten" odszukuje gazetę z ogłoszeniem Enza Zanettiego. Potem kolejką jedzie na Majorstua. Nie ma jeszcze trzeciej. Może zaczekać na Jespera. Razem wrócą do domu. Zaczyna iść przez Sørkedalsveien w stronę szkolnej bramy. Wkrótce jednak traci odwagę. Może Jesperowi się to nie spodoba. Może syn poczuje się głupio, a to ostatnia rzecz, jakiej Ewald by sobie życzył. Zadaje sobie pytanie: czy gdybym był Jesperem, podobałoby mi się, że ojciec po mnie przychodzi? Nie podobałoby mu się. Zwalnia. Rodzice, zwłaszcza ojcowie, powinni trzymać się z dala od szkoły. W końcu Ewald całkiem się zatrzymuje. Kiedy słyszy dzwonek obwieszczający koniec lekcji, zawraca i idzie do domu okrężną drogą. Zagląda na pocztę i wypełnia jeszcze jeden formularz, który wysyła do Urzędu Telekomunikacji. Na osobnej kartce dopisuje, że jego żona, Maj

Kristoffersen, jest w odmiennym stanie, więc gdyby ich podanie zostało uwzględnione, byliby w siódmym niebie.

Zebranie Komitetu Wykonawczego odbyło się 2.09. Obecni: pani Esther Andersen, przew., pani Esther Dybvig, wiceprzew., oraz przedstawiciele Sekcji Pomocy dla Dzieci, Stowarzyszenia Pań Szyjących z 1907 Roku i Stowarzyszenia Zamężnych Sióstr Czerwonego Krzyża, a także przedstawiciele komitetu organizacyjnego kiermaszu Czerwonego Krzyża z oddziałów, oprócz dzielnic Sagene i Majorstua.

Głównym punktem porządku obrad był Tydzień Czerwonego Krzyża, którego oficjalne otwarcie nastąpi 10.09 w radiu.

W dniach 17 i 24 września odbędzie się losowanie omawianych wcześniej maszyn do szycia Elna.

W dniach 10–24 września w całym mieście odbywać się będzie sprzedaż balonów. Oddziały będą mogły sprzedawać balony na własnym terenie (zakup 0,75 korony, sprzedaż 1,50 korony). Stałe punkty sprzedaży: Kontraskjæret, Dworzec Wschodni i Zachodni, Majorstua i park Studencki.

Następnie koncert przy Calmeyers gate (na razie brak ostatecznej umowy).

W dniu 24.09 festyn dla dzieci na Stadionie Bislett: pokaz baletowy, policjanci walczący na węże z wodą, wychowankowie gimnastyka Odda Bye-Nielsena itp. Guma do żucia i balonik bezpłatnie dla każdego dziecka przy wejściu. Tego samego dnia (24.09) popołudniowe przedstawienie w Colosseum (rewia). Codziennie przemarsz ze sztandarami z towarzyszeniem orkiestry od remizy straży pożarnej przez Karl Johans gate do pawilonu. Pokazy Korpusu Pomocniczego w parku Frogner. Na Kontraskjæret jarmark z rozmaitymi stoiskami, kołem fortuny, kiełbaskami, lodami, grillem itp. Poza tym od 19 do 30 września amerykańska wystawa plastiku połączona z demonstracją (w namiocie). Publiczności zaprezentowane zostaną drobne przedmioty, takie jak naparstki, grzebienie, kieliszki do jajek itp., które Czerwony Krzyż będzie mógł sprzedać i uzyskać z tego dochody.

Zakupiono już samochód przeznaczony na nagrodę w loterii. Na razie jednak nie ma zezwolenia na sprzedaż losów.

Kiermasz: plakaty do naklejania na szyby można odbierać u pani Scheel. Oddział Fagerborg będzie miał stolik nr 11 A, na końcu po lewej stronie.

Sprzedaż znaczków: Oddział Fagerborg zaproponował, aby ubiegać się o zezwolenie na sprzedaż znaczków w niedzielę 1 paźdz. – tego dnia dzieci mają wolne, a na Stadionie Ullevål odbywa się między innymi mecz reprezentacji kraju. Komitet Wykonawczy rozważy tę propozycję.

Izba Chorych w miejscowości Øksfjord w regionie Finnmark otrzymała od Komitetu Wykonawczego 5000,– koron na aparat rentgenowski. To pierwsza stała izba chorych utworzona po zniszczeniach w tym regionie. Okręg Oslo już wcześniej wspomagał tę placówkę.

W ubiegłym tygodniu Czerwony Krzyż odwiedziły panie z Francuskiego Czerwonego Krzyża. Przyjechały odebrać 45 francuskich dzieci, które spędziły lato w Norwegii. W opinii Esther Andersen dzieci, pochodzące głównie z regionu objętego strajkami, wyjątkowo skorzystały na pobycie. Wkrótce po przybyciu małych Francuzów do Norwegii 150 dzieci norweskich pojechało z wizytą do Francji (nb. na własny koszt).

Zwrócono się do miejskich kościołów z prośbą o przeznaczenie ofiary kościelnej na Czerwony Krzyż. Za szczególnie istotne uznano, aby pastor w trakcie nabożeństwa wygłosił kilka słów na temat Czerwonego Krzyża. Pastorzy odnoszą się do tej prośby bardzo przychylnie.

DZIEŃ SĄDU

Doktor Lund lubi rozmawiać z Melsomem, rzeźnikiem. To człowiek mocno stąpający po ziemi. Poza tym zna się na swoim fachu. Tnie kotlety z karkówki z precyzją chirurga. A najprzyjemniejsze jest to, że mają odmienne poglądy na większość spraw.

– Czytał pan *Kaczora Donalda*? – pyta doktor Lund.

– Jostein czyta *Fantoma*.

– Pytałem, czy pan czyta, panie Melsom.

– Po śmierci Sigrid Undset przeglądałem jej książki.

– Jest wyjątkowa. Chociaż uważam, że od czasu do czasu popada w sentymentalizm.

Rzeźnik Melsom odcina piątego kotleta dobrze wyważonym ciosem, tym razem bardziej jak żołnierz niż jak chirurg.

– Opisuje dokładnie tak, jak jest.

– Chyba raczej tak, jak b y ł o. Powiedziała, że serce człowieka się nie zmienia. Jako lekarz mogę stwierdzić, że się gruntownie myli.

– Poza tym nie sądzę, żeby te komiksy mogły komuś zaszkodzić. To zabawa i przyjemność, doktorze. A czy to, co zabawne, nie jest też zdrowe?

Doktor Lund wyjmuje portfel.

– Owszem, jest. Ale nie każda przyjemność jest tak samo zdrowa. Nie możemy zaśmiać się na śmierć.

Melsom ze śmiechem opłukuje ręce.

– Zapamiętam to sobie. Nie możemy zaśmiać się na śmierć.

– Myśli pan, że Partia Pracy znów wygra?

– A któż by inny?

– Prawica mogłaby ich doścignąć.

– Musieliby biegać szybciej niż pan, doktorze.

– O, ja już nie biegam tak szybko jak dawniej, więc walka z góry jest przegrana.

– Ale komuniści swoje najlepsze dni mają już za sobą.

– A czy w ogóle kiedyś je mieli? Najlepsze dni?

Z zaplecza wyłania się Jostein. Z tornistrem na plecach spieszy do drzwi. Ojciec woła:

– Przywitaj się z doktorem, Jostein!

Chłopiec się zatrzymuje i kłania pośpiesznie.

– Dobrze ci idzie w szkole? – pyta doktor Lund.

Jostein podnosi głowę, przekrzywiając ją. Głowa wydaje się spoczywać na lewym ramieniu.

– Nie mogę się spóźnić.

– Nie, nie, spóźniać się nie wolno. Biegnij!

Jostein wybiega i w tej samej chwili pojawia się Jesper. Chłopcy podają sobie ręce jak dorośli, co wygląda dość dziwacznie, po czym ruszają razem w stronę szkoły na Majorstua.

– Jak on się czuje? – pyta doktor Lund.

Melsom przekłada kotlety papierem śniadaniowym i pakuje.

– Źle słyszy.

– Są aparaty słuchowe.

– Nie tylko z tym jest kłopot. Przecież uderzył się w głowę.

– Jeśli mogę w czymś pomóc, proszę się nie wahać. Obieca mi pan to?

Melsom wręcza paczkę doktorowi Lundowi i pyta z uśmiechem:

– Szykuje się przyjęcie?

– Żona zaprosiła panie, aby uczcić Tydzień Czerwonego Krzyża.

– Ale to chyba będzie dopiero za jakiś czas?

– Owszem, ale ona woli to uczcić zawczasu, na wypadek gdyby ten tydzień się nie udał.

– To też sobie zapamiętam.

– A ja na szczęście mam tylko dostarczyć wiktuały i trzymać się z daleka.

Doktor Lund płaci i wychodzi; na moment przystaje, napawając się powietrzem, które wolniutko się porusza. Kirkeveien w sobotni wrześniowy poranek ma w sobie coś wyjątkowego. To coś w zapachach. Czuć słaby aromat z browaru na Pilestredet, przemieszany ze świeżością lasów Nordmarka. Jest też pewna powolność we wszystkim, w świetle, w ludziach. Doktor idzie dalej, do gabinetu; paczkę z kotletami wręcza pielęgniarce, która wkłada ją do lodówki, gdzie stoją leki. Zamieniają kilka słów, zanim doktor włoży biały fartuch oraz drewniaki, które zawsze tu nosi, i usiądzie. Słyszy, że pielęgniarka nuci. Lubi to. Może Ågot Rud ma jakieś zaproszenie na dzisiejszy wieczór? Trzeba mieć taką nadzieję. Dziewczyna ma trzydzieści lat, ale na ogół nikt nie daje jej więcej niż dwadzieścia pięć. Doktor Lund czuje zadowolenie. Zadowolenie z życia. Jest sobota. Lista pacjentów, która leży na biurku, jest bardzo krótka. Nikt nie zamawia wizyt na sobotę. To dziwne. Większość ludzi chce być zdrowa tego dnia. Ale dobry humor doktora zaraz mija. Na dwunastą przyjdzie Ewald Kristoffersen. Doktor Lund wyjmuje zdjęcia z koperty przysłanej ze Szpitala Centralnego, ogląda je jeszcze raz i ponownie czyta epikryzę, która nie daje nadziei. Plamka na lewym płucu nie pozostawia żadnych wątpliwości. Rak się rozwija. Pomimo wczesnego stadium nie zaleca się operacji. Doktor Lund zamyka kopertę. To po prostu wyrok śmierci. Nie pierwszy raz musi powiedzieć pacjentowi, że jest już za późno. Wcale nie jest mu z tego powodu łatwiej. Raczej trudniej. Musi ważyć słowa. Trzymać stronę zarówno pacjenta, jak i diagnozy. Znaleźć równowagę między pociechą a rzeczowością. A rzeczowość jest bezlitosna. Dlatego pociecha na ogół bywa słaba. Słowo „nadzieja” nie może mu przejść przez usta. Do drzwi gabinetu puka pielęgniarka, przyniosła kawę.

– Bardzo ci dziś wesoło – mówi doktor Lund.

Ågot Rud się czerwieni.

– Przepraszam.

– Nie musisz. Masz jakieś plany na wieczór?

– Idę z koleżankami do restauracji, do Skansenu.

– No to powiem ci tylko, żebyś się pilnowała.

– Potrafię się upilnować.

– Wiem, wiem. Byle nie za starannie.

– To wszystko?

Doktor Lund kiwa głową, więc Ågot Rud kieruje się do drzwi, wyprostowana i urażona. Chociaż ani ona, ani on nie wiedzą dlaczego. Ale jednak to nie wszystko:

– Ewald Kristoffersen ma wizytę o dwunastej – mówi doktor Lund.

Ågot Rud się zatrzymuje.

– Zgadza się. Centralny go skazał?

– Jeśli nie wyjdzie do wpół do pierwszej, zapukaj do drzwi i powiedz, że niedługo przyjdzie następny pacjent.

– Kristoffersen jest dzisiaj jedynym pacjentem. Nikt inny się nie rejestrował.

Doktor Lund jej przerywa.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Niestety, tak.

– Właściwie sądzę, że nie. Nie proszę cię o to, żeby się z tego łatwo wywinąć. Chcę sam sobie narzucić presję czasu.

Ågot Rud po cichu zamyka drzwi, na karteczce notuje, że doktor Lund nie może zapomnieć kotletów, i przepisuje na czysto harmonogram wizyt na następny tydzień. Wcale nie marzy o tym, że dziś wieczorem spotka w Skansenie mężczyznę swojego życia. Chce po prostu chwilę się zabawić. Mężczyzna jej życia nie istnieje. Jest tego pewna. I wcale go nie potrzebuje. Wszyscy mówią, że potrzebuje mężczyzny, ale się mylą. Nie wiedzą, czego jej potrzeba.

Ewald Kristoffersen przychodzi punktualnie, to znaczy za pięć dwunasta. Ågot Rud pomaga mu zdjąć płaszcz i wiesza go na wieszaku. Przez chwilę, patrząc na tego ciężkiego mężczyznę, który usiłuje udawać wesołego, ma ochotę się rozpłakać. Uśmiecha się jednak, szukając słów, ale to Ewald Kristoffersen znajduje je pierwszy.

– Nie wybiera się pani dzisiejszego wieczoru zabawić się na mieście z doktorem?

– Co też pan mówi?!

– Doktorowa urządza przyjęcie dla pań, więc zarówno doktor, jak i pani macie wolne.

Ågot Rud się śmieje i kręci głową.

– Może raczej my wybralibyśmy się gdzieś we dwoje?

– Na taką propozycję chętnie krzyknąłbym trzy razy po trzykroć „hura!".

Przez moment stoją wpatrzeni w siebie, milcząc, i nagle Ewald wyczuwa powagę sytuacji. Przez mgłę żarcików i błazenady dostrzega wyrok, inaczej nie potrafi tego określić. Umrze. Ågot Rud chce coś powiedzieć, ale milczy i tylko otwiera przed nim drzwi. Doktor Lund stoi przy oknie, odwrócony do nich tyłem. Ewald wchodzi. Doktor Lund nie zmienia pozycji, dopiero po chwili się odwraca i wyciąga rękę. Ewald ją ujmuje. Siadają po dwóch stronach biurka. Doktor Lund powoli przekłada papiery.

– Moja żona wybiera się dziś do państwa na przyjęcie – mówi Ewald.

– Głównie do mojej żony. Za to ja kupiłem najładniejsze kotlety z karkówki. Tylko proszę nic żonie nie mówić.

– Obiecuję. Nie powiem ani słowa.

– Jak się miewa Jesper?

– Jesper miewa się dobrze. Ale uważam, że teraz powinniśmy porozmawiać o mnie i nie tracić więcej czasu.

Doktor Lund podnosi głowę i ma ochotę się uśmiechnąć. Nie uśmiecha się. Lubi tego mężczyznę, który przed nim siedzi. Niektórzy twierdzą, że Ewald Kristoffersen nie ma głębokiego wnętrza, ale się mylą. Jego głębią jest radość życia. Dlatego to będzie wyjątkowo trudne.

– Zdjęcia rentgenowskie wykazały plamę na lewym płucu. To rak. Niewiele możemy zrobić. Ale oczywiście zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Ewald dopiero po chwili pyta:

– To znaczy?

– Terapia przeciwbólowa. Lekarstwa. Opieka.

– Będzie bolało?

– Niekoniecznie.

– Ta odpowiedź nic nie znaczy.

– Będzie.

– Jak to możliwe, że jestem chory, skoro czuję się zdrowy?

– Na tym polega charakter tej choroby. W tym stadium w ogóle się jej nie czuje.

– Ale ja już ją czuję, doktorze. Teraz gdy już wiem.

Ewald się pochyla i musi przytrzymać się brzegu biurka, żeby nie spaść z krzesła. Doktor Lund przynosi mu szklankę wody. Ewald pije, ale jest w stanie przełknąć tylko łyk. Oddycha głęboko i się prostuje. Doktor Lund kładzie mu rękę na ramieniu.

– Będzie dobrze, Ewaldzie.

– Nie będzie dobrze, do jasnej cholery.

– Ma pan całkowitą rację.

Doktor Lund siada z powrotem; właściwie czuje ulgę. Właśnie na to czekał, na reakcję. Inaczej niepokój zgromadziłby się w nowym guzie i eksplodował.

– Może dobrze by było, gdyby pan przyszedł tu z żoną. W przyszłym tygodniu…

Ewald mu przerywa.

– Ja tak nie uważam.

– To pan decyduje.

– Owszem.

– Ale to zwykle pomaga, kiedy się podzieli…

Ewald uderza pięścią w stół.

– Chce pan powiedzieć, że to by było mniej bólu dla mnie, a więcej dla Maj?

Przyciąga rękę zawstydzony, obnażony; tak, czuje się obnażony. Doktor Lund wpatruje się w jego szeroką twarz, pełną niepokoju, szuka w niej chęci do życia.

– Prędzej czy później i tak się o tym dowie.

– No właśnie, prędzej czy później. Ale nie teraz.

– Tak jak powiedziałem, to pana decyzja.

– Pokorne cielę zasypia gruszki w popiele.

– W ogóle nie rozumiem, co pan do mnie mówi.

– Nie ma co się martwić na zapas. Odwagi!

Ewald Kristoffersen wstaje. Doktor Lund również. Obaj mężczyźni wyglądają przez okno. Drzewa na środkowym pasie Kirkeveien wreszcie urosły. Liście ciągle są zielone. Nie ma jeszcze wpół do pierwszej.

– W najbliższej przyszłości będziemy mieli ze sobą sporo do czynienia – oznajmia doktor Lund.

– Tego pewnie nie da się uniknąć.

– Co zamierza pan mówić żonie przy okazji każdej wizyty tutaj albo w Szpitalu Centralnym?

– Że idę do Bristolu.

– Tylko niech się pan trzyma wody mineralnej, panie Kristoffersen.

Śmieją się obaj. Ewald podchodzi do okna, przykłada dłoń do szyby i przez chwilę tak stoi.

– Zdążę zobaczyć nasze dziecko? – pyta.

Doktor Lund znów zerka na zegarek. Wpół do pierwszej.

– Tak.

Ewald odwraca się do niego.

– Dużo czasu potrzebował pan na tę krótką odpowiedź.

Doktor Lund patrzy mu w oczy, w których nie ma miejsca na wątpliwości.

– Zdąży pan zobaczyć dziecko – mówi.

Rozlega się pukanie do drzwi i do gabinetu zagląda Ågot Rud. Ewald klaszcze w dłonie.

– Dobrze, że pani przyszła! Właśnie wychodziłem.

Idzie za nią. Pielęgniarka pomaga mu włożyć płaszcz, strzepuje z jego ramion niewidzialne pyłki, a z każdego jej ruchu przebija troska.

Ewald dostrzega lustro i widzi w nim samego siebie. Nie zauważa żadnej różnicy, chociaż… Wydaje się młodszy. Nie może tego pojąć. Ågot Rud stoi za jego plecami.

– Wszystko w porządku, panie Ewaldzie?

– Niestety, nie mogę przyjąć pani zaproszenia. Nagle się okazało, że dzisiejszy wieczór mam zajęty.

– Szkoda. Wobec tego może kiedy indziej.

– Moglibyśmy wybrać się do Ronda. Kiedyś tam chodziłem.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

Ewald się śmieje.

– Wie pani, byłem prawdziwym showmanem. W dodatku chudym jak ci z Bergen-Belsen.

Ågot Rud kręci głową i parska śmiechem.

– Co pan wygaduje?

– Pani mi nie wierzy?

Ågot Rud przestaje się śmiać i spuszcza wzrok.

– A czy nie wszyscy byli chudzi przed wojną?

Kiedy Ewald Kristoffersen wychodzi na Kirkeveien, nie ma pojęcia, w którą stronę iść. Stracił wyczucie kierunku. Nie wie, gdzie jest. Fagerborg nagle przestaje istnieć. Ewald czuje jedynie, że doktor Lund obserwuje go przez okno. Po chwili jednak Ewald Kristoffersen już wie. Dochodzi do siebie. Okrąża Marienlyst, żeby nikogo nie spotkać, mógłby się przecież natknąć na Maj, i wybiera drogę przez błonia Tørtberg. Zatrzymuje się przy bramce na boisku koło szkoły policyjnej, opiera o słupek i osuwa na wilgotną, zdeptaną trawę. Ewald Kristoffersen jest zdumiony. Nie czuje strachu. Jedynie żal i wolność. Nie potrafi tego pojąć. Owszem, żal rozumie, ale nie to poczucie wolności. Jest wręcz bluźniercze. Stał się jedynowładcą. Jest nietykalny. Podnosi się. Płaszcz nasiąknął wilgocią. Ewald ma też mokry tyłek, więc idąc w stronę Majorstua, szeroko stawia nogi. Rozgorączkowani przedstawiciele partii politycznych rozdają ulotki. Prawica ulokowała się na schodach, którymi nadchodzą pasażerowie wysiadający z kolejki na Holmenkollen. Lewica i Partia Pracy zajęły stanowiska przy Monopolu Spirytusowym. Chrześcijańska Partia Ludowa, jak zwykle, ustawiła się na rogu koło apteki, a komunistów na szczęście nigdzie nie widać. Ale Partia Chłopska z wyciągniętą ręką stoi osobno przy budce telefonicznej. Ewald mija je wszystkie, nie zwracając na nie uwagi. Idzie

dalej wzdłuż Arbos gate i zatrzymuje się przed łukowatą bramą szkoły. Dzwonek wzywa na ostatnią lekcję. Przez moment miga mu przed oczami Jesper, idący z jakimś chłopcem, nachylającym się w jego stronę. To Jostein, syn rzeźnika, który omal nie zginął na skrzyżowaniu na Marienlyst. Ewald czuje ulgę. Może syn znalazł sobie kolegę. W tej samej chwili Jesper się zatrzymuje, odwraca i widzi ojca, który lekko unosi rękę i uśmiecha się do niego. Wydaje się jakiś inny. Równie dobrze mógłby tam stać zupełnie obcy ojciec. Jesper nie wie, o co chodzi. Ale o coś chodzi na pewno. Nagle robi mu się zimno, więc biegnie za Josteinem. W klasie jest niespokojnie, lecz to wesoły niepokój, który nawet pan Løkke potrafi znieść. Ostatnia lekcja w sobotę to najlepsza z lekcji. Na tablicy dyżurny napisał: *Pamientaj, abysi dzieni siwienty siwiencił*. Pan Løkke używa gąbki i poprawia błędy, omawiając literę po literze. W każdym słowie jest co najmniej jeden błąd. Widzi to nawet Jesper. Ale on znów znalazł się gdzie indziej. Jest w swoich myślach. Myśli o ojcu. O coś mu chodziło. Jesper to widział. Wyczuł jakieś drgnienie, ruch, dźwięk. Już samo to, że ojciec tam stał… Jespera ogarnia lęk. Ma ochotę coś wykombinować, zrzucić piórnik na podłogę, przewrócić kałamarz, w coś uderzyć. Może powiedzieć, że musi iść siku. Mówi tak. Musi iść siku. Ale w tym miejscu przebiega granica. Jesper Kristoffersen może sobie sikać, ile tylko zechce, przez całą niedzielę. Klasa się śmieje. Dyżurny stoi przy tablicy i pisze zdanie jeszcze raz: *Pamientaj, abyś dzień świenty świencił*. Nauczyciel wzdycha głęboko. Przynajmniej jest jakaś poprawa. Może lepiej, żeby dyżurny zamiast „dzień święty" napisał „niedziela"? Chłopcy w rzędzie pod oknem nie uważają. Siedzą niemalże odwróceni plecami. Czyżby na szkolnym podwórzu działo się coś ważniejszego niż to, co się dzieje na tablicy? Niemożliwe. Pan Løkke ich strofuje, ale łagodnie, jest sobota, ostatnia lekcja i również on marzy o tym, żeby mieć wolne. Jesper się wierci. Jostein siedzi na środku i nic nie widzi. Dlatego on też nie może pomóc Jesperowi. Pan Løkke wypisuje na tablicy wierszyk miesiąca, a właściwie od razu dwa, bo już niedługo miesiąc się zmieni:

Sierpień głową kiwa
będą piękne żniwa.

Już nadchodzi wrzesień,
W bród owoców niesie.

Te wersy klasa ma odczytać chórem, ale zanim są gotowe, rozlega się dzwonek kończący lekcję. Tornistry już spakowane. Kto pierwszy do drzwi? Pan Løkke pozwala uczniom biec. Mimo że to złamanie czterech zasad regulaminu, nie może nie zachwycać się tym, co widzi. Widzi radość i pęd. Ten zahartowany mężczyzna za każdym razem w takiej sytuacji mięknie. Sam pakuje swoje rzeczy z zaplanowaną powolnością i zaciska pasek wokół zniszczonej brązowej teczki. Jesper ciągle siedzi. Pana Løkkego to dziwi. Chce coś powiedzieć. Ale wtedy Jesper wreszcie wstaje, kłania mu się szybko i wychodzi z klasy. Pan Løkke staje w drzwiach i obserwuje go ze zmartwioną miną. Chłopiec wcale nie jest niegrzeczny, nie o to chodzi, jest po prostu zdekoncentrowany. Może powiedzieć również: ten chłopiec jest inny. W poniedziałek pan Løkke powie raczej, że chłopiec nie nadąża. Przed końcem jesieni będzie musiał wezwać rodziców na rozmowę. Korytarz wreszcie pustoszeje. Ale ciągle utrzymuje się w nim echo kroków. To ślady uczniów chodzących tędy przez lata, które potrafi wychwycić jedynie stary nauczyciel. Jako ostatniego słyszy Jespera Kristoffersena; chłopiec znika na schodach i wychodzi na podwórze, gdzie ciągle czeka na niego ojciec. Jostein stoi przy fontannie z wodą pitną. Jesper daje mu znak, który rozumieją tylko oni dwaj, i zamiast do kolegi podchodzi do ojca. Ojciec kładzie mu rękę na ramieniu i razem ruszają w górę Kirkeveien.

– Nie zaczekamy na Josteina? – pyta ojciec.

Zatrzymują się. Jostein wkrótce do nich dołącza. Żegnają się przy sklepie rzeźnika, Jesper z ojcem idą dalej. Jesper pozwala ojcu trzymać się za rękę.

– Zaprzyjaźniliście się?

– Słucham za niego – odpowiada Jesper.

– To świetnie. A co on robi dla ciebie?

– Jest moim przyjacielem.

Po powrocie do domu Ewald nagle uświadamia sobie, że żyje ryzykownie. To niezwykłe, że on i Jesper pojawili się razem. To, co niezwykłe, jest podejrzane. Musi sobie zapamiętać: większość rzeczy trzeba robić jak dawniej. Ma być podobny do tego, kim był, a kim już nie jest. Nie może też być podobny za bardzo, bo to również wzbudzi podejrzenia. Niezdradzanie się wymaga wielkiego wysiłku. Ale Maj jest zbyt zajęta przymierzaniem sukienek i ozdób, na których Jesper i Ewald ani trochę się nie znają, więc na razie mają się do niczego nie wtrącać. Siadają w kuchni i robią sobie kilka kanapek. Maj przygotowała obiad, klopsiki wieprzowe, które mogą sobie podgrzać po jej wyjściu. Z ziemniakami muszą dać sobie radę sami, a w spiżarni stoi słoik borówek. W końcu ich woła. Zaprasza na audiencję. Idą do salonu. Maj jest ubrana w ciemnoczerwoną sukienkę, której Ewald sobie nie przypomina. To go przeraża. Przecież Maj nie ma aż tylu sukienek. Jego zdaniem wygląda w niej ładnie. Piękniejszej kobiety niż ona nie widział. Maj obraca się powolutku, aby nie pozostawić nic po stronie cienia, ręce trzyma na brzuchu, który zaczyna się odznaczać. Z każdej strony wygląda tak samo ładnie. Ewald rozumie, że odpowiedni strój jest jeszcze ważniejszy, kiedy na spotkaniu obecne są tylko panie. Maj z każdej strony wygląda tak samo ładnie. Ewald powtarza to w myślach. Ale i tak się boi, że powie coś niestosownego.

– Ładnie ci w niej – mówi.

– Ale o wiele ładniej ci w niebieskim – oświadcza Jesper.

Maj gwałtownie nieruchomieje i patrzy na Jespera. Ewald tym razem nie musi udawać. Lekko ściska Jespera za kark.

– Ty się na tym nie znasz.

– Ty też nie.

– Dość tego, Jesper. Powiedz, że mama jest najładniejsza na całym Fagerborgu.

– Ale w niebieskim byłaby jeszcze ładniejsza.

Maj posyła Jesperowi uśmiech, którego Ewald nie rozumie. Puszcza Jespera i obdarza Maj pocałunkiem, żona przyjmuje go ze zdziwieniem. Ewald musi się pilnować. Jeśli okaże się za dobry, może się to źle skończyć. Nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko wyłożyć karty na stół

i powiedzieć, że umiera. Inaczej gotowa jeszcze pomyśleć, że Ewald ma kogoś na boku. Maj znika w łazience i długo nie wraca, aż Ewald zaczyna się bać, że zapomniała, że wychodzi. Mówi to Jesperowi. Mama najwyraźniej zapomniała, że wychodzi. Jesper się nie śmieje. O wpół do piątej Maj wreszcie zamyka za sobą drzwi. Ewald i Jesper machają jej na pożegnanie z niewielkiego balkonu. W końcu zostają tylko we dwóch. Ewald odsmaża klopsiki na patelni i uzgadnia z Jesperem, że z ziemniaków rezygnują. Mogą za to zjeść więcej borówek. O szóstej słuchają razem radia dla dzieci. To powtórka *Wuja Einara i Oscara w studiu* autorstwa Schibbyego. Ewald przypomina sobie coś, co powiedział ten Schibbye, bo te słowa wywarły pewne wrażenie na branży reklamowej: „W sobotnie popołudnie dzieci powinny mieć możliwość posiedzieć pół godziny przy głośniku jako wolni ludzie". Patrzy na Jespera. Czy syn jest teraz wolnym człowiekiem? Trudno to stwierdzić, a pytać nie chce. Jesper nie umrze, jeszcze długo nie, dlatego krępują go ludzie, miejsca, nawyki, obowiązki, wiąże go wszystko, co go otacza. A Ewald chciałby, żeby Jesper też mógł być wolny, tak jak on się oderwał od swoich cum. Po słuchowisku dla dzieci stoją przy oknie i wypatrują Maj. Nie wraca jeszcze do domu. Jeszcze długo nie wróci. Ewald mówi, że doszły go słuchy, iż u pani Lund będą jeść kotlety z karkówki, a na to potrzebny jest czas. Poza tym będą pić kawę i gadać, to zaś zajmuje jeszcze więcej czasu. Jesper i tak stoi przy oknie. Ewald żałuje, że powiedział o kotletach. Może Jesper spyta Maj, jak smakowały, a ona wtedy będzie się dziwić, skąd wiedział, że właśnie tym została poczęstowana. Ewald musi uważać. Zapala papierosa. To już teraz bez znaczenia. Jeśli ma ochotę, może zapalić dwa naraz. Jesper od czasu do czasu odwraca się w jego stronę, ale nie patrzy mu w oczy. Żal mu ojca? Na to wygląda. Dlaczego miałoby mu być żal? Ewald się wzdryga. Czyżby się jednak zdradził? To niemożliwe. Ale już wie. Jesperowi go żal, ponieważ Maj wyszła sama. Ewald wzdycha z ulgą, podchodzi do Jespera i obejmuje go za ramiona. Właśnie w taki sposób ojciec i syn powinni stać razem. Nie muszą nic do siebie mówić. Właśnie to jest piękne. Nagle dostrzegają doktora Lunda. Idzie szybko w dół Kirkeveien w dresie i czapce, z dużą jasnoniebieską torbą na ramieniu. Zerka w okno, przy którym stoją Ewald z Jesperem. Cieszy go, że widzi ich razem. Ale to jednak przykry widok. To wiedza wywołuje przykrość.

Szybko pozdrawia ich gestem, ale oni być może go nie widzą. Idzie dalej, mija Majorstua, gdzie kilku młodych ludzi poszturchuje się przy postoju taksówek, a dwie lekko ubrane dziewczyny coś do nich wołają. Doktor Lund zostawia ich w spokoju. Ma swoje sprawy do przemyślenia. Dociera do Stadionu Frogner i wchodzi na boisko, spowite mrokiem, opuszczone i ciche. Wyjmuje z torby butelkę z wodą, wypija łyk i wkłada buty do biegania. Niektórzy uważają, że najlepsze są takie z grubymi podeszwami. Doktor Lund wie lepiej. Podeszwy powinny być jak najcieńsze. Przed wojną widział na zawodach w Edynburgu Afrykańczyków biegających boso. Wygrali, ale zostali zdyskwalifikowani. Doktor się rozciąga i rusza niespiesznie. Potem znów się rozciąga, wypija jeszcze łyk, następnie przebiega dwadzieścia pięć okrążeń, dziesięć tysięcy metrów. Potrzebuje na to trzydziestu dziewięciu minut. To aż śmieszne. Kiedy człowiek jest młody i ma dużo czasu, biega na krótkie dystanse, gdy zaś się starzeje i zaczyna mu się spieszyć, wybiera długie: półmaraton, maraton. Odpoczywając trochę, słucha miasta otaczającego stadion, płynącej skądś muzyki, tramwaju, szczekania psa, głosów, które ledwie tu docierają. Stadion z pustymi – tak jak teraz – trybunami to wyjątek, wyjątek od reguły miasta. Doktor Lund przypomina sobie wypełnione trybuny na Bislett – na tej wielkiej były miejsca stojące – i radosne owacje wywołane jedną, a może dwiema dziesiątymi sekundy. Doktor Lund zbliża się do pięćdziesiątki. Przebiega jeszcze dwanaście i pół okrążenia, pięć tysięcy metrów, i może zanotować dziewiętnaście minut. Nic go to nie kosztuje. To radość, ucieczka łącząca się zarazem z silnym poczuciem obecności. Ale któregoś dnia przestanie mierzyć czas. Wtedy nastąpi koniec. Siada na trybunie przy budynku klubu, zmienia koszulkę i buty, przepoconą czapkę chowa do torby i napawa się chwilą. Często o tym mówi: każdy musi mieć swoje chwile i trzeba go wtedy zostawić w spokoju. W drodze powrotnej przy Liceum Fagerborg natyka się na Maj Kristoffersen. Wcześnie wyszła z przyjęcia, przecież nie ma jeszcze dziewiątej. Czyżby kotlety z karkówki jej nie posmakowały? A może Ewald powiedział jej, że umiera?

– Wszystko w porządku? – zagaja doktor.

– O, tak. Było bardzo miło. A dlaczego pan pyta?

– Wcześnie wraca pani do domu, pomyślałem, że może…

Maj kręci głową.

– Nie, wszystko w porządku. Tylko że Ewald i Jesper zostali sami.

– Dadzą sobie radę. Jestem tego pewien.

– Chciałabym, żeby Ewald był taki sprawny jak pan.

Doktor Lund szuka słów, tych właściwych, to do niego niepodobne. W końcu mówi:

– Powinniście chodzić razem na spacery.

– W moim stanie?

– Przynajmniej jeszcze ze dwa miesiące. Zanim spadnie śnieg. Dzięki temu urodzi się równie sprawne dziecko. A jak tam kotlety?

– Przepyszne. Wydaje mi się, że dla pana też coś zostało.

Doktor Lund się śmieje.

– Właśnie na to liczę.

Kiedy Maj wraca do domu, Jesper już śpi. Maj wiesza płaszcz na wieszaku, ściąga zbyt ciasne buty i drapie się między palcami stóp. Potem otwiera drzwi do holu i na palcach podchodzi do łóżka. Jesper leży na plecach, z kołdrą podciągniętą pod brodę. Wygląda tak spokojnie. Nie spada. Ale powieki ma zapuchnięte, a na policzkach smugi. Budzi się i patrzy na matkę.

– Co się stało? – pyta szeptem Maj.

– Nic.

– Płakałeś?

– Nie. Było fajnie.

– Chcesz wstać jeszcze na trochę czy spać?

– Spać.

Maj całuje go w policzek i przechodzi do salonu, gdzie czeka na nią Ewald, usadowiony na kanapie. Maj siada i opiera się o niego. Wydaje się bardziej zmęczona niż podniecona. Początkowo milczą. Ewald wie, że tak być nie może. Maj jest przyzwyczajona, że mąż cały czas coś mówi.

– Miło było? – pyta.

– Okropnie się najadłam.

– Dla nas nic nie przyniosłaś?

– Daj spokój.

– Mogłaś owinąć kotleta w serwetkę i wrzucić go do torby.

Maj się prostuje.

– Skąd wiesz, że poczęstowano nas kotletami?

Ewald, wpatrzony w okno, przeklina w myślach.

– Kotlety? Tak powiedziałem?

– Powiedziałeś. Mówiłeś o kotletach.

– Spotkałem dzisiaj Melsoma.

– I co z tego?

– Mówił, że mają dobrą ofertę na kotlety. Z karkówki. Podobno doktor kupił od razu z całego stada.

Maj odchyla się, uspokojona, i ziewa.

– Powinniśmy częściej chodzić razem na spacery – mówi.

– Możemy. Jak na to wpadłaś?

– Doktor Lund mi to podsunął.

Ewald zaczyna rozumieć, że już nigdy nie będzie miał spokoju. Może lepiej powiedzieć wprost, że umiera. Ale wtedy spokoju nie będą mieli Maj ani dziecko, które nosi.

– Doktor tam był? Myślałem, że to przyjęcie gadatliwych damulek z Czerwonego Krzyża.

– Spotkałam go w drodze do domu. Wyszedł pobiegać.

– I co? Powiedział, że mamy chodzić na spacery?

Maj kładzie mu rękę na brzuchu, ręka ma tam dużo miejsca.

– Nie sądzisz, że tobie też przydałoby się trochę ruchu?

– Zapomniałaś, że masz krzykacza w szufladzie?

Teraz Ewald kładzie dłoń na jej brzuchu, na opiętej czerwonej sukni, która zmienia kolor, kiedy w pokoju robi się ciemniej.

– Mówisz o maleńkim człowieku, Ewaldzie.

Ewald niezwyczajnym dla niego gestem wtula się nagle w jej ramię i oświadcza:

– Możemy chodzić na spacery, dopóki nie zacznie padać śnieg.

Dnia 5 września u pani Lutken odbyło się posiedzenie zarządu Oddziału Fagerborg Czerwonego Krzyża. Oprócz powyższego sprawozdania pani Nordklev zdała sprawozdanie z pracy, jaką wykonała od czasu poprzedniego posiedzenia zarządu.

Wysłane zostały następujące listy:

Do pani Kringlen ze szkoły podstawowej na Majorstua z pytaniem, czy byłaby skłonna zwerbować uczniów do sprzedaży znaczków.

Do panny Ågot Groth i do panny Astrid Myhre z pytaniem o ewentualną kontynuację wolontariatu w szpitalu, a w przeciwnym razie z prośbą o zwrot fartuchów itp., należących do Czerwonego Krzyża, i o ewentualną pomoc w związku z kiermaszem.

Do restauracji Tyrigraven z podziękowaniem za poczęstunek dla seniorów, a szczególnie za wyżywienie podczas wycieczki, która odbyła się latem.

Do pani Vestby w sprawie wniosku o pomoc przy wyprawkach dla niemowląt.

Pani Nordklev otrzymała kartę z podziękowaniem od Norweskiej Misji wśród Ludu Izraela za pomoc żydowskim dzieciom z Niemiec. Jednocześnie przysłano jej kwiaty, za które wyraziła podziękowanie w liście z 29.08.

Oddział Fagerborg otrzymał od pani Gunvor Johansson, obecnie przebywającej na oddziale chirurgii w Szpitalu Ullevål, ale należącej do Koła Kampen Czerwonego Krzyża, wniosek z prośbą o wsparcie takiego czy innego rodzaju, na przykład w postaci włóczki do robótek ręcznych. Sprawa zostanie zbadana.

Na koniec pani Nordklev życzyła nam wszystkim powodzenia podczas Tygodnia Czerwonego Krzyża i zachęcała do nieustawania w pracy.

MASA SPADKOWA

Olaf Hall stoi przy regale z książkami w salonie zmarłego niedawno hurtownika H.W. Larsena, który był ważną postacią w życiu gospodarczym miasta. Podczas wojny dobrze zarobił na załatwianiu urządzeń mechanicznych i prawdziwej kawy dla władz okupacyjnych. Wrogowie nazywali go wiejskim kupcem. Poza tym uchodził za człowieka uczciwego. Ale jak zbudowanie fortuny zajmuje dużo czasu, tak obrócenie jej w ruinę idzie szybko. Każdy by sobie z tym poradził. Synowi hurtownika udało się to w ciągu dwóch lat. Teraz H.W. Larsen junior opiera się o futrynę drzwi, zapala jeszcze jednego papierosa i wyraźnie się niecierpliwi. Olaf Hall czuje niechęć, a raczej coś w rodzaju przygnębienia. Widział to już wcześniej: dom, który przestaje istnieć. Ale jego praca polega również na tym: na przeglądaniu bibliotek zmarłych. Natychmiast się orientuje, z czym ma do czynienia: z dziełami zebranymi. Ibsen, Lie, Bjørnson i Elster stoją w rządkach z nienaruszonymi grzbietami, najprawdopodobniej nieczytani. Jeśli dostanie tych autorów za nieduże pieniądze, to ich weźmie. Młode pary chętnie meblują domy dziełami zebranymi, ale nie za każdą cenę. Za chwilę jednak spojrzenie Olafa Halla przyciąga tom stojący na samym dole, między popularnym leksykonem wydawnictwa Gyldendal a periodykami Norweskiego Klubu Kynologicznego. Niechęć i przygnębienie znikają. Olaf odczuwa szczęście, dobrze znane wędkarzom, kiedy ryba bierze. Nachyla się i ostrożnie wyciąga z półki książkę. To *Sandfærdige skrøner* Skeibroka i Kittelsena, wydane w Kristianii w roku 1913 i zilustrowane przez samego Kittelsena. Trzyma w rękach białego kruka. Wartego swojej wagi w złocie. Olaf Hall się odwraca.

– Sto koron za dzieła zebrane Elstera i za to tutaj.

Larsen gasi papierosa i podchodzi bliżej.

– Nie może pan zabrać całego tego szajsu?

– Takich możliwości, niestety, nie mam.

Syn wyjmuje coś z szuflady sekretarzyka i pokazuje Olafowi Hallowi. To album z fotografiami. Olafa znów przepełniają niechęć i przygnębienie. Jeśli spadkobiercy chcą sprzedać nawet album z rodzinnymi zdjęciami, to znaczy, że upadli bardzo nisko i nie mają już nic do stracenia. Najgorsze jednak, iż sądzą, że te rzeczy są cenne, ponieważ są albo były cenne dla nich. Ale wspomnienia nie mają ceny. Jedynie sam album ma jakąś wartość.

– Tu jest zdjęcie mojego ojca razem z królem Haakonem – mówi Larsen junior.

– Nie handluję fotografiami.

– Zrobione z okazji otwarcia Szpitala Radowego.

– Uważam, że powinien pan to zatrzymać.

Syn rzuca album na krzesło, urażony, a zarazem wyniosły.

– Sto pięćdziesiąt – mówi.

– Umowa stoi.

Olaf Hall kładzie na stole dwa banknoty. Książki pakuje do niedużej walizki, którą zawsze zabiera ze sobą w przypadku podobnych zleceń. Syn zmarłego nie podaje mu ręki. Zapala kolejnego papierosa i nonszalancko wsuwa banknoty do kieszeni. Olaf Hall wychodzi, idzie przez ogród i skręca w prawo w Josefines gate. Mało jest jesienią w Oslo okolic piękniejszych niż Homansbyen. Jeśli już, to Jessenløkken na Fagerborgu, gdy dzikie wino jest najczerwieńsze. Zatrzymuje się na chwilę i bierze głęboki oddech. Któregoś dnia to samo nastąpi u niego. Potrafi to sobie wyobrazić: jego dom, który przestaje istnieć. Widzi, jak Bjørn rozbiera go na kawałeczki i sprzedaje po jednym temu, kto da najwyższą cenę. Olaf Hall maszeruje dalej szybkim krokiem i zamiast się martwić, próbuje się cieszyć złotym interesem. Jeśli trafi na odpowiedniego kolekcjonera, to może sprzedać *Sandfærdige skrøner* za osiemset koron, nawet za tysiąc. Kiedy dochodzi do Hegdehaugsveien, na rogu Oscars gate dostrzega stoisko. To kiermasz Czerwonego Krzyża. W dodatku stoisko Oddziału Fagerborg. Trzy kobiety usiłują zwabić do siebie ludzi, ale raczej bez powodzenia. Olaf Hall idzie w tamtą stronę. Ciągle ma niezałatwioną sprawę z Czerwonym

Krzyżem. Losy kosztują trzy korony za sztukę, a nagrody nie pozwolą podskoczyć z radości aż pod sufit. Ale też nie o to chodzi. Ważna jest sama idea. Olaf prosi o dwa losy, daje dziesięć koron jednej z kobiet, a ona wręcza mu losy numer osiemnaście i dziewiętnaście, a także cztery korony reszty. Olaf kupuje więc jeszcze znaczek Czerwonego Krzyża. Dwie pozostałe panie nadmuchują balony. Olaf nic nie wygrywa, ale jeśli kupi dodatkowy los, weźmie udział w losowaniu w przyszłą sobotę i będzie mógł wygrać maszynę do szycia marki Elna. Nie poznają go. Olafowi Hallowi nagle robi się żal tych kobiet. Nie wie dlaczego. Jest to w jakiś sposób związane z ich zapałem. Olaf nie ma serca kolejny raz się skarżyć.

– Dziękuję za kwiaty i za członkostwo – mówi.

Z balonów uchodzi powietrze, kobiety się odwracają, a Olaf ciągnie:

– Ale to nie było konieczne. Poza tym moja żona z całą pewnością wysoko by ceniła to zaproszenie.

Dopiero teraz zaczynają rozumieć, kim jest, w ich mowie i ruchach pojawia się gorączkowość. To wdowiec po Ragnhild Hall. Tylko tym dla nich jest. Wdowcem po niegdyś uznanej, a później już tylko znanej aktorce. Ale dla Maj Kristoffersen jest kimś więcej. Dla Maj Kristoffersen jest… Kim właściwie? Maj nie może znaleźć odpowiedniego słowa. Przyjacielem pani Vik. To musi wystarczyć. Maj odkłada balony i podchodzi do niego zadyszana.

– Inaczej być nie mogło – oświadcza i wyciąga rękę. – Jestem Maj Kristoffersen, skarbniczka Oddziału Fagerborg.

Pani Nordklev i pani Larsen obserwują ją ze zdumieniem.

Olaf Hall ściska dłoń Maj.

– Olaf Hall. Bardzo mi miło. Jak paniom idzie?

– Właściwie jeszcze nie zaczęłyśmy, prawda?

Pani Nordklev i pani Larsen kiwają głowami. Olaf Hall opuszcza rękę.

– Przynajmniej macie dobre miejsce.

Maj wskazuje na jego walizkę.

– Wybiera się pan w podróż?

Olaf Hall się śmieje, otwiera walizkę i wykłada na ladę dzieła zebrane Kristiana Elstera.

– Te książki można przeznaczyć na nagrodę w loterii. Teraz możemy powiedzieć, że wyrównaliśmy rachunki.

Pani Nordklev również do nich podchodzi. Przedstawia się jako przewodnicząca i dziękuje w imieniu całego oddziału. Niemal brakuje jej słów. Olaf Hall jest zakłopotany. Za dużo tej życzliwości. To przecież tylko Kristian Elster. Zamyka walizkę.

– Wobec tego życzę paniom powodzenia.

Chce odejść. Maj szybko pochyla się nad ladą, korzystając z okazji, że panie Nordklev i Larsen są zajęte klasą ze szkoły podstawowej na Uranienborgu, która przyszła tu wraz z nauczycielką, aby kupić losy – uczniowie oszczędzali na nie od wakacji.

– Mamy, zdaje się, wspólną znajomą – mówi Maj.

Olaf Hall odwraca się i patrzy na tę zwinną panią w fartuchu Czerwonego Krzyża i chustce zawiązanej pod brodą. Przypomina mu bohaterkę jakiegoś filmu, ale nie jest w stanie wygrzebać z pamięci tytułu.

– Tak?

Maj nagle ogarnia panika. Co ona wyprawia? Dlaczego nie potrafi utrzymać języka za zębami? To do niej niepodobne. Nie jest sobą. No ale to się przecież zgadza. Jest nie tylko sobą. Jest dwiema osobami. Powinna była zostać w domu. Spuszcza wzrok, zawstydzona i rozzłoszczona.

– Tak? – powtarza Olaf Hall.

– Margrethe Vik jest naszą sąsiadką – szepcze Maj.

Kiedy podnosi oczy, okazuje się, że Olaf Hall ciągle stoi w miejscu, a ona wolałaby, żeby odszedł. Jest w nim pewna przesadna delikatność, mężczyźni chętnie określają takich jak on mianem strojnisiów: jedwabna apaszka na szyi, kapelusz, blade dłonie. Ewald z pewnością nazwałby go gogusiem. Poza tym jest stanowczo zbyt lekko ubrany – w garniturze, z płaszczem narzuconym na ramiona. Owszem, świeci słońce, ale we wrześniu nie można mu ufać, grzeje bez przekonania. Może taki wygląd wpisuje się w zawód Olafa Halla. Praca przy starych

książkach wymaga pewnie innego rodzaju delikatności, kultury w koniuszkach palców.

– Jak ona się miewa? – pyta Olaf.

Ależ Maj Kristoffersen żałuje, że się w to wdała!

– Mieszka piętro wyżej, nad nami – mówi tylko.

– Mam nadzieję, że wszystko u niej w porządku. Ostatnio widziałem ją przed wakacjami.

Maj na moment opiera się o ladę; chmura rozciąga cienie wzdłuż torów tramwajowych na Hegdehaugsveien. Maj nagle się śmieje, za głośno, niestosownie.

– Już pan zapomniał, że odwiedziła pana latem?

– Co pani mówi?

Olaf Hall odstawia walizkę. Maj jest bliska płaczu. Wszystko jedno, co powie, i tak już się z tego nie wyplącze.

– Sądziłam, że pojechała do pana w odwiedziny.

– Tak powiedziała? Że jedzie mnie odwiedzić?

Maj przełyka ślinę i znów jest spokojna. Za późno na kłamstwa.

– Tak, tak powiedziała. Nawet się spakowała i zamówiła taksówkę.

Olaf Hall przez chwilę się nie odzywa. Maj musi to zakończyć. Uczniowie kupili już losy. Z nieba spadają pierwsze krople, rzadkie i ciężkie. Tłuką w brezent nad stoiskiem, a ludzie rozbiegają się na wszystkie strony, bo to zupełnie inny rodzaj deszczu niż letnie ulewy, które zapraszają do odpoczynku albo do zabawy. Pani Larsen ratuje dzieła zebrane Kristiana Elstera. Pani Nordklev łapie Maj za ramię i mówi surowym głosem, na jaki stać jedynie przewodniczącą:

– Wrócisz teraz do domu, zanim całkiem przemokniesz i nabawisz się jakiegoś paskudnego przeziębienia.

Olaf Hall nachyla się w stronę Maj. Ocieka już wodą.

– Chyba nie jest pani chora?

Pani Nordklev odpowiada zamiast Maj:

– Nasza znakomita skarbniczka spodziewa się dziecka, ale oczywiście nie daje się przekonać, że musi się oszczędzać.

– Wobec tego pojedzie pani ze mną. Proszę nie protestować. Nalegam.

Olaf Hall wychodzi na ulicę i podnosi rękę, nie zważając na deszcz. Wkrótce z postoju na Holtegaten przyjeżdża taksówka i zatrzymuje się przed stoiskiem. Pani Nordklev i pani Larsen pomagają usiąść z tyłu Maj, która nie potrzebuje żadnej pomocy. Olaf Hall zajmuje miejsce po drugiej stronie. Milczy, chociaż Maj jest pewna, że zna adres.

– Kirkeveien sto dwadzieścia siedem – mówi w końcu sama.

Taksówkarz jedzie przez Bislett, pod górę Norabakken, mija kościół Fagerborg i dojeżdża do Jessenløkken. Jesień traci kolory. Spływają z deszczem. Gdy nadchodzi październik, Oslo jest już nagie i czeka na zimową garderobę. Taksówka zatrzymuje się przy Gørbitz gate. Szofer wyłącza taksometr. Maj czuje nagłą niepewność. Czy Olaf Hall zamierza wysiąść razem z nią? Tymczasem on mówi:

– Proszę nie myśleć sobie nic złego.

– Ależ nic takiego nie myślę.

Olaf Hall nadal siedzi. Prędko zerka w górę na okna. Dzikie wino już wkrótce będzie wyglądało jak stalowe linki rozciągnięte wzdłuż i wszerz na fasadach. Olaf Hall odwraca się z powrotem do Maj.

– Sądzi pani, że można być szczęśliwym dwa razy?

Maj nie podoba się ta rozmowa. Jest zbyt intymna. Na szczęście taksówkarz zaczyna się niecierpliwić.

– Mam już syna, a teraz, jak pan wie, spodziewam się kolejnego dziecka. Sądzę więc, że tak.

– Czy może pani przynajmniej pozdrowić ode mnie Margrethe?

– Mogę.

– I jeszcze jeden drobiazg.

Olaf Hall się waha.

Maj chciałaby tego uniknąć.

– Tak? O co chodzi?

– Chętnie przyjdę na któreś z waszych zebrań i zapewnię część artystyczną.

– Pan występuje?

– Może to niewłaściwe słowo. Mógłbym przeczytać wiersze.

– Jakie wiersze?

– Swoje. Ale to tylko propozycja. Albo oferta. No, mam to już za sobą.

Olaf Hall wreszcie wysiada, okrąża auto i otwiera drzwiczki od strony Maj. Maj nie chce żadnej pomocy, da sobie radę sama. Olaf Hall znów patrzy w okna. W którymś porusza się zasłonka. Wreszcie Olaf wsiada do auta i taksówka jedzie na samą górę Kirkeveien, żeby tam zawrócić i pojechać z powrotem w kierunku Majorstua. Deszcz wkrótce zmienia się w mżawkę, w powietrzu czuć chłód – lato opuściło je już na dobre. Maj wstrząsają dreszcze. Na klatce jest cieplej. Latem bywa odwrotnie. Przy dwudziestu czterech stopniach na zewnątrz można szukać schronienia w cieniu. Maj musi przytrzymywać się poręczy. Pani Vik schodzi z drugiego piętra i pomaga jej na ostatnim odcinku. Wszyscy chcą dziś pomagać Maj, a ona chciałaby sobie radzić sama. Nie ma jednak wyboru, kiedy pani Vik nadciąga ze wsparciem. Chce nawet wejść do przedpokoju, na wszelki wypadek. Martwi się o Maj. Ale po zamknięciu drzwi okazuje się, że zupełnie co innego leży jej na sercu.

– Zwyczajnie domagam się wyjaśnienia.

Maj odwiesza płaszcz i zrzuca buty.

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj. Dobrze wiesz o co.

Maj znowu nie ma wyboru i w jej głowie pojawia się myśl, że właściwie nigdy go nie miała.

– Przyszedł do naszego stoiska. A kiedy zaczęło padać, zaproponował, że mnie podwiezie do domu. Taksówką.

– Co mu powiedziałaś?

– Co mu powiedziałam? Chyba nic. Rozmawialiśmy o Kristianie Elsterze.

– O Kristianie Elsterze? A co on, na miłość boską, ma z tym wspólnego?

– Olaf Hall podarował nam na loterię dzieła zebrane Kristiana Elstera.

– Co powiedziałaś o mnie, Maj?

– Że jesteśmy sąsiadkami.

– Czy Olaf o mnie napomknął?

– Nie, nie przypominam sobie.

– To dlaczego powiedziałaś, że jesteśmy sąsiadkami?

Maj Kristoffersen nie może już tego wytrzymać.

– Poznałam go. I…

Pani Vik jej przerywa:

– To pewnie Ewald i ci jego plotkarze nie potrafili utrzymać języka za zębami.

– Ewald nie ma z tym nic wspólnego.

– Co powiedziałaś Hallowi?

– Wyjawił, że dawno cię nie widział, a ja wtedy spytałam, czy zapomniał, że byłaś u niego latem.

Pani Vik skrywa twarz w dłoniach i opiera się o ścianę.

– O nie, o nie!

Maj delikatnie kładzie jej rękę na ramieniu.

– Nie pojechałaś jednak do niego?

– Zamiast do niego pojechałam do Hvitsten. Do hotelu, w którym Halfdan i ja zwykle zatrzymywaliśmy się latem.

– Może tak było najlepiej.

Pani Vik opuszcza ręce; twarz ma spokojną, niemal jakby pogodziła się ze sobą.

– Że też to takie trudne – mówi. Idzie do drzwi, zatrzymuje się i odwraca. – Co o nim myślisz?

Maj miała nadzieję, że to pytanie nie padnie.

– Sprawia wrażenie dżentelmena.

– Mogę cię zapewnić, że do niczego nie doszło.

– Zaproponował też, że poczyta nam swoje wiersze.

– Ojej, chyba odmówiłaś?

– A ty je czytałaś?

– Nie. Ale to raczej nie jest konieczne…

Pani Vik nagle milknie. Myśli o plotkach, obgadywaniu, spojrzeniach.

– No i mam cię pozdrowić. Bardzo mnie o to prosił. Powiedział: proszę pozdrowić Margrethe.

Dwie kobiety patrzą na siebie, uśmiechają się przez moment i na razie nie muszą mówić nic więcej. Maj zamyka drzwi za panią Vik i idzie do salonu. Ewald siedzi w fotelu, w pełni ubrany. Maj wzdryga się przestraszona, nie dlatego, że Ewald mógł słyszeć, o czym rozmawiały, to bez znaczenia, ale dlatego, że siedzi w płaszczu, z kapeluszem na kolanach, a jest dopiero druga.

– Osobiście zadzwonię do Czerwonego Krzyża i poproszę, żeby zwolnili cię ze służby z uwagi na twój stan, jeśli sama wkrótce nie nabierzesz rozumu.

Maj oddycha z ulgą, ale nie całkiem.

– Co robisz w domu tak wcześnie?

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Ewald wstaje, z wewnętrznej kieszeni wyjmuje szarą kopertę, a z koperty kartkę, zapisaną pismem maszynowym. Maj znów czuje lęk. Czy Ewalda wyrzucili z pracy? Są komuś winni jakieś pieniądze? A może to list ze szkoły? Jesper coś przeskrobał? Może nie nadąża? Nagle sobie uświadamia, że tyle złego może się stać. Większość rzeczy może pójść źle. Wszystko. A Ewald? Czy się nie zmienił? Nie jest inny? Spokojniejszy, uważniejszy? No ale jeśli nawet, to zmienił się na lepsze. Taka zmiana powinna cieszyć. Maj jednak za plecami zaciska dłonie w pięści, zbierając siły.

– No, mówże już!

Ewald patrzy na nią.

– Dostaliśmy telefon, Maj.

Posiedzenie zarządu odbyło się 3 paźdz. u pani Ingrid Foss. Skarbnik Maj Kristoffersen podała, że dochody z kiermaszu wyniosły 1275,20 korony brutto, a ze sprzedaży znaczków: 4644,– korony netto, co przeszło wszelkie oczekiwania. Przewodnicząca poinformowała, że sporządziła listę nazwisk sprzedawców znaczków, która może się przydać przy innych okazjach. Odnośnie do kiermaszu

ustalono, że absolutnie niezbędne jest omówienie z przedstawicielami najbliższych okręgów, jakie fanty zamierzają nabyć. Uzgodniłyśmy również, że weźmiemy na sprzedaż ok. 10 000 znaczków gwiazdkowych i być może pewną liczbę magazynów świątecznych.

Maja Lessund odwiedziła w Szpitalu Ullevål panią, która zwróciła się do Czerwonego Krzyża z prośbą o pomoc, ponieważ brakuje jej wszystkiego. Aby pomóc tej pani, wykupiony został jej kwit zastawny na buty o wartości 12,40 koron, więcej w opinii M.L. Czerwony Krzyż nie może zrobić, gdyż właściwą instancją będzie w tym wypadku opieka społeczna.

OKNA

Rodzina Kristoffersenów idzie na spacer. Ewald uważa, że najlepiej chodzić na spacery, zanim założą im telefon. Ktoś przecież może dzwonić, kiedy ich nie będzie. Maj się śmieje. Kto miałby dzwonić? Ewald wymienia przykładowo Rudjorda, Ravna, Johnsena. Mogą też dzwonić inni, mogą dzwonić klienci, którzy będą chcieli skontaktować się z Ewaldem, albo inne agencje z kuszącymi ofertami, chociaż on, niestety, będzie zmuszony je odrzucić, ponieważ dobrze mu tam, gdzie jest. Telefon ma się zwyczajnie po to, żeby go odbierać, gdy dzwoni, no a wtedy nie można być gdzie indziej.

– I doktor Lund – dodaje Maj.

Ewald bierze ją za rękę i przychodzi mu do głowy, że doktor Lund może zadzwonić, aby powiedzieć, że Ewald umarł. Przez dłuższą chwilę się nie odzywa. Jest niedziela. Październik już naostrzył powietrze. Przechodzą obok Szpitala Gaustad. Nikt by nie przypuszczał, że mieszkają tu umysłowo chorzy. Szpital Gaustad przypomina zamek, a czerwone dzikie wino, które w istocie rośnie tu dziko, ukrywa ostatnie ślady pór roku. Tutaj zawsze jest jesień.

– No i Jostein może dzwonić do Jespera – dodaje Ewald.

Puszcza rękę Maj, ogląda się. Jesper przystanął w połowie zbocza. Nie przychodzi, chociaż Ewald go woła. Ewald wraca po niego. Jesper patrzy na budynki. Ewald też przenosi tam wzrok. W jednym z okien ktoś się porusza. Za szybą przesuwa się cień. W innym oknie ukazuje się twarz. Długie ciemne włosy podkreślają bladość skóry, gładkiej i przezroczystej. Jesper i Ewald widzą to nawet z daleka.

– Tu są też panie? – chce wiedzieć Jesper.

– Raczej tak. Uff.

– A co one zrobiły?

– Zrobiły? Nic nie zrobiły. Mają tylko trochę nierówno pod kopułą.

Ewald już chce tłumaczyć, co oznacza to fachowe określenie z Bristolu i okolic, ale się powstrzymuje, bo słyszy powagę w głosie Jespera.

– To dlaczego tu są?

– Ktoś musi ich pilnować.

– Dlaczego?

– Za dużo pytasz, Jesper.

– Dlaczego? – powtarza Jesper.

– Ponieważ same nie potrafią się o siebie zatroszczyć. Idziemy.

Ewald chwyta Jespera za ramię, ale ten ani drgnie.

– To nieprawda – mówi.

Twarz w oknie wreszcie znika, nie przesuwa się na bok, tylko zatapia w ciemności tła, a światło białej skóry zawisa jeszcze na kilka sekund, po czym również się rozpływa. Wracają do Maj i ruszają dalej przez pola, które ciągną się aż do jeziora Sognsvann i lśnią jak płynne srebro. Brzeg lasu mieni się przeróżnymi kolorami. Inni ludzie też wyszli na spacer. Przyjaciele, małżonkowie, narzeczeni. Sprawiają wrażenie zadowolonych. Wszędzie widać tylko uśmiechy. Nikt się nie spieszy, a mimo to wszyscy idą dość szybko. To taki dzień, kiedy życie w zasadzie nie ma końca.

– To chyba też trzeba włączyć do jubileuszu – mówi Maj.

Ewald przystaje.

– Co takiego?

– Naturę. Oslo to przecież również natura.

– No tak, większość rzeczy to natura.

– Wobec tego będą kobiety i natura, tak?

Ewald wzrusza ramionami.

– Trochę historii, niestety, też będziemy zmuszeni wcisnąć.

Maj patrzy na niego.

– Czy Rudjord ciągle jest tak samo zachwycony twoim pomysłem?

– Zawsze jest wiele pomysłów i wygrywa najlepszy. Albo bierzemy po kawałeczku z różnych koncepcji i składamy do kupy.

– Jestem pewna, że twoja jest najlepsza.

– Tak. Od Camilli Colett do Maj Kristoffersen.

Ewald całuje ją w policzek.

– Może już zawrócimy – proponuje Maj.

Do domu wracają inną drogą, w dół Damefallene, bo chcą przy okazji odwiedzić ojca Ewalda w domu starców na Tåsen. Mimo wszystko rozsądnie jest wykorzystać spacer do czegoś pożytecznego. Alf Kristoffersen ma dopiero siedemdziesiąt dwa lata, lecz gdy jego żona, Signe, zmarła przedwcześnie w 1939 roku, nie umiał poradzić sobie sam – w czasie wojny mieszkał u Ewalda i Maj, a później przeniósł się tutaj. Ewald bez przekonania prosił go, aby u nich został, ale to nie wchodziło w grę, więc wszyscy się ucieszyli z takiego rozwiązania. Alf Kristoffersen był akwizytorem Fabryki Konfekcji Herkules przy Thorvald Meyers gate, jeździł po całym kraju, sprzedając garnitury, płaszcze, koszule, piżamy i krawaty. Hasło fabryki brzmiało: „Garderoba dobrze ubranego mężczyzny". Alfa nie ma w jadalni, siedzą w niej głównie kobiety. W ogóle kobiety stanowią tutaj większość. Żyją dłużej niż mężczyźni, z wyjątkiem matki Ewalda. Mężczyźni giną jak muchy, myśli Ewald. Na ścianie przy drzwiach wisi jadłospis: *Środa: klopsiki rybne w curry, zupa owocowa. Czwartek: kiełbasa wieprzowa, sałatka, zupa mleczna. Piątek: owsianka. Sobota: groszek, wieprzowina, galaretka*. Jesper zatyka nos. Maj szybko łapie go za rękę. Alfa Kristoffersena znajdują wreszcie w palarni. To tam schronili się panowie. Alf dostrzega syna, kończy rozemocjonowaną dyskusję, odkłada fajkę na popielniczkę i prowadzi ich do swojego pokoju. Ewald się cieszy, że ojciec ciągle elegancko się ubiera i przypina do kamizelki zegarek z dewizką. Na ścianie nad jego łóżkiem wisi zdjęcie matki. Poza tym zmieścił się tu jeszcze fotel z ich dawnego mieszkania, ale reszta mebli należy do domu opieki. Na parapecie stoi niecierpek w doniczce. Ma sucho. Maj przynosi z korytarza szklankę wody i podlewa kwiatek. Alf Kristoffersen siada w fotelu. Jesper stoi przy drzwiach.

– O czym rozmawialiście? – pyta Ewald.

– O czym rozmawialiśmy?

– Dyskusja wydawała się dość ożywiona.

– O nowym ratuszu. Ustaliliśmy, że będziemy go nazywać brązowym serem.

Ewald się śmieje.

– Brązowym serem! Zapamiętam to sobie, tato! Brązowy ser!

– Powiem ci, że nie ma się z czego śmiać. Ta buda zasłania widok na fiord. Oslo przestało być miastem nad fiordem, zmieniło się w miasto za ratuszem!

– Jestem skłonny się z tobą zgodzić.

– Akselsen z ósemki jest oczywiście przeciwnego zdania. Z nim tak zawsze. Strasznie irytujący człowiek.

– No ale przynajmniej wynika z tego jakaś dyskusja.

– Koniecznie chce być n o w o c z e s n y. Nosi perukę. Po co komu nowoczesność, skoro i tak umrze?

– Tego nie musisz mówić, tato.

– Dlaczego przyszliście?

– Dlaczego? Powiedzieć ci, że kolejny raz zostaniesz dziadkiem.

Maj staje przed Alfem Kristoffersenem, który kładzie jej ręce na biodrach i się uśmiecha. Spod naprzemiennych przebłysków radości i melancholii prześwituje też dawny czaruś.

– Teraz widzę. To dopiero!

Potem odwraca się do Jespera, który cały czas stoi w tym samym miejscu, ale Jesper go uprzedza:

– A co jesz w niedzielę? – pyta.

Alf Kristoffersen puszcza Maj, zastanawia się.

– Co myśmy, u diabła, dzisiaj jedli? Już wiem. Gotują w jednym kotle resztki z całego tygodnia i podają nam z chrupkim chlebem.

– Przestań – śmieje się Maj.

Przez chwilę milczą. Daje się odczuć ciężar tego miejsca. Jest wyczuwalny w powolności wszystkiego, w czymś w rodzaju horyzontalnej siły ciążenia. Wszyscy tutaj wyszli na powolny spacer. Jesper uchyla drzwi i widzi dwóch pielęgniarzy pchających łóżko na kółkach. W łóżku ktoś leży. Jesper zamyka drzwi.

– Mogę was prosić o przysługę? – pyta Alf Kristoffersen.

Ewald kładzie mu rękę na ramieniu i przez moment nie wie, który z nich drży.

– Oczywiście, tato. O co chodzi?

– Idźcie na grób i pozdrówcie ode mnie Signe.

– Pójdziemy.

– I zanieście ten kwiatek.

– A ty nie chcesz jechać? Możemy wziąć taksówkę.

Alf Kristoffersen kręci głową i zaciska dłonie na kolanach.

– Nie chcę, żeby mnie widziała w takim stanie.

– Tato, przecież świetnie się prezentujesz. Wpuściliby cię nawet do Bristolu.

– Powinienem był iść za nią. Powinienem. Powinniśmy odejść razem.

Ewald prosi, aby Maj i Jesper zaczekali na niego na korytarzu. Po ich wyjściu przysiada na łóżku i patrzy ojcu w oczy.

– Nie życzę sobie, żebyś mówił takie rzeczy przy Jesperze. Zwłaszcza teraz, kiedy Maj jest w odmiennym stanie. Co się z tobą dzieje?

Ojciec patrzy na swoje ręce, złożone na kolanach.

– Coraz bardziej za nią tęsknię.

Ewald myśli, że teraz kolej ojca na tęsknotę, i to jest naprawdę słuszne. Matka za życia stale za nim tęskniła, więc ojciec ma sporo do nadrobienia.

– Ładnie to powiedziałeś.

– Nie tylko tak mówię, ale również myślę. W przeciwieństwie do ciebie.

– Nie zaczynajmy, tato.

– Najlepiej by się stało, gdybym i ja umarł.

– Znów to powiedziałeś. Ja też nie chcę tego słuchać. Obiecujesz, że nigdy więcej tak nie powiesz?

Alf Kristoffersen podnosi głowę.

– Wydaje mi się, że chyba nie mogę ci tego obiecać.

Ewald zabiera kwiatek z parapetu, dołącza do Maj i Jespera i wyruszają na Cmentarz Zachodni. Signe Kristoffersen jest pochowana niedaleko kaplicy, ale bliżej parku Frogner, dobiega stamtąd szczekanie psów. To niewłaściwe. Cmentarna cisza zostaje poszarpana na strzępy. Signe Kristoffersen pracowała na pół etatu w sklepie spożywczym Jacobsena na Skillebekk. Głównie siedziała przy kasie, kiedy Jacobsen był zajęty czym innym. Urodziła się w roku 1881, a umarła w 1939, na zawał; któregoś dnia po prostu się nie obudziła. Ewald zwykle mawia, że to po jego rodzicach Maj odziedziczyła zmysł do finansów, a on po jej rodzicach zdrowy chłopski rozum. Nagle przychodzi mu do głowy, że Maj może pomyśleć to samo, co jego ojciec: że po śmierci Ewalda powinna iść za nim. To nie do zniesienia. Maj musi żyć dalej, tak jak dzisiaj, żyć wiecznie. A jeśli znajdzie sobie kogoś innego, to bez znaczenia. Byle tylko był dobry dla niej, dla Jespera i dla tego nowego dziecka. Ewald chciałby to wytłumaczyć Maj, przynajmniej częściowo, chciałby zwyczajnie ulżyć swojemu sercu, ale to niemożliwe. Musi dźwigać to sam. To wielki ciężar. Jego wybór. Zamiast o tym mówić, wręcza Maj wyschniętą roślinkę i oświadcza:

– Owszem, matka była niecierpliwa, ale ten wiecheć nie będzie stał na jej grobie.

– Przecież Alf sobie tego życzy.

– Pomieszało mu się w głowie. Brązowy ser! Wyrzuć to. W tym czasie trochę tu z Jesperem uporządkujemy.

Maj znajduje pojemnik na śmieci obok kranu z wodą i pozbywa się niecierpka w całości, razem z doniczką. Nagle dostrzega młodego mężczyznę, kucającego przy jednym z grobów. Ten człowiek nic nie robi. Po prostu tam tkwi. Maj ma wrażenie, że jest w nim coś znajomego. Jasne, dość rzadkie włosy, twarz, która wydaje się słaba i miła jednocześnie. W końcu sobie przypomina. To ten młody człowiek, który uratował Josteina. Po cichu zamyka śmietnik i podchodzi do mężczyzny. Teraz może przeczytać napis na nagrobku. *Ragnhild Hall*. Bjørn Stranger wyczuwa jej obecność i wstaje. Maj nie powinna była tego robić. Nie powinna podchodzić. Żałuje.

– Czy to ta aktorka? – pyta.

– Tak. A co?

– Była sławna.

– Jestem jej synem.

– Za wcześnie odeszła. Mogła nam sprawiać radość jeszcze przez wiele lat.

Maj podaje mu rękę. Bjørn jest skrępowany. Rzadko, a raczej nigdy nie słyszy, aby ktoś mówił coś podobnego, coś dobrego o matce. Ostatnio mówiła tak ta kobieta, której odniósł futro, pani Vik. Ale ona wspominała dawne czasy, panią Alving, Ibsena i wielkie role. Wtedy matce często prawiono komplementy. A potem o Ragnhild Hall przestano mówić. Bjørn ściska rękę Maj i równie szybko ją puszcza. Jest mu zimno.

– Właściwie na grobie powinno być napisane Ragnhild Stranger.

– Tak? Ja ją znam tylko jako Hall.

Bjørn patrzy na Maj z niechęcią.

– Chciałbym pobyć sam – mówi.

Maj czuje, że się czerwieni.

– Przepraszam, chciałam tylko panu podziękować.

– Dlaczego? Za co?

– Uratował pan życie Josteinowi. Koledze mojego syna.

– Nikomu nie uratowałem życia.

– Właśnie, że tak. Na Kirkeveien. Chłopcu potrąconemu przez trolejbus. Widziałam pana.

– Pani się myli.

Maj chce się upierać, że to przecież był on, ale rezygnuje. Odchodzi. Bjørn Stranger znów kuca przy grobie i obserwuje, jak kobieta wraca do swoich towarzyszy, najwyraźniej męża i syna. Coś do nich mówi. Odwracają się w jego stronę. Chłopiec macha do niego ręką. Na pewno kazano mu tak zrobić. Bjørna Strangera ogarnia wściekłość. Nie chcą zostawić go w spokoju. Nagle myśli o tym, jak s w e g o c z a s u musiała czuć się matka – nigdy nie mogła spokojnie przejść ulicą, cały czas te spojrzenia. Bjørn się podnosi, otrzepuje kolana i idzie w stronę tej głupiej rodziny. Maszeruje szybko i zdecydowanie. Matka przyciąga chłopca do siebie. Ojciec po prostu stoi. Ciężki, na szeroko

rozstawionych nogach, rozkłada ręce, nie spuszczając wzroku z Bjørna. Chroni swoją rodzinę. Bjørn śmieje się w duchu. Ten ojciec jest pospolitym mężczyzną, który nigdy nie znajdzie swojego miejsca, bo nie wie, co dla niego dobre. Nie wie, co dla niego dobre. To ulubione wyrażenie Bjørna Strangera. Nie wiedzą, co dla nich dobre. Dotyczy to większości ludzi. Nie wiedzą, co dla nich dobre. Bjørn Stranger wie. Zatrzymuje się przed kobietą i chce jej powiedzieć parę słów. Do słuchu. W tej samej chwili chłopiec podnosi na niego wzrok. Spojrzenie ma spokojne i pełne podziwu. Bjørn Stranger traci wątek i zamiast tego, co miał w planie, pyta:

– Jak on się nazywał?

Odpowiada mu chłopiec:

– Jostein Melsom.

– Odniósł jakieś obrażenia?

– Prawie nie słyszy.

– To można naprawić.

– I trochę mu się poprzestawiało w głowie.

– No to pozdrów Josteina Melsoma od Bjørna Strangera i życz mu zdrowia. Nie zapomnij. Od Strangera.

Bjørn Stranger odwraca się i rusza w stronę furtki prowadzącej do parku Frogner, w którym wciąż szczekają psy. Najwyższa pora zacząć nosić płaszcz. Jutro go włoży. Nie musi marznąć. Przechodzi przez most Westchnień. Przy Frogner plass zatrzymuje się tramwaj jadący na Disen. Nikt z niego nie wysiada. Przed willą na następnym rogu ulicy Bjørn zauważa list, wystający odrobinę ze szpary w skrzynce pocztowej, przymocowanej do słupka przy ogrodzeniu. Ci, którzy tu mieszkają, pewnie wyjechali na niedzielę. Bjørn się zatrzymuje, udaje, że musi zawiązać sznurowadło, zabiera list i szybko wsuwa go do kieszeni. Idzie dalej. Jest rozbawiony. Ot, taki psikus. A jeśli to jakiś decydujący list, który może zaważyć na czyimś życiu, postawić je na głowie, zmienić na lepsze albo na gorsze? W takiej sytuacji to już by nie była bagatelka. To by była katastrofa. Bjørn Stranger ingeruje w czyjeś życie. Podoba mu się to. Ingerowanie. Zmienia kurs, nie własny, tylko cudzy. Po powrocie do domu widzi przez szybę, że u Olafa w antykwariacie znów jest ta

kobieta, pani Vik. Sądził, że to już koniec, a raczej, że w ogóle nic nie było. Korzysta z drugiego wejścia, tego od kuchni. Pachnie jedzeniem. Na kuchence perkocze garnek z jagnięciną. W salonie nakryto dla dwóch osób. Słyszy ich na schodach. Dostrzegają go. Pani Vik zatrzymuje się za Olafem. Kiwa głową, lekko się rumieni. Bjørn Stranger widzi to już po raz drugi tego dnia. Nie znosi starszych pań, które się czerwienią. Wiesza ubranie.

– Wy się już poznaliście – stwierdza Olaf.

Bjørn się śmieje.

– No tak. Czego dzisiaj zapomniała?

– Chyba już pójdę – mówi pani Vik.

Olaf Hall ją zatrzymuje. Ale nie odrywa oczu od Bjørna.

– Przyszła tylko odebrać książkę, której nie mogę sprzedać. *Naukę o zwierzętach domowych*. Może tobie by się przydała?

– Nie jestem weterynarzem. Ratuję ludzi.

– No i zaprosiłem ją na obiad. Zjesz z nami?

– Nie sądzę, żebyście tego chcieli.

Pani Vik robi krok do przodu i oświadcza:

– Owszem, chciałabym tego, Bjørnie. Bardzo bym chciała.

Olaf Hall nakrywa dla pasierba i otwiera butelkę wina. Podczas posiłku niewiele się odzywają. Jagnięcina w sosie jest smaczna. Przynajmniej pani Vik tak mówi. Twierdzi, że jej smakuje. Chce im pomóc posprzątać ze stołu, ale zmienia zdanie. Nie powinna się narzucać. Jest tu gościem. Musi stosować się do zasad obowiązujących gości. Nie może sprawiać wrażenia, że czuje się tu jak w domu. Podczas gdy Olaf Hall szykuje w kuchni deser, Bjørn siada i dolewa jej do kieliszka.

– Chyba już niedługo przyjdzie pora nosić futro – mówi.

– Nie wcześniej, nim zacznie padać śnieg.

– Może spaść w każdej chwili. Któregoś ranka po prostu się pojawi. Już tak było, że pojawiał się w nocy. Nawet nie wiedzieliśmy kiedy.

Pani Vik popija wino i patrzy na Bjørna, który ma rozczochrane włosy. Wysokie zakola są bardzo widoczne, postarzają go i sprawiają, że

stanowi dziwną mieszankę. Ma fryzurę starego człowieka, ale wciąż dziecięcą twarz.

– To prawda – mówi pani Vik.

Bjørn zwraca uwagę na jej spojrzenie. Wie, co ta kobieta widzi. Powoli przesuwa ręką po skroni, po czole.

– Co jest prawdą, pani Vik? Że śnieg pada nocą?

– Że ratujesz ludzi.

Olaf Hall wnosi deser, przyrządzony ze śliwek z ogrodu.

– To był ulubiony deser Ragnhild. Nigdy nie miała go dość.

Pani Vik się częstuje. Nakłada sobie niedużo. Myśli, właściwie się nad tym nie zastanawiając, o wadze. Bardzo chciałaby być szczupła. Poza tym nie jest już głodna. Rezygnuje ze śmietanki i dzbanuszek przekazuje dalej, a miskę z deserem podaje Bjørnowi, który jednak gwałtownie się podrywa.

– Mogę już odejść od stołu?

Olaf Hall bierze śmietankę i tylko kręci głową.

– Czy mogę ci tego zabronić?

Bjørn idzie do swojego pokoju na piętrze i kładzie się na rozkładanej kanapie. Próbuje usłyszeć, co mówią w salonie, ale rozmowa ginie gdzieś po drodze. Wyjmuje z kieszeni list. Znaczki na nim są amerykańskie, ostemplowane w Washington DC. *Anne-Karine Welt, Kirkeveien 8, Oslo 2, Norway/Norwegia*. Co jest bardziej widoczne? Dobry czy zły uczynek? To zależy od konsekwencji. Ale czy konsekwencje są właściwą miarą? Czy zabicie ptaka, kiedy nikt tego nie widzi, staje się przez to lepsze? Bjørn otwiera kopertę i wyciąga poliniowaną kartkę. Pismo jest kobiece, a list niedługi: *Kochana Mamo! Ty i Peter chyba niezbyt dobrze się rozumieliście, kiedy ostatnio byliśmy w domu. I jego, i mnie dręczy to, że nie skończyliśmy rozmowy na ten temat. Próbowałam dzwonić, ale nie odbierasz. Poza tym może i tak lepiej napisać. Rozumiem, że jesteś przeciwna naszemu osiedleniu się tutaj, tak daleko, ale to się już stało. To mój wybór. Musisz go zaakceptować. Musisz również zaakceptować Petera. Nie możesz też wątpić, że tęsknię za Tobą każdego dnia. Kiedy nasza sytuacja finansowa się poprawi (Peterowi obiecano wyższe stanowisko w departamencie, czy jak oni to nazywają), będziemy mogli częściej przyjeżdżać do Norwegii w odwiedziny.*

A teraz powiem Ci, dlaczego właściwie piszę i chcę usunąć ze świata wszelką niezgodę. Zostaniesz babcią! W lutym spodziewam się dziecka! Jesteśmy tacy szczęśliwi! Mam nadzieję, że napiszesz tak szybko, jak będziesz mogła (albo zadzwonisz). W każdym razie jakoś się odezwiesz. Serdeczne pozdrowienia, Helene. (Peter też Cię pozdrawia! Jest teraz w pracy. Tutaj jest wpół do dziesiątej rano). Bjørn Stranger nie może powstrzymać się od śmiechu. Jakie to banalne! Ale Helene nie panuje nad słowami i matka z pewnością zwróciłaby na to uwagę. Na przestrzeni kilku linijek „dom" zmienił się w „Norwegię". Córka już przepadła. Może i lepiej się stało, że Anne-Karine Welt nie przeczyta tego listu. Bjørn zgniata kartkę w kulkę i wrzuca ją do kosza na papiery. Myśl o listach, które przepadają po drodze, o wiadomościach, które nie docierają do adresata, sprawia mu przyjemność. Nad biurkiem, które wciąż zdobi teczka z ostatnim wykładem, wisi plakat z Teatru Dramatycznego w Sztokholmie. Ragnhild Stranger i Gösta Ekman w *Peerze Gyncie*. Rok 1931. Czy to był punkt kulminacyjny? Jeden z punktów. Bjørn miał wtedy trzy lata, może cztery. Pamięta jedynie, że matka często była nieobecna. Na ogół była nieobecna. Tym większą przyjemność sprawiał mu każdy jej powrót. Bjørn zasypia, zapada w lekką drzemkę, przez pewien czas dokuczają mu obrazy czy też wspomnienia chwil, które się mieszają, zamieniają miejscami i uciekają: strych, na którym suszyło się pranie, kurtyna teatralna, sala, śnieg padający z żyrandola, martwa kobieta w audytorium, ostre światło i maski w lustrze niemającym końca, hamujący trolejbus, chłopiec, który na moment zawisa w powietrzu – wzleci czy upadnie? Budzi go odgłos samochodu zatrzymującego się przed domem. Chyba się przeziębił. Nigdzie nie łatwiej o przeziębienie niż na cmentarzu. Podchodzi do okna. Olaf Hall pomaga pani Vik wsiąść do taksówki i zamyka za nią tylne drzwiczki. Ona wygląda przez okno, macha i przez moment widzi Bjørna, który stoi nieruchomo na piętrze, chyba trzyma ręce za plecami. Olaf Hall też unosi rękę i się nachyla. Jego twarz nagle zbliża się do jej twarzy. Pani Vik podaje adres: róg Jonas Reins gate i Kirkeveien. Nie chce, aby ktoś zobaczył, że wraca do domu taksówką. Odchyla się, zamyka oczy i słucha poruszającego się szybko wachlarza wycieraczek. Są na miejscu, płaci monetami, wysiada i otwiera kluczem bramę na podwórze. Spieszy przez deszcz do kuchennego wejścia. W kuchni u Maj się świeci. Poza tym wszędzie jest

ciemno, zasłony są zaciągnięte. Pani Vik zatrzymuje się na pierwszym piętrze, waha się, puka, po chwili Maj otwiera.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, czy wszystko z tobą w porządku.

– Tak, w porządku. A dlaczego…

– Zobaczyłam, że się świeci, więc…

Maj ma palce poplamione atramentem i zmęczony uśmiech.

– Muszę się uporać z rachunkami, tyle tych liczb. Najpierw mamy zysk, a potem znajduję jakiś rachunek i znów jest strata. Pomaganie kosztuje, tyle ci powiem.

– Nie możesz się zamęczać, Maj.

– Ewald też tak mówi.

– No to jest nas dwoje.

Maj wyciera ręce w fartuch i patrzy ze zdziwieniem na panią Vik.

– Płaczesz?

– Płaczę? Dlaczego tak myślisz? Deszcz pada.

– Nie można już wywieszać bielizny.

– Obiecujesz, że powiesz, jeśli będzie trzeba ci pomóc zanieść pranie na strych?

– Jesper mi pomoże. Ewald zaczął mu wypłacać tygodniówkę. Tobie też może pomagać.

– Nie wiem, czy mnie na to stać.

Obie trochę się śmieją. Mało brakuje, a Maj dotknęłaby dłonią policzka pani Vik, bo wydaje jej się taka smutna, wręcz nieszczęśliwa. Ale rezygnuje z tego, widząc na palcach plamy z atramentu.

– Ciągle jest ci tak trudno? – pyta.

Pani Vik kiwa głową. Chwilę stoją w milczeniu. W końcu Maj zamyka drzwi, a pani Vik przytrzymuje się poręczy. Kuchenne schody są o wiele węższe i bardziej strome niż główne.

Nasze kolejne zebranie po kiermaszu odbyło się u przewodniczącej. Wypychałyśmy lalki, które będziemy sprzedawać prywatnie za 2,50 korony za sztukę. Na loterię przeznaczone zostaną również: 1 obrus świąteczny, który szyje

dla nas pani Lessund, oraz 1 wózek dla lalek z 1 małą lalką, poduszką i kołderką, które uszyje pani Endresen.

Ponadto rozpatrzyłyśmy dwa podania. Kåre Solendal, zam. Thereses gate 12, ur. 2.03.34, w wieku 16 lat stracił prawą nogę. Prosi o pożyczkę w wysokości 360 koron na spłatę rat za samochód inwalidzki. Jak wiadomo, nie udzielamy pożyczek. Ale po tym, jak pani Lund udała się do niego, porozmawiała z jego matką i zrozumiała, jak trudna jest ich sytuacja finansowa – matka również jest chora, na rencie – zapadła decyzja, że przekażemy mu te 360 koron. Radość była wielka!

Drugie podanie napisała panna Hansen ze Stensgata. Ona również przed laty straciła nogę i mieszka razem ze starą, schorowaną ciotką, który już 3 razy przechodziła zapalenie płuc. Potrzebuje ubrań, a poza tym z powodu choroby ciotki popadła w długi. Kupiłyśmy jej 1 sukienkę. Panna Skancke oddała całkiem dobry płaszcz, a pani Lessund trochę używanych rzeczy. Wnioskodawczyni otrzymała również 100,– koron w gotówce. Prawdę powiedziawszy, spodziewałyśmy się nieco większej wdzięczności.

AMERYKAŃSKA MIARA

Jesper postanawia, że nigdy nie będzie gruby. Decyzja zapada po tym, jak widzi w łazience nagiego ojca. Dzieje się to w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Jesperowi nigdy nie przyszłoby do głowy, by dobrowolnie oglądać ojca nagiego, Ewald najprawdopodobniej również nie miał ochoty pokazywać się synowi w pełnej krasie. Ten zaszczyt przypada wyłącznie Maj. Ale ojciec zapomniał zamknąć drzwi łazienki na klucz, a może Jesper zapomniał zapukać, w każdym razie wchodzi, żeby się umyć, a tam stoi ojciec golusieńki, jak go Pan Bóg stworzył, niezasłonięty nawet ręcznikiem. Ojcowie w większości są dość grubi. Ojciec Josteina też jest dość gruby. Ale to coś wyjątkowego. Jesper staje jak wmurowany i nie rusza się z miejsca. Ten widok go obezwładnia. W jakiś sposób musi się go pozbyć. Nie bardzo tylko wie jak. Za wszelką cenę nie chce się rozpłakać, to ostatnia rzecz, jaką może zrobić. Więc Jesper nie płacze. Zaciska zęby. Nie wiedzą, jak długo tak stoją – Jesper w spodniach od piżamy, Ewald bez niczego – ale niezbyt długo. Nie da się długo tak stać. Nie wiadomo też, który z nich wstydzi się bardziej. Jesperowi nagle przychodzi do głowy, że może powinien czuć ulgę, bo skoro ojciec jest aż tak gruby, to chyba nie może być chory. Chce coś powiedzieć albo uciec, najchętniej to drugie. Ojciec go uprzedza:

– Tak, tak, Jesper. No, to już mnie widziałeś.

Ewald Kristoffersen spokojnie wychodzi, wciąż tak samo golutki, a Jesper tego ranka spędza w łazience wyjątkowo dużo czasu.

Przy śniadaniu Jesper nie jest głodny. Maj się martwi, lecz Ewald twierdzi, że badania naukowe wykazały, iż apetyt u ośmiolatków wyjątkowo obniża się w środy, a następnie stopniowo rośnie do końca tygodnia. Właśnie jest środa. Poza tym to nie ona ma się martwić o nich, tylko oni mają się martwić o nią. Maj mówi, że o nią nie muszą się martwić, i wkłada drugie śniadanie do tornistra Jespera. Rodzina

Kristoffersenów w ogóle nie ma powodów do zmartwień. Ewald jednak ma wrażenie – tylko przez sekundę, ale to wystarczy – że Jesper go przejrzał na wskroś, prześwietlił jak aparat rentgenowski. Ewald mógł mieć na sobie szlafrok, zbroję albo frak, a to i tak by się stało. Na przyszłość musi pamiętać, żeby zamykać drzwi na klucz. Od tej pory będzie zamykał na klucz wszystkie drzwi. Spogląda na Jespera, który nie patrzy mu w oczy.

– Musimy potraktować to amerykańską miarą – stwierdza Ewald.

Jesper zawiązuje na szyi szalik, odmawia natomiast włożenia czapki. Wiatr na Kirkeveien wywija mu uszy na drugą stronę, więc tego żałuje. Ma jednak inne rzeczy na głowie. Przy Ole Vigs gate zatrzymuje się, zdejmuje tornister, otwiera go, upewnia się, że nikogo nie ma w pobliżu, i ciska drugie śniadanie do kosza na śmieci. Już nigdy więcej nic nie zje. Zarzucony na plecy tornister wydaje się teraz o wiele lżejszy. Biegnie dalej i dogania Josteina, któremu nie chciało się dłużej na niego czekać.

Już na dużej przerwie zaczyna być głodny. Przytrzymuje się siatki ogrodzenia jak więzień z obozu Bergen-Belsen. Podchodzi do niego Jostein, który jest dziś w nausznikach. Unosi jedną klapkę i pyta, czy Jesper zapomniał drugiego śniadania. Jeśli tak, to on ma dużo jedzenia i chętnie się z nim podzieli. W tej rozmowie jest więcej znaków niż słów. W zasadzie nie trzeba aż tyle mówić. Jesper w końcu kręci głową. Nie chce drugiego śniadania Josteina, chociaż właściwie chce je bardzo. Dzwonek na lekcję. Jostein wpycha ostatnie kanapki, najprawdopodobniej z pasztetem, do kieszeni kurtki i razem wracają do klasy. Na czwartej lekcji Jespera zaczyna boleć głowa. W rozkładzie zajęć nie ma głodu. Brak takiego przedmiotu. Głód to coś, czego musi się nauczyć sam. Na piątej lekcji nie jest już w stanie wytrzymać. Nie może usiedzieć w spokoju. Niepokój goni niepokój. To gorsze niż spadanie. Jesper jest sobą rozczarowany. Głód to przedmiot, z którego jest najsłabszy. Jedyna dobra rzecz, jaka się z tym wiąże, jest taka, że zapomina o widoku ojca w łazience, a przed oczami ma teraz zgniecione, ale przyjemnie wilgotne kanapki, które leżą w kieszeni kurtki Josteina, wiszącej na haczyku w korytarzu. Jesper podnosi rękę. Pan Løkke kończy omawianie litery G, która według niego zajmuje

wyjątkową pozycję w alfabecie, dlatego prosi, aby uczniowie zwrócili na nią szczególną uwagę. Wreszcie odwraca się do Jespera.

– Mam wrażenie, że wiem, o co chcesz spytać. No, ale mów.

– Muszę do ubikacji.

– Dokąd?

– Do toalety.

– No właśnie. Tak lepiej.

– Dziękuję.

Jesper chce wstać, ale pan Løkke kładzie mu wskaźnik na ramieniu.

– Na pewno wytrzymasz do końca lekcji. Wtedy będziesz mógł wrócić do domu i korzystać z toalety tak długo i tak często, jak będziesz chciał.

Pan Løkke siada za katedrą i przegląda jakiś zeszyt. Jesper spuszcza wzrok i mamrocze: „ty łachudro". Pan Løkke podrywa się tak szybko, że uczniom wydaje się, iż w ogóle nie siadał. W każdym razie nagle staje przy ławce Jespera; podbródek mu drży.

– Co powiedziałeś?

Jesper ciągle mamrocze:

– Łachudro.

– Głośniej, Kristoffersen!

– Ty łachudro!

Pan Løkke wymierza mu policzek, tak mocny, że na moment w ogniu stają zarówno policzek Jespera, jak i palce pana Løkkego. Jespera nikt nigdy wcześniej nie uderzył. Zaskoczenie jest większe niż ból. Właściwie bólu w ogóle nie czuje. Jest tylko zdumiony. Pan Løkke również uderzył kogoś po raz pierwszy. Nie podniósł ręki nawet na najbardziej zatwardziałych łobuzów z Aleksander Kiellands plass. Jego głos brzmi dziwnie słabo, gdy wreszcie się opanowuje.

– Wyjdź z klasy, Jesper.

Jesper wychodzi na korytarz, odszukuje kurtkę Josteina i zjada dwie ostatnie kanapki. Nie pomylił się. Są z pasztetem. Chyba nigdy nie jadł nic lepszego. Po dzwonku na koniec lekcji koledzy z klasy mijają go w milczeniu. Na ogół chłopcy wybiegają, porywają wierzchnie ubrania i pędzą dalej. Jesper dostrzega coś w ich oczach. U jednych podziw,

u drugich drwinę. Jostein się zatrzymuje i wskazuje na jego usta. Jesper nie bardzo rozumie, o co mu chodzi. Ma na myśli to słowo, którego użył? Łachudra? Jesper formuje je samymi wargami, boi się wymówić je na głos. Jostein kręci głową i dalej pokazuje na jego usta. Jesper przesuwa po nich wierzchem dłoni. Ręka robi się lepka od pasztetu. Jostein się uśmiecha. Potem ruchem głowy wskazuje na drzwi, które są otwarte. Jesper wyciera palce w spodnie, wraca do klasy i zamyka drzwi za sobą. Pan Løkke siedzi za katedrą. Nie jest już słaby. Raczej sprawia wrażenie zawstydzonego. Nie odzywa się, dopóki Jesper nie spakuje tornistra.

– Nigdy wcześniej nie uderzyłem ucznia.

Jesper postanawia milczeć, dopóki nie zostanie o coś zapytany. Pan Løkke wstaje i podchodzi do niego.

– Byłeś niestety pierwszy, Jesper.

To nie jest pytanie. Jesper stoi milczący, z pochyloną głową. Tak lepiej. Pan Løkke ciągnie:

– I bardzo cię z tego powodu przepraszam. Bo jesteś dobrym chłopcem.

Te słowa tkwią tak głęboko w tym zahartowanym mężczyźnie, że ledwie udaje im się wydobyć na powierzchnię z zachowaniem sensu. Milczą przez moment. Jesper się zastanawia, dlaczego jest dobrym chłopcem. Wreszcie pan Løkke pyta, a głos ma już zdecydowanie mocniejszy:

– A ty przepraszasz, Jesper?

– Przepraszam.

Pan Løkke stoi jeszcze chwilę, po czym znów siada za katedrą. Teraz wydaje się już tylko samotny. Smutno na to patrzeć. W pustej klasie nauczyciel Løkke jest zagubiony między tablicą a ławkami. Któregoś dnia rozpłynie się w kredzie. Któregoś dnia na tablicy pojawi się napis: „Mam wolne!". Jesperowi przychodzi do głowy, że wszyscy ludzie wydają się samotni, nie przez cały czas, ale momentami. W chwilach wściekłości albo zupełnej ciszy. Tak jest z dziadkiem, matką, Josteinem, doktorem Lundem, panią Vik, zwłaszcza z panią Vik, z ojcem, nie, myśli o ojcu nie może znieść, ale on także gdzieś wśród tego tłuszczu skrywa

swoją samotność. Jesper zarzuca tornister na plecy, kłania się i otwiera drzwi. Ale panu Løkkemu coś jeszcze ciąży na sercu.

– Zwróciłem uwagę na sposób, w jaki zajmujesz się Josteinem.

Jesper się odwraca. Pan Løkke nie powinien był tego mówić. Jesper nikim się nie zajmuje. Jostein jest jego przyjacielem.

– Jostein to mój przyjaciel – oświadcza Jesper.

– Mam nadzieję, że dalej nim będzie, kiedy przestanie chodzić do naszej szkoły.

Jesper nagle czuje własną samotność. Która się objawia.

– Jostein nie będzie tu chodzić?

– Idzie do szkoły specjalnej. Dla głuchych.

– Jostein nie jest głuchy.

– Słyszy coraz gorzej.

– Ja słucham za niego.

Pan Løkke podnosi rękę.

– Właśnie o tym mówiłem. Dobry z ciebie chłopiec. Idź już.

Kiedy Jesper wychodzi na szkolne podwórze, Jostein czeka na niego przy bramie. Jesper zwalnia. Dlaczego Jostein nic mu nie powiedział? I nagle przychodzi mu do głowy: a może Jostein sam o tym nie wie? Jesper się zatrzymuje.

– Bolało? – krzyczy Jostein.

Jesper nachyla się do jego zdrowego ucha.

– Mogę spytać o coś twojego ojca?

Idą razem przez Kirkeveien. Jesper wchodzi z Josteinem do sklepu. Rzeźnik musi jednak najpierw obsłużyć klientkę. Przyszła po mielone mięso i szynkę wędzoną. Rzeźnik ujmuje i dodaje, aby wreszcie uzyskać dokładnie taką wagę, o jaką prosiła klientka, ani odrobiny mniej, ani więcej. Matka Josteina przyjmuje zapłatę przy kasie i odprowadza klientkę do drzwi. Jostein odwraca się do Jespera. Ten zbiera się na odwagę, ale w ostatniej chwili zmienia decyzję i pyta tylko:

– Co to znaczy amerykańska miara?

– Amerykańska miara? A skąd ci się to wzięło?

– Gdzieś usłyszałem.

Rzeźnik opłukuje ręce i wychyla się nad ladą.

– Amerykańska miara znaczy tyle, że nie robi się czegoś zbyt dokładnie. Idealne przeciwieństwo naszego postępowania. Na oko. Prawda, mamusiu?

Matka Josteina wraca do kasy, zasuwa szufladę z pieniędzmi i zerka na syna wpatrzonego w jej usta.

– Który musiał zostać po lekcjach? A może po prostu się guzdrałeś?

Jesper podnosi rękę.

– Ja – mówi.

Rzeźnik z uśmiechem kręci głową.

– Ale może też znaczyć patrzenie przez palce, z wyrozumiałością – mówi.

Jesper ma o czym myśleć, gdy samotnie pokonuje ostatni wietrzny odcinek Kirkeveien. Czy to właśnie robi ojciec? Patrzy przez palce? Chce, żeby Jesper też tak robił? Czy to znaczy, że do niczego nie trzeba podchodzić z wielką starannością? Ta myśl nie na żarty go przeraża. Chociaż niesie też pewną pociechę. A to jest niemal jeszcze bardziej przerażające. Chociaż cały czas podejrzewał, że tak może być: że coś może być i takie, i takie. Postanawia wejść kuchennymi schodami. To dzień odpowiedni na kuchenne schody. W dodatku dostał własny klucz od bramy. Ma pęk kluczy. To coś oznacza. Klucze to wolność. Klucze mogą zamykać i otwierać. Matka siedzi w kuchni zapłakana. Zasłania dłońmi twarz i cała się trzęsie. Nawet nie podnosi głowy, kiedy Jesper wchodzi i gwałtownie się zatrzymuje, pozwalając, aby drzwi same się za nim zamknęły. Filiżanka na stole dziwnie brzęczy. To łyżeczka wydaje z siebie przenikliwy dźwięk, który w końcu wypełnia po brzegi głowę Jespera. Łyżeczka płacze. Matka wreszcie na niego spogląda. Jej oczy już wyschły. Wzrok ma twardy i niegościnny. Jej miejsce zajął inny człowiek.

– Jak mogłeś! – krzyczy.

Jesperowi od razu przychodzi na myśl, że był tu pan Løkke. Ale jakoś mu się to nie składa. Musi wysondować sytuację.

– Kiedy zamontują nam telefon? – pyta.

Matka wstaje, a Jesper szykuje się na drugi policzek w tym dniu. Do tego jednak nie dochodzi. Maj siada z powrotem i kładzie ręce na brzuchu, nie spuszczając oczu z Jespera. W końcu wygląda przez okno, a łyżeczka spokojnie leży na żółtym spodeczku.

– Była tu Ingrid Foss – mówi Maj.

– A kto to jest?

– Ingrid Foss z Czerwonego Krzyża. Ta, która mieszka przy Ole Vigs gate.

Matka dłuższą chwilę nic nie mówi, a Jesper także nie widzi powodów, żeby się odzywać. Zaczyna się domyślać. Domyśla się, co będzie. Chciałby, żeby coś do tego nie dopuściło. Mogłaby spaść bomba. Wszystko jedno, kto by ją zrzucił. Matka nagle drapie się w kark.

– Nie smakuje ci jedzenie, które szykuję?

– Smakuje.

– To dlaczego wyrzucasz drugie śniadanie?

Wstaje, zanim Jesper zdąży odpowiedzieć, i tym razem nie zamierza usiąść z powrotem.

– W y r z u c a s z drugie śniadanie! Które ja ci przygotowałam tu, w kuchni! Wyrzucasz je na oczach wszystkich! Na rogu Kirkeveien i Ole Vigs gate!

– Ja...

– Nie wymyślaj! Nawet nie próbuj wymyślać! Ingrid Foss cię widziała. Ingrid Foss z zarządu Oddziału Fagerborg Okręgu Oslo Czerwonego Krzyża widziała, jak wyrzucasz drugie śniadanie!

Jesper natychmiast rozumie, że na to nie da się patrzeć przez palce, bez względu na to, z której strony by się patrzyło. Co ma na swoją obronę? Może powiedzieć, że widział ojca nagiego w łazience. Tego tematu wolałby jednak nie poruszać. Poza tym to by było donosicielstwo. A to ostatnia rzecz, jakiej by chciał. Donosić? Właśnie tak myśli Jesper. Myśli o tym, właściwie o tym nie myśląc. Dzieje się to nagle. Przypomina rażenie prądem. Lepiej powiedzieć, że spada. Ale on już spadł. Spadł głęboko, głębiej się nie da. Nie mówi nic. Nie ma nic do powiedzenia. W przeciwieństwie do matki:

– I to wtedy, kiedy inne dzieci głodują! Inne dzieci byłyby szczęśliwe, gdyby dostały chociaż to, co na kanapkach. Uszczęśliwiłaby je skórka chleba!

– Przepraszam.

– Dlaczego, Jesper?

Spuszczona głowa.

– Przepraszam, mamo.

– To nie wystarczy! Nie wystarczy po prostu powiedzieć: przepraszam!

– No to co mam zrobić?

– Może chcesz poznać żydowskie dzieci z Niemiec? Chcesz?

Głowa spuszczona jeszcze niżej.

– Wolałbym nie.

Matka z hałasem otwiera drzwi spiżarki, wyjmuje zmaltretowane drugie śniadanie i rzuca je na kuchenny stół.

– Masz to zjeść – oświadcza.

Jesper siada i rozpakowuje kanapki. Żółty ser zsechł się na brzegach, każdy kawałeczek rośnie mu w ustach. Skórki są miękkie i brudne. Kanapki większe niż on. Co dobrego z tego przyjdzie? Czy głodni się tym najedzą? Czy tych głodujących usatysfakcjonuje udręka Jespera? Czy to ich nakarmi? Matka stoi z rękami założonymi na piersiach i nie odrywa od niego wzroku.

– Smakuje?

Jesper rozumie. Rozumie rachunek kary. Po czynach i słowach nadchodzi kara. To jest kara. To policzek wymierzony przez matkę. Gorszy niż ten, który dał mu nauczyciel Løkke. To policzek powolny. Po zjedzeniu kanapki Jesper idzie do łazienki i wymiotuje. Jest pewien, że to słychać, ale matka nic nie mówi. Jesper spuszcza wodę, przechodzi do salonu i udaje, że odrabia lekcje. Kiedy Ewald wraca do domu, matka jest niezwykle cicha i chodzi na palcach. Jesper to wyczuwa. Każdy najmniejszy ruch wykraczający poza te zwyczajne porusza również jego. Czujność ojca, głos matki, który od czasu do czasu do niego dociera, krótkie słowa, małe litery. Jesper wcześnie kładzie się spać.

W końcu świat nie jest większy niż ten hol, w którym nie da się zasnąć. Prawie nie może oddychać. Właśnie tak musi się czuć Jostein, zamknięty w bezdźwięczności, w tym, co w ogóle nie wydaje już odgłosów, w czym są jedynie znaki, spojrzenia, kartki. Przychodzi ojciec w piżamie i kuca przy łóżku.

– Pewnie straciłeś apetyt, kiedy mnie rano zobaczyłeś – mówi.

Jesper się odwraca. Nie płacze. Ewald okrywa go kołdrą.

– Mamie jest bardzo przykro, że zmusiła cię do zjedzenia drugiego śniadania.

– Nie zmuszała mnie.

– Ale powinieneś zrozumieć, że dla niej to jest straszne. I że Czerwony Krzyż to widział. Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ktoś z Czerwonego Krzyża! Miałeś prawdziwy niefart, Jesper.

– Wiem.

– Ale nie możemy być niewdzięczni, Jesper. Ani wymagający. Poza tym będę się odchudzał.

– Ja też.

– Ty? Przecież ty jesteś tak chudy, jakbyś wrócił z obozu koncentracyjnego.

Jesper odwraca się do ojca.

– Co to znaczy łachudra?

– Łachudra? A gdzieś ty, na miłość boską, to usłyszał?

– Od ciebie.

Ewald zastanawia się przez chwilę.

– Nazwałeś kogoś łachudrą, Jesper?

– Pana Løkkego.

– O rany. Pewnie dostałeś po buzi, co?

– Tak.

– Łachudra znaczy, a mówię to tak cicho, żeby mama nie słyszała, łachudra znaczy tyle co dupek. I nie tylko. To znaczy prawdziwy dupek. Z najgorszej szuflady.

Jesper znów się odwraca.

– No to ja jestem łachudrą.

Ewald klepie syna po ramieniu.

– Wcale nie. Dzisiaj popatrzymy na to przez palce i zapomnimy o wszystkim, co się stało.

– A możemy?

– O, tak. Właśnie to jest fajne w ludziach. Możemy zostawiać różne rzeczy za sobą.

Ewald się podnosi i wraca do sypialni. Jesper śni. W jego snach nie ma amerykańskiej miary. Jest miara absolutna. Jeśli Jostein przeniesie się do szkoły ciszy, to w jego ławce zostanie samotność i ta samotność będzie towarzyszyć Jesperowi codziennie. Samotność również ma ojca rzeźnika.

Posiedzenie zarządu odbyło się dnia 13.10.1949 r. u pani Lessund. Obecne były: pani przewodnicząca Berit Nordklev, pani Ingrid Arnesen, pani Maj Kristoffersen, pani Lessund i pani Ingrid Foss. Przewodnicząca odczytała okólnik dotyczący szkolenia Przyjaciół Pacjentów oraz Dobrowolnej Pomocy Szpitalnej. Odczytano również sprawozdanie z zebrania Komitetu Wykonawczego w dniu 28 października 1949 roku. Pani przewodnicząca Nordklev pochwaliła rachunki prowadzone przez naszą skarbnik Maj Kristoffersen, których staranność została w szczególny sposób podkreślona przez Zarząd Główny Norweskiego Czerwonego Krzyża i nazwano je wzorowymi.

Przewodnicząca zamówiła 100 magazynów świątecznych i 10 000 znaczków świątecznych, które mamy nadzieję sprzedać do Bożego Narodzenia.

Otrzymałyśmy przydział tkanin i włóczki. Postanowiłyśmy zakupić 50 metrów drelichu i sporo białego płótna.

Przewodnicząca przedstawiła informacje na temat żłobka, o który będziemy się starać.

Zdecydowano, że następne zebranie członków odbędzie się w domu parafialnym na Fagerborgu dnia 23.11.1949 r., a oprawę stanowić będzie wykład, film, a być może również występ Chóru Sióstr.

Omówiono list z podziękowaniem za wyprawkę niemowlęcą wydaną pani Ingrid Nyhaug.

1.11.1949 r.
Ingrid Foss

BAŁWAN

Ewald Kristoffersen budzi się sam. W pustym białym świetle sypialnia wydaje się obca, więc w pierwszej chwili kojarzy mu się z hotelem. Nigdy nie mieszkał w hotelu, a jednak właśnie tak myśli: hotel. Leży jeszcze trochę, kolejny raz sprawdza, by się upewnić, że nie ma Maj. Nie ma jej. Opuściła go. Nie, to on opuścił ją. Oderwał się. Tak to się ze sobą wiąże. Ewald Kristoffersen wstaje. Otwiera drzwi do holu. Łóżko Jespera jest zaścielone pledem. Nikogo nie słychać. Ewald woła ich po imieniu i własnego głosu też nie słyszy. Widział już wcześniej te meble i te lampy. Widział także zegar na ścianie. A jednak wszystko jest obce. Trafił do hotelu. Czy jest tu więcej gości? Wychodzi do kuchni. Przy kuchennym stole nikt nie siedzi. Nikt nie stoi przy kuchence. Przypomina sobie coś ze swojego poprzedniego życia, telefon. Cholera, że też jeszcze go nie mają. Gdyby mieli, mógłby zadzwonić do domu i powiedzieć, że umarł. Żeby się nie martwili. Mogliby przyjść do niego w odwiedziny. Nie musieliby nic przynosić. Wystarczyłoby, żeby przyszli. Ewald Kristoffersen zatrzymuje się przy oknie. Światło staje się coraz bielsze i ostrzejsze. Musi zasłonić oczy dłońmi. Ciemność tkwi w skórze, w palcach, pod paznokciami. A więc widzi. W nocy spadł śnieg. Pierwszy dźwięk, jaki słyszy, to kościelne dzwony. Jest niedziela. Na podwórzu siedzi Maj w zimowym palcie i czapce. Jesper stoi za sznurami do bielizny, na których wiszą jedynie klamerki. On też jest w czapce. Patrzy na inne dzieci, które próbują ulepić bałwana. Ten widok, widok Maj i Jespera, wzbudza w Ewaldzie Kristoffersenie pogardę dla tej wolności, którą kiedyś czuł. Nie chce się odrywać. Chce być przywiązany. Wypełnia go wielka miłość, ale także żal. Jesper podchodzi do dzieci, młodszych od niego, i pomaga im lepić bałwana. Ale na razie nie ma jeszcze dość śniegu, jest jedynie cienka warstewka, poza tym śnieg nie chce się lepić. Ewaldowi przychodzi do głowy, że nigdy nie zobaczy tego bałwana ukończonego. A nawet jeśli, to nie zobaczy, jak się roztapia.

Od poprzedniego posiedzenia zarządu w dniu 31 paźdz. Oddział Fagerborg miał rozmaite zajęcia, a mianowicie ugoszczenie niemieckich dzieci na prośbę Misji wśród Ludu Izraela, zebranie członków oraz posiedzenie zarządu.

Były to te same dzieci, które przyjechały do Norwegii latem, a teraz bawiły przejazdem w Oslo w drodze powrotnej do Niemiec. Przybyły do Oslo wcześnie rano 22 list.; podano im śniadanie, obiad i kolację w domu parafialnym na Fagerborgu. Zajęły się tym członkinie zarządu Oddziału Fagerborg oraz sporo innych wolontariuszek, które wieczorem przed przybyciem dzieci pomogły między innymi w przygotowaniu kanapek. Dzieci bardzo się poprawiły w Norwegii i wróciły do domu dobrze ubrane. Sporo niewykorzystanych artykułów spożywczych rozdano potrzebującym w parafii.

Zebranie członków odbyło się 23 list. w domu parafialnym na Fagerborgu. Frekwencja, niestety, była bardzo niska, przyszło zaledwie ok. 50 osób, prawdopodobnie z uwagi na bardzo złą pogodę tego dnia. Na część artystyczną złożyły się: informacje o pracach oddziału od czasu ostatniego zebrania członków, przedstawione przez panią Berit Nordklev, wykład pani Koldrup Lund o Afryce Południowej, połączony z filmem, występ Chóru Sióstr Czerwonego Krzyża pod dyrekcją pani Fanny Elstø, a także film o Bakkebø, domu dla upośledzonych, wypożyczony od pani Heddy Astrup, do którego wprowadzenie wygłosił kierownik tej placówki, pan Tveit. Antykwariusz Olaf Hall opowiedział o swoim życiu wśród starych, rzadkich książek, a na koniec przeczytał własne wiersze. To mógł sobie darować. Zorganizowano loterię, w której nagrodami były dwulitrowy słój kawy oraz dwulitrowy słój cukru, a poza tym sprzedawano znaczki świąteczne, kalendarze adwentowe i świąteczne magazyny. Z uwagi na marną frekwencję rachunek zysków i strat zebrania zamknął się stratą wynoszącą 121,– koron.

Na zebraniu zarządu, które odbyło się u pani Ingrid Arnesen dnia 28 list., obecne były wszystkie członkinie. Skarbniczka Maj Kristoffersen przedstawiła sytuację finansową oddziału. Dochody z udziału w kiermaszu Czerwonego Krzyża wyniosły 583,50, a ze sprzedaży znaczków 2969,– koron. Przedłożono i omówiono projekt budżetu. Maj Kristoffersen nawoływała do umiarkowania. Postanowiono przeznaczyć 400,– koron na 20 paczek żywnościowych o wartości 20,– koron każda do rozdania wśród źle sytuowanych, a także odpowiednią kwotę na dwa krzesła do domu sióstr, przypuszczalnie będzie to 250,– koron.

Następnie zdecydowano o przeznaczeniu następujących kwot: na kolonie letnie oraz na wycieczkę dla seniorów – 1000,– koron, żłobek – 1000,– koron, wydatki bieżące – 1000,– koron, fundusz rezerwowy – 500,– koron.

Za pośrednictwem Okręgu Oslo Czerwonego Krzyża Oddział Fagerborg otrzymał przydział na 20 par nowego obuwia dziecięcego w cenie 0,50 korony za parę plus koszty transportu. Buty będą dystrybuowane przez diakonisę wśród osób znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej, przy czym przy każdej parze obuwia znajdzie się kartka świąteczna z pozdrowieniami od Oddziału Fagerborg Norweskiego Czerwonego Krzyża.

Zarząd otrzymał również znaczki świąteczne i mógł z radością stwierdzić, że w tym roku zgłosiło się wiele osób, które pragną się podjąć roli sprzedawców.

Dla pani Maj Kristoffersen było to ostatnie zebranie zarządu przed pójściem na urlop macierzyński. Maj zgodziła się ponownie objąć stanowisko skarbniczki, gdy tylko będzie mogła, dlatego uznałyśmy, że na jej miejsce nie trzeba szukać nikogo nowego. Wszystkie panie wyraziły radość w jej imieniu i oczywiście zaoferowały pełne wsparcie oraz pomoc, jakich tylko mogą udzielić.

PIĘTKI

Jesper stoi na schodach budynku stacji na Majorstua i sprzedaje znaczki świąteczne. To dalszy ciąg kary. Ale i tak lepsze to niż poznawanie żydowskich dzieci z Niemiec czy smarowanie tysiąca kanapek dla głodujących na Fagerborgu. Znaczki leżą na tacce, którą ma zawieszoną na szyi, i kosztują pięćdziesiąt øre za sztukę. Jest sobota, niedawno skończyły się lekcje. Tramwaj musi czekać na Bogstadveien, bo na torach przed sklepem Maślanego Petersena zaparkował samochód z mleczarni. Młode pary w pumpach i anorakach idą z nartami na ramionach, chcą zdążyć na kolejkę do Frognerseteren. W komunikacie pogodowym zapewniano o znakomitych warunkach narciarskich. Jesperowi marzną ręce. Ale nie może nosić rękawiczek, skoro ma wydawać resztę. Ledwie już porusza palcami. Sprzedał dwa znaczki, oba panu Løkkemu, który wcześniej odwiedził monopolowy, można to było poznać po torbie. Po co komu dwa znaczki Czerwonego Krzyża? Żeby jeden dać w prezencie gwiazdkowym? Umowa jest taka, że na schodach przy budynku stacji Majorstua Jesper ma spędzić półtorej godziny. Została jeszcze godzina. Kierowca wreszcie zakończył dostawę do Maślanego Petersena i odjeżdża w stronę Vinderen. Tramwaj wtacza się na przystanek, jest spóźniony, ale nie na tyle, by motorniczy nie zdołał tego nadrobić do następnego przystanku, zwłaszcza jeśli przez Frogner plass będzie jechał z wiatrem. Sprzedaż, innymi słowy, idzie źle. Zegar na Vinkelgården idzie jeszcze gorzej. Wskazówki poruszają się tak wolno, że czas niemal stoi w miejscu. Jesper będzie tu tkwił do końca życia. Jest o tym święcie przekonany. To również część kary. Ogarnia go paskudne uczucie, że nikt go nie lubi. Ludzie obchodzą go szerokim łukiem. Spuszczają wzrok i prędko go mijają. Zawracają, wybierają inną drogę. Może już lepiej byłoby poznać żydowskie dzieci z Niemiec. Jesper podejmuje decyzję. Nigdy więcej niczego nie będzie sprzedawał, bez względu na to, co by to miało być. Wreszcie przechodzi pani Vik. Przynajmniej ona się zatrzymuje

i kupuje znaczek. Pyta, jak idzie sprzedaż. Jesper musi przyznać, że źle. Pani Vik kupuje jeszcze jeden. Potem prędko kieruje się do piekarni Samson. Ma pewien zły nawyk, który sama uważa za zaletę. Poza tym to zdrowe na zęby. Pani Vik lubi czerstwy chleb, a zwłaszcza piętki. Dlatego zachowują dla niej pieczywo, którego nie uda się sprzedać w ciągu tygodnia. Niektórzy twierdzą, że pani Vik jest po prostu skąpa. Dostaje chleb za mniej niż pół ceny. Jakiś mężczyzna bez kapelusza właśnie nie zdążył przed zamknięciem sklepu monopolowego i wali w drzwi. Światło nad Majorstua zmienia kolor. Grudzień wcześnie przywdziewa wieczorową suknię. W końcu pojawia się Jostein. Staje stopień niżej i liczy, ile znaczków sprzedał Jesper. Cztery. Jostein kręci głową. Jesper tak samo. Zrywa się wiatr. Chronią się w pasażu, ale tam stoją w przeciągu, więc jest jeszcze gorzej. Jostein wpada na pewien pomysł. Sam spróbuje sprzedawać znaczki przez jakiś czas. Zdejmuje tackę z szyi Jespera, zawiesza na własnej i staje na schodach. Jesper chowa ręce do kieszeni. Jostein sprawia wrażenie jeszcze bardziej bezradnego niż wcześniej. Głowę ma przechyloną na bok, szczęka mu zwisa, w ogóle wygląda na nieszczęśnika. Jesper nie lubi, kiedy Jostein tak wygląda. Przecież to tylko udawanie. Ale znaczki się sprzedają. Ludzie, widząc Josteina, jakby nie mogą się powstrzymać. Znaczki schodzą. Jostein wyprzedaje wszystkie przed czasem, zadowolony wraca do Jespera i oddaje mu pustą tackę. Ale kiedy liczą pieniądze, okazuje się, że jest ich za dużo. Jesper przelicza jeszcze raz. Zgadza się. Zgadza się, że się nie zgadza. Kwota jest dwa razy większa. Patrzy na Josteina.

– Za ile je sprzedawałeś? – pyta.

– Co?

Jesper zdziera mu czapkę i krzyczy:

– Znaczki!

– Po koronie.

– One kosztują pięćdziesiąt øre!

Jostein rozdziawia usta i wygląda tak głupio, że Jesper musi z powrotem założyć mu czapkę. Rozglądają się. Nikt ich nie słyszał. Idą na Tørtberg, żeby nikt ich też nie widział. Przestaje wiać. Dookoła

panuje cisza. Ponieważ Jostein sprzedał dwadzieścia sześć znaczków po koronie zamiast po pięćdziesiąt øre, mają o trzynaście koron za dużo. Oblicza to Jostein. To majątek. Co z nim zrobią? Czy mają oddać wszystkie pieniądze Czerwonemu Krzyżowi, który odnajdzie poszczególnych kupujących? Wiedzą dobrze, co zrobić z taką fortuną, ale nie bardzo chcą się do tego przyznać. Jesper wypisuje na śniegu: *6 i pół*. Jostein kiwa głową i dodaje: „Na każdego". Przez chwilę stoją wpatrzeni w litery. Błonia Tørtberg to największa kartka na świecie. Zaczyna padać śnieg, gumka zacierająca wszelkie ślady. Uczą się już angielskiego i Jesper nie musi krzyczeć.

– Honki donk – mówi.

– Ofkors – odpowiada Jostein.

Dzielą się pieniędzmi, uzgadniają, że nie wydadzą nic przed świętami, i się rozchodzą. Jostein idzie okrężną drogą wokół parku Frogner, tak na wszelki wypadek. Jesper woli iść przez Blindern, ale kiedy zbliża się do Kirkeveien, żałuje. Powinien przyjść od strony Majorstua, przecież to tam sprzedawał znaczki. Ten, kto nie zrobił nic złego, nie musi zmieniać planów. Wkrótce zajmuje go jednak coś innego. Przed ich klatką stoi taksówka, gotowa do odjazdu. Na tylnym siedzeniu dostrzega rodziców. Ojciec zdąża jeszcze opuścić szybę.

– Nadszedł czas, Jesper!

Na klatce czeka pani Vik i Jesper musi z nią iść. Chętnie by z tego zrezygnował. Ma własny klucz i sam dałby sobie radę. Pani Vik jest rozgorączkowana. Pomaga mu zdjąć śniegowce.

– Możliwe, że to będzie dopiero jutro, a jeśli tak, to Ewald na pewno wróci wieczorem do domu – mówi.

– Czy to boli?

– Co?

– Rodzenie dzieci.

Pani Vik prostuje się z jego śniegowcami w rękach; ze śniegowców kapie, ale ona tego nie zauważa.

– Nie wiem. Na pewno boli. Ale konie boli bardziej.

– Konie?

– Maj świetnie sobie poradzi. Przecież to nie pierwszy raz. Zresztą nie będziemy się tym już więcej martwić, będziemy się tylko cieszyć.

Jesper idzie z panią Vik do kuchni. Ma nadzieję, że nie dostanie kanapek na piętkach chleba. Kiedy mijają drzwi do salonu, zauważa w środku mężczyznę. Siedzi w fotelu przy radiu, ma siwe włosy i tweedową marynarkę. Przez moment Jesperowi się wydaje, że to duch pana Vika, chociaż właściwie nie pamięta, jak on wyglądał. Ale na pewno zwykle siadywał w tym fotelu. Przechodzi go dreszcz. Pani Vik szykuje mu piętki. Przypominają okrągłe kamienie. Pozwala mu ogrzać ręce przy kuchence.

– No i sprzedałeś wszystkie znaczki! – mówi pani Vik.

Jesper patrzy na rozpaloną płytkę. Ciekawe, jak nisko mógłby zawiesić nad nią dłonie, zanim by się sparzył.

– Tak, zeszły.

Wreszcie Jesper siada przy kuchennym stole, a pani Vik na jakiś czas zostawia go w spokoju. Jesper słyszy głosy dochodzące z salonu. Nieco później drzwi wejściowe się zamykają. Nie chce pytać, kto to był. Nic mu do tego. Jeśli nawet był to duch pana Vika, to nie jego sprawa. Wpół do szóstej wraca Ewald z Kliniki przy Wergelandsveien. Poród trochę potrwa. Dziecko najwyraźniej jest oporne.

Pierwsze zebranie zarządu w roku 1950 odbyło się u pani Else Larsen dnia 12 stycznia. Obecne były: pani Berit Nordklev, pani Ingrid Foss, panna Vanda Aasland i pani Else Larsen.

Pani przewodnicząca Nordklev odczytała liczne podziękowania od osób, które otrzymały paczki żywnościowe i obuwie, a także podziękowania z domu sióstr za pieniądze na dwa krzesła. Rzeźnik Melsom, który pośredniczył w sprzedaży 15 paczek żywnościowych przygotowanych przez Oddział Fagerborg, nie chciał zarobić na tej sprzedaży i przygotował dodatkową paczkę, którą przydzielono rodzinie Vestly, zam. Vibes gate 16.

Od czasu poprzedniego zebrania zarządu Oddział Fagerborg otrzymał kolejnych 20 par obuwia, z czego 16 par, każdą z dodatkiem skarpet lub rękawiczek, zrobionych na drutach, przekazano opiece społecznej. Pozostałe pary przekazano do rozdania diakonisie w parafii Fagerborg.

CROWN CORK

Jesper dostaje jedno i drugie. Będzie pianistą i starszym bratem. O godzinie szesnastej trzydzieści szóstego stycznia 1950 roku w Klinice przy Wergelandsveien przychodzi na świat dziewczynka, uprzednio przez kilka dni wymęczywszy swoją matkę. Bolało. Tego samego dnia wieczorem czterech mężczyzn z firmy Usługi Transportowe na Majorstua wnosi do ich mieszkania pianino. Ewald Kristoffersen kupił je za nieduże pieniądze w Wytwórni Instrumentów Cappelena. Jesper stoi na podeście schodów tuż przy ścianie i patrzy, jak mężczyźni, którzy mają na ramionach pasy z hakami, zbliżają się po jednym stopniu. Pianino przechyla się między nimi to w jedną, to w drugą stronę. Ewald Kristoffersen idzie z tyłu i pokrzykuje. W końcu prześlizguje się na przód. Nie chce dostać pianinem w głowę, jeśli je upuszczą. A Jesper myśli: mama urodziła pianino. Dlatego od tej pory zawsze, kiedy będzie grać, bez względu na to, gdzie się znajdzie, w jego myślach pojawi się młodsza siostra. Postanawia coś jej kupić za pieniądze, z których on i Jostein okradli Czerwony Krzyż.

Ale gdzie to pianino ma stanąć?

Hol jest za mały. Jesper byłby zmuszony spać gdzie indziej, a to niemożliwe. Musi więc stanąć w salonie. Tam jest miejsce pianina. Na wszystkich obrazach pianino stoi w salonie. Ewald o tym wie. Ale pianino to kłótliwy mebel. Domaga się swoich praw. Ściana wychodząca na Gørbitz gate jest za krótka. Po drugiej stronie przeszkadza kominek. No, a drzwi na balkon po otwarciu zajmują pół pokoju. Pianino musi stanąć w jadalni, w kącie pod zegarem. Jesper będzie mógł na nim grać co niedziela po deserze i będzie jak za dawnych czasów w Bristolu. Tragarzom udaje się wreszcie ustawić instrument na miejscu. Ewald przynosi im z kuchni piwo. Zerka na podwórze. Bałwan jest skończony. Ktoś włożył mu na głowę kapelusz. Teraz bałwan czeka już tylko na odwilż. Ewald nie chce o tym myśleć, nie w taki dzień jak ten. Taki dzień

na to nie zasługuje. Wraca do salonu i wręcza tragarzom po butelce eksportowego. Wypijają je jednym haustem, oprócz kierowcy, który chowa butelkę do kieszeni. Po ich wyjściu Jesper może wybrać między isi-colą a solo. Nie potrafi się zdecydować, chętnie wypiłby oba napoje. Ponieważ to wielki dzień, Ewald się zgadza. Sam nalewa sobie kieliszek eau de vie i zapala gitanesa, które wszyscy pracownicy Dek-Rek dostali od Rudjorda przed świętami. Wykończony i zadowolony osuwa się na fotel i wznosi toast. Tak, jeśli tylko nie myśli za dużo o jubileuszu dziewięćsetlecia Oslo, o bałwanie i o tym, że niedługo umrze, to z ręką na sercu może wyznać, że jest człowiekiem szczęśliwym.

– Umiesz postawić na swoim, Jesper.

Jesper wzrusza ramionami i najpierw wypija solo. Potem idzie po isi-colę. Ewald nagle zaczyna się zastanawiać, jak to będzie. Bierze od Jespera butelkę i pokazuje na jej zamknięcie.

– Wiesz, co to jest?

– Kapsel.

– *Crown cork*. Wynalazek o wielkim znaczeniu. Wystarczy go podważyć za pomocą odpowiedniego narzędzia. Można nawet zrobić to palcami, jeśli ktoś jest dostatecznie silny. Wcześniej butelki zamykano na kłódkę i trzeba było mieć dwa klucze, żeby je otworzyć. Ale teraz *crown corks* są na wszystkich butelkach na całym świecie.

– Na solo też.

– No, przecież właśnie to powiedziałem. Na całym świecie.

Ewald podważa kapsel o krawędź stołu i oddaje butelkę Jesperowi.

– Będzie miała na imię Stine. Po babci mamy. Co o tym myślisz?

Jesper wypija łyk i odstawia butelkę.

– Wolę solo.

– To dobrze. Pomarańcze są zdrowe.

Ewald dolewa sobie do kieliszka eau de vie, ale nie tak dużo jak poprzednio. Jesper wypija jednak isi-colę. Nie może jej zostawić, chociaż jest niedobra. Zegar nad pianinem robi rundę i wydaje z siebie ciche trzaski, które kończą się cichym zgrzytem.

– Nie wypróbujesz?

– Nie umiem grać.

Ewald wychodzi do kuchni, znika na chwilę i wraca ze starą gazetą i nożyczkami. Przerzuca stronice, aż znajduje to, czego szukał, i wycina kawałeczek nie większy niż znaczek pocztowy. Odwraca się do Jespera i czyta na głos:

– Enzo Zanetti, prywatne lekcje gry na fortepianie. Cały dzień. Oprócz poniedziałków.

Jesper podchodzi bliżej.

– Enzo Zanetti?

– To Włoch, rozumiesz? Znam go.

Jesper ma już na końcu języka, że on też zna Enza Zanettiego, ale nic nie mówi. Za dużo trzeba by było tłumaczyć. Poza tym sam tego nie rozumie. A może jest więcej takich, którzy nazywają się Enzo Zanetti, są Włochami i grają w Oslo na fortepianie? Wątpi w to jednak.

– Jak to? – pyta zamiast tego.

– Grywał nam, kiedy mieliśmy ważne zebrania służbowe. Teraz uczy zamiast grać. Zadzwonimy, żeby zamówić lekcję.

– Nie mamy jeszcze telefonu.

– Ale przynajmniej mamy pianino, Jesper.

Idą na górę do pani Vik, która otwiera, zanim zdążą zapukać.

– Mamy mysię-pysię – oznajmia Ewald.

– Mów normalnie!

– Zdrowa dziewczynka.

Pani Vik klaszcze w ręce tak głośno, że aż echo niesie się po całej klatce.

– A Maj?

– W porządku, dziękuję. Jej też urodziła się dziewczynka.

Oboje się śmieją, ale Jesper wysuwa się naprzód i im przerywa.

– Musimy skorzystać z telefonu.

– Oczywiście, rozumiem – mówi pani Vik.

Ewald wchodzi do przedpokoju, zatrzymuje się przy komodzie i przez chwilę się rozgląda. Czy to nie męski płaszcz tam wisi?

Umieszcza słuchawkę między barkiem a policzkiem, aby mieć obie ręce wolne i wykręcić numer z ogłoszenia. Czas mija. Wreszcie na drugim końcu ktoś odbiera. Ewald trzyma słuchawkę już normalnie i pyta:

– Durszlak czy moloch?

Ewald śmieje się z własnego dowcipu, a potem się przedstawia, podając pełne imię, nazwisko i adres. Gdy i to najwyraźniej nie pomaga, zaczyna się niecierpliwić.

– To ja panu pomogłem po bójce. Książę Ellingtoński!

Jesper się uśmiecha, pewny swego. On też zna Enza Zanettiego. Teraz już wie, jakiej melodii będzie się uczył. Miasto jest tak małe, że wszystkim towarzyszy ten sam cień. Pani Vik nachyla się i pyta szeptem:

– To on nie z Maj rozmawia?

Jesper kręci głową i ciągle się uśmiecha.

Ewald wreszcie przedstawia swoją sprawę. Jego syn, który ma już prawie osiem lat i trzy miesiące, bardzo chce się uczyć gry na pianinie. Nie, nie umie grać. Właśnie dlatego chce brać lekcje. Właśnie dlatego on, Ewald, dzwoni. Czy coś nie w porządku z telefonem? Ewald przez chwilę słucha. Pani Vik przyciąga Jespera do siebie, a on jej na to pozwala. To tutaj, u niej, odkrył tę suchą, smutną melodię, która przynosi mu pewien spokój, pewien stan równowagi, gdy tylko o niej pomyśli. Ewald kończy rozmowę, kładzie słuchawkę na widełki i odwraca się do Jespera.

– Masz lekcję w poniedziałek trzydziestego stycznia punktualnie o siedemnastej trzydzieści na Jørgen Moes gate cztery. I niech Bóg się nad tobą zlituje, jeśli się spóźnisz.

Jesper się niepokoi.

– Przecież on ma zamknięte w poniedziałki.

– Zmienił zdanie. Teraz chętnie zamknąłby interes we wszystkie dni oprócz poniedziałków.

Pani Vik otwiera im drzwi i poklepuje Ewalda po plecach.

– Ma pan mnóstwo rzeczy na głowie – mówi.

– Podobnie jak pani, pani Vik.

Ewald i Jesper schodzą do siebie. Jeden bardziej zmęczony od drugiego. Na moment woal odsuwa się na bok i wszystko ukazuje się takim, jakie jest. Takiej chwili nie da się zapomnieć. Na blacie w kredensie leży broszura Norweskiego Czerwonego Krzyża: *Na wszelki wypadek*. Przecież to właśnie w domach najczęściej dochodzi do wypadków. W rogu broszury jest dziurka, aby można ją było powiesić w miejscu, w którym łatwo ją będzie znaleźć.

W nocy Jesper musi dwa razy wstawać, żeby się wysikać. Najpierw isi-colę, chociaż tę pił na końcu, a potem solo. Mają taki sam kolor. Ale solo od samego początku jest żółte. Kiedy wstaje trzeci raz, nie idzie sikać. Na palcach przechodzi do salonu. Jest ciszej niż kiedykolwiek. Cały budynek śpi. Piętra tulą się do siebie policzkami. Ściany nie mówią. Nawet zegar odpoczywa między wybijaniem godzin. Jesper zapala lampę na stole. Z abażuru spływa niemal zielone światło. Jest za dziesięć trzecia. Jesper przysuwa krzesło do pianina i siada. Krzesło jest za niskie, ale on nie wstaje. Podnosi prawą rękę, zmienia zdanie i podnosi lewą. Nagle nie wie, co w tym czasie zrobić z tą drugą. Ta druga przeszkadza. Wsuwa ją między guziki piżamy, a lewą dalej trzyma ponad klawiszami pianina. Z trudem dostrzega własne odbicie w gładkiej, czarnej, lakierowanej powierzchni. Półka na nuty jest pusta. Kandelabry po obu stronach też. Wiszą na nich jedynie resztki zakrzepłej stearyny. Tak samo pusta jest dziurka od klucza. Pianino nazywa się Blüthner. Cała cisza zbiera się w ustach Jespera. W końcu Jesper ostrożnie opuszcza palec. Nie wie, w jaki ton wceluje. Ewald wstaje z łóżka. Dźwięk go trafił. Myśli: na pewno damy radę. Słyszy, jak pani Vik przechodzi przez swoją sypialnię. Jej kroki się zatrzymują, nasłuchuje. Nie rozlega się już nic więcej oprócz tego jednego tonu, dźwięku, który czeka na to, aby stać się muzyką. Pani Vik marznie w nocnej koszuli. Powinna była włożyć skarpetki. Nagle coś jej upada. Nie rozumie tego. Przecież nie ma nic do stracenia. To obrączka. Sama zsunęła się z palca. Zostało po niej tylko białe kółko na skórze. Obrączka toczy się pod łóżko. Pani Vik kuca i wsuwa rękę w ciemność.

Postanowiono, że dwa pakiety z wyprawką dla niemowląt (pozostałość daru Norweskiego Stowarzyszenia Kobiet w Waszyngtonie) zostaną przekazane do

magazynu ze sprzętem medycznym, aby stamtąd trafiły do potrzebujących.

Zarząd wysłał kwiaty i kartę z gratulacjami do naszej skarbnik, pani Maj Kristoffersen, w związku z narodzinami dziecka. Fagerborg ma jeszcze jedną obywatelkę!

SŁUCH

Jesper uważa, że jest brzydka. Leży w kołysce, ustawionej w sypialni rodziców, i ma ślinę w kącikach ust. Cienkie pasemka czarnych włosów lepią się do pomarszczonej czaszki. Dłonie przypominają dwa blade klopsiki. Nie widać, gdzie się kończy dłoń, a gdzie zaczynają palce. Tak samo jest ze stopami. One też przypominają klopsiki, ale rybne. Skopała z siebie kołderkę. W dodatku przyszła na świat tymi stopami do przodu. Dlatego tyle to trwało. Na ogół dzieci zaczynają się rodzić od głowy. Nawet Jesper to wie. Jak można być tak głupim? Może się więc zdarzyć, że będzie kulawa, a w najgorszym razie, że będzie miała szpotawą stopę. Zdaniem Jespera już ją ma, a nawet dwie, i to jej wina. Gdzie będzie spała, kiedy urośnie? W holu? A gdzie on się wtedy podzieje? Oboje się tu nie pomieszczą. Siostra zajmie jego miejsce. Nic nie szkodzi. Kiedy podrośnie na tyle, żeby spać sama, Jesper będzie już za górami, za lasami. Nachyla się nad nią. Mała patrzy na niego i się śmieje. W każdym razie z jej ust wydobywa się jakiś dźwięk. To nie śmiech. Tylko gulgot. Widzi go? Widzi swojego starszego brata i wyrabia sobie o nim jakąś opinię? Może relacja między nimi już została określona? Czy we wnętrzu tej miękkiej istoty, która ma przypominać człowieka, a jest na tyle mała, że rzeźnik Melsom mógłby swobodnie położyć ją na swojej wadze, w ogóle dzieje się cokolwiek? Jesper w to wątpi. Kładzie paczuszkę na poduszce.

– Chyba jej nie obudziłeś?!

Jesper prostuje się szybko. Wchodzi Maj, odsuwa go i bierze Stine na ręce. Malutka zaczyna płakać. Maj jest blada i zniecierpliwiona.

– Zobacz, co zrobiłeś!

Jesper kręci głową.

– Nie spała.

– A teraz płacze! To przez ciebie.

Maj ze Stine na rękach podchodzi do okna. Jesper odwraca się do drzwi. Stoją w nich milczący dziadkowie. Babcia z przodu. Dziadek za jej plecami, grzebie w fajce. Babcia kiwa głową i Jesper wychodzi za nimi do kuchni. Babcia ma dla niego kawałek domowego jabłecznika. Z jabłek z Hurdal. W Hurdal nie ma dużo jabłek, ale są dobre. Hurdal jest na wsi. Jesper trochę pamięta brązowy, prawie czarny dom na skraju lasu, drewutnię i pobliskie jezioro, w którym łowili okonie. Jeździli tam kilka razy podczas wojny. Czasami Jesperowi wydaje się, że to tylko sen, tak dalekie jest to pod każdym względem, ale przynajmniej dziadkowie istnieją naprawdę. Są tak starzy, jak Stine jest nowo narodzona, zresztą może ludzie zawsze są do siebie trochę podobni na samym początku i pod koniec życia?

Dziadek zapala fajkę i wychodzi. Babcia kładzie na talerzyku Jespera kolejny kawałek jabłecznika.

– To nie twoja wina – mówi.

Jesper już więcej nie chce. Prawie zapomniał, że postanowił nigdy nie utyć. Odsuwa ciasto.

– Mama zawsze tak mówi.

– Ale wcale tak nie myśli.

– No to dlaczego mówi?

– Bo jest zmęczona, Jesper. Ty nigdy nie powiedziałeś czegoś, czego tak naprawdę wcale nie myślałeś?

Jesper się zastanawia.

– Właściwie to nie.

Słyszą śmiech dziadka, chociaż dziadka nie widać. W tej samej chwili Maj toruje sobie drogę przez mgłę i otwiera okno na oścież.

– Jeśli już koniecznie musisz palić, to wyjdź na balkon!

Dziadek się ukazuje.

– Ewald nie pali?

– Pali francuskie papierosy, tato, a nie stare fajki.

– Nie mogę przecież stać na zewnątrz i palić w środku miasta.

– U nas się pali na zewnątrz!

Dziadek odkłada fajkę, opierając ją o brzeg talerzyka, i więcej się nie odzywa. Maj zamyka okno i patrzy na matkę.

– Ewald nie wrócił?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Przez moment się wydaje, że Maj zaraz puści na szwach. Tego już dla niej za wiele. To okropne. Cała się trzęsie, kolana też jej drżą. Jesper wstaje pierwszy.

– Mogę iść sam – mówi.

– Wykluczone.

Maj wreszcie się uspokaja, a przynajmniej udaje, że tak jest, i znów patrzy na matkę.

– Mogłabyś mu obciąć i wyczyścić paznokcie? Ma się ubrać w tę białą koszulę i szare spodnie.

– A ty dokąd się wybierasz?

Maj kuchennymi schodami idzie pospiesznie do pani Vik i puka do jej drzwi. Pani Vik dość szybko otwiera. Maj wymija ją bez słowa, podchodzi do telefonu i wykręca numer Dek-Rek. Łączy się z sekretarką i pyta o Ewalda. Wszyscy już wyszli, Ewald także.

– Kiedy wyszedł? – pyta Maj.

– Już kilka godzin temu.

– Kilka godzin?

Maj odkłada słuchawkę i prawie osuwa się na krzesło. Pani Vik stoi w pobliżu.

– Coś się stało?

– Nie. Tylko tyle, że Stine nie śpi, rodzice chyba nigdy nie wyjadą, rachunki Czerwonego Krzyża mają być gotowe za dwa dni, Jesper ma dziś pierwszą lekcję fortepianu, a ten dureń, który jest moim mężem, nie dotrzymuje umowy.

Pani Vik kręci głową.

– A ja miałam zamiar o coś cię prosić.

Maj patrzy na nią.

– Czy to bardzo ważne?

– Tak. Ważne. Ale może zaczekać.

Maj prędko wraca na dół. Jesper jest gotowy. Elegancko wygląda w czystym, odprasowanym ubraniu, niemal zbyt elegancko. Babcia wskazuje na jego ręce. Również są bez zarzutu. Potem pomaga mu włożyć nową budrysówkę, która jest na niego za duża, Jesper mógłby zrobić sobie wycieczkę po jej wnętrzu. Maj udziela ostatnich pouczeń i starcza jej czasu jedynie na narzucenie płaszcza na te łachy, które ma na sobie. Śnieg, pchany wiatrem, sunie pod ścianami domów na Kirkeveien. Zegar na Marienlyst pokazuje za piętnaście szóstą. Jadą tramwajem z Majorstua. Szyby w wagonie parują. Wkrótce nie widzą już, gdzie są.

– Powinieneś był włożyć rękawiczki – mówi Maj.

– Dlaczego?

– Żeby ci palce nie zmarzły. Nie możesz grać zmarzniętymi palcami.

– No to powinienem też włożyć czapkę.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę grać, kiedy nie słyszę.

Maj naciąga mu kaptur na głowę i śmieje się, ale zmęczonym, powolnym śmiechem, przypominającym raczej ziewnięcie.

– Pewnie okropnie wyglądam? – pyta.

– Przecież już u niego byliśmy, prawda? Z prezentem świątecznym.

Matka kiwa głową i przez chwilę nic nie mówi. Tramwaj gwałtownie skręca, to musi być Holtegata. Jesper wyciera kółko w zaparowanej szybie, widzi starą choinkę stojącą w bramie i psa znikającego za pojemnikiem na śmieci. Matka wyjmuje inny prezent.

– Czy to ty położyłeś to u Stine?

Teraz z kolei Jesper kiwa głową. Nagle zawstydzony.

– Na następnym wysiadamy – mówi.

– Nie, jeszcze dwa. Za co to kupiłeś?

– Za pieniądze, a za co?

– Nie stawiaj się. Za jakie pieniądze?

– Zaoszczędzone. Z tygodniówki.

Matka dotyka papieru i patrzy na karteczkę, na której krzywymi, niezgrabnymi literami jest napisane: *Dla Stine od Jespera*.

– To coś, co trzeba otworzyć od razu, czy może trochę poleżeć?

Jesper wygląda przez okno, ale szyba znów zaparowała. Wzrusza ramionami.

– Może poleżeć.

– Zaczekamy, aż Stine sama będzie mogła to otworzyć? Co o tym myślisz?

– Wszystko mi jedno.

Matka nakrywa dłonią jego zmarznięte palce.

– Bardzo się cieszę, że jesteś taki dobry dla Stine – mówi.

Wysiadają przy szkole na Uranienborgu, skąd do Jørgen Moes gate jest tylko kawałek do przejścia. Zegar na kościelnej wieży pokazuje za dwie szóstą. Chwilę stoją przed bramą, wreszcie Maj naciska dzwonek. Mija co najmniej minuta do momentu, gdy rozlega się brzęczyk w drzwiach i mogą je otworzyć. Na pierwszym piętrze Maj się zatrzymuje. Przyciąga Jespera do siebie i szepcze:

– Naprawdę tak okropnie wyglądam?

Jesper przypomina sobie, co powiedziała babcia na temat mówienia tego, co się myśli. Patrzy na matkę i prawie robi mu się jej żal. Sen, a raczej jego brak, zwisa w sinych workach pod jej oczami. Czoło jest blade i suche, włosy wystrzępione. Usta wyglądają jak nawias.

– Tak – odpowiada Jesper.

Maj wyjmuje z torebki szminkę i kieszonkowe lusterko. Najlepiej, jak umie, próbuje nareperować twarz. Owszem, Jesperowi jest jej żal, a to najgorsze, co może być. Powinna iść do warsztatu co najmniej na tydzień, żeby być taka, jak przedtem, jeśli to w ogóle możliwe. Został jeszcze tylko jeden ciąg schodów. Enzo Zanetti czeka na nich w drzwiach. Patrzy ze zdziwieniem na Maj i chwilę się waha, zanim wyciągnie rękę.

– A więc znów się spotykamy – mówi.

Maj kiwa głową i szybko mierzy go wzrokiem. Najwyraźniej w tym czasie zadbał o siebie – włosy ma uczesane, białą koszulę wyprasowaną,

tak samo spodnie, a buty starannie wyczyszczone. Ale czuć od niego zapach alkoholu, lekki, zmieszany z wonią wody po goleniu, na której ewidentnie nie oszczędzał. Maj ściska jego dłoń.

– Na pewno tym razem będzie przyjemniej – odpowiada.

Enzo Zanetti się uśmiecha i też przelatuje wzrokiem po tej wciąż jeszcze młodej kobiecie, która wkrótce jednak osiągnie wiek średni. Wydaje się podniecona i zmęczona, wręcz trochę zaniedbana. Przypomina pracownice zastępujące w soboty i niedziele szatniarkę z Bristolu, nazywane przez gości Kieszonkowymi Wenus. Enzo puszcza jej rękę i odwraca się do Jespera. W tym chłopcu jest potencjał. Ale to materiał trudny do obróbki. Może się rozpaść na kawałki równie łatwo, jak stworzyć najpiękniejsze rzeczy. Enzo Zanetti to dostrzegł. Idą za nim w głąb mieszkania. Przesuwne drzwi do salonu, w którym stoi fortepian. Na parapecie zapalona świeca. Płomień przez chwilę migocze. Enzo Zanetti zatrzymuje się i pomaga Maj zdjąć płaszcz.

– Może pani zaczekać tutaj – mówi.

– Zaczekać?

– Wolę być sam z uczniami.

– Nie będę mogła…

Przerywa jej:

– Ja tak pracuję. Jeśli pani chce, może pani w tym czasie iść na spacer.

– Na spacer?

– Pierwsza lekcja będzie trwała pół godziny. Następnym razem, jeśli coś z tego wyjdzie, godzina będzie godziną.

Maj musi się pozbierać. Nie wie, czy to jest właściwe. W ogóle nie wie już, co jest właściwe, a co nie.

– Ma pan wielu uczniów? – pyta.

Enzo Zanetti obejmuje Jespera ramieniem.

– Zaledwie kilku wybranych. Przekonamy się, czy Jesper będzie jednym z nich. Mogę pani zaproponować coś do picia?

– Nie, dziękuję.

– Łazienka jest z przedpokoju na prawo.

Enzo Zanetti zabiera Jespera do salonu i zasuwa drzwi. Maj siada na jedynym krześle, które tam jest, torebkę i ręce kładzie na kolanach, nasłuchuje. Nic nie słyszy. Dlaczego nie grają? Dlaczego Enzo Zanetti nie pokazuje Jesperowi, jak to należy robić? Dlaczego nie zagra mu czegoś, na przykład gamy albo jakiejś łatwej melodii? Za drzwiami panuje zupełna cisza. Maj podkrada się do nich. Nie ma dziurki od klucza, więc nie może nic zobaczyć. Ale coś słyszy. Oddychają. Najpierw oddech bierze Enzo Zanetti, to musi być on, bo brzmi to głęboko i chrapliwie. Potem kolej na Jespera, który łapie powietrze małymi, szybkimi haustami, coraz jednak spokojniejszymi. Enzo Zanetti również wykonuje głośne wdechy i wydechy i wkrótce oddychają w tym samym rytmie. Czy powinna im przerwać? Stoi jak przykuta i tylko się denerwuje. Teraz się śmieją. To jakiś inny śmiech. Jesper już się śmieje po włosku. Maj musi do toalety. Najciszej, jak potrafi, idzie do przedpokoju i błądzi – to sypialnia, zaścielone podwójne łóżko, jakieś rysunki na ścianie, szklanka na nocnej szafce, na której leży też plik nut. Maj wychodzi stamtąd, znajduje właściwe drzwi i zamyka się na haczyk, ale nagle nie ma już ochoty usiąść na sedesie. Nie jest brudny. Nie o to chodzi. W ogóle wszystko tutaj jest czyste i ładne, niezwykle czyste i ładne jak na starego kawalera. Kawalera? Na półce nad wanną, między dezodorantem a pianką do golenia, stoi eau de cologne. Są też dwie szczoteczki do zębów, biała i żółta. Ale to za mało na małżeństwo. Enzo Zanetii na pewno urządził się jakoś inaczej. Maj przegląda się w lustrze i ma ochotę się rozpłakać. Już do końca życia będzie tak okropnie wyglądać. Tak po prostu jest. Wraca do przedpokoju, siada, torebkę i ręce kładzie na kolanach. Coś sobie uświadamia: tu nie ma żadnych wspomnień, z wyjątkiem tych perfum, ale one też nie są wspomnieniem, a jedynie czymś, czego zapomniano. Wreszcie Maj słyszy jakiś ton. To jeden jedyny ton, czysty i dźwięczny, którego brzmienie się rozchodzi, zanim ucichnie i pozostawi po sobie innego rodzaju ciszę. Maj nie zna się na muzyce, najbardziej lubi wesołe rytmy, ale teraz aż dostała gęsiej skórki. Oczywiście może tak być dlatego, że to jej syn go zagrał. Czy jeden ton może się stać muzyką? Chwilę później Enzo Zanetti i Jesper wychodzą. Jesper milczy. To akurat nie jest niczym niezwykłym, ale on sprawia przy tym wrażenie zaskoczonego – nie niespokojnego, tylko zaskoczonego czy niemal przerażonego. Maj

wstaje i ściera z przedramion gęsią skórkę. Enzo Zanetti patrzy na nią, z uśmiechem zapalając papierosa.

– Czy w przyszłości możemy mówić sobie na ty? – pyta.

W tramwaju Jesper nadal się nie odzywa, więc Maj również milczy, żeby niczego nie popsuć, skoro tak dobrze poszło. Na tyle zna już swojego syna. Ale kiedy idą w górę Kirkeveien, nie może się dłużej powstrzymać.

– Nauczyłeś się czegoś?

Jesper kiwa głową. Ręce trzyma w kieszeniach.

Przechodzą jeszcze kawałek.

– Czego? – pyta Maj.

– Powiedział, że jestem jednym z wybranych.

Maj zatrzymuje się i kładzie mu ręce na ramionach.

– Tylko żeby ten Włoch nie namieszał ci w głowie, Jesper.

– I że muszę nosić skórzane rękawiczki.

Mijają Marienlyst. Jest za dziesięć siódma.

– Nie o to mi chodziło – mówi Maj.

– A o co?

– Noszenie rękawiczek jest rozsądne. Nie możesz marznąć.

Po powrocie do domu zastają babcię przy Stine. Stine śpi. Pozwalają jej dalej spać i wychodzą na palcach. Dziadek ciągle siedzi w kuchni. Tam czuje się najlepiej. Wszystkie kuchnie są do siebie podobne. W ustach trzyma zgasłą fajkę. Maj nagle robi się go żal i nastawia kawę. Zostało też trochę jabłecznika, mogą nawet ubić śmietanę, jeśli jeszcze jest. Ale Ewalda ciągle nie widać. Maj próbuje udawać, że nic się nie stało. Ewald ma dużo roboty w biurze. Przygotowuje jubileusz dziewięćsetlecia Oslo. Dziadkowie chcą wiedzieć, jak było na lekcji fortepianu. Czy Jesper może im coś zagrać? Na przykład coś do tańca? Jesper kręci głową. Nie chce ciasta.

– Nauczyciel powiedział, że Jesper jest jednym z wybranych – mówi Maj.

Jesper wcześnie idzie spać. Tyle ma do przemyślenia. Musi zostać sam ze swoimi myślami. Musi je poukładać we właściwej kolejności,

żeby jedne drugim nie stały na drodze: Jostein, Stine, pianino, prezent, matka, ojciec, dziadkowie. Po jakimś czasie zmienia kolejność i na pierwszym miejscu stawia pianino, a Stine przenosi przed Josteina. Prawdopodobnie są do przemyślenia również inne rzeczy, ale brakuje już na nie miejsca. Czas robi rundę w jego głowie. Jesper go czuje. Czuje go dokładnie tak, jak odkurzacz u pani Vik, kiedy przykłada dłoń do końcówki i ciąg powietrza zasysa jego skórę. Słyszy, że Maj wchodzi do sypialni. Stine płacze przez chwilę. To dziwny płacz. Nie taki, jakim się płacze, kiedy człowiekowi jest smutno albo coś go boli. To płacz bez powodu. A może to płacz wywołany samym istnieniem, tym, że się jest człowiekiem? W każdym razie płacz Stine przeraża Jespera. Chłopiec wierci się w łóżku. Znów zapada cisza, taka, jaka może zapaść w miejskiej kamienicy. Potem słychać przyciszone głosy dziadków. Ich słucha się przyjemniej – tego mamrotania równie niezrozumiałego, jak skargi Stine, ale życzliwego, usypiającego. Coś mu się śni. Jostein stoi na środku Kirkeveien i kieruje ruchem. Wjeżdża w niego trolejbus, a kiedy jedzie dalej, z tyłu siedzi Jostein i macha. Jesper się budzi. Przy jego łóżku kuca Ewald. Na kołnierzyku koszuli ma plamkę krwi. Jego biała twarz oświetla cały hol.

– Musimy zdjąć zegar – mówi Jesper.

– Cicho. Jaki zegar?

– Ten nad pianinem.

Ewald kiwa głową.

– Przykro mi, że dzisiaj nie zdążyłem.

– Nic nie szkodzi.

– Nauczyłeś się czegoś od naszego grajka?

– Powiedział, że można skłonić ludzi do płaczu zagraniem jednego jedynego tonu.

– Jednego tonu?

– Tak. I że właśnie to jest celem.

Ewald słucha, ma w sobie jakiś lęk. Właśnie dlatego jego twarz tak się świeci. Delikatnie kładzie rękę na czole Jespera.

– To przecież mniej więcej to samo, co ja próbuję osiągnąć.

– Wiem – mówi Jesper.

– Śpij już.

Ewald wstaje i po cichu wychodzi do kuchni. Siedzą tam dziadkowie. Esther patrzy na niego z surową miną. Halvard trzyma w ustach niezapaloną fajkę. Wita się, ale odwraca wzrok.

– Dlaczego jeszcze się nie położyliście? – pyta Ewald.

Esther podnosi dzbanek.

– Pewnie napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję. Dlaczego nie śpicie?

– Pociąg odjeżdża o wpół do siódmej. Nie chcemy zaspać.

Ewald patrzy na Halvarda.

– Skończył ci się tytoń, tato?

– Maj powiedziała, że mam tu nie palić.

– Co za bzdura! Przecież…

Esther mu przerywa:

– Będziesz mógł palić, jak przyjedziemy do domu.

Halvard chowa fajkę do kieszeni.

– Masz dość drewna na zimę? – pyta.

Ewald kiwa głową, chwilę stoi zamyślony i nagle słyszy tykanie zegara z jadalni. Jesper ma rację. Zegar musi stamtąd zniknąć.

– Możesz się przespać u Maj – mówi, patrząc na Esther.

– Nie, ty się z nią połóż.

Ewald stoi jeszcze chwilę. Chętnie przesiedziałby resztę nocy. Tego najbardziej chce. Tyle pytań chciałby zadać. Lepiej poznać Maj. Przecież prawie jej nie zna. Przez większość życia w ogóle nie wiedział o jej istnieniu. Nagle ogarnia go wielka rozpacz. Chce wiedzieć więcej. Chce wiedzieć wszystko. Czy to prawda, że Maj umie zarżnąć jagnię? Naprawdę była w szkole średniej solistką chóru? Łowiła zimą szczupaki na linkę z haczykiem? Lubiła czytać Falkbergeta? Ewald mówi „dobranoc” i idzie do łazienki. Tam odkrywa plamkę krwi na kołnierzyku. Jak to się mogło stać? Na tyle rzeczy trzeba uważać. Wpycha koszulę na samo dno kosza na brudną bieliznę i idzie do

sypialni. Stine śpi. W każdym razie nie płacze. Słychać tylko oddech. Jej oddech porusza zasłonkami. Jej oddech porusza Ewaldem. Ewald kładzie się przy Maj. Ona też śpi. Odwróciła się plecami. Nie śpi. Ma ochotę na niego nakrzyczeć. Ma ochotę powiedzieć mu parę słów do słuchu. Zasłużył na to. Ale nie ma siły. Maj nie ma siły się złościć. Dzień w końcu jakoś minął. Zatoczył koło. Przetrwała go. Teraz leżą tutaj.

– Gdzie byłeś? – pyta.

– W Bristolu.

– Tak właśnie myślałam.

– Bardzo mi przykro, że…

– Obudzisz Stine.

– Przepraszam.

Przez kilka sekund leżą w milczeniu – w tym samym łóżku, choć każde w swoim świecie.

– Jesper dał Stine prezent – mówi Maj.

– Naprawdę? A co?

– Jeszcze nie rozpakowaliśmy.

– To miło z jego strony.

– Miło?

– Że postanowił zaczekać, aż przyjdę.

– Mamy zaczekać, aż sama go będzie mogła rozpakować.

– No jasne.

– Cicho już bądź, chcę spać.

Nic więcej nie mówią. Maj słyszy, że Ewald wreszcie zasnął. Jego oddech staje się ciężki i równy, co najmniej o trzy oktawy niższy od oddechu Stine. Maj odwraca się w jego stronę. Jego twarz jest tak blisko. W pierwszej chwili nie wie, co ją dziwi. Coś się nie zgadza. Nagle zdaje sobie sprawę, o co chodzi. Od Ewalda nie czuć ani piwem, ani mocniejszym alkoholem. Ani trochę. Nie czuć nawet papierosami. Siedział w Bristolu do północy, nie pijąc i nie paląc? Okłamał ją. Chce go o to zapytać. Chce nim szarpnąć, obudzić go i spytać, co robił. Rezygnuje z tego. Przewraca się na drugi bok i patrzy na budzik, ustawiony na piętnaście po piątej. Maj zyskała już pewność. Ewald ma

inną. Właśnie dlatego był ostatnio taki odmieniony, taki troskliwy, taki dobry. Jedynym sposobem na ukrycie tego, że ktoś jest zły, jest być dobrym. Maj ma wątpliwości. Przecież Ewald zawsze był dobry. Budzi się tuż przed budzikiem. Wyłącza go i wstaje. Zabiera Stine do łazienki, przewija. Rodzice ciągle siedzą w kuchni. Matka ugotowała kawę i przygotowała prowiant na drogę, chociaż podróż trwa nie więcej niż dwie godziny. Możliwe jednak, że będą musieli jakiś czas zaczekać na stacji Dal, jeśli autobus będzie opóźniony, a w takiej sytuacji dobrze mieć coś do przegryzienia. Ojciec kiwa głową. Walizka stoi gotowa u jego stóp. Już pora, dziękujemy. Nie muszą budzić Ewalda. Ma dużo pracy i powinien jeszcze trochę pospać. Ale Jesper się budzi i mówi „cześć" tym dziwnym dziadkom, którzy są tacy powolni we wszystkim, co robią, i których nie może nie lubić, pewnie właśnie z uwagi na tę powolność. Maj go poprawia: „Nie cześć, tylko do zobaczenia". Jesper mówi „do zobaczenia", co brzmi dziwnie, i idzie do sypialni. Ewald już stoi przy oknie, na szczęście w piżamie, ale wydaje się chudszy niż poprzednio i przygarbiony. Jesper staje obok niego. Wkrótce z domu wyłania się Maj z wózkiem. Za nią idzie Esther, która w siatce niesie jedzenie na drogę, a na końcu Halvard z walizką. Ewald się śmieje.

– Oni zawsze chodzą gęsiego – mówi.

Jesper się wychyla i obserwuje ten pochód, który wkrótce znika za rogiem Kirkeveien, żeby dalej zejść na Majorstua, a stamtąd tramwajem pojechać na Dworzec Wschodni, gdzie Maj będzie mogła wyprawić rodziców w bezpieczną podróż właściwym pociągiem.

– Kto? – pyta Jesper.

– Babcia i dziadek. Tylko raz w życiu szli obok siebie. W kościele, kiedy się pobierali.

– Dlaczego?

– Bo drogi w Hurdal są takie wąskie. Prawie jak ścieżki. Na szerokość zmieści się na nich tylko jeden człowiek.

– Przecież w mieście nie muszą iść gęsiego.

– Ale tak chodzą, starym zwyczajem.

– To babcia idzie pierwsza – mówi Jesper.

– Zawsze tak jest.

Kiedy cztery lata później Esther umrze – po prostu któregoś dnia się nie obudzi – Halvard już następnego wieczoru wyruszy tuż za nią, tą samą ścieżką w bezczas.

Zanim Maj skręci za róg, odwraca się i patrzy na Ewalda. Wprawia go tym w przerażenie. W jej spojrzeniu jest wyrzut, prawie gorycz. Nie ma co do tego wątpliwości. Nawet z tak daleka Ewald dostrzega w niej mrok. Unosi rękę, ale wtedy Maj znika mu z oczu, więc macha Halvardowi, który przekłada walizkę do drugiej ręki i odmachuje. Ewald patrzy na Jespera. Czy on też widział to spojrzenie matki? Nie, było przeznaczone dla niego, Ewalda, i dla nikogo innego. Nagle przypomina sobie o prezencie, który Jesper kupił dla Stine, i myśli o tym, że nigdy się nie dowie, co to jest.

– Który z nas ma mniej czasu? – pyta Ewald.

Jesper biegnie do łazienki, aby mieć pewność, że nie natknie się tam na ojca. Ewald wkłada szlafrok, siada w kuchni i dopija kawę, wystygłą i kwaśną. Dogotowuje jej więcej i nakrywa dla dwóch, nie, dla trzech osób, bo Maj na pewno niedługo wróci. Musi wszystko robić we właściwy sposób. Nie może niczego zaniedbać. To ma decydujące znaczenie. Nie zrobił nic złego, ale wszystko musi robić dobrze. Szykuje drugie śniadanie dla Jespera. Ile kromek zwykle bierze? Dwie wystarczą. Nie, dzisiaj dostanie trzy. Chłopak jest za chudy. Ewald nie może znaleźć papieru śniadaniowego. Dlaczego papier śniadaniowy nie leży tam, gdzie produkty na śniadanie?

– Czego szukasz?

Ewald się odwraca. Jesper stoi w drzwiach, już ubrany, włosy ma mokre i przyczesane, Ewald ledwie poznaje syna. Przez moment Jesper wygląda dorośle. Jest dorosły, wkrótce będzie miał tyle samo lat, co jego ojciec. Czy właśnie tak przejawia się choroba? Czy w takich przebłyskach ma zobaczyć wszystko, co go ominie? Nie znajduje w tym żadnej pociechy. To jeszcze pogarsza sprawę. Ewald musi się oprzeć o parapet. Na podwórzu ciągle czeka bałwan. Ktoś nasadził mu na głowę czarny kapelusz, a dwa kawałeczki węgla stały się oczami.

– Papieru śniadaniowego – odpowiada Ewald.

Jesper zaraz go znajduje, za pojemnikiem na chleb, i sam pakuje kanapki.

– Łazienka wolna.

Zamiast do łazienki Ewald idzie po gazetę. Na wycieraczce leży też malutka koperta, taka, w jakich zwykle umieszcza się karteczki z podziękowaniami. Ewald ją podnosi. To do Maj. Tak jest na niej napisane. *Maj*. Zamyka drzwi. To musi być od pani Vik. Ewald się niepokoi. Czego chce pani Vik? Co ona wie? Wie coś? Ewalda tak łatwo dopada niepokój. W każdej chwili można go wytrącić z równowagi. Musi się pilnować. Czy ma otworzyć tę kopertę? Nie. Może i jest skazany na śmierć, ale zamierza zachować honor. Chowa kopertę do kieszeni szlafroka, zapomina o gazetach i wraca do kuchni. Jesper opłukuje w zlewie szklankę po mleku. On też stara się robić wszystko dobrze. Muszą pielęgnować zwyczajność. To ma decydujące znaczenie. To zasada, której powinni się trzymać. Ale dlaczego Jesper stara się wszystko robić dobrze? Czy on też coś wie? Wie, że jego ojciec umrze? Jesper odstawia szklankę na blat do góry dnem, żeby obciekła. Ewald nigdy wcześniej nie czuł takiej bliskości z synem.

– Gdzie powiesimy zegar? – pyta.

Jesper się odwraca.

– Może w salonie?

– Albo się go po prostu pozbędziemy.

– Wyrzucimy?

– Nie, nie, nie wyrzucimy. Oddamy go na kiermasz Czerwonego Krzyża.

Rozlega się dzwonek do drzwi. To najpewniej Maj, która zapomniała klucza. Jesper zarzuca tornister na ramiona i pędzi otworzyć. Chwilę później woła ojca. Ewald przez hol przechodzi do przedpokoju. To nie Maj. W drzwiach stoją dwaj mężczyźni w identycznych kombinezonach; jeden niesie prostokątne pudło, drugi trzyma w ręku skrzynkę z narzędziami, a przez ramię ma przewieszony zwój cienkiego, czarnego kabla. Ten z pudłem pyta:

– To pan jest Ewald Kristoffersen, urodzony czwartego września jedenastego roku?

Ewald potakuje.

– Owszem, to ja. O co chodzi?

– O telefon.

– Telefon? Teraz?

Ten drugi wtrąca:

– Próbowaliśmy dzwonić, uprzedzić, że przyjdziemy, ale nikt nie odbierał.

Na moment zapada cisza, całkowita cisza, aż w końcu obaj mężczyźni wybuchają śmiechem. Ewald też się śmieje i wpuszcza ich do mieszkania. Jesper zdejmuje tornister. Coś takiego nie może go ominąć. A Ewald zapomniał o wszystkim, co się nazywa praca i szkoła. Zapomniał o Maj i Stine. Zapomniał nawet o śmierci. Będą mieli telefon. Pojawia się taki sam problem, jak z pianinem, wprawdzie mniejszy, ale równie duży: gdzie będzie stał telefon? Nie może stać w jadalni. Tam Jesper ma grać, a Ewald nie chce, aby mu przeszkadzano podczas niedzielnego obiadu. Kuchnia nie wchodzi w grę, w łazience nikt nie ma telefonu, a w kredensowym jest za ciasno na prowadzenie rozmów. To musi być salon. Monterzy poważnieją i już więcej tego dnia się nie uśmiechają.

– Zazwyczaj ludzie mają telefony w holu – mówi jeden.

Ewald ma wątpliwości.

– Tam śpi mój syn – tłumaczy.

Jesper wysuwa się naprzód.

– Mnie to nie przeszkadza.

Ewald kręci głową.

– Chcesz, żeby co noc budził cię dzwonek telefonu?

– A kto dzwoni w nocy? – pyta Jesper.

– Kto? Nie będziesz wiedział, dopóki nie odbierzesz.

Pada na salon. Telefon będzie stał na stoliku między kanapą a bufetem. Tam jest wystarczająco dużo światła, a poza tym w trakcie rozmowy można siedzieć. Monterzy proszą, aby pozwolono im pracować w spokoju. Ewald i Jesper siadają w tym czasie w kuchni i czekają. To musi potrwać. Inaczej być nie może. Rodzina

Kristoffersenów będzie połączona ze światem. Gdzie się podziewa Maj? Wcale o tym nie myślą. Nic nie mówią. Nie chcą przeszkadzać. Przyjemnie tak siedzieć. Dziś wieczorem mogą rozpalić w kominku i rozmawiać przez telefon. W końcu przychodzi do nich jeden z monterów. Gotowe. Idą za nim do salonu. Stoi tam telefon, czarny i lśniący. Ewald w życiu nie widział nic piękniejszego, to najładniejszy sprzęt w całym mieszkaniu. Obejmuje ramieniem Jespera. Szkoda, że Maj nie ma. Ewald czuje kulę w gardle, dwa razy przełyka ślinę i aż się tego wstydzi. Tak to już jest. Strasznie się zrobił wrażliwy. Wszystko robi na nim większe wrażenie. Drugi monter wręcza mu kartkę. Na kartce zapisano numer, ich nowy, osobisty numer: *55 14 30*. Drugi monter kładzie na stole książkę telefoniczną. Na koniec Ewald musi podpisać trzy dokumenty, z których jeden może zatrzymać. Monterzy żegnają się i wychodzą. Ewald i Jesper zostają sami z telefonem.

– Nie ruszaj go! – woła Ewald.

Odczytuje numer na głos. *55 14 30*. To teraz najważniejsze cyfry w ich życiu. Ewald tłumaczy, bo już się w to wgryzł, to abecadło wszystkich, którzy pracują w reklamie: wkłada się palec w otwór przy odpowiedniej cyfrze i ciągnie do oporu w prawo, czyli zgodnie z ruchem słońca, a potem puszcza. Wtedy tarcza sama wraca do punktu wyjścia. Następnie robi się to samo z kolejną cyfrą numeru i wtedy centrala na Tollbugaten wie, do jakiego zakątka kraju człowiek chce się dodzwonić. Ale dopiero po wybraniu całego numeru – a przy wybieraniu nie chodzi o takie wybory, jak podczas głosowania na Prawicę czy na Partię Pracy, nie, nie, to wybory na wyższym poziomie – elektromagnes sprawia, że strzałka przesuwa się między wieloma kablami i zatrzymuje dokładnie przy tym właściwym. Po co taka dokładność? Ponieważ gdybyśmy zmienili decyzję i odłożyli słuchawkę przed wykręceniem całego numeru, drogocenna linia byłaby zajęta bez żadnego pożytku. Właśnie w taki sposób działa społeczeństwo. Maj powinna już dawno wrócić. A Jesper musi się nauczyć numeru na pamięć. To ma decydujące znaczenie.

– Pięćdziesiąt pięć czternaście trzydzieści – mówi Jesper.

Telefon dzwoni. Obaj się podrywają. Ewald robi krok, waha się, ostrożnie podnosi słuchawkę i mówi drżącym głosem:

– Dzień dobry, tu mieszkanie Kristoffersenów. Słucham.

Słyszy naglący kobiecy głos:

– Ewald Kristoffersen, urodzony czwartego września jedenastego roku?

– Właśnie ze mną rozmawia pani w tej chwili.

– Tu centrala. A więc został pan zarejestrowany. Dziękuję.

Rozmowa zostaje przerwana i Ewald ostrożnie odkłada słuchawkę. Mówi do siebie w myślach: ja istnieję. Oni istnieją. My istniejemy.

– Kto to był? – dopytuje się Jesper.

Ewald odwraca się do niego i wierzchem dłoni przeciera oczy.

– To był świat.

Stają przy oknie, wypatrują Maj i Stine. Prószy leciutki śnieg, tak leciutki, że płatki nie opadają. Wirują w powietrzu, schwytane w powolny wir. Jesper przegląda książkę telefoniczną. W Oslo jest wiele osób, które noszą nazwisko Kristoffersen, ale nie ma Ewalda, Maj, Jespera i Stine. Może źle przeczytał? Nie ma dla nich miejsca? Na co im telefon, skoro nie ma ich w książce telefonicznej? Ewald się śmieje. W przyszłym roku będzie to wyglądało inaczej. Ich nazwisko będzie wypisane wielkimi literami. Nareszcie wraca Maj. Pchając wózek, wyłania się zza rogu. Na rączce wózka wisi torba z zakupami. Ewald stoi, Jesper nakrywa telefon kocem, a książkę telefoniczną chowa za radiem. Ale Maj tym razem nie patrzy w okno. Nie posyła Ewaldowi nawet jednego spojrzenia. Po prostu wpycha wózek na klatkę i ustawia go pod schodami. Ma wyrzuty sumienia. Cieszy się, że rodzice wreszcie pojechali. Zaszalała i kupiła niebieski szal u Francka na Bogstadveien, a nie był nawet przeceniony. Wszystko przez Ewalda. Będzie tak szaleć, dopóki Ewald nie przestanie. Słyszała, jak o tym mówił, ale zawsze dotyczyło to innych, to inni mieli koło zapasowe czy flamę, jak tam nazywają tę ohydę. Maj wyjmuje Stine z wózka – malutka ledwie otwiera oczy i zaraz znów je zamyka – po czym zawiesza torbę z zakupami na nadgarstku, idzie na górę, otwiera kluczem drzwi i staje jak wryta. Tornister Jespera leży na podłodze. Maj krzyczy: Jesper! Nikt jej nie odpowiada. Stine natychmiast zaczyna płakać. Maj całuje ją w czoło. Ciepło córeczki razi ją jak prąd i Maj widzi teraz, że również

płaszcz Ewalda wisi w przedpokoju, a jego buty stoją na półce. Ogarnia ją ciężkie uczucie przypominające sen: poczucie utraty, upadku. Odstawia torbę z zakupami, mocniej przyciska Stine do siebie, przechodzi przez hol i zatrzymuje się przy wejściu do salonu. Stoją tam obaj, Ewald i Jesper, widać, że o mało nie pękną, jak dwoje dzieciaków, jeden nie starszy od drugiego. Gestami każą jej podejść bliżej. Maj robi dwa kroki w ich stronę. Ewald ją obejmuje. Jesper staje przy kanapie, odlicza i ściąga koc. To uroczyste odsłonięcie ukrytego na razie numeru na Kirkeveien 127, Fagerborg, Oslo 3: 55 14 30, ich kodu w wielkiej rozmowie. Wszystko poszło w zapomnienie. Wszystko zostało wybaczone. Wszystko jest w porządku. Mają telefon! Maj klaszcze w ręce, prawie upuszczając przy tym Stine. Pozwala nawet Ewaldowi na pocałunek, mały, ale zawsze, a Jesper wyciąga książkę telefoniczną. Wreszcie Maj się opamiętuje. Jesper nie idzie do szkoły? A Ewald? Może nie pójść do pracy? Ewald wzdycha dobrodusznie. Raz w życiu mogą chyba zrobić sobie wolne, nawet jeśli nie mają wolnego. Maj idzie do sypialni, kładzie Stine w kołysce. Kiedy mała się obudzi, trzeba ją będzie przewinąć i nakarmić. Maj musi też umyć schody na klatce, bo w tym tygodniu przypada jej kolej. Wolne, myśli Maj. To słowo jest większe od niej. Jest tak wielkie, że nie mieści się w mieszkaniu, nie mieści się nawet w jej życiu. Kiedy wraca do salonu, Ewald i Jesper stoją i czekają. Gdzie zadzwonią? Do szkoły? Nie, to marnowanie pieniędzy. Jesper może sam zanieść usprawiedliwienie. Do Rudjorda z Dek-Rek? Również temu Ewald jest przeciwny. Na chwilę wpada w złość. Czy nie jest sam sobie panem? Pracuje w domu i nie musi nikogo o tym informować. Nie potrzebuje żadnego usprawiedliwienia! Może więc do ojca Ewalda? Ale do mieszkańców domu spokojnej starości na Tåsen można dzwonić jedynie między piętnastą a piętnastą czterdzieści pięć. Jesper ma propozycję: Jostein. Może zadzwonić do Josteina. W sklepie mają telefon. Ale przecież Jostein jest w szkole. Przez chwilę stoją, nie wiedząc, co robić. Wreszcie Maj podsuwa: mogłaby zadzwonić do przewodniczącej Oddziału Fagerborg Czerwonego Krzyża, do pani Berit Nordklev, i powiedzieć jej, że nareszcie mają telefon. Ewald się nie zgadza. To nie Czerwony Krzyż załatwił im telefon. Dostali go dzięki osobistym staraniom Ewalda. Nie mogą zapominać, że telefonowanie kosztuje. Dlatego trzeba starannie wybierać, do kogo się dzwoni. No to

może do doktora Lunda? U Ewalda natychmiast budzi się czujność. Czy Maj źle się czuje? Nie, ale to chyba ważne, żeby doktor Lund wiedział, jak może się z nimi skontaktować? Ewald podchodzi do okna. Śnieg przestał padać. Powietrze jest mroźne, sprawia wrażenie twardego. Doktor Lund będzie tu dzwonił i pytał, czy jesteśmy zdrowi? Co? To nie jest konieczne. Jesper występuje z kolejną propozycją: mogą zadzwonić po taksówkę. Ewald odwraca się do niego ze śmiechem. Ciągle jeszcze humor potrafi mu się zmieniać jak pogoda. A czy Jesper dokądś się wybiera? Nie. Stoją i patrzą na siebie. Ewald pochmurnieje. Może ten telefon nigdy do niczego im się nie przyda? Może tylko będzie tak stał jak czarne przypomnienie samotności i wszystkiego, o czym nie da się rozmawiać? Nie, tak nie będzie. Kiedy następnym razem Ewald pójdzie do pracy, zadzwoni do Maj i powie, że ją kocha. Że kocha ją, Jespera i Stine. Tak właśnie zrobi.

– Dostałeś list? – pyta Maj.

Wskazuje na jego szlafrok. Koperta lekko wystaje z kieszeni. Ewald podaje ją Maj, zaniepokojony i w zasadzie zdziwiony tym, że taka mała koperta może zakłócić taki wielki dzień. Teściowie wyjechali, a oni dostali telefon. Niech to szlag trafi. Maj otwiera kopertę, wyjmuje z niej niedużą kartkę i uważnie się jej przygląda. Potem patrzy na Jespera.

– Zabierz tornister i idź do kuchni.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tak mówię, Jesper.

Jesper także zaczyna się niepokoić, bo również ma coś na sumieniu. Wszyscy mają coś na sumieniu. Waha się jeszcze chwilę, ale w końcu decyduje się usłuchać. Idzie przez mieszkanie powolnym, niechętnym krokiem. Słyszą, że zatrzymuje się w łazience i sika. Sika długo. Maj patrzy na Ewalda, który nagle tupie nogą.

– Powiedzże wreszcie!

– Co ty wyprawiasz?

– Ja wyprawiam?

– Aż tak cię zżera ciekawość?

– Nic mnie nie zżera.

– No to boisz się czegoś?

Ewald już nie tupie w podłogę, przeciwnie, robi krok do tyłu.

– Boję się? A czego miałbym się bać?

– Pani Vik wychodzi za mąż.

– Co ty, na miłość boską, wygadujesz?

– Pani Vik wychodzi za mąż za Olafa Halla.

Ewald dawno już tak się nie uśmiał. W końcu musi odpocząć na kanapie.

– I naprawdę musi o tym informować w liście rzuconym na naszą wycieraczkę? Tak, tak, niezbadane są ścieżki Pana, jak powiedział poborca podatkowy.

Maj siada przy Ewaldzie.

– Chce, żebym była jej druhną.

– Druhną? – dziwi się Ewald. – Naprawdę w tym wieku potrzebna jest druhna?

– Zamierzają wziąć ślub w kościele Fagerborg.

– Niemożliwe! W kościele? Nie mogą tego załatwić w urzędzie?

– A Olaf Hall chciałby, żebyś był jego drużbą.

Ewald aż się podnosi.

– Wynajęli też balkon na zamku, żeby machać do ludzi?

– Przestań, Ewaldzie.

– W życiu nie słyszałem czegoś podobnego.

Ewald z powrotem siada i właściwie nie jest niezadowolony. Może być drużbą tego pajaca w tweedach, życzyć podstarzałej młodej parze szczęścia i wszelkiego powodzenia. Maj kładzie mu rękę na kolanie.

– Chyba nie możemy odmówić?

– Nie możemy?

– Pomyśl o wszystkim, co dla nas zrobiła. Opiekowała się Jesperem. Przekazywała informacje.

Ewald myśli: a jeśli umrę, zanim odbędzie się ślub? Zawsze jest jakiś termin. Całe życie jest jednym wielkim terminem. Ale co z tego? Jeśli umrze, poszukają sobie innego drużby. Można go wymienić. Zastąpić kim innym. Większość rzeczy można zastąpić. Te myśli przygnębiają.

– No to chyba musimy się zgodzić – mówi Ewald.

Maj otwiera książkę telefoniczną. Ale wszystko ma swoje granice. Granica Ewalda przebiega w tym miejscu.

– Masz zamiar do niej zadzwonić?

Maj się śmieje.

– Tak! Czy to nie zabawne?

– Nie możesz po prostu do niej pójść? Dzięki temu zaoszczędzimy.

– Ależ ty jesteś skąpy, Ewaldzie.

– Pani Vik ma być pierwszą osobą, do której zadzwonimy z naszego własnego telefonu?

Nagle nastrój znów się zmienia. Maj zamyka książkę telefoniczną i patrzy na Ewalda takim samym spojrzeniem jak to, które posłała mu z dołu, gdy stała na rogu ulicy.

– No tak, wyobrażam sobie, że ty na pewno masz do kogo dzwonić.

– Ja?

– Masz inne osoby, do których byś chciał zadzwonić, więc niepotrzebna ci pani Vik.

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz.

Ale Ewald nie wie. Nie pojmuje, co wstąpiło w Maj. Jest kompletnie wyprowadzona z równowagi. Czy nie tak samo było, kiedy urodził się Jesper? Wszystko jej się miesza. Lepiej milczeć i siedzieć cicho albo rozmawiać o czym innym. Ewald nie potrafi milczeć.

– Esther i Halvard spokojnie wsiedli do pociągu? – pyta.

– Tak.

– Ten pociąg jedzie chyba do samego Trondheim?

– Nie, tylko do Eidsvoll. To lokalny pociąg.

– Ale mieli miejsca siedzące?

– Tak, mało kto nim jechał.

– Co kupiłaś?

– Szal. Z wyprzedaży.

– Wyprzedaż? Teraz, w marcu?

Maj odwraca się do Ewalda, nabiera powietrza i powoli je wypuszcza. Ewald ma ochotę ją objąć, ale się boi.

– Pójdę do niej – mówi Maj.

– Możesz zadzwonić. Inaczej po co nam telefon?

– A jednak do niej pójdę.

Maj wstaje; najpierw zagląda do Stine, ale wkrótce rozlega się trzaśnięcie drzwi wejściowych i nawet tu, w salonie, Ewald słyszy kroki na schodach. Ściany są za cienkie. W drzwiach stoi Jesper i patrzy na niego. Wydaje się zasmucony.

– No… Wyszedł z tego niezły pasztet – mówi Ewald.

Smutek Jespera zmienia się w lęk.

– Pasztet?

Ewald się śmieje.

– Kurczę, pani Vik wychodzi za mąż!

Wreszcie Jesper się uśmiecha.

– Za mąż? A ona może?

– Na to wygląda, Jesper. I wiesz, jaka z tego nauka? Że niektórzy nigdy się nie nauczą.

Udaje im się przenieść zegar przed powrotem Maj. Wieszają go na ścianie nad telefonem. Dzięki temu będą wiedzieli, jak długo rozmawiają. Później, wieczorem, kiedy Jesper już leży w łóżku, Maj zarzuca na ramiona niebieski szal i wchodzi do salonu, gdzie Ewald czyta książkę telefoniczną. Ewald podnosi głowę. Maj do twarzy w tym szalu. Do twarzy jej w niebieskim. Porusza się jak modelka. Ale robi z tego wielkie halo. Przesadza. To tylko szal. Ewald jednak dostrzega w żonie coś innego, czego nie widział od czasu, gdy poznali się w restauracji Rondo jesienią 1937 roku, Maj dopiero niedawno przyjechała do miasta, a on miał niezłe gadane i znał różne sztuczki. Ewald widzi onieśmielenie. Czy nie jest ono jedną z naszych najprawdziwszych twarzy? Ewald myśli o tym, że właśnie onieśmielenie poczuł przede wszystkim, kiedy się dowiedział, że umrze. Ale to nie śmierć go onieśmieliła, tylko myśl o Maj. Mówi, że powinna była kupić dwa szale, jeden do noszenia w domu, a drugi poza domem. Maj

wyjaśnia, że ten szal można nosić i w domu, i poza domem, w zależności od pory roku. Właśnie dlatego go kupiła, żeby zaoszczędzić. Przez resztę wieczoru siedzą przy telefonie. Nikt jednak nie zna ich numeru oprócz pani Vik, ale z nią Maj już przecież rozmawiała.

– Pobierają się trzynastego maja – mówi.

Ewald idzie pierwszy do łazienki. Przegląda się w lustrze. Czy widać jakąś różnicę? Ewald jej nie widzi. Zmiany przypuszczalnie następują tak wolno, że nie zauważy ich, dopóki nie będzie za późno. A gdy jest już za późno, to wszystko jedno. Kiedy wchodzi Maj, Ewald odwraca się tyłem, żeby nie zobaczyła śladów po pobieraniu krwi na lewej ręce, ciemnych plam, które najpierw są sine, później prawie zielone, aż wreszcie zlewają się ze skórą. Wtedy choroba staje się jego naturalnym wyglądem. Ewald zostawia łazienkę Maj i na chwilę zatrzymuje się przy łóżku Jespera. Jesper śpi. Udaje, że śpi. To łatwe. Wystarczy przymknąć oczy. Można patrzeć spod zmrużonych powiek. Kiedy rodzice wreszcie się kładą i gaśnie ostatnia lampa, Jesper wstaje i na palcach zakrada się do salonu, do telefonu. Zegar na ścianie pokazuje dziesięć po dwunastej. Gdyby to on mógł decydować, na ścianach nie wisiałby żaden zegar. Podnosi słuchawkę i słucha. Cały ten dzień, cała ta doba gromadzi się w sygnale, w tym obiecującym brzęczeniu, które jedynie czeka na to, aby je przerwano i kontynuowano w rozmowach, zwierzeniach lub milczeniu. To dźwięk A, tyle umie usłyszeć. Myśli sobie, że skoro istnieje ton, który potrafi skłonić ludzi do płaczu, to musi też istnieć taki, który może skłonić ludzi do śmiechu. Nie wie jeszcze, że to ten sam ton, tylko zagrany w inny sposób.

Nadzwyczajne zebranie zarządu odbyło się u przewodniczącej pani Berit Nordklev dnia 6 marca 1950 r. Obecne były tylko wiceprzewodnicząca pani Lund, sekretarz Else Larsen oraz sama pani Nordklev, ponieważ zebranie zwołano w trybie nagłym. Skarbnik Maj Kristoffersen wciąż przebywa na urlopie macierzyńskim. Poza wszystkim poinformowano, że założono jej telefon, numer przekazano członkiniom zarządu.

Przewodnicząca przedstawiła problem: wpłynęły skargi od dwóch osób z rejonu, niezależnie od siebie, w związku ze sprzedażą znaczków świątecznych.

Sprzedający znaczki wziął 1,– koronę za znaczek zamiast 0,50 korony. Podobno doszło do tego na schodach budynku stacji na Majorstua. Ponieważ rachunki za sprzedaż znaczków się zgodziły, sprzedawca ten musiał schować „nadwyżkę" do własnej kieszeni. Zarząd bardzo poważnie podchodzi do tej sprawy i zamierza niezwłocznie zbadać ją dogłębnie, inaczej zaufanie do naszej organizacji zostanie nadszarpnięte. O sprawie zostanie powiadomiony również Komitet Wykonawczy Okręgu Oslo Czerwonego Krzyża.

Pozwolę sobie dodać, że na zebraniu panowała nieprzyjemna, pełna oburzenia atmosfera.

WINA

Jesper już wie: Jostein przestał chodzić do szkoły. Poznaje to po haczyku na kurtkę. Pierwsza ławka w środkowym rzędzie też jest pusta. Jak długo będzie tak stała? Aż przyjdzie nowy uczeń albo dozorca przestawi ławkę do innej klasy? Wtedy Jostein, ten, który prawie nie słyszał i chodził z przekrzywioną głową, odejdzie w zapomnienie. Jesper siada. On nie zapomni Josteina. Obiecuje to sobie. To musiało się stać wczoraj. Wczoraj Jostein przestał chodzić do szkoły, a Jespera przy tym nie było. Pan Løkke obrzuca Jespera prędkim spojrzeniem i zostawia go w spokoju. Ale po dzwonku na przerwę Jesper musi zostać w klasie. Pan Løkke podchodzi do niego.

– Jak pewnie rozumiesz, Jostein przeniósł się do innej szkoły, gdzie dostanie lepszą pomoc.

Jesper kiwa głową.

– Przyniosłeś usprawiedliwienie?

Jesper wręcza kartkę, pan Løkke najpierw czyta ją po cichu, a potem na głos:

– Jesper Kristoffersen był wczoraj, 2 marca 1950 roku, nieobecny z powodu telefonu. Z wyrazami szacunku, Ewald Kristoffersen.

Pan Løkke składa kartkę i śmieje się przez całą drogę aż do katedry; tam chowa usprawiedliwienie do szuflady razem z dziennikiem. Przestaje się śmiać.

– Tak, tak, Jesper. Pozdrów ojca i powiedz mu, że w ciągu wielu lat pracy w szkole czytałem różne usprawiedliwienia, ale to było zupełnie wyjątkowe.

Jesper spuszcza głowę; przed oczami ciągle ma pustą ławkę Josteina.

– Dobrze.

– No ale powiedz mi, Jesper, czy to do ciebie był jakiś telefon, czy może dostaliście telefon?

– Dostaliśmy.

– Świetnie. Pamiętasz numer?

– Pięćdziesiąt pięć czternaście trzydzieści – mówi Jesper.

Pan Løkke wyjmuje kalendarzyk i wpisuje do niego numer telefonu. Dzwonek na lekcję. Wkrótce wszyscy są z powrotem na swoich miejscach. Właśnie podczas tej lekcji się to dzieje. Uczą się o literze L. W podręczniku jest rysunek dziewczynki, która śpiewa. Jesper wyobraża sobie, że to Stine, chociaż dziewczynka w książce ma jasne włosy i niebieską kokardę. Pod rysunkiem jest napisane: *l – la, la, la – wszyscy lubimy śpiewać*. Nagle otwierają się drzwi, chociaż nikt wcześniej nie puka. To inspektor do spraw pedagogicznych. Inspektor nie puka. Wszyscy się go boją. Uczniowie wstają, prostują się tak, że ich kręgosłupy mogłyby posłużyć jako maszty do flagi. O inspektorze mówi się, że zamknął kiedyś pewnego trzecioklasistę w piwnicznym schowku na szczotki na cały dzień. To było tuż przed wojną. Chłopak podniósł rękę w nieprzyzwoity sposób. Z czasem inspektorowi przyszło za to drogo zapłacić. Siedział w obozie Grini, a później, w czterdziestym drugim, wysłano go do Niemiec do Bergen-Belsen. Kiedy wrócił do domu, ważył czterdzieści jeden kilogramów. Pan Løkke, równie uniżony wobec inspektora jak uczniowie, wychodzi mu na spotkanie. Granica między szacunkiem a lękiem bywa niekiedy cieńsza niż linia napisana kredą na tablicy. Mówią coś do siebie. Nie da się usłyszeć co. To jeszcze pogarsza sytuację. Każdy ma coś na sumieniu. Każdy coś przeskrobał. Każdy ma za co odpowiadać. Nie ma niewinnego. Pan Løkke odwraca się do Jespera. Tym razem to o niego chodzi. Inni mogą odetchnąć z ulgą, ale wcale tego nie robią. Zachowują ulgę dla siebie. Pewnego dnia drzwi się otworzą i przyjdzie kolej na nich. Jesper musi iść z inspektorem. Idą pustymi korytarzami, na których wiszą kurtki, bije od nich zapach wilgoci, prawie pleśni. Wchodzą na górę po schodach prowadzących do innego korytarza. Woźna odwraca się i patrzy na nich. Jesper ledwie dotrzymuje inspektorowi kroku. Inspektor przystaje przy jakichś drzwiach. Jesper też się zatrzymuje. Inspektor kładzie mu rękę na karku, w pierwszej chwili kojarzy się to z pociechą, oznaką łagodności, ale zaraz palce się zaciskają, Jesper na chwilę traci oddech i czuje, że zostaje podniesiony z ziemi. W końcu

inspektor go puszcza i wchodzą razem do dyrektora, uosabiającego najwyższą władzę w szkole, którego nawet inspektor musi słuchać. Dyrektor zawsze nosi trzyczęściowy garnitur i zegarek z dewizką. Kiwa głową i inspektor się wycofuje. W gabinecie jest jeszcze jedna osoba. Jesper ją poznaje. To pani Nordklev, ta raszpla, która prowadzi Czerwony Krzyż. Jesper natychmiast się domyśla, o co chodzi, i zaczyna układać plan, ale ma pusto w głowie. Inspektor ją opróżnił. Pani Nordklev nie wstaje z miejsca. Dyrektor okrąża biurko i zatrzymuje się przed Jesperem.

– Sprzedawałeś przed świętami znaczki Czerwonego Krzyża na schodach do budynku stacji na Majorstua? – pyta. – Sprzedawałeś je za jedną koronę zamiast za pięćdziesiąt øre?

– Nie.

– Nie? Jesteś tego pewien, Jesperze Kristoffersenie?

– Sprzedawałem znaczki za pięćdziesiąt øre.

– Wydaje mi się, że kłamiesz. To tylko pogarsza sprawę.

– Nie kłamię.

Dyrektor oddaje głos pani Nordklev.

– Czy ktoś inny oprócz ciebie sprzedawał znaczki w tym miejscu? – pyta pani Nordklev.

Jesper spuszcza głowę.

– Jostein.

Pani Nordklev wstaje.

– Ależ on przecież nie sprzedawał znaczków w naszym imieniu?

– Sprzedawał w moim.

– Dlaczego?

– Chciał spróbować.

Pani Nordklev wygląda na nieszczęśliwą. W każdym razie ciężko wzdycha i odwraca się w stronę dyrektora, który zaplata ręce na plecach.

– Wiedziałeś, że Jostein sprzedaje znaczki po koronie?

Jesper kręci głową.

– Nie.

– I nie widziałeś tych pieniędzy, których… Jak to powiedzieć… Było za dużo?

Jesper spuszcza głowę jeszcze niżej.

– Nie – powtarza.

Dyrektor znów zajmuje miejsce za biurkiem, sięga po kartkę i coś na niej pisze. Słychać jedynie szmer stalówki poruszającej się po papierze. W końcu dyrektor podnosi głowę.

– Doceniam twoją szczerość, Jesper.

Pani Nordklev kładzie mu rękę na ramieniu.

– My także – mówi.

Dyrektor wręcza kartkę pani Nordklev i patrzy na Jespera.

– Wiem, jak to boli, kiedy człowieka zdradzą ci, których uważał za przyjaciół. Możesz już iść.

Inspektor czeka przed gabinetem. Idą razem korytarzem. Jesperowi ciążą buty. Wlecze się. To nie Jesper został zdradzony. To Jesper zdradził. Inspektor zatrzymuje się na szczycie schodów.

– Siedziałem w Grini – mówi.

Jesper kiwa głową i patrzy na swoje buty. Sznurówka mu się rozwiązała.

– To było w grudniu czterdziestego pierwszego roku. Było nas sześciuset więźniów. Wiesz, kto nam przynosił klipfisze, masło, cukier, sardynki, pastę kawiorową, miód, sanasol, słoninę, kostki rosołowe, płatki owsiane, ścierki, tran i bieliznę? Wiesz, Jesper?

– Nie. Kto?

– Czerwony Krzyż. A później, kiedy siedziałem w Belsen, wiesz, kto co miesiąc przysyłał paczkę z jedzeniem, tytoniem, książkami i artykułami toaletowymi?

– Czerwony Krzyż.

– Czerwony Krzyż uratował mi życie, chłopcze. Wiesz, ile ważyłem po powrocie do domu?

– Czterdzieści jeden kilo.

– A gdyby nie Czerwony Krzyż, to nic bym nie ważył. Byłbym martwy. A martwi nie ważą nic. Widziałem ich. Spójrz na mnie, Jesper.

Jesper podnosi wzrok, równie ciężki, jak oba buty razem wzięte. Inspektor nadal jest chudy. Nie może się pozbyć tego, co stracił. Bruzdy na twarzy ma głębokie i proste. Nosi w sobie cień, który w każdej chwili może się zmienić w ostre światło.

– Ale wiesz, co z tego wszystkiego było najważniejsze? – pyta.

Jesper boi się, że odpowie błędnie.

– Bielizna – mówi.

Inspektor się śmieje, wydając z siebie niezwykły jak na tego człowieka dźwięk. Śmiech nie pasuje do jego geometrycznych ust.

– Myśl, Jesper. Świadomość, że nie zostaliśmy zapomniani. Że ktoś o nas pamięta.

Jesper nachyla się i zawiązuje sznurowadło. Już niedługo dzwonek na przerwę. Poznaje to po niepokoju dochodzącym z klas, chociaż niewiele jest tych odgłosów, tylko jakieś krzesło ostrożnie odsunięte do tyłu, chrzęst papieru śniadaniowego, zamykający się piórnik. Jesper zawraca do gabinetu. Tym razem nie idzie mu się ciężko, tylko lekko, niemal frunie. Dyrektora i panią Nordklev spotyka w drzwiach.

– Podzieliliśmy się tymi pieniędzmi – oświadcza.

Oboje się zatrzymują, patrzą na niego, a potem na siebie. Dyrektor zabiera głos:

– Co mówisz?

– Jostein i ja podzieliliśmy się tymi pieniędzmi, których było za dużo.

– Nie musisz chronić Josteina.

– Mówię prawdę. My…

Dyrektor mu przerywa.

– Rozmawialiśmy już z Josteinem. Przyznał się. Wystarczy jeden grzesznik w tej sprawie. Jasne?

Jesper nie odpowiada.

– Jasne? – ponawia pytanie dyrektor.

Nic nie jest jasne. Nic nie jest ani trochę jasne. Gdyby tak powiedział od razu, uwierzyliby mu. A może nie mają ochoty mu wierzyć? Może

prawdą jest to, co powiedział dyrektor, że nie chcą mieć więcej grzeszników? Jesper mimo wszystko kiwa głową. Pani Nordklev trzyma swoją malutką torebkę w obu rękach, jej wzrok krąży, pani Nordklev patrzy wszędzie, tylko nie na Jespera. Dzwonek. Na krótką przerwę. Zaraz znów dzwoni na lekcję. W ciągu tego dnia po szkole na Majorstua rozchodzi się nowe powiedzonko, które później rozprzestrzenia się w całym mieście – najpierw w innych szkołach w zachodnich dzielnicach: Uranienborgu, Midtstuen, Slemdal i Tåsen, stamtąd przechodzi na północ do Lilleborga, Sagene i Bjølsen, aż wreszcie dociera na wschód, do Grünerløkki, Gamlebyen, Sinsen, i w końcu do Ruseløkki, dzielnicy położonej pośrodku, między wschodem a zachodem, plecami odwróconej do fiordu, i tam się zatrzymuje: „Ogłuchłeś czy jak?". Powiedzonko to nie wyraża uznania, ale też nie jest bardzo złośliwe, zawiera w sobie raczej pewną dozę rezygnacji. W każdym razie nie jest gorsze niż „łachudra".

Tego dnia Jesper wraca do domu inną drogą. Nie chce się spotkać z Josteinem na Kirkeveien. Wolałby już w ogóle nigdy go nie spotkać. Nigdy też nie powie: „Ogłuchłeś czy jak?". Idzie przez błonia Tørtbergjordet na tyłach Fagerborga, przemyka się, a koło krzaków poniżej Marienlyst musi się wysikać. Widać tam na śniegu więcej żółtych plam, ale te plamy pozostawiły psy. Jesper jest dzisiaj psem. Maj usmażyła na obiad kotlety rybne, ale Jesper nie ma apetytu. Chce być równie chudy, jak kiedyś był inspektor. Przegląda czytankę, chociaż przy stole nie wolno mu się zajmować niczym oprócz jedzenia. Ale jeśli chodzi o lekcje, można zrobić wyjątek. W głowie nie zostaje mu ani jedna litera. Ewald też mało je, tylko grzebie widelcem w talerzu. Maj patrzy na nich zdziwiona.

– Nie smakuje wam moja kuchnia? – pyta.

Ewald natychmiast sobie dokłada, chociaż jego talerz ciągle jest prawie pełny. Tak mu zależy, aby być takim jak dawniej, tak samo głodnym, uśmiechniętym i obojętnym, że przewraca szklankę Jespera i woda zalewa literę P, P jak posiłek, P jak podejrzenie, P jak poplątanie. A Jesperowi samo się wyrywa, chociaż niewyraźnie:

– Ogłuchłeś czy jak?

Mija chwila, chwila głębokiej ciszy i zdumienia, niemal zamyślenia. W końcu Ewald wali pięścią w stół, aż przewraca się więcej szklanek. Jest nadzwyczajnie rozzłoszczony. Krzyczy.

– Co?! Coś ty powiedział!?

Jesper nie może pojąć, że te słowa w ogóle wyszły mu z ust.

– Ja tylko…

– Powiedziałeś, że zdechłem? Powiedziałeś, że twój ojciec zdechł!

– Nie. Powiedziałem tylko…

– Tylko co? Co powiedziałeś?

– Że jesteś głuchy.

Ewald długo patrzy na Jespera. Maj woli odejść od stołu. Stine zaczęła płakać. To przez Jespera. A Ewald wybucha śmiechem. Dawno tak się nie śmiał. Śmieje się tak długo, że wraca mu apetyt.

– Głuchy, no wiesz… Nie jestem głuchy.

– Wcale tak nie myślałem.

– Skąd ci się wzięło to wyrażenie? Nigdy go nie słyszałem. A słyszałem wiele rzeczy.

– Ze szkoły.

Ewald miażdży ziemniaka widelcem.

– Rozumiem. W związku z Josteinem.

Maj wraca ze Stine na rękach. Patrzy na Jespera, bardzo z niego niezadowolona.

– Tak też masz nie mówić.

Ewald chce być z nią w zgodzie.

– Mama ma rację, Jesper. To nieładnie. Powinieneś przestać się tak wyrażać.

Maj odwraca się do Ewalda, najwyraźniej niezadowolona również z niego.

– I kto to mówi?

– O co ci chodzi?

– To ty przynosisz do domu z Bristolu te wszystkie brzydkie słowa. Łachudra!

– Taka się zrobiłaś delikatna?

– Czy skąd tam ostatnio wracasz.

Maj zabiera Stine i wychodzi. Trzaskają kolejne drzwi. Ewald patrzy na Jespera.

– Coś mi się wydaje, że dzisiaj to my pozmywamy – mówi.

Później wieszają *Pierwszą czytankę* nad kuchenką, żeby wyschła.

O ósmej dzwoni telefon. Pierwszy raz ktoś naprawdę do nich dzwoni. Tym razem to nie żadna próba. Dzwonek jest ostry i szybki, słychać go we wszystkich pokojach. Ewald podnosi się z materaca w jadalni, Maj prostuje się znad kołyski w sypialni, Jesper podrywa się znad wąskiego biurka w holu. Gromadzą się w salonie. Telefon dalej dzwoni. Ewald odbiera. Mówi głośno i wyraźnie, tak jak poprzednio:

– Dzień dobry, tu mieszkanie Kristoffersenów.

Potem przez chwilę słucha, sprawia wrażenie rozczarowanego, wręcz urażonego, i odwraca się do Maj.

– To do ciebie.

Maj podchodzi bliżej i pyta szeptem:

– Kto?

– Czerwony Krzyż! Któż by inny?

Maj bierze słuchawkę; trzyma ją w obu rękach, dziwnie krzywo. Ewald wyprowadza Jespera z salonu i zamyka drzwi. Ten, kto rozmawia przez telefon, musi mieć spokój. To sprawa prywatna. Złości go, że to do Maj telefon zadzwonił po raz pierwszy. Ale zaraz czuje ulgę. Przecież to mogła być jakaś zła wiadomość. Nasłuchuje i zaczyna się niecierpliwić.

– Damulki ćwierkają sobie na sznurku – mówi.

Jesper też nasłuchuje, ale nic nie słyszy. To znaczy, że mówi ta druga osoba, z innego miejsca. Niepokoi go to. On także się domyśla, że telefon może oznaczać zagrożenie. Ewald odciąga go od drzwi. Podsłuchiwać również nie należy.

– Nigdy nie wolno ci mówić Josteinowi, że jest głuchy – przykazuje Ewald.

– Dlaczego?

– Bo on jest głuchy, Jesper.

Wreszcie Maj odkłada słuchawkę. Ewald otwiera drzwi. Maj patrzy na zegar wiszący nad telefonem i nic nie mówi. Ewald po jej karku poznaje, że coś się stało. Przychodzi mu do głowy straszna myśl: doktor Lund złamał tajemnicę lekarską i powiedział swojej żonie, że Ewald Kristoffersen jest nieuleczalnie chory, a ona rozpuściła język na jakimś zebraniu i teraz już cały Fagerborg wie, że Ewald niedługo umrze. Musi się dowiedzieć.

– To było coś ważnego?

Maj się odwraca, patrzy na Jespera, ale mówi do Ewalda.

– To Jostein oszukał nas na znaczkach.

– Jak mu się to udało?

– Sprzedawał po koronie, a pięćdziesiąt øre brał do kieszeni.

Ewald się śmieje, ale natychmiast się orientuje, że to nie wypada.

– W każdym razie Czerwony Krzyż nic na tym nie stracił i żaden zbożny cel nie ucierpiał.

– Straciliśmy zaufanie ludzi, Ewald. To jeszcze gorsze. Zaufanie. Jako pracownik branży reklamowej powinieneś świetnie o tym wiedzieć.

Ewald spuszcza wzrok, zastanawiając się, czy to właściwy moment, żeby pokazać Maj ślady na ramieniu, wyłożyć na stół pigułki, które musi zażywać, a które stale chowa w kieszeni, rozpiąć koszulę i pozwolić, aby przejrzała go na wskroś, zobaczyła wszystko oprócz tej czarnej plamy, która stale rośnie i przesłania widok. Nic takiego jednak nie robi. Znów to onieśmielenie. Nie potrafi się przemóc. Jeszcze się zaczerwieni, zawstydzi i nie będzie wiedział, co powiedzieć.

– Czerwony Krzyż jest dostatecznie mocny, żeby wytrzymać taki cios – stwierdza jedynie.

Maj patrzy na niego, aż Ewald musi odwrócić oczy.

– Jesteś tego pewien?

Jesper pospiesznie wychodzi do kuchni. Nie wytrzymuje tej atmosfery. Ona świdruje w uszach. Kroi serce. Nie może wytrzymać samego siebie. Strony *Pierwszej czytanki* są suche i pomarszczone, ale widać, co jest na nich napisane. Nie podobają mu się rysunki: kot zbliża się do miski psa, inny kot ściga mysz, koza bodzie dziewczynkę, która

wpada do strumienia, nagie dziecko siedzi na poduszce przypominającej chmurę, a dwójka rodzeństwa sadzi drzewo. Czy to się dzieje na cmentarzu? Ale najgorszy jest bałwan, który trzyma szczotkę do zamiatania. *Nasz bałwan postał dzień czy dwa i wróbel bał się go, że ha! Ale gdy słońce zaświeciło, bałwan się stopił i już go nie było*.

Jesper podchodzi do okna i patrzy w dół, na podwórze. Widzi tylko cienie. Nie słyszy więcej głosów z salonu. Kiedy już leży w łóżku, przychodzi matka i staje przy nim. Przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Kilka razy przełyka ślinę.

– Ten prezent dla Stine...? – pyta w końcu.

Jesper na razie się nie odzywa. Matka się nachyla.

– Kupiłeś go za pieniądze, które dostałeś od Josteina?

Teraz kłamstwo nikomu nie zaszkodzi. Tamto kłamstwo w gabinecie dyrektora było szkodliwe. Zaszkodziło Josteinowi. Zadało mu wręcz śmiertelny cios. Zaszkodziło też Jesperowi, bo zrozumiał, jakim jest człowiekiem i do czego jest zdolny, a na to za wcześnie, kiedy się nie ma skończonych dziewięciu lat i jest się spóźnionym niemal ze wszystkim.

– Nie – mówi Jesper.

– Na pewno mówisz prawdę?

– Tak.

Matka cofa się o krok i zatrzymuje w półmroku.

– I tak go wyrzucę – mówi.

Po cichu zamyka za sobą drzwi.

Oto cios śmiertelny zadany Jesperowi: matka traci do niego zaufanie. Już nigdy nie będzie wesoły. Żadnemu z nich nie będzie wesoło. Ale jeśliby powiedział, jak było naprawdę, to czy oboje byliby zadowoleni? Jesper myśli o muzyce, o tej cierpkiej, smutnej melodii, której nauczył się na pamięć, ale jeszcze nie potrafi zagrać. Mimo wszystko istnieje pewna radość.

W dniu 19 marca odbyło się posiedzenie zarządu w domu parafialnym. Obecne były wszystkie członkinie zarządu. Powitano panią skarbnik Maj Kristoffersen

po powrocie z urlopu macierzyńskiego. Ona natomiast podziękowała za kwiaty od zarządu.

Diakonisa z kościoła Fagerborg zwróciła się do pani Nordklev z prośbą o kilka par butów, jeśli to możliwe. Obuwie do rozdania zostanie przekazane przez Okręg Oslo. Wszelkie rozdzielane paczki żywnościowe, obuwie itp. odnotowywane są w kartotece rodzin lub osób samotnych, które otrzymują pomoc.

Za pośrednictwem pani Esther Andersen oddział otrzymał wniosek o wsparcie finansowe na opłacenie wynagrodzenia dla przedszkolanki w nowo powstałej klinice dziecięcej w Szpitalu Centralnym. Po dyskusji zdecydowano, że w bieżącym roku na ten cel zostanie przeznaczonych 60,– koron miesięcznie.

Omawiano jesienny kiermasz. Postanowiono zdobyć następujące nagrody: dwie zmiany pościeli, lampę stołową z abażurem, lalkę z łóżeczkiem dla lalek, kawę (i ew. cukier) oraz, jeśli to możliwe, bieliznę damską.

Pani przewodnicząca Nordklev otrzymała od zarządu Okręgu Oslo 32 pary obuwia dziecięcego do rozdania. Kilkoro członków oddziału przekazało sporo używanej odzieży pani Stubberud, zamieszkałej pod adresem Holbergs gate 27.

Omówiono również przedstawioną przez Okręg Oslo propozycję zorganizowania przez kilka oddziałów wspólnego wyjazdu na wieś dla osób starszych. Zarząd Oddziału Fagerborg wolałby jednak zorganizować taką wycieczkę dla seniorów ze swojego rejonu we własnym zakresie. Proponowane wcześniej dofinansowanie kolonii letnich oraz wycieczki dla seniorów w wysokości 500,– koron na każdy z tych punktów będzie prawdopodobnie musiało zostać zredukowane do kwoty 465,– koron z powodu wydatków: oddział musi zwrócić pieniądze tym, którzy zapłacili po koronie za znaczki świąteczne. Winny przyznał się do swojego postępku. Sprawa nie będzie miała dalszego ciągu. Stanowiła duże obciążenie dla wszystkich stron. Następnym razem musimy wprowadzić surowsze procedury. Tę sprawę w każdym razie uważamy już za zamkniętą.

21 marca 1950 r.

REPERACJA

Enzo Zanetti opróżnia kieliszek i odwraca się do Jespera.

– Nie, z tym Satiem będziesz musiał poczekać jeszcze lekcję albo dwie.

– Dlaczego?

– Bo najpierw musisz się nauczyć innych rzeczy.

– To znaczy czego?

Enzo Zanetti wzdycha.

– Na przykład gry na fortepianie, Jesper. Mama dziś z tobą nie przyszła?

– Nie.

– Trafisz sam do domu?

– Trafię.

– Zagraj mi C.

Jesper unosi rękę, lewą, i pozwala środkowemu palcowi opaść powoli na właściwy klawisz; przytrzymuje go chwilę i puszcza. Enzo Zanetti, zaskoczony, wsłuchuje się w dźwięk zawieszony w powietrzu.

– Którą ręką piszesz? – pyta.

Jesper musi się chwilę zastanowić.

– Prawą.

– No to zagraj mi nią to samo.

Jesper gra, ale tym razem używa palca wskazującego. Brzmienie nie zawisa w powietrzu, ton cichnie, gdy tylko Jesper odsuwa rękę od klawiszy. Enzo Zanetti siada obok niego na stołku, gra gamę i prosi, żeby Jesper ją powtórzył. Udaje mu się to bez większego trudu. Enzo Zanetti musi jedynie trochę poprawić mu ułożenie palców i wyjaśnić, jaką rolę odgrywa kciuk. Potem prosi, żeby Jesper zagrał gamę lewą ręką, i słucha z jeszcze większym zaskoczeniem. Chłopiec gra bez

wysiłku, jakby od niechcenia. Każdy ton ma głębię, która otwiera przestrzeń, i najwyraźniej nic go to nie kosztuje. Wydaje się niemal zbyt łatwe.

– Większość rzeczy w życiu jest nudna – mówi Enzo Zanetti.

– To dlaczego to robimy?

– Ponieważ nuda ma nas doprowadzić do szczęścia, Jesper.

Enzo Zanetti o mało nie daje się porwać własnym słowom. Znów podchodzi do sekretarzyka i nalewa sobie kolejny kieliszek, który opróżnia i napełnia jeszcze raz.

– Pić się panu chce – zauważa Jesper.

Enzo Zanetti kręci głową.

– Reperuję się.

Jesper próbuje dociec, co się popsuło w Enzu Zanettim, skoro musi to tak często reperować, ale nie pyta. Niech o tym nie mówi, skoro nie chce. Zamiast zadawać pytania, Jesper gra gamy, tym razem używając obu rąk. Enzo Zanetti przysuwa krzesło bliżej fortepianu i siada.

– Teraz spróbuj w odwrotną stronę.

Jesper gra najszybciej, jak potrafi. Enzo Zanetti milczy dłuższą chwilę. Może już całkiem się rozpadł?

– Nie podobało się panu? – pyta Jesper.

– Próbujesz mi zaimponować?

– Nie wiem.

– Nigdy tego nie rób. Nigdy nie próbuj nikomu imponować. I niech ci się nigdy nie spieszy.

– To co mam robić?

– Masz tylko starać się wzruszyć. Co ci ostatnio mówiłem o C?

– Że można tak zagrać C, żeby skłonić ludzi do płaczu.

– No właśnie. I tego się u mnie nauczysz.

Jesper nie bardzo wie, czy do końca to rozumie, ale mimo wszystko domyśla się jakiegoś związku, tajemniczego powiązania między tym, co mówi Enzo Zanetti, a wszystkimi jego reperacjami. Jesper gra A.

– Sygnał w telefonie – mówi.

Enzo Zanetti się śmieje.

– Sygnałem w telefonie nikomu nie zaimponujesz. Ale wyobraź sobie, co czeka na końcu tego sygnału!

– Nikogo nie ma w domu.

– Nie! Że sam Bóg odbierze. Zastanów się nad tym. A teraz możesz zagrać telefon zajęty.

Jesper uderza w ten sam klawisz raz za razem, trzymając takt, aż do momentu odłożenia słuchawki. Na zakończenie lekcji dostaje plik nut – to ćwiczenia, które może robić w domu.

– Pozdrów mamę – mówi Enzo Zanetti.

Jesper schodzi po schodach i staje na Jørgen Moes gate. Zegar na wieży pokazuje dziesięć po szóstej. Słyszy wizg tramwaju na Holtesvingen, zaraz za rogiem. Brzmi to jak cała orkiestra grająca na nienastrojonych piłach. Przez chwilę zastanawia się, którędy iść. Wie tylko, że ma się nie spieszyć. A może dotyczyło to jedynie muzyki? Mógłby na przykład iść przez Bislett, obok kościoła Fagerborg, ale nie lubi pobliskiego pisuaru, bo tam nie dość, że śmierdzi, to jeszcze kręcą się starsi panowie i nie wiadomo, o co im chodzi. Dlatego wybiera drogę przez plac Vestkanttorget, który zimą, kiedy jest dostatecznie duży mróz, zwykle zmienia się w lodowisko, głównie dla dziewczyn. Teraz lód się topi i do niczego się nie nadaje, jest porzuconą breją. Przedszkole w żółtym drewnianym domu jest o tej porze równie opustoszałe i opuszczone. Puste drabinki do zabawy przypominają szkielet kanciastego prehistorycznego zwierzęcia, które zdechło jeszcze przed wybuchem wojny. Jesper czuje się nagle dorosły. Nie stary, tylko dorosły, z tymi nutami pod pachą jest dorosły. Wraca z biura. Nie, wraca z warsztatu, w którym reperuje się różne rzeczy. Musi sobie zorganizować jakąś teczkę na nuty. Nie może zasłynąć z noszenia nut w ten sposób. Czy ma pójść Jacob Aalls gate czy Kirkeveien? Na Jacob Aalls gate może się natknąć na bandę ze Stensparken, a to nie byłoby mądre. Wybiera Kirkeveien. Niebo jest zupełnie czarne, a mimo to nie ma na nim gwiazd. Światło spływa gronami z ulicznych latarni. Jesper zatrzymuje się przed sklepem rzeźnika Melsoma. W sklepie jest Jostein. Siedzi na podłodze w rogu pod szynkami wiszącymi na hakach. Ma na sobie zaplamiony biały fartuch, o wiele na niego za duży, obejmuje

rękami kolana. Jesper puka w szybę. Jostein nie słyszy, następnego pukania też nie. Jespera ogarnia lęk. Zwija nuty, wsuwa je do kieszeni i zaczyna wymachiwać rękami. Wtedy Jostein wstaje, podchodzi do drzwi i wpuszcza go do środka. Potem zamyka drzwi na klucz i wyciąga rękę do Jespera. Jesper ją ściska. Obaj nagle wydorośleli. Jesper jest pianistą. Jostein – rzeźnikiem. Jostein się śmieje. Jego śmiech brzmi inaczej niż poprzednio. Może tak uczą się śmiać w szkole dla głuchych? Jesper, owładnięty wyrzutami sumienia, zaczyna płakać. Jostein opuszcza głowę jak zwierzę, rusza na Jespera i go bodzie. Przewracają się i poszturchują.

– Ja nie chciałem! – krzyczy Jesper.

– Co mówisz?

– Nie chciałem zwalić winy na ciebie!

Jostein zasłania uszy, jakby to było konieczne, i też krzyczy. Brzmi to jak piosenka:

– Nie słyszę! Nie słyszę!

Przez chwilę leżą nieruchomo i odpoczywają. Potem wstają. Jostein głupio wygląda w fartuchu, który opada mu na buty, z rękawami dwa razy dłuższymi niż jego ręce.

– Co tu robisz? – pyta Jesper.

Jostein przygląda się jego wargom, ale pytanie dociera do niego dopiero po chwili. Wszystko jest opóźnione.

– Mam areszt domowy. Karę. Muszę umyć zlewy.

– Mogę ci pomóc.

– Ale mogło być gorzej. Mogłem oślepnąć. Jest dużo ślepych ludzi.

Jostein wyjmuje nóż, odkrawa dwa kawałki solonego, suszonego udźca baraniego i jeden podaje Jesperowi. Żują przez chwilę. Wędlina nie smakuje zbyt dobrze, ale dobrze jest czymś się zająć.

– Powiedziałem dyrektorowi, że się podzieliliśmy tymi pieniędzmi – mówi Jesper.

Jostein długo na niego patrzy i kiwa głową.

– No i co?

– Nie uwierzył.

Jostein znów się śmieje. Najwyraźniej przysposobił sobie ten śmiech. Brzmi jak kasłanie do pojemnika na chleb. W każdym razie nie wydaje się zdrowy. Jostein powinien poprosić doktora Lunda, żeby na niego popatrzył, a przynajmniej go posłuchał.

– Mnie wszystko jedno – oświadcza Jostein.

– Jak to?

– I tak nie mam nic do stracenia.

Jesper wraca do domu z ulgą, a mimo to nieswój. Stawia nuty na półeczce nad klawiszami. Ewald stoi w drzwiach w białej koszuli i spodniach na szelki, chociaż szelek już właściwie nie potrzebuje.

– Czego się dzisiaj nauczyłeś? – pyta.

– Sygnału telefonicznego.

– Sygnału? To ja wydaję pieniądze, żebyś się uczył sygnału, który mamy w telefonie?!

– I tego sygnału, kiedy numer jest zajęty.

– Który ci się bardziej podoba?

– Zajęty.

Ewald w pierwszej chwili nie jest zadowolony z odpowiedzi, ani trochę, ale prędko zmienia zdanie. Numer zajęty oznacza przynajmniej, że ktoś jest na drugim końcu kabla, nawet jeśli dodzwonienie się zajmuje dużo czasu. Wzrusza ramionami, ale ma coś jeszcze do powiedzenia. Pyta cicho:

– Ty chyba nie miałeś nic wspólnego z tymi znaczkami, które sprzedawał Jostein?

Jesper myśli: to się nigdy nie skończy, będzie się ciągnęło do końca życia. Chociaż nie potrafi sobie wyobrazić, czym ten koniec życia jest.

– Nie, tato.

Ewald się rozgląda, po czym wyjmuje z kieszeni niedużą paczuszkę.

– Mama to wyrzuciła do śmieci. A ja poszedłem na dół i przyniosłem z powrotem. Uważasz, że słusznie postąpiłem?

Jesper kiwa głową. Ojciec wręcza mu pakiecik. Gdzie Jesper ma go schować? Wkłada prezent dla Stine do tornistra. Jeśli matka go znajdzie, Jesper na pewno nie zwali winy na ojca. Skłamie i powie, że

sam przyniósł paczkę ze śmietnika. Weźmie odpowiedzialność na siebie. Idzie do matki, która siedzi przy kuchennym stole nad rachunkami Czerwonego Krzyża. Ewald się upewnia, czy Stine śpi, i wkrótce przychodzi za nim. Stoją w milczeniu obok siebie, nie chcą przeszkadzać. Ale i tak przeszkadzają. Maj podnosi głowę, patrzy na obu swoich mężczyzn, którzy trzymają ręce za plecami, i nie ma serca powiedzieć im, żeby poszli gdzie indziej i dali jej spokój. Przeciwnie, chce, aby stali tak do końca życia, a sama niedługo zajdzie już tak daleko, że będzie wiedziała, czym ten koniec życia jest.

– Czegoś tu nie rozumiem – mówi Maj.

Ewald i Jesper się nie odzywają. Robią tylko niewielki krok w tył, równocześnie. Ich ruchy są ze sobą połączone wyrzutami sumienia. Czego ona nie rozumie? Nie rozumie ich? To ich się nie da zrozumieć?

Maj spuszcza głowę i jeszcze raz sumuje liczby. Widzą, że liczy bezgłośnie, a na dole kartki stawia w końcu dwie grube kreski: suma.

– Czego nie rozumiesz? – pyta Ewald.

Jesper również ośmiela się zrobić krok do przodu.

– Może ci pomożemy?

Maj wzdycha.

– Ile znaczków właściwie Jostein sprzedał za ciebie?

– Dwadzieścia sześć, mamo.

– A zgłosiło się już trzydzieści jeden osób, które chcą dostać z powrotem pięćdziesiąt øre. I ciągle ich przybywa. Pojmujecie, że można upaść tak nisko?

Maj patrzy na nich, na swoich chłopaków, i cała tkwiąca w niej twardość, liczby, podejrzenia, nawet wściekłość usuwają się na bok; zwolniona w ten sposób przestrzeń wypełnia się miłością, a przynajmniej wdzięcznością.

– Mam cię pozdrowić od Enza Zanettiego – mówi Jesper.

Posiedzenie zarządu odbyło się 14 kwietnia u panny Vandy Aasland. Oprócz gospodyni wzięły w nim udział następujące osoby: pani Nordklev, pani Arnesen, pani Larsen, pani Lund i pani Kristoffersen.

Pani Arnesen odczytała sprawozdanie z zebrania Komitetu Wykonawczego w dniu 2 kwietnia. Zdecydowano, że wspomniana w protokole z poprzedniego posiedzenia zarządu wspólna wycieczka dla osób starszych odbędzie się 20 czerwca.

Pani Nordklev otrzymała prośbę od Sekcji Pomocy dla Dzieci w Oslo o przekazanie wyprawek dla niemowląt. Pomoc dla Dzieci otrzymała dwie wyprawki, a jedną przekazano marynarzowi Osvaldowi Hansenowi z Porsgrunn, który przyjechał do Oslo na leczenie.

Podjęto decyzję o wymianie jednej z nagród w loterii podczas kiermaszu – lalkę z łóżeczkiem zastąpi budzik podróżny.

Zapasy Oddziału Fagerborg na dzień 14 kwietnia 1950 roku przedstawiają się następująco: 35 m drelichu, 24 pary obuwia dziecięcego, 7 wyprawek dla niemowląt, półmisek ceramiczny z 6 talerzykami deserowymi plus rozmaity sprzęt medyczny.

Skarbnik Maj Kristoffersen przekazała nieprzyjemną informację. Według rachunków i jej wyliczeń po sprzedaży znaczków zgłosiło się więcej osób żądających zwrotu 50 øre, niż było poszkodowanych. Dyskutowano, jak zarząd powinien się do tego odnieść, i postanowiono, że pieniądze zostaną wypłacone, aby zakończyć wreszcie tę przykrą sprawę. Wszystkie obecne wyraziły rozczarowanie, że w naszym rejonie mieszkają osoby takiego pokroju, które wykorzystują trudną sytuację.

ECHO

Tego przedpołudnia na dziedzińcu ratusza stawiło się wielu żądnych wrażeń, głównie mężczyzn, którzy zrobili sobie przerwę w pracy lub w drodze na jakieś zebranie, kilku chłopców na posyłki z rowerami, parę kobiet, które właściwie wybrały się na zakupy, dwie klasy z liceum handlowego, znajdującego się nieopodal, jeden i drugi włóczęga, a ponadto czterech konstabli, którzy pilnowali, aby wszystko odbyło się jak należy. Sytuacja jest poważna: czterdzieści dziewięć dzwonów, które mają na wieży ratusza bić co kwadrans, a wygrywać melodie co godzinę, przyjeżdża na ciężarówkach. Na jednej mieszczą się trzy, potrzeba więc szesnastu ciężarówek. Następnie dzwony należy wciągnąć na wieżę. To obłędny system stalowych linek, bloczków, haków i maszyn. Konstable proszą publiczność, aby się cofnęła. Operacja może zagrażać życiu. Niezły sposób na śmierć – myśli Ewald Kristoffersen – dostać takim dzwonem w głowę. Ależ by poszło echo! Ewald stoi z tyłu i obserwuje. Właściwie to go nie interesuje. Wszystko jest imponujące, wspaniałe i historyczne. Ale on nie czuje podziwu. Stracił zainteresowanie światem. Tak się po prostu z nim dzieje. Sądził, że będzie odwrotnie: zmysły mu się wyostrzą i przez to każde najmniejsze szturchnięcie będzie odbierał jako atak. Jest jednak inaczej. Widzi zespół z Dek-Rek wchodzący głównymi drzwiami. Będą sprawdzać, czy ich dekoracjami zajęto się w odpowiedni sposób i czy ustawiono je we właściwej kolejności. Ewald spacerkiem wraca do biura. Dziwi go, że teraz, gdy ma wkrótce umrzeć, wcale mu się nie spieszy. Sądził, że z tym również będzie odwrotnie, że wszystko będzie musiał robić znacznie szybciej. Tak jednak nie jest. Robi rundkę po Karl Johans gate. Niektórzy, czując wiosnę, już się porozbierali i teraz żałują. Jest kwiecień. To, co stare, jeszcze nie odpuściło, a to, co nowe, jeszcze się nie umocowało. Ewald myśli nagle o bałwanie na podwórzu. Zapomniał go obejrzeć. W Dek-Rek na miejscu jest tylko panna Bryn. Patrzy na niego zmartwiona.

– Nie poszedłeś z innymi do ratusza? – pyta.

– Muszą sobie poradzić beze mnie.

– Myślisz, że sobie poradzą?

Ewald musi się zastanowić.

– Tak, sądzę, że tak.

– A ja nie jestem tego pewna.

Patrząc z góry na wierną sekretarkę, Ewald czuje wzruszenie i niepokój. Co ona o nim wie?

– Miło mi, że tak mówisz. Ale jeśli zaprojektowałem wszystko tak, jak chcieli, to już nie jestem im potrzebny.

– Powinieneś być artystą, Ewaldzie.

– Nie mów tak, aż tak źle ze mną nie jest.

Panna Bryn śmieje się i wstaje.

– Muszę na chwilę wyskoczyć do miasta. Potrzebujesz czegoś?

– Niczego oprócz wiary, nadziei i miłości.

– Mogę ci w takim razie kupić bułeczkę cynamonową. Żebyś mógł trochę przytyć.

– Odchudzam się, moja droga.

– Rozumiem, ale nie musisz całkiem znikać nam z oczu. Kupię dwie!

– To jedną będziesz musiała zjeść sama.

– Dobrze, jeśli się będziesz upierał.

Podaje Ewaldowi list. Ze Szpitala Centralnego. Przez chwilę przytrzymuje kopertę, zanim wypuszcza ją z rąk.

– Czy to w porządku, że przychodzi tutaj moja prywatna korespondencja? – pyta Ewald.

– Pytanie, czy z tobą wszystko w porządku.

– Więc Rudjord nic nie mówił?

– Nie.

Ewald chowa list do kieszeni i siada przy swoim pulpicie w pustej pracowni projektowej. Wkrótce słyszy, jak za panną Bryn zamykają się drzwi. Odczekuje jeszcze chwilę. Dopiero wtedy otwiera list, czyta, składa kartkę i chowa ją z powrotem do koperty. Po pewnym czasie

idzie do telefonu, podnosi słuchawkę i dzwoni do domu. Maj od razu odbiera. Jej głos brzmi głęboko i poważnie.

– Tu mieszkanie Kristoffersenów.

– To ja.

– Ewald? Stało się coś złego?

– Złego? Czy musi się dziać coś złego, jeśli dzwonię?

– No to dlaczego dzwonisz?

– Chciałem ci powiedzieć…

Ewald się odwraca, chociaż jest sam. Śmierć i miłość go onieśmielają.

– Co chciałeś powiedzieć, Ewaldzie?

– Że cię kocham.

Na kilka sekund zapada cisza. Ewald słyszy jedynie oddech Maj.

– Dlaczego mówisz to przez telefon?

– Mogę ci to powiedzieć również po przyjściu do domu.

– Byłoby miło.

– Stine śpi?

– Spała cały dzień. A ja rozmawiałam z panią Vik o ślubie. Po ceremonii będzie przyjęcie w cukierni u Solberga.

– No to nieźle. Wesele w cukierni!

– Pewnie będziesz musiał wygłosić mowę.

– Na pewno nie.

– Ależ tak, Ewaldzie. Skoro już się zgodziliśmy, żeby…

– A w ogóle to wrócę do domu późno, więc nie czekaj z obiadem.

Na chwilę znów zapada cisza. Kiedy Maj w końcu się odzywa, jej głos brzmi inaczej:

– A więc to dlatego dzwonisz i mówisz, że mnie kochasz?

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz.

– Montujemy naszą wystawę w ratuszu. Wszyscy pracują po godzinach i…

– Możesz wrócić tak późno, jak chcesz.

– Nie. Przyjdę tak szybko, jak będę mógł. Ja…

Maj odkłada słuchawkę, zanim Ewald kończy zdanie. Przez moment tego żałuje, ale zaciska zęby. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Zadzwonił powiedzieć, że ją kocha! To wszystko wyjaśnia. Jest bliska płaczu. Ewald nie jest wart jej łez. Mimo wszystko Maj płacze. Potem słyszy Jespera w przedpokoju. Wyciera oczy i nos, wychodzi do niego.

– Możesz posiedzieć dziś trochę ze Stine? – pyta.

Jesper z uśmiechem podnosi wzrok na matkę.

– Pewnie, że mogę.

– Ona śpi. Nie budź jej. A jeśli będziesz potrzebował pomocy, to idź na górę do pani Vik.

– Nie mogę zadzwonić?

– Możesz. Wrócę za godzinę albo dwie. Najpóźniej.

Maj wkłada zimowe palto, pospiesznie idzie na Majorstua, jedzie kolejką do stacji Teatr Narodowy, staje na rogu ulicy, na którym jest biuro podróży, i czeka. Czuje się nikczemnie. Nie chce tu być. To ostatnie miejsce, w którym chciałaby się znaleźć. Gardzi sobą. Ale to Ewald robi z niej kobietę nikczemną. Może właśnie to najbardziej ją złości. Nagle widzi, że Ewald wychodzi z biura Dek-Rek przy Rosenkrantz' gate. Idzie sam. Kieruje się w jej stronę. Maj się odwraca. W witrynie wiszą zdjęcia wspaniałych miejsc, do których organizowane są wycieczki: Kopenhagi, Paryża, Rzymu, nawet Nowego Jorku. Ewald jej nie widzi. Pewnie myślami jest zupełnie gdzie indziej. Czy idzie do ratusza? Wchodzi do Grandu. A więc to tam? Ewald wynajmuje pokój w Grandzie, tuż za rogiem, żeby spotykać się z kochanką? Nie ma za grosz wstydu. Maj, bliska wymiotów, idzie za nim. Portier kłania się i ją przepuszcza. Ewald nie stoi przy kontuarze recepcji i nie czeka niecierpliwie na klucz. Siedzi u fryzjera, który zarzuca mu na ramiona pelerynę, wyjmuje grzebień i nożyczki. Ewald chce dobrze wyglądać. A więc to tak. Maj ma ochotę podejść i coś mu zrobić. Nie rusza się z foyer. Ewald osiąga wreszcie to, co chciał: włosy leżą mu na głowie jak lakier. Płaci i wraca tą samą drogą. To już wszystko? Ale nie idzie do biura. Maszeruje dalej. Ma wynajęty pokój w hotelu Bondeheimen na rogu i uważa, że to świetna kryjówka? No to będzie musiał zmienić

zdanie. Ale Ewald nie idzie ani do Bondeheimen, ani do Bristolu. Ma inne plany. Maj rusza za nim. Że to się musiało tak skończyć! Śledzeniem własnego męża. Ewald idzie dalej przez Pilestredet. Samochody rozchlapują błoto na chodnik. Maj trzyma się w pewnej odległości, ale gdyby Ewald nagle się odwrócił, toby ją zobaczył. Przez moment Maj bardzo tego chce. Ewald się nie odwraca. Sprawia wrażenie zdecydowanego, jakby opętanego. Po dłuższym czasie Maj z trudem dotrzymuje mu kroku. Dokąd on się wybiera? Do kogo? Maj ma ochotę krzyczeć. Ma ochotę podbiec, dogonić go i wymierzyć mu policzek. Nie robi tego. Ale jak ma się zachować, jeśli przyłapie go na gorącym uczynku? Na razie jeszcze o tym nie myślała. Nie ma siły o tym myśleć. Ewald skręca w Langes gate i zatrzymuje się przed wejściem do Szpitala Centralnego. Maj też staje, za wózkiem wyładowanym brukiem. Czy jej mąż na kogoś czeka? Czy to w tym miejscu zaczyna się zniszczenie? Może umówił się na randkę z jakąś pielęgniarką? Czy to Maj jest teraz jego kołem zapasowym? Jak oni o tym mówią, ci jego koledzy? Masz kogoś na boku? Czy Ewald ma kogoś na boku? Nagle Maj słyszy obcy dźwięk, odgłos, którego nigdy wcześniej w tym mieście nie słyszała. To dźwięk dzwonów na wieży ratusza. Pewnie jakaś próba. Ewald też to słyszy. Rozgląda się. Gdy zapada cisza, Ewald dostrzega żonę. Maj stoi na rogu Pilestredet, częściowo schowana za wózkiem Zarządu Dróg. Nie mieści mu się to w głowie. Nawet nie próbują do siebie podejść. Wreszcie Ewald rusza pierwszy. Znów to onieśmielenie. Trudno mu mówić. Maj też się nie odzywa i na niego nie patrzy.

– Co ty tu robisz? – pyta wreszcie Ewald.

Maj musi podsycać w sobie złość, żeby udźwignąć tę sytuację. Podnosi wzrok.

– To chyba raczej ja powinnam o to spytać. Co t y tu robisz?

– Szłaś za mną?

– Chcę tylko wiedzieć, co robisz. Nie próbuj się wypierać. I tak wiem już dość.

Ewald musi się czegoś przytrzymać.

– Co wiesz? Kto ci powiedział?

– Czyli że jestem ostatnia? Ostatnia się dowiaduję, że masz inną?

Ewaldowi trudno na nią patrzeć.

– Myślisz, że mam inną?

– Sama już nie wiem, co mam myśleć!

Ewald próbuje położyć jej rękę na ramieniu, ale Maj nie pozwala mu się do siebie zbliżyć. Odpycha go.

– Ja umieram – mówi Ewald.

– Co?

– Mam tę chorobę w płucach. Nie chciałem was straszyć.

Maj długo na niego patrzy, ciągle pełna wątpliwości. Nie może uwierzyć.

– To dlatego schudłeś?

– Owszem, to świetna kuracja odchudzająca. Musisz mi zwęzić wszystkie spodnie.

– Jeśli próbujesz mnie oszukać, Ewaldzie, to jesteś skończony.

– Mam wizytę u lekarza. Powinienem być już pięć minut temu. Chcę, żebyś ze mną poszła.

Maj opada z sił, opiera się czołem o jego pierś. Ewald delikatnie kładzie jej rękę na karku.

– Tak się cieszę – mówi Maj.

Uświadamia sobie, co powiedziała, zawstydzona i zrozpaczona.

– Nie chciałam…

Ewald jej przerywa.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Idziesz?

Wchodzą na teren szpitala, kierują się do budynku numer cztery i jadą windą na drugie piętro, na oddział radiologiczny. Lekarz, nowoczesny młody mężczyzna, wita się z Maj i mówi, że najbliższych chorego również dotyka choroba, niekiedy właśnie im bywa najtrudniej, bo czują się bezradni, uważają, że się nie sprawdzają, i sami mogą zachorować od wyrzutów sumienia. Miał do czynienia z przypadkami, w których to jego pacjent musiał pocieszać rodzinę, nic w tym nadzwyczajnego. Dlatego bardzo się cieszy, że Maj tym razem przyszła z Ewaldem. Jeśli mowa o hospitalizacji, to w grę wchodzi Szpital Ullevål, poza tym niewiele jest do dodania. Badania i zdjęcia zrobione podczas

poprzedniej wizyty mówią same za siebie. Śmierć się panoszy. To słowa Ewalda, nie lekarza. Ewald dostaje leki i nie musi ich już ukrywać. Maj chowa je do torebki. To cała apteka. Czy Maj ma jakieś pytania? Ma mnóstwo, lecz nie potrafi ich zadać. To Ewald pyta, chociaż nie interesuje go odpowiedź, ale robi to dla Maj.

– Ile czasu mi jeszcze zostało?

Lekarz wstaje i zakłada ręce za plecy. Oni zawsze zakładają ręce za plecy, kiedy dzieje się coś poważnego albo nie znają odpowiedzi. Musieli się tego uczyć na studiach medycznych.

– Powiedzmy raczej, że powinniście dobrze wykorzystać ten czas.

Ewald i Maj wracają do domu, trzymając się za ręce. Nic nie mówią. Nie muszą. Maj cieszy się, że włożyła zimowe palto. Wiatr jest chłodny. Ale z rynien kapie. Jak się dobrze wykorzystuje czas? Kiedy wchodzą na klatkę, słyszą dźwięki pianina. To Jesper. Przystają pod drzwiami mieszkania. Melodia jest prosta. Znana. Słyszeli ją już wcześniej, ale nie pamiętają gdzie. Jesper gra tylko jednym palcem, chociaż od czasu do czasu słyszą akord albo pogłos.

– Musi to zagrać na moim pogrzebie – szepcze Ewald.

Maj puszcza jego rękę i sięga po klucz.

– W kaplicy nie ma pianina, prawda?

– Ale są organy. Chyba może to zagrać na organach?

– Przestań! Nie umrzesz.

Ewald pyta cicho:

– Naprawdę myślałaś, że mam kogoś na boku?

– Nie przypominaj mi tego!

Dopiero teraz Maj zaczyna płakać. Pożycza od Ewalda chusteczkę. Po cichu wchodzą do mieszkania. Jesper natychmiast urywa. Wie, że w dni powszednie nie wolno mu grać między szesnastą a siedemnastą. Stine śpi. Na podwórzu bałwan już dawno stopniał. Na ziemi zostały tylko kapelusz i węgiel, który był kiedyś oczami.

Posiedzenie zarządu odbyło się dnia 4 maja u pani Lund. Obecne były wszystkie członkinie zarządu. Pani Nordklev otrzymała od Misji wśród Ludu Izraela

prośbę o pomoc w zajęciu się żydowskimi dziećmi w trzecim tygodniu lipca. Z uwagi na okres urlopowy nie zdołamy udzielić pomocy w podanym terminie. Niezbyt szczęśliwie się to składa, więc obiecałyśmy, że następnym razem wkład z naszej strony będzie większy.

Okręg Oslo Czerwonego Krzyża zwrócił się do Oddziału Fagerborg z prośbą o pomoc dla Huldy Engen, zamieszkałej w rejonie naszego oddziału, która obecnie przeniosła się do domu starców Eugena Hansena; chodzi o sfinansowanie opału i udzielenie wszelkiej możliwej pomocy. Pani Lund podjęła się przeprowadzenia rozmowy z wnioskodawczynią, aby ocenić jej potrzeby.

Pani Lund poinformowała, że termofory znajdujące się wśród wyposażenia Czerwonego Krzyża nie zostały zaopatrzone w zakręcane korki, tylko w korki wciskane, które w dwóch wypadkach się obluzowały i woda wylała się do łóżka. Pani Lund zamierza poruszyć tę kwestię z firmą Plesner, w której zakupiono sprzęt.

Padła propozycja przesłania kwiatów na ślub Olafa i Margrethe Hallów. Propozycja spotkała się z częściowym sprzeciwem, ale przyjęto ją najmniejszą możliwą większością głosów.

Skarbnik, pani Maj Kristoffersen, poruszyła kwestię planu pracy Przyjaciół Pacjentów z 1948 roku i wyraziła opinię, że Oddział Fagerborg powinien mocniej zaangażować się zarówno w szkolenie, jak i w samą działalność. Przecież w naszym rejonie położony jest Szpital Ullevål, a Szpital Centralny, Betanien oraz kliniki kobiece (przy Josefines gate i Wergelandsveien) znajdują się niedaleko. Przewodnicząca obiecała, że sprawie tej poświęci się więcej uwagi, i podziękowała za inicjatywę.

Należy również wspomnieć – ponieważ wszystkie panie bardzo to przeżyły – że pani Maj Kristoffersen po wygłoszeniu swojego apelu źle się poczuła i zemdlała. Na szczęście w domu obecny był mąż gospodyni, doktor Lund. Niezwłocznie pospieszył z pomocą i stwierdził, że pani Kristoffersen na szczęście nie doznała zawału, wylewu ani czegoś jeszcze gorszego, a jedynie przeszła załamanie nerwowe, wywołane najprawdopodobniej silnymi przeżyciami trwającymi przez dłuższy czas. Jej życiu nie zagrażało niebezpieczeństwo, dlatego nie było potrzeby wzywania karetki. Kiedy pani Kristoffersen doszła do siebie, uznała najwyraźniej za stosowne wyjaśnić, czy też wytłumaczyć się z tego, co się stało, chociaż wcale nie było to konieczne. Wszystkie przecież mamy

świadomość obciążeń na co dzień spoczywających na kobietach. Pani Kristoffersen jednak nalegała. Okazało się, że jej mąż, Ewald Kristoffersen, zapadł na raka i nie ma dla niego nadziei. Sugerowałyśmy, aby na pewien czas zrezygnowała z funkcji skarbniczki, lecz pani Kristoffersen odniosła się do tego negatywnie. Doktor Lund poparł jej stanowisko. Cytując jego słowa: kiedy życie pokazuje się ze swojej najtrudniejszej strony, jak podczas wojny czy choroby, ważne jest, aby toczyło się w miarę możliwości zwykłym torem.

Sama kilkakrotnie wskazywałam, że uwagi osobiste i prywatne są nie na miejscu w protokołach z zebrań, ale tym razem czynię wyjątek, ponieważ ten incydent bardzo wyraźnie pokazuje ofiarność, lojalność i siłę kobiet z Czerwonego Krzyża.

TRAMPOLINY

Bjørn Stranger siedzi z tyłu w taksówce, która zaparkowała na Sporveisgata zaraz za kościołem Fagerborg. Widzi stąd nadchodzących gości. Nie jest ich wielu. Rozpoznaje kilkoro klientów antykwariatu, bibliofili, staruszków z kurzem we włosach. Nie widać żadnego kolegi ani żadnej koleżanki matki, aktorów. Tego by jeszcze brakowało. Bjørna Strangera to cieszy. Większości przybywających w ogóle nie rozpoznaje, to najprawdopodobniej ludzie z malutkiego kręgu znajomych jego nowej macochy. Bjørn o mało nie wybucha głośnym śmiechem. Jego nowa macocha! Taksówkarz na moment się odwraca, ale nic nie mówi. Opuszcza tylko szybę po swojej stronie. Słońce stoi wysoko, na pewno jest około dwudziestu stopni. Delikatny zielony welon na drzewach w Stensparken zaczyna nabierać kształtów. Matki prowadzą wózki przez trawę wąskimi ścieżkami, a stojący w pewnej odległości ojcowie palą papierosy. Na ławce siedzą dwie dziewczyny w lekkich sukienkach i się śmieją. Kilku młodych chłopców, rozbawionych i niecierpliwych, zmierza w stronę miasta. Machają do dziewcząt i coś wołają. Dziewczyny wciąż się śmieją i siedzą z zamkniętymi oczami. Sobotnie przedpołudnie. Jest czego zazdrościć. Bjørn Stranger poprawia krawat, przeciąga palcem po lewym bucie i przeczesuje włosy. Zauważa jasne kępki, które zostają na grzebieniu. Kościelne dzwony zaczynają bić. To dźwięk niepasujący do tego światła. Przepędza ptaki. Bjørn płaci taksówkarzowi, dorzuca dodatkowy banknot i wysiada. Widzi, że kościelny zamyka drzwi. Bjørn Stranger myśli: na szczęście przyszedłem niestety za późno. Mimo wszystko idzie pod górę. Kościelny mu otwiera. Bjørn znajduje wolne miejsce w ostatnim rzędzie. O wolne miejsce nietrudno, ale nikt nie bardzo wie, gdzie powinien usiąść w prawie pustym kościele. Bjørn Stranger jest bliski śmiechu. Nie mają wstydu. Powinni brać ślub w jakimś schowku. Siedzą przy ołtarzu, razem z drużbami. Rozpoznaje ich, to ci ludzie z cmentarza, w każdym razie kobieta. Niewykluczone, że mężczyzna

jest inny. Ten wygląda jak kościotrup. W zasadzie to nawet pasuje. Drużba ojczyma jest duchem. Jakiś chłopiec w trzecim rzędzie się odwraca. Głowę ma przekrzywioną, policzek opiera o dłoń i patrzy na Bjørna Strangera spojrzeniem bez wyrazu, rozpływającym się w pomieszaniu lęku i obojętności. To ten mały, którego Bjørn uratował, Jostein, ten, któremu – jak mówili – ocalił życie. W tej samej chwili rozlega się dźwięk organów i z bocznych drzwi wyłania się pastor. Wszyscy wstają. Bjørn Stranger też się podnosi, pochyla głowę i czym prędzej wychodzi z kościoła. Słońce go oślepia. Unosi rękę, szukając cienia. Dziewczyny ciągle siedzą na ławce. Palą na spółkę papierosa, słyszy ich śmiech. Machają do niego. Bjørn schodzi na dół do szaletu, staje pod ścianą przy rynnie pisuaru, rozpina spodnie i sika. Teraz może się głośno śmiać. Olewa ich. Zamyka oczy i ich olewa. Wspaniałe uczucie. Ma ochotę się rozpłakać. Wchodzi jakiś mężczyzna. Jest w beżowym płaszczu. Stoi odwrócony tyłem. Pachnie wodą po goleniu, chłodnym zapachem, który tłumi smród starego moczu. Bjørn Stranger kończy. Chętnie stałby tu i sikał aż do wieczora.

– Musisz uważać na włosy.

Bjørn Stranger odwraca się i od razu to widzi. To jeden z nich. Mają wiele imion, wszystkie do siebie podobne: pedał, ciota, ciul, parówa.

– Na włosy?

– Nie powinieneś używać mokrego grzebienia. Bo wyjdzie ci jeszcze więcej.

– Dziękuję za informację, nie wiedziałem.

Ciota robi krok do przodu, rozpina płaszcz i ostrożnie kładzie rękę na ramieniu Bjørna, ani na chwilę nie podnosząc wzroku.

– Uciekłeś ze ślubu?

– Można tak powiedzieć. Okazało się, że to jednak nie dla mnie.

Śmieją się obaj. Pederasta, mężczyzna w średnim wieku, bardzo blady – może używa jakiegoś pudru – zbiera się na odwagę i na próbę przesuwa dłonią po biodrze Bjørna Strangera, który mu na to pozwala. To dziwne uczucie, intymne i odrażające, a mimo to kuszące, kojarzące się z przekraczaniem granic. Bjørn czuje palce rozpinające klamrę paska i górny guzik spodni. Właśnie w tym momencie on wkłada jej

obrączkę na palec, myśli Bjørn Stranger. Z całej siły wbija łokieć w szczękę mężczyzny. Słyszy trzask. Tamten osuwa się na wilgotną podłogę i charczy. Bjørn stoi nad nim. Pedał patrzy w górę, z ust leci mu krew, język ma przecięty, kilka zębów się poluzowało. Ale spojrzenie ciągle ma łagodne, poszukujące, ból jeszcze tam nie dotarł. Wzrok tej wypindrzonej cioty nadal uwodzi. Zajście jest tylko przerywnikiem, nieporozumieniem. Wkrótce wrócą do punktu, w którym przerwali. Wkrótce będzie klęczał i obciągał temu młodemu chłopakowi, wszystko naprawi. Pod cienkim materiałem spodni Bjørn dostrzega nabrzmiały członek. Kopie mężczyznę w krocze. Potem jeszcze raz. Ból dociera już do oczu tamtego, ale objawia się wyłącznie w postaci smutku. Bjørn Stranger jeszcze bardziej się wścieka, depcze po nim. Znów słyszy kościelne dzwony. Dziwne: ten mroczny odgłos sprawia, że wszystko cichnie. Bjørn Stranger zostawia mężczyznę, pospiesznie idzie do filii banku Creditkassen na Thereses gate i zdąża jeszcze podjąć pieniądze z konta, które matka, Ragnhild Stranger, nie Hall, założyła dla niego na rok przed śmiercią, kiedy zaczął studiować. Prosi również o pięćset koron w duńskiej walucie. Kasjer długo studiuje jego paszport. Potem Bjørn Stranger idzie do restauracji Rosenborg, naprzeciwko kina, znajduje wolny stolik i zamawia kawę, szklankę wody oraz kanapkę z krewetkami. Kelner patrzy na niego, chwilę się waha, ale w końcu kiwa głową i zapisuje to proste zamówienie w swoim bloczku. Bjørn Stranger idzie do toalety, przegląda się w lustrze, widzi plamki krwi na koszuli. Próbuje sprać je kawałkiem mydła. Włosy zwisają nieporządnie, zaniedbane i rzadkie, zakola wcinają się głęboko. Co ten ciul powiedział? Nigdy nie używaj mokrego grzebienia. Bjørn czesze się ostrożnie. Na butach też ma krew. Zmywa ją kawałkiem papieru toaletowego. Kiedy wraca do stolika, leży tam kanapka i stoi kawa, ale nie ma wody. Znów przywołuje kelnera, który podchodzi dopiero po pewnym czasie. Bjørn pyta, czy może dostać kartkę z jego bloczka. Kelner urywa kawałek papieru i rzuca na obrus. I długopis, dodaje Bjørn Stranger. A może jeszcze maszynę do pisania? Tylko Bjørn Stranger się z tego śmieje. Kelner wręcza mu ołówek i odchodzi od stolika. Serwuje piwo i portwajn przedpołudniowym gościom. Spóźnione śniadanie w Oslo. Restauracja Rosenborg jest pełna drżących dłoni. Bjørn pije kawę, zimną. Nie ma apetytu, więc nie rusza kanapki. Majonez pokrył

się ciemną błoną. Krewetki są prawie szare. Bjørnowi Strangerowi nie drży ręka. Pisze przemowę. Długo o niej rozmyślał. Jeszcze nie jest za późno. *Każdy kiedyś nadgryzł jabłko, a potem je zostawił.* Kiedy kończy, znów przywołuje kelnera i prosi o rachunek. Kelner zerka na nietkniętą kanapkę. Przypuszczalnie będzie mógł ją sprzedać jeszcze raz, jeśli ktoś niedługo zamówi to samo. Bjørn daje mu większy napiwek, niż musi. Przynajmniej tyle jest winien kelnerowi. Chciałby okazać dobrą wolę. Patrzy na zegarek. Daje im jeszcze trochę czasu. Teraz kroją tort. Teraz wznoszą toast. Myśli: nie powinno do tego dojść. W końcu rusza w dół po schodach, po drodze musi się zatrzymać na stopniu i wcisnąć w ścianę, żeby przepuścić rozbawioną gromadę, która idzie na górę. Do cukierni Sim. Solberga jest niedaleko. Gdy Bjørn się tam zbliża, traci odwagę. Na ulicach tej soboty jest dużo ludzi, chyba to pierwszy wiosenny dzień w roku. Nikt nie zwraca uwagi, że młody jasnowłosy mężczyzna, elegancko ubrany, ale poza tym pod każdym względem zwyczajny, nagle się zatrzymuje, żeby złapać oddech. To tylko jeden z wielu ruchów, których się nie rejestruje, nie księguje, które po prostu wpisują się w choreografię miasta, w pozorny chaos, mimo wszystko jednak sensowny, nieprzewidywalny i ukierunkowany. Ale Bjørn Stranger traci odwagę. Cały on. Bjørn ma plany, które odkłada na później. Marzenia, z których nic nie wychodzi. Bjørn rezygnuje. Uraza to jedyna rzecz, jaka jest w stanie przetrwać w Bjørnie Strangerze. Bjørn, stojący dotąd w bezruchu, porusza się wreszcie, potrąca jakiegoś mężczyznę, zapomina przeprosić, idzie dalej przez skrzyżowanie i znów się zatrzymuje, tym razem przed witryną cukierni Sim. Solberga. Widzi ich w sali bankietowej wychodzącej na tyły budynku. Kelner nalewa wina nielicznym gościom. Państwo młodzi siedzą u szczytu stołu. Bjørn Stranger nie ma już z nimi nic wspólnego. Ma tylko tę przemowę. Pani Vik, czy raczej pani Hall, bo pewnie ona też się teraz tak nazywa, odwraca się i napotyka jego spojrzenie. Mówi coś do Olafa Halla, wstaje i zamiast iść do toalety w podziemiach, wychodzi do Bjørna. Na szczęście nie jest w bieli. Widocznie mają jednak trochę wstydu. Pani Vik ma na sobie długą zieloną suknię, bardziej pasującą do pory roku niż do okazji. Bjørn odsuwa się od witryny. Pani Vik zatrzymuje się przed nim.

– Nie wejdziesz do środka?

– Nie, dziękuję, nie mam czasu. Ja…

Nie kończy zdania i odwraca głowę. Jest w prążkowanym szarym garniturze. Ubrał się elegancko. Zamierzał przyjść. Pani Vik ostrożnie kładzie mu rękę na ramieniu.

– Tobie się to nie podoba, prawda?

– To nie ma znaczenia.

– Owszem, ma. Dla mnie.

– Chciałem tylko życzyć pani całego tego szczęścia, jakie może panią spotkać.

Panią Vik – nie potrafi jeszcze myśleć o sobie inaczej – dziwią te słowa. Wydają się takie formalne, niemal groźne.

– Chciałeś chyba powiedzieć: życzyć wam – mówi.

Bjørn Stranger cofa rękę, ledwie zauważalnie się kłania i szybko mija witrynę cukierni Sim. Solberga. Pani Vik, czy też pani Hall, stoi; ona również jest bezruchem w ruchu miasta, ale bardziej widocznym, bardziej zauważalnym z powodu sukni i łańcucha pereł. Ubrana odświętnie, z taką samą sztywnością – wystroiłaś się jak na jarmark, żartował rano Ewald – wychodzi do niej Maj.

– Czekamy na ciebie – oświadcza.

– Czekacie na mnie?

– Musicie pokroić tort, moja kochana.

Maj się śmieje, ale jej śmiech się urywa, kiedy widzi, jak twarz Margrethe się zmienia, staje się daleka i blada, jak błądzi gdzieś jej wzrok. Maj podchodzi bliżej.

– Coś nie tak?

– O tylu rzeczach nie pomyślałam. O mieszkaniu. Nazwisku. Opinii.

– Och, przestań! Naprawdę. Wszyscy się cieszą z twojego szczęścia.

– Po prostu dałam się porwać.

– Ale czy to nie jest trochę przyjemne?

Margrethe wyjmuje chusteczkę.

– Może przez jakiś czas.

Maj się odwraca i widzi to samo, co Margrethe. Bjørn Stranger, pasierb Olafa Halla – czy teraz będzie również pasierbem Margrethe? – znika za rogiem przy Parkveien. Dobrze, że nie obejrzał się za siebie, bo jeszcze by tam wrócił. Coś mu się jednak udało. Nikt za nim nie idzie. Bjørn wsiada do jedynej taksówki, która stoi na Riddervolds plass. Prosi kierowcę, żeby pojechał na nabrzeże Filipstad, gdzie cumuje prom do Danii, może jeszcze zdąży. W terminalu portowym kupuje bilet pierwszej klasy. Ekspedient pyta go o bagaż. Bjørn Stranger pokazuje mu paszport. Potem wsiada na pokład promu „Kronprins Olav". Odszukuje kabinę i chwilę siedzi na koi, o niczym nie myśląc. Chociaż nie, coś sobie myśli: ma ochotę kupić motorower. Wkrótce słyszy, jak dzwony na ratuszu wybijają czwartą, i przez moment czuje drżenie pod stopami. Wychodzi na pokład, staje po stronie bakburty. „Kronprins Olav" wypływa z basenu portowego i mija wyspy położone najbliżej stałego lądu – Langholmen oraz Hovedøyen; za latarnią morską Dyna prędkość się zwiększa, promem leciutko kołysze. Nad kilwaterem już zbierają się mewy. Jacyś pasażerowie fotografują żaglówkę, potem siebie nawzajem. Światło nabiera odcienia błękitu. Ten błękit nadciąga od zachodu, od strony wzgórza Kolsåstoppen za plecami Bjørna. Fale uderzają w prawie całkiem zielone pale na przystani przy Nesoddtangen. Bjørn Stranger widzi ich wiejską posiadłość tuż ponad plażą Hornstranden. To posiadłość matki, chociaż ona nie żyje. Nie zdjęto jeszcze okiennic. Widzi domki kąpielowe i schody znikające w wodzie, schody, które nie mają końca. Widzi trampoliny zabetonowane w skałach. Bjørn Stranger widzi głównie trampoliny. Na jednej z nich ląduje mewa, ale trampolina drga i ohydny, wstrętny ptak podrywa się do góry.

W dniu 11 maja posiedzenie zarządu odbyło się u pani Ingrid Arnesen. Obecne były pani Nordklev, pani Lund, pani Arnesen, pani Kristoffersen, pani Larsen i panna Aasland.

Pani Nordklev otrzymała kolejną prośbę o pomoc od Huldy Engen (zobacz poprzedni protokół). Pani Lessund wielokrotnie usiłowała się z nią spotkać, ale bez powodzenia. Pani Lessund podejmie kolejną próbę, mimo wszystko wstępnie

postanowiono udzielić wnioskodawczyni wsparcia w wysokości 50,– koron na opał.

Termofory, również wspomniane w poprzednim protokole, firma Plesner wymieniła na nowe.

Pani Nordklev poinformowała, że zarząd otrzymał kartę z podziękowaniami od Olafa i Margrethe Hallów.

12 maja 1950 r.
Else Larsen

POEZJA

Maj zwęziła mu wszystkie spodnie, chociaż Ewald uważał, że to nie jest konieczne. O wiele prostsze było zrobienie nowych dziurek w pasku. Poza tym Ewald nosi też szelki. Maj nie chce jednak, żeby się tłukł po spodniach jak po pustej beczce. Ewald nie ma nic przeciwko skojarzeniom z beczką. Poczuł, jak bardzo kocha Maj, kiedy powiedziała o tej beczce. Zrozumiał, że ona zwęża te spodnie nie tylko ze względu na niego, lecz również z uwagi na siebie. Nie chce chodzić pod rękę z beczką. Schodzą właśnie z zamkowego wzgórza. Jesper idzie tuż za nimi. Pani Nordklev z sąsiedniej kamienicy pilnuje Stine. Jest sobota, dwudziesty maja, ratusz otwarto dla publiczności. Wzdłuż całej Karl Johans gate wiszą jeszcze norweskie flagi. Ewald i Maj mijają knajpę Pernille, gdzie kelnerki roznoszą tace z pieniącym się piwem, i okrążają Teatr Narodowy. Ibsen i Bjørnson też są odświętnie przystrojeni. Maturzyści ubrali ich w czerwone czapki i szaliki. Na dziedzińcu ratusza ustawiła się kolejka.

– Może pójdziemy coś zjeść? – proponuje Ewald.

Maj patrzy na niego ze zdziwieniem.

– Już jesteś głodny?

– Właściwie nie.

– No to zjemy później. Tak się cieszę. A ty nie?

– Nie lubię stać w kolejce.

Maj ciągle nie kryje zdumienia.

– Nie cieszysz się, że pokażesz mi swoją wystawę?

Ewald bierze Jespera za rękę.

– Mama decyduje – mówi.

Podczas gdy czekają na swoją kolej do wejścia, Ewald Kristoffersen uświadamia sobie, że jest mu wszystko jedno. To go przeraża. Sądził, że sprawa zostanie postawiona na ostrzu noża. Ale tak nie jest. Najpierw

wydawało mu się, że będzie musiał się spieszyć. Nie musi. Nigdzie mu się nie spieszy. Jest mu to obojętne. Przeraża go to, bo nie potrafi tego pojąć. Zostają wpuszczeni do holu. Jest większy niż kościół. Większy niż doki w stoczni, w Zakładach Mechanicznych Aker. Wszyscy zniżają głos albo milkną. Hol został udekorowany dziełami najbardziej znanych rodzimych artystów. Z rozmachem przedstawili motywy z historii narodu i stolicy, od konstytucji do przemysłu, od ognistych wici po linię telegraficzną, od tarczy po krzyż. Na przód wychodzą rybak, robotnik, kowal i drwal, mężczyźni, mieszają się z publicznością, stanowiącą część tej samej historii. Na ścianie przeciwległej do wejścia jest jednak inaczej. Na ten widok Ewald się uśmiecha i chce coś powiedzieć, ale się orientuje, że stoi sam. Nie widzi ani Maj, ani Jespera. Stoi sam w powolnym, wyciszonym strumieniu ludzi, który porusza się wokół niego. Od jak dawna tak stoi? Nie wie. Wreszcie ich dostrzega. Maj i Jesper schodzą po szerokich schodach z galerii balowej. Maj wydaje się rozczarowana, a może raczej zmartwiona, i próbuje to ukryć.

– Gdzieś ty się podziewał?

Ewald się śmieje.

– Nigdzie się nie ruszałem.

– Nie znaleźliśmy twojej wystawy.

– Nic dziwnego. Bo jest tutaj.

Ewald wskazuje ścianę w holu i wiszące na niej największe płótno w mieście, dwadzieścia cztery na dwanaście metrów, na którym Henrik Sørensen bezpośrednio namalował życie codzienne. To, co przeżywa się każdego dnia, zostało odwzorowane w rozmaitych fazach, z zachowaniem rytmu doby i biegu lat. Wszystko po kolei. A w samym centrum znajduje się dziecko, będące nadzieją na przyszłość, ale przede wszystkim jest kobieta – uosobienie i sedno miłości. Prościej nie można tego wyrazić. Ani piękniej. Podchodzą bliżej.

– Rozmawiałeś z Henrikiem Sørensenem? – pyta szeptem Maj.

Ewald wzrusza ramionami.

– A nie rozmawiałem? Może niekoniecznie bezpośrednio z nim, ale szepnąłem słówko czy dwa, komu trzeba.

– To jest wspaniałe. I takie wielkie!

– Mogłoby być jeszcze lepsze. Gdyby mnie posłuchał.

Maj bierze Jespera za rękę, bo robi się niespokojny.

– Nieładne?

Jesper kręci głową. Maj patrzy na niego.

– Nie podoba ci się?

– Nie.

Ewald się uśmiecha. Jemu też nie podoba się to malowidło. Jest sztywne i martwe. Ma w sobie rozmach i nudę. Kobiety na obrazie nie noszą koszy z praniem, tylko aureole. Nie łatają ubrań, tylko ocierają łzy. To podręcznik, biblia na trzystu metrach kwadratowych.

– Któregoś dnia wezmę cię na wieżę, na dzwonnicę – mówi.

Dociera wtedy do niego, że kiedy się umiera, łatwo jest obiecywać. Może obiecywać złote góry. Może obiecywać wszystko. A jeśli nie zdąży dotrzymać obietnicy, to przecież nie jego wina. W pewnej chwili ubrany w liberię pracownik obsługi uderza w gong i w holu zapada cisza. Oczy wszystkich kierują się na kobietę, która ukazuje się na galerii. Wśród zebranych niesie się westchnienie. To aktorka Aase Bye. Czyta wiersz napisany przez poetę Olafa Bulla z okazji wmurowania kamienia węgielnego ratusza, którego nigdy nie zobaczył na własne oczy, bo umarł wkrótce potem, w 1933 roku.

W szarej mgle jesieni i okowach mrozu,
w wdzięcznym słońcu wiosny i w upale lata
czuwa przepotężna budowla w tym mieście
śmiało zwrócona k' czterem stronom świata!

Zrywają się oklaski, które nie mają końca. A kiedy publiczność wychodzi na „wdzięczne słońce wiosny", patrzy na budynek nowymi oczami i nie nazywa go już brązowym kozim serem. Mieszkańcy są z niego dumni. Poecie udało się to, czego nie zdołał osiągnąć architekt. Ratusz należy do nich.

Wracają do domu przez park Zamkowy i nie zatrzymują się, żeby coś zjeść. Na środku skrzyżowania na Majorstua zaparkował samochód

z maturzystami, albo może się zepsuł. Ubrani na czerwono młodzi ludzie stoją na pace i wywijają bambusowymi kijami, zmęczeni, ale pełni radości. Ten widok działa na Ewalda. Ich przesadzona, lecz szczera radość, może nawet szczęście, tworzy głębsze dno w jego obojętności, zamieniając ją w inny, twardszy materiał – nie żal, tylko gniew. Gniew na wszystko, czego nie będzie mu dane przeżyć. Powtarza to sobie w duchu: „wszystko, w czym nie będę uczestniczył". Do kierowcy podchodzi policjant i prosi go, żeby odjechał. Tramwaje muszą jeździć swoją trasą. Nie widać żadnych kwaśnych min. Dobry humor ze wszystkich stron. Życie jest tak lekkie, jak potrafi być tylko w tych nieodpowiedzialnych, pozbawionych wszelkich wymagań momentach między zabawą a egzaminem. Maj idzie szybko w górę Kirkeveien. Ewald i Jesper z trudem dotrzymują jej kroku. Stine śpi w wózku na podwórzu. Pani Nordklev siedzi obok na ławce i robi na drutach.

– Nie widziałam grzeczniejszego dziecka – mówi.

Maj jest uradowana i dumna.

– Przynajmniej daje nam pospać.

Wyjmuje Stine z wózka i bierze na ręce. Pani Nordklev wstaje i odkładając robótkę do koszyka, pyta ściszonym głosem:

– Jak on się czuje?

– Wykorzystujemy każdy dzień.

– Mam nadzieję, że będzie ich dużo.

– Tak. Dużo. Jeszcze dużo.

Słyszą trzaśnięcie bramy, na podwórze wchodzą Ewald i Jesper. Pani Nordklev nie może się przyzwyczaić do widoku tego wychudzonego mężczyzny, który jeszcze tak niedawno był okrągły i żartował dosłownie ze wszystkiego. Maj pozwala mu wziąć Stine na ręce. Ewald kołysze ją spokojnie. Mała otwiera oczy i się uśmiecha.

– Miło było w ratuszu? – pyta pani Nordklev.

– Nie – odpowiada Jesper.

Maj się śmieje.

– On tylko się tak wygłupia. Naprawdę ciesz się, że to zobaczysz.

Pani Nordklev kiwa głową.

– Już tam byliśmy. Na oficjalnym otwarciu. I wiesz co, Maj?

– Nie wiem, powiedz.

– Widziałam, jak żona następcy tronu, księżna Märtha, tańczyła ze Stokkem. Z Hallvardem Stokkem, burmistrzem, no wiecie.

– Jak była ubrana?

– W długą jedwabną suknię. Miała diadem. No i prześliczne kolczyki. Nie jest pięknością, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ale wyglądała naprawdę świetnie.

– Jeśli się ma takie środki, to nawet strach na wróble może stroszyć piórka.

– Strach na wróble to nie moje słowa, Maj.

– Wiem, paskudnie powiedziałam. Fuj!

Obie się śmieją. Ewald niesie Stine w stronę kuchennych schodów, a Jesper z wózkiem depcze mu po piętach. Pani Nordklev patrzy na nich i nachyla się do Maj.

– Myślisz, że Jesper mógłby nam zagrać na następnym zebraniu?

– Nie wiem. Chyba jeszcze tyle nie umie.

– Nic nie szkodzi. Może być coś prostego. Byłoby bardzo miło.

– Mogę go spytać.

– To musi być przed wakacjami.

– A wiesz, kogo my widzieliśmy? Aase Bye. Czytała fragment wiersza Olafa Bulla. Była cudowna.

Pani Nordklev patrzy w okna na drugim piętrze, w których zdjęto zasłony.

– Tak, Aase Bye czytała też na otwarciu. I wiesz, co sobie pomyślałam? Że na jej miejscu równie dobrze mogła być Ragnhild Stranger. Gdyby nie odebrała sobie życia w taki sposób.

Maj milczy przez chwilę, po czym dziękuje pani Nordklev za pomoc, zabiera z wózka kołdrę z poduszką i idzie na górę. Ewald i Jesper czekają na nią w kuchni. Stine płacze, a oni nie wiedzą, co robić.

– Naprawdę udało ci się wyrwać ze szponów tej jędzy? – pyta Ewald.

Maj daje Stine ciepłe mleko i kaszkę, mała wkrótce cichnie i znów jest grzeczna.

– Nie powinieneś tak mówić o pani Nordklev. Bardzo nam pomaga.

Ewald prycha i składa ukłon.

– Tak, tak, bardzo cię przepraszam. To miłosierna samarytanka z dołeczkami od uśmiechu w kolanach.

– Cicho bądź! Dlaczego jesteś taki zły?

– „Żona następcy tronu tańczyła ze Stokkem, burmistrzem, no wiecie". Cholera, wydaje jej się, że nie wiem, kto jest burmistrzem, czy co?

– Wcale nie miała tego na myśli.

– Ściskałem rękę Stokkemu, b u r m i s t r z o w i.

– Ty chyba też musisz coś zjeść.

Maj wciska mu łyżkę do ust, a Ewald siorbie, połyka pozbawioną smaku kaszkę i od razu łagodnieje. Umierający mężczyzna jedynie na chwilę dał upust swojej złości i znów jest obojętny. Jesper nie ma siły na to patrzeć. Najchętniej odszedłby stąd, i to jak najdalej, ale ciągle siedzi i patrzy w sufit. Maj i Ewald też tam patrzą. Cisza nagle się zmienia. Piętra wstrzymują oddech. Maj kładzie Stine w sypialni i we troje idą kuchennymi schodami na górę. Drzwi są otwarte. Maj na wszelki wypadek puka. Nikt nie odpowiada. Wchodzą do środka. Mieszkanie jest puste. Kiedyś było takie przytulne i zadbane, teraz nagle wydaje się opustoszałe i zapuszczone. Na ścianach widać ślady po obrazach. W kilku miejscach tapeta się wybrzuszyła, mało brakuje, żeby pękła. W kątach, wcześniej zasłoniętych kuchenką, lodówką i sekretarzykami, obluzowały się listwy, chmury kurzu wznoszą się i opadają w świetle, które również wkrótce opuści te pokoje. Z dziur w suficie sterczą kable. Wszystko się ujawnia. Jesper jest bliski płaczu. Nie dlatego, że tęskni za panią Vik, ale myśli o Ewaldzie, o ojcu, i za nim już tęskni. Nagle czuje zapach tytoniu, tytoniu fajkowego, to jedyne, co kojarzy się tu z człowiekiem. Idą dalej przez pokój kredensowy i zatrzymują się. W salonie ciągle stoi fotel, ostatni mebel w całym mieszkaniu, nasiąknięty dymem fotel weterynarza Vika.

Jesper musi siku. Maj załamuje ręce. Nie mógłby się jeszcze chwilę powstrzymać? Ale Jesper musi. A skoro musi, to musi. Biegnie do łazienki. Tam też jest pusto. Został tylko sedes. Czy sedes także jest meblem? Człowiek nie zabiera ze sobą sedesu, kiedy się wyprowadza? Jeśli Jesper kiedykolwiek będzie się przeprowadzał, na pewno weźmie sedes. Sedes to pierwsza rzecz, jaką ze sobą zabierze. Otwiera klapę i sika długo. Teraz to on się opróżnia. Wypływają z niego siki. To cudowne. Woda w muszli powoli zabarwia się na żółto, początkowo jest jasna, potem coraz bardziej ciemnieje, aż w końcu robi się prawie brązowa. Jesper strzepuje ostatnie krople, zapina rozporek i chce spuścić wodę. Ale nic się nie dzieje. Powtarza ruch jeszcze raz, ciągnie za sznurek zwisający z rezerwuaru pod sufitem, ale rezultat jest dokładnie taki sam. Nic się nie dzieje. Jego siki zostają w muszli. Jesper uważa, że to głupie. Czuje się nieswojo. Jego siki mają zostać na zawsze w mieszkaniu pani Vik? Czym prędzej wraca do salonu. Ewald właśnie zamierza usiąść w fotelu. Wtedy dzwoni telefon. Ale aparatu nigdzie nie widać. Maj bierze Ewalda za rękę. To prawie straszne. Czyżby Margrethe zapomniała o swoim telefonie? Albo gdzieś go schowała, na wszelki wypadek? Gdzie to może być? Tu nie ma żadnych schowków. Ewald też się denerwuje. Przecież weszli tu bez pozwolenia. Wdarli się. Czują się tak, jakby ktoś przyłapał ich na gorącym uczynku. Maj jeszcze raz zagląda do holu, tam gdzie kiedyś stał telefon. Nie stoi. Ale przecież nie może stać gdziekolwiek. Ma swoje miejsce przy gniazdku. Inaczej by nie mógł dzwonić. Telefon nie dzwoni ot, tak. Ewald wciąż się rozgląda. Jesper nie może się już powstrzymać.

– To do nas – mówi.

Maj i Ewald się odwracają. Jesper wskazuje na podłogę. To w ich salonie dzwoni. To do nich. Ewald czym prędzej schodzi na dół i jeszcze zdąża odebrać. Dzwonią z urzędu telekomunikacji. Chcą tylko spytać, czy Ewald Kristoffersen życzy sobie, aby znaleźć się w książce telefonicznej. Ewald Kristoffersen koniecznie musi się w niej znaleźć. Maj słyszy, jak Ewald to mówi, głośno i wyraźnie. A potem dostrzega, że coś wystaje ze szpary między deskami w sypialni. To ślubna obrączka pani Vik. Maj zabiera ją ze sobą i popycha Jespera z powrotem do kuchni, z przerażeniem myśląc o tym, jaka tu jest akustyka.

Posiedzenie zarządu 14 czerwca odbyło się u Maj Kristoffersen. Obecne były pani przewodnicząca Nordklev, pani Arnesen, pani Larsen, panna Aasland i pani Kristoffersen.

Pani Nordklev poinformowała, że 7 czerwca reprezentowała Oddział Fagerborg Czerwonego Krzyża podczas odsłonięcia pomnika Franklina D. Roosevelta przy restauracji Skansen przez panią Eleanor Roosevelt i ambasadora amerykańskiego.

W związku z jesiennym kiermaszem pani Nordklev poinformowała również, że Olaf Hall przekazał na loterię większość wyposażenia mieszkania pani Hall, dawniej pani Vik. Wiążą się z tym jednakże problemy, ponieważ nie jest rzeczą zwyczajną losowanie tak dużych przedmiotów jak meble. Pani Arnesen i panna Aasland uznały, że zarząd powinien odmówić przyjęcia daru. Pani Nordklev zaproponowała, aby najpierw naradzić się z zarządem Okręgu Oslo Czerwonego Krzyża, a następnie ewentualnie dokonać wyboru sprzętów. Może ktoś zechce zabrać całe wyposażenie do jakiejś innej części kraju.

W nawiązaniu do kiermaszu pani Larsen poinformowała, że budzik kupiony z przeznaczeniem na wygraną w loterii okazał się zepsuty. Zostanie zastąpiony innymi fantami, ewentualnie lalką oraz nylonowymi pończochami.

Na zakończenie tego ostatniego przed wakacjami posiedzenia zarządu Jesper, syn naszej skarbnik, pani Kristoffersen, miał dla nas zagrać na pianinie. Niestety, nie doszło do tego, bo ledwie uderzył w pierwszy klawisz, jego młodsza siostra się rozpłakała. Pani Kristoffersen postanowiła zatem odwołać koncert i doszła do wniosku, że lepiej złożyć wizytę małej Stine. Dziewczynka była całkiem spokojna, kiedy kolejno po cichutku wchodziłyśmy do sypialni. Panie były zachwycone.

Teraz musimy zbierać siły do pracy jesienią.

TABLICA

Maj i Ewald Kristoffersenowie czekają przed klasą, gdzie kazano im się stawić. Jest sobota, nie tylko po lekcjach, ale po całym roku szkolnym. Ubrali się elegancko. Chcą zrobić dobre wrażenie. Ewald i tak jest nie w humorze. Maj mogła przyjść sama i załatwić sprawę. On nie ma nic do powiedzenia. Ale chciała, żeby jej towarzyszył. W końcu to on odebrał telefon od pana Løkkego, który wreszcie otwiera drzwi, wita się z nimi uściskiem dłoni i wpuszcza ich do środka. Na tablicy uczniowie napisali wzdłuż i wszerz, małymi i dużymi literami: *Wesołych wakacji!* Pan Løkke ustawił trzy krzesła przed katedrą, aby – jeśli można tak powiedzieć – siedzieli na równej stopie. Jeszcze tego brakowało, żeby zapalił świeczkę, mówi sobie w duchu Ewald i od razu przystępuje do rzeczy, co również jest przejawem jego zobojętnienia.

– Czy Jesper znów zrobił coś złego?

Pan Løkke patrzy na niego.

– Znów?

– Myślę o tych znaczkach świątecznych.

Pan Løkke chce coś powiedzieć, ale Maj go uprzedza:

– Jesper nie miał z tym nic wspólnego.

Ewald próbuje policzyć, ile osób napisało na tablicy *Wesołych wakacji*.

– Czy w klasie jest dwudziestu siedmiu uczniów? – pyta.

Pan Løkke kładzie sobie dziennik na kolanach i podnosi wzrok.

– Tak. Było nas dwudziestu ośmiu. Przed odejściem Josteina.

Maj śmieje się cicho.

– A mnie się czasami wydaje, że jedno dziecko to więcej niż dość.

– Dwoje – poprawia ją Ewald.

Wtedy Maj się odcina:

– Troje.

Pan Løkke też się śmieje i patrzy na Ewalda, który nie może tego dłużej wytrzymać.

– Jesperowi nie brakuje zdolności – oświadcza.

– Nie, nie, nie brakuje. Przeciwnie, Jesper jest bardzo zdolny.

– Sama słyszysz, Maj. To dlaczego tu jesteśmy?

– Bo chciałbym mimo wszystko z państwem porozmawiać.

– Skoro ani nie zrobił nic złego, ani nie brakuje mu zdolności, to chyba możemy stwierdzić, że ta rozmowa będzie krótka.

Pan Løkke odwraca się do Maj. Jest zakłopotana i zła. Powinna była posłuchać Ewalda i przyjść tu sama.

– Jesper to dobry chłopiec – mówi.

Ewald już, już wstaje.

– Oczywiście, że to dobry chłopiec! On…

– Pozwól panu Løkkemu powiedzieć to, co ma do powiedzenia, Ewaldzie!

Ewald nie rusza się z miejsca, prawie wczepiony w krzesło, ma wrażenie, że zasłużył na wyrzucenie z klasy.

– Przepraszam.

Teraz wstaje pan Løkke.

– Jesperowi nie brakuje zdolności.

Ewald jednak nie może się powstrzymać:

– To już wiemy. Wiemy, że Jesperowi nie brakuje zdolności. Proszę raczej powiedzieć, czego mu brakuje.

– Koncentracji. Jest niespokojny. Jesper…

– A kto nie jest w tym wieku?

Pan Løkke siada z powrotem.

– Jesper przeszkadza całej klasie. Na przykład stale przerywa lekcję, bo musi wyjść do toalety.

Maj podnosi głowę.

– Rzeczywiście często robi siusiu.

– Denerwuje się czymś?

Ewald podnosi rękę.

– Jestem chory, proszę pana. Wkrótce umrę. Jakoś daję radę z tym żyć. Ale Jesperowi jest trudniej.

Pan Løkke potrzebuje czasu na znalezienie właściwych słów.

– Przykro mi to słyszeć, panie Kristoffersen. Naprawdę mi przykro. Ale Jesper był taki już wcześniej.

Przez chwilę nic nie mówią. Ewald myśli: chyba niedługo powinien być dzwonek. Przypomina sobie jednak, że właśnie zaczęły się wakacje i dzwonek odezwie się dopiero jesienią.

Maj pyta, z trudem panując nad głosem:

– Nie chcecie chyba wysłać go do innej szkoły? To nie dlatego my…

Pan Løkke zamyka dziennik.

– Nie, nie, dostanie jeszcze jedną szansę.

– Zaczął grać na pianinie.

Pan Løkke kiwa głową, znów otwiera dziennik i coś zapisuje.

– Na pianinie?

– Muzykę klasyczną.

– To może być dla niego dobre. A gdzie?

– U Enza Zanettiego. Bierze prywatne lekcje.

Ewald wstaje.

– No to powiedzieliśmy sobie już dość, prawda?

Pan Løkke patrzy na niego, ale nie rusza się z krzesła.

– A co Jesper będzie robił latem?

– Myśleliśmy, żeby jakiś czas pobył u dziadków. W Hurdal – odpowiada Maj.

– To brzmi rozsądnie.

– Dlaczego? – pyta Ewald.

– Dlaczego? Bo życie na wsi jest zdrowe. Bo wakacje powinny stanowić odmianę.

Ewald patrzy na Maj i kiwa głową.

– Oczywiście. Wróci do domu tłusty jak obszarnik.

Maj chce opowiedzieć o wizycie u doktora Lunda, o tym, że Jesperowi nic nie dolega, jest po prostu wrażliwy, ale nagle przypomina sobie, że

nie wspomniała o tym Ewaldowi. Pan Løkke wreszcie wstaje, Maj także. Odstawiają krzesła na miejsca, na ławki, do góry nogami, żeby mieć się czym zająć, bo nie bardzo wiedzą, co jeszcze powiedzieć, zanim się pożegnają. Znów podają sobie ręce.

– Jesper tęskni za Josteinem – mówi pan Løkke.

Ewald puszcza jego dłoń.

– Sądzę, że Jostein bardziej tęskni za Jesperem.

– To też możliwe. Jesper był dla niego dużym wsparciem.

– No widzi pan. Ciągle nie rozumiem, po co tu jesteśmy. Chociaż miło się z panem rozmawia.

– Ponieważ chcę, żebyście uważali na Jespera.

Kiedy się żegnają, przychodzi sprzątaczka i ściera tablicę, ściera wszystkie wakacje, dwadzieścia siedem wesołych wakacji, a przed Ewaldem otwiera się nagle lśniąca, czarna płaszczyzna, studnia, w której na dnie leży jesień, czyli nic. Nie odzywa się aż do Majorstua.

– Dobrze poszło – mówi wtedy.

– Tłusty jak obszarnik!

– Chciałem tylko trochę rozluźnić atmosferę.

– No i to ci się udało.

– Pan Løkke nie ma w tyłku propellera, więc wyobrażam sobie, że na jego lekcjach można poczuć niepokój.

Ewald się śmieje. Przechodzą przez ostatnią zebrę. Na rogu Maj się zatrzymuje i mocno chwyta męża za ramię.

– Czy ty nic nie bierzesz na poważnie?

– Biorę.

– To dlaczego nic cię nie obchodzi? Nie martwisz się o Jespera?

– Jak możesz w ogóle tak myśleć?

– Więc okaż to!

– Staram się, Maj. Staram się, jak mogę.

Maj patrzy na Ewalda. W jego oczach wciąż odbija się czarna tablica. Maj wtula czoło w jego pierś.

– Wybacz mi – szepcze.

– Nie musisz tego mówić.

– Ale naprawdę tak myślę.

Ewald kładzie jej rękę na karku.

– Nie odwracaj się, bo Jesper i Jostein stoją przed sklepem rzeźnika.

– Widział nas?

– Nie sądzę.

– Podejdziemy do nich?

– Wydaje mi się, że powinniśmy zostawić ich w spokoju.

Maj mimo wszystko zerka przez ramię, kiedy Ewald ją puszcza, i ruszają dalej, do Jacob Aalls gate, która o tej porze roku jest ładniejszą drogą do domu. Przypuszczalnie zresztą jest ładniejsza o każdej porze roku. Maj widzi, że Jostein też się odwraca i szturcha Jespera.

– To byli twoi rodzice – mówi Jostein.

Jesper patrzy w stronę Majorstua, ale ich nie dostrzega. Kręci głową.

– Kłamiesz.

Jostein śmieje się w ten swój dziwny sposób.

– Mówię prawdę. Stali i się obściskiwali.

Jesper podchodzi o krok bliżej i krzyczy:

– Wcale że nie!

– Nie jestem ślepy. Obściskiwali się na rogu ulicy!

Teraz kolej Jespera na szturchańca. Ale on szturcha mocniej, z inną, większą siłą. Jostein się przewraca, Jesper siada na nim i zaczyna go bić. Rzeźnik Melsom wybiega ze sklepu, rozdziela te dwa koguty i odsuwa je od siebie, trzymając po jednym w garści.

– Jak chcecie się bić, to idźcie gdzie indziej!

– Myśmy się tylko wygłupiali – tłumaczy Jostein.

Rzeźnik patrzy na Jespera.

– W każdym razie macie mi nie odstraszać klientów. Zrozumiano?

Idą więc na Marienlyst i siadają wśród gołębi i ciemno ubranych emerytów. Jest za dziesięć trzecia. Niebo wydaje się puste i gładkie. Nigdzie nie ma cienia, nawet pod drzewami wzdłuż Færdens gate, prowadzącej do kościoła Vestre Aker, przy którym znajduje się

najbardziej stromy cmentarz w Oslo, a może i w całej Skandynawii. Jostein poprawia koszulę. Guzik mu się urwał. To nic strasznego.

– Co będziesz robił latem? – pyta Jesper.

Jostein patrzy przed siebie.

– Oni uważają, że jestem głupi.

Jesper przez chwilę się zastanawia, jak to będzie mieć do końca życia kolegę, który nie słyszy. Szarpie Josteina, ten powoli odwraca się w jego stronę.

– Kto uważa, że jesteś głupi?

– W szkole.

– Dlaczego?

Jostein patrzy na swoje buty, w których sznurówki wystarczają tylko na połowę dziurek. Jest za mało mięsa na sprzedaż. Ludzie ciągle jedzą głównie ryby – tak przynajmniej twierdzi jego ojciec – chociaż woleliby mięso.

– Jadę na kolonie.

– Dokąd?

– Autobusem do Egersund. Z samymi głuchymi. Oprócz kierowcy.

Powstrzymują się, aby nie powiedzieć nic więcej, a Jesper tym razem myśli inaczej: wprost przeciwnie, fajnie by było mieć do końca życia kolegę, z którym nie trzeba cały czas rozmawiać. Ludzie wokół nich poruszają się z określoną prędkością. Donikąd się nie wybierają. Po prostu wyszli z domu. Nagle ze stacji Esso przy Ullevålsveien napływa zapach benzyny. Zaciągają się nim, napawają ostrym smakiem, który w upale wydaje się chłodny, niemal podniecający.

Jesper wychyla się do przodu.

– Ja jadę do dziadków. Mieszkają w miejscowości, która się nazywa Hurdal. Tuż pod lasem. Muszę jechać pociągiem. Oni po mnie wyjdą. Będę rąbał drewno. Dziadek cały czas rąbie. A babcia piecze chleb. Ale wiem, dlaczego tam jadę. Jadę, bo mój ojciec umrze i nie chce, żebym na to patrzył.

Jesper przestaje mówić i przez chwilę siedzi w milczeniu. Kiedy się odwraca, uświadamia sobie, że Jostein kompletnie nic nie słyszał. To

nic. Nic nie szkodzi. Jesper ma przecież słuchać za Josteina.

W dniu 14 sierpnia Oddział Fagerborg Norweskiego Czerwonego Krzyża zajął się na rachunek Misji wśród Ludu Izraela przyjęciem ok. 50 żydowskich dzieci z Niemiec. Poprzedzającego wieczoru osoby pomagające przygotowały kanapki i inne niezbędne rzeczy. Dzieci były w powrotnej drodze do Niemiec.

NIEOBECNOŚĆ

Kiedy pociąg zbliża się do Dworca Wschodniego, Jesper może zajrzeć wprost w okna kamienic stojących wzdłuż torów. Zastanawia się, jak się tym ludziom mieszka. Co kwadrans, może nawet częściej, przejeżdża pociąg i ktoś może cię zobaczyć. Jesper widzi starszą panią, która siedzi sama przy kuchennym stole. Widzi odwróconą tyłem dziewczynę, która czesze włosy. Widzi mężczyznę, który otwiera butelkę, chyba piwo. Jesper widzi ich jedynie w krótkich przebłyskach, w przelocie, ale tyle wystarczy. Te obrazy w nim zostają, a on nie wie, co ma z nimi zrobić. Musi o nich zapomnieć albo przełożyć je na coś innego. Musi przełożyć je na muzykę. Wydaje mu się, że również słyszy tych ludzi, dziewczynę, staruszkę, rozebranego do połowy mężczyznę, westchnienie, śmiech, jęk. Wszystko wokół niego ma jakiś nastrój. Potem słyszy również dzwony na wieży ratusza. Biją cztery razy. Jesper zamyka oczy, spać mu się chce. Przypomina sobie, co obiecał mu ojciec: że wejdą na dzwonnicę. Jesper się boi, ale nie wejścia na wieżę, tylko widoku ojca. Może go nie będzie. Co robią inni, kiedy kogoś nie ma? Co się dzieje, kiedy mnie nie ma? Nie umie sobie tego wyobrazić. Człowiek tak mało pojmuje, to zaledwie kropla w morzu, a nawet mniej. Pozostałe osoby w wagonie natomiast się cieszą. Wakacje się skończyły i ci ludzie się cieszą, że wracają do domu. Kiedy wakacje się zaczynały, cieszyli się, że wyjeżdżają, i nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie wyruszą. To podniecona, prawie nerwowa radość, w każdym razie niecierpliwa. Trzeba zdjąć bagaże z półek, walizki, pudełka, plecaki, pakunki. Pociąg zatrzymuje się w dużej, szarej hali. Jesper nie rusza się z miejsca, dopóki wagon się nie opróżni. Nigdy więcej nie włoży krótkich spodni. Przez komary i pokrzywy. Nigdy nie będzie też nosił kalesonów. Gryzą i kłują. Podchodzi do niego konduktor i z uśmiechem wyjaśnia, że pociąg, niestety, dalej nie jedzie, chyba że chciałby nim wrócić, ale to zupełnie co innego. Jesper wstaje, konduktor pomaga mu zdjąć walizkę, Jesper jednak chce ją nieść sam.

Kilka sekund stoi na stopniu wagonu, niespokojny, wstrzymuje oddech. W końcu wysiada na peron. Matka woła go po imieniu. Jesper się odwraca. Matka biegnie w jego stronę, a ojciec stoi z wózkiem pod wielkim zegarem, który pokazuje teraz osiem minut po czwartej. Matka ściska Jespera ze wszystkich sił, a on się wstydzi i zarazem się z tego cieszy. Równie dobrze to on mógł jej wybiec na spotkanie. Matka bierze jego walizkę, a on jej na to pozwala. Idą wzdłuż peronu, który pachnie smołą, w stronę ojca i Stine. Jesper coraz bardziej zwalnia. Dopiero teraz widzi, jak bardzo ojciec schudł. Zamiast paska mógłby mieć w pasie gumkę recepturkę. Niedługo nic już z niego nie zostanie. Jest zupełnie kimś innym niż ten, od którego Jesper odjeżdżał, a mimo to ciągle jest jego ojcem. Na sąsiedni peron wchodzi gromada dzieci. Są wśród nich zarówno chłopcy, jak i dziewczynki, mniej więcej w wieku Jespera, choć trudno to zauważyć. Te dzieci wydają się inne. Mroczniejsze, cięższe, nie tłuste, tylko cięższe, to jakaś smutna waga, chociaż niektóre się uśmiechają. Jesper się zatrzymuje, matka także. Dzieci mają wsiąść do dłuższego pociągu, zagranicznego. Trzy panie pilnują, żeby wszystkie dzieci zajęły miejsca, jedna z nich macha do matki. To pani Larsen z Oddziału Fagerborg Czerwonego Krzyża w Oslo. Również ten widok z jakiegoś powodu mrozi Jespera, wprawia go niemal w drżenie, widok tych obcych dzieci wsiadających do wielkiego zagranicznego pociągu. Świat jest pełen widoków. Jest ich za dużo. Halę wypełnia metaliczny głos. „Hamburg, odjazd z peronu pierwszego". Jesper chce jednak nieść swoją walizkę. Matka się zgadza. Idą dalej do ojca, który ma zamiar podnieść Jespera razem z walizką, ale nie daje rady. To był jednak kiepski pomysł. Ewald się śmieje.

– Masz w tej walizce drewno?

– Nie, same ubrania. I kilka czasopism.

– No to musieli cię tam utuczyć. Czy na śniadanie była kaszka na kwaśnej śmietanie?

– Chleb.

– Domowej roboty, no tak. Pewnie z dżemem, wyobrażam sobie. A ja tu pościłem o ługu i wodzie. Widzisz, jak wyprzystojniałem?

Jesper kręci głową, odchodzi na bok i zagląda do wózka. Stine niedługo będzie większa od ojca. I nagle przez moment, również ulotny,

Jesper widzi, do kogo jest podobna: do dziadka – ma jego rysy, prosty nos, wąski podbródek – do dziadka, który uczył go tego lata łupać drewno. Stine za moment przestaje być podobna do kogokolwiek, jest tym, kim jest, albo tym, kim będzie. Maj chwyta wózek i patrzy na Ewalda, który z jakiegoś powodu kiwa głową.

– Dziękuję za pocztówkę – mówi.

– Doszła?

– Pod same drzwi. Świetna pocztówka, Jesper.

Wychodzą na plac przed dworcem i wsiadają do tramwaju na Adamstuen. Tramwaj wije się przez miasto, w którym lato jeszcze całkiem się nie skończyło. Nabrało po prostu innej barwy i rytmu. Ludzie szykują się na – jak mawia Maj – włosiennicę i placki owsiane[9]. Jesper na szczęście ani nie widział czegoś takiego, ani nie jadł. Co prawda dziadek, kiedy z rzadka szedł posiedzieć na słońcu, wkładał specjalną koszulę, która mogła być włosiennicą, a przynajmniej ją przypominać. Jesper nie widział też nikogo, kto by popijał ług z zimną wodą. To chyba raczej środek do mycia albo do usuwania grzybicy i brodawek. W każdym razie Jesper nie jest głodny, najadł się na całe życie. Już nigdy nie będzie musiał jeść. Do Kirkeveien jest niedaleko, ale Ewald się wlecze i ciągle muszą robić przerwy, żeby na niego zaczekać. Maj stawia wózek pod schodami i wyjmuje z niego Stine. Na skrzynce pocztowej ciągle widnieje nazwisko pani Vik. Jej mieszkanie wciąż stoi puste. Jest tak, jak w książkach telefonicznych. Zostają nazwiska. Nazwiska są opóźnione. Może ma to jakiś sens. Stwarza okazję do wspomnień. Po wejściu do mieszkania Jesper od razu dostrzega, czy raczej wyczuwa, że coś się zmieniło. Przez chwilę mu się wydaje, że Stine przejęła jego hol, ale jednak dostała kąt w jadalni. Stoi tam teraz łóżeczko ze szczebelkami. Mała nie korzysta już z kołyski w sypialni rodziców. Nie będę mógł grać na pianinie, myśli Jesper. Albo pianino trzeba będzie przestawić. Matka kładzie mu ręce na ramionach.

– Będziesz mógł ćwiczyć, kiedy zechcesz – zapewnia.

Jest jeszcze coś: lodówka. W ich kuchni pojawiła się lodówka. To stara lodówka pani Vik, byłej pani Vik. Jej chłód przeniósł się piętro niżej. Lato i tak minęło. To oznacza zmianę. Jesper czuje się nieprzyjemnie,

nie ma w nim cienia radości, chociaż widzi, że matka się cieszy, bo to ona najbardziej potrzebuje lodówki. Przedtem miała spiżarnię, teraz ma skarbiec. Ale Jesper nie lubi zmian. W ogóle go nie cieszą. Są zapowiedziami. Zapowiadają co innego: ojciec się szykuje. Przygotowuje. Otwiera lodówkę, z której wylewa się zimne światło. Równie szybko ze śmiechem zamyka drzwiczki.

– Zmarzłeś?

Jesper kręci głową.

Przy obiedzie, przy klopsikach rybnych, których Jesper nie może jeść, bo przecież najadł się już na całe życie, musi opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło n a w s i. Ledwie jest w stanie usiedzieć w spokoju i nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

– Wszystko jest na pocztówce – mówi tylko.

Chodzi o Josteina. To do niego ciągnie Jespera. Dlaczego nie przysłał pocztówki? Maj wzdycha i pozwala Jesperowi odejść od stołu. Jesper się zrywa. Wypada na ulicę i pędzi do Josteina. Sklep jest zamknięty, ale w półmroku widzi panią Melsom, matkę Josteina, która liczy kasę. Jesper puka. Pani Melsom podnosi klapę w kontuarze i powoli, wręcz z niechęcią podchodzi do drzwi i otwiera. Ale staje w taki sposób, żeby nie przepuścić Jespera.

– Czy Jostein jest w domu?

– Nie, jeszcze nie wrócił.

– A kiedy wraca?

Pani Melsom patrzy na Jespera i próbuje się uśmiechnąć.

– Ty w każdym razie przyjemnie spędziłeś wakacje.

– Dostał moją pocztówkę?

– Dostanie, kiedy wróci do domu. Miło, że napisałeś, Jesper.

Zamyka drzwi. Jesper stoi jeszcze chwilę, patrząc, jak pani Melsom kolejny raz podnosi klapę w kontuarze i pochodzi do jednej z półek, na której stoi jego pocztówka, oparta o konserwę, i czeka na Josteina. Na powrót do domu Jesper poświęca dużo czasu. Dzień później zaczyna chodzić do drugiej klasy. Pan Løkke napisał na tablicy: *Witajcie!* Ma opaloną twarz, tylko czoło tak samo białe jak dawniej. Czoło, niestety,

musiało zostać w domu i poprawiać klasówki. Uczniowie z trudem zachowują powagę. Ławka Josteina zniknęła. Jesper czuje, że wszystko stało się bardziej niebezpieczne.

Obecne na posiedzeniu zarządu, które odbyło się u pani Lessund dnia 23.08: pani Lessund, pani Foss, pani Kristoffersen, pani Arnesen i panna Aasland.

Wniosek Huldy Engen o wsparcie na zakup drewna został odrzucony z uzasadnieniem, iż wielokrotnie już otrzymywała wsparcie, uznałyśmy zatem, że kolej na inne osoby, być może bardziej potrzebujące. Pani Kristoffersen poinformowała, że jej rodzina ma w drewutni więcej drewna, niż zdoła wykorzystać, więc może je przekazać, gdyby sytuacja Huldy Engen okazała się naprawdę trudna.

Pani Lessund i pani Foss zdały sprawozdanie z wycieczki do Muzeum Ludowego, zorganizowanej dla osób starszych przez Okręg Oslo w dniu 20 czerwca, w której mimo wszystko uczestniczyły przedstawicielki naszego zarządu. Z rejonu Fagerborg w wycieczce wzięło udział 25 osób starszych plus pani Lessund i pani Foss jako opiekunki. Wycieczki nie można uznać za w pełni udaną, dlatego zdecydowałyśmy, że w przyszłym roku nie będziemy uczestniczyć we wspólnym wyjeździe, tylko zorganizujemy własny.

W związku z Tygodniem Czerwonego Krzyża, który w tym roku odbędzie się w dniach 8–23 września, pani Lessund podjęła się przygotowania kiermaszu, natomiast pani Foss zajmie się sprzedażą znaczków. Panna Aasland wyśle kartki do sprzedawców znaczków, którzy pomagali w sprzedaży w ubiegłym roku, z prośbą o pomoc również w roku bieżącym. Przypomniałyśmy o konieczności przeprowadzenia surowych kontroli z uwagi na oszustwo, do którego doszło przy okazji sprzedaży znaczków świątecznych. Uznałyśmy jednak za mało prawdopodobne, aby ktoś ponownie dopuścił się takiego czynu. Pani Kristoffersen zachowa również szczególną czujność przy prowadzeniu rachunków. Doszłyśmy do wniosku, że tym razem nie będziemy mogły uczestniczyć w imprezie organizowanej w parku Studenckim, ponieważ żadna z obecnych członkiń zarządu nie może się podjąć nadzorowania tego projektu.

Zarząd otrzymał zaproszenie na spotkanie informacyjne dotyczące Tygodnia; spotkanie odbędzie się na Munkedamsveien 80 i większość członkiń zarządu zadeklarowała, że weźmie w nim udział.

Oddział Fagerborg Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża pozostawił Komitetowi Wykonawczemu decyzję w sprawie daru Olafa Halla i Margrethe Hall (dawniej Vik) – wyposażenia mieszkania tej ostatniej.

Zdecydowano, że nagrodami w loterii będą:

Lalka z różnymi ubrankami oraz krzesełkiem.

Pończochy nylonowe.

Kołdra puchowa.

2 białe poszwy na kołdrę.

6 łyżeczek do lodów, ewentualnie lampa z abażurem.

REPERACJE

Enzo Zanetti stoi w oknie i ogląda widokówkę. Jest na niej zdjęcie jeziora Hurdal, a w tle szczyt, który nazywa się Mistberget. Kolory są płaskie i wyblakłe, wyłącznie niebieska woda, zielony las i jaśniejsze niebo. Enzo jednak i tak widzi, że to piękny krajobraz. Sam wychował się nad głębokim jeziorem otoczonym lasami i niebem w górze, ale nic na tym zdjęciu mu tego nie przypomina. Bardzo go to dziwi. Czy jeden las może aż tak różnić się od drugiego? Czy niebo i woda mogą być aż tak od siebie odmienne, podobnie jak dwa kraje, które przecież leżą na tym samym kontynencie? Wreszcie zaczyna rozumieć, na czym polega różnica. Na zdjęciu nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie ma żadnego domu. Wśród całej tej natury nie ma człowieka ani nawet jego śladu. Nie ma słupów, linii telegraficznych, dróg. Ta kraina jeszcze nie została odkryta. A może Enzo po prostu zapomniał, jak to u niego wyglądało. Ma w sobie pustkę, pokój zamknięty na klucz. Odwraca pocztówkę: *Drogi Enzo Zanetti! Oni nie mają pianina. Pozdrowienia, Jesper*. Chłopiec właśnie wyłania się zza rogu, w ręku niesie płaską teczkę. Wygląda jak malutki urzędnik. Enzo Zanetti wpuszcza go do środka. Jesper nie musi zdejmować butów.

– Kim są o n i? – pyta Enzo.

– To moi dziadkowie.

– Ze strony matki?

– Matki? Tak.

– Kąpałeś się w tym jeziorze?

– Nie.

– To pewnie chodziłeś po lesie?

– Nie.

– No to co robiłeś, Jesper?

– Rąbałem drewno.

– Boże, pokaż palce!

Jesper pokazuje. Palce są całe i zdrowe. Wyjmuje nuty, siada przy fortepianie i zaczyna grać. Ale palce, które przed wakacjami były miękkie i posłuszne, teraz są sztywne i krnąbrne. Enzo Zanetti pozwala mu grać, aż wreszcie stawy, knykcie i opuszki rozmarzają i zaczynają płynąć po gamach. Trwa to pół godziny. Zostały już tylko dwa kwadranse lekcji. Enzo Zanetti chce, żeby położyli się na plecach. Jesper nie pojmuje dlaczego, ale nie protestuje. Kładą się na podłodze i patrzą w sufit.

– Zamknij oczy – mówi Enzo Zanetti.

Jesper zamyka oczy. Przez chwilę jest cicho, chociaż nie całkiem, bo całkiem cicho nie jest nigdy. Świat to nie tylko widoki, lecz również dźwięki, płynące i z zewnątrz, i ze środka – miasto, pulsująca krew, wszystko, bo nie ma zupełnej ciszy. Jesper myśli o Josteinie. Jak cicho jest w nim? Jeśli Jesper ma słuchać za Josteina, to Jostein może czuć ciszę za niego.

– Wyobraź sobie muzykę, Jesper.

Jesper próbuje, ale nie wie, czy mu się to udaje. Leżą tak dobrą chwilę. Jak wygląda muzyka? Jaki ma kształt, okrągły czy kanciasty, płaski czy głęboki? Jest wysoka czy niska? Nagle Jesper ją widzi. Widzi muzykę. To widok, który ujrzał latem. A więc lato nie było całkiem zmarnowane. Ryba w rzece, przepływająca powoli pod drewnianym mostkiem przy jeziorze Vesttjern. Dziadek tłumaczy, że ta ryba to pstrąg, ładny pstrąg, jakieś kilo dwadzieścia. Mówi cicho, żeby go nie spłoszyć. Jesper wychyla się przez balustradę i patrzy w wodę, tak jak teraz, po zamknięciu oczu, na podłodze u nauczyciela gry na fortepianie, Enza Zanettiego. Pstrąg lśni, w niektórych miejscach jest ciemny, w jednym czerwonawy, w innych prawie żółty, w jeszcze innych zielony. Kolory mieszają się ze sobą i zmieniają w odcień, na który nie ma nazwy. Ryba tkwi w rzece zupełnie nieruchoma, opiera się prądowi. Jej ciało z rzadka się wygina. To ryba porusza wodę. Rozlega się dzwonek do drzwi i widok natychmiast znika. Jak Jesper ma wytłumaczyć to, co widział? Enzo Zanetti wstaje, trochę przy tym stęka, zastały i półsenny, wychodzi do przedpokoju i otwiera. Jesper dalej leży, starając się patrzeć za siebie tak daleko, jak tylko się da. To jakaś pani, która ma długie, jasne włosy.

Stoi do góry nogami. Enzo Zanetti też. Świat w tej chwili stanął na głowie. Enzo Zanetti coś tej pani przynosi, białą kurtkę, a może bluzkę. Pani bierze ją od niego i już ma odejść ze spuszczoną głową, chyba że właśnie ją zadziera, przecież wszystko jest odwrócone do góry nogami. Ale zmienia zdanie i wymierza Enzowi Zanettiemu policzek. Jesper słyszy piekący trzask i chwilę później odgłos zamykanych drzwi. Enzo Zanetti wraca, siada przy fortepianie i zaczyna grać, to prosta sonata Beethovena, ale dłonie mu drżą i dźwięki dotykają się w niewłaściwy sposób. Kładzie ręce na kolanach. Tam dalej się trzęsą.

– Zaraz po Schubercie – mówi Enzo Zanetti – zaraz po Schubercie i norweskich parówkach zazdrosne kobiety to coś najgorszego na świecie.

Jesper wstaje, Enzo Zanetti podchodzi do półek i ledwie sobie radzi z nalaniem alkoholu do kieliszka, który opróżnia jednym haustem i napełnia od nowa.

– Wiesz, co teraz robię?

– Pan się reperuje.

– *Anguiferumque caput dura ne laedat harena.*

Jesper nie pyta, co to znaczy, tylko chowa nuty z sonatami Beethovena do teczki. Wybiera drogę przez Industrigata, która prowadzi prosto na Fagerborg. Tego wieczoru nie ma ochoty na żadne okrężne drogi. Widział już dość. Ale ma zobaczyć jeszcze więcej. Na rogu przy Suhms gate stoi ojciec Josteina, rzeźnik, i wali pięścią w drzewo. To brzoza. Pień jest biały i gładki. Liście zaczynają żółknąć. Jesper się zatrzymuje. Ktoś otwiera okno i woła: „To drzewo już dostatecznie skruszało, Melsom!". Ale rzeźnik Melsom dalej w nie wali. Jesper dostrzega w tym więcej rozpaczy niż wściekłości. Podchodzi do pana Melsoma.

– Czy Jostein wrócił do domu?

Rzeźnik się odwraca i patrzy na Jespera pustym, zdziwionym wzrokiem.

– Wrócił wczoraj.

– Wczoraj?

– Tak. Jostein wrócił do domu wczoraj.

– Czy mogę…

Rzeźnik patrzy na swoje zakrwawione knykcie i przerywa mu:

– Co oni zrobili z moim chłopcem – mówi tylko.

Jesper podchodzi o krok bliżej.

– Zrobili mu coś?

– Jostein nie jest głupi.

– Pewnie, że nie.

– Jostein po prostu trochę niedosłyszy.

– Kto mu coś zrobił? – pyta Jesper.

Rzeźnik znów podnosi głowę i teraz rozpacz odnajduje swoją pierwotną formę: wściekłość.

– Na tych przeklętych koloniach. Dręczyli go. Oni… Oni…

Potężny mężczyzna nie jest w stanie powiedzieć nic więcej i opiera się o to samo drzewo, w które przed chwilą walił pięścią. Jesper znów cofa się o krok.

– Mogę go odwiedzić? Nie mogę go odwiedzić?

Rzeźnik kręci głową i nagle się uśmiecha. To niemal jeszcze gorsze: wściekłość, która się uśmiecha.

– Ale wiem, gdzie on mieszka – mówi.

Jesper nie ma pojęcia, kogo pan Melsom ma na myśli, ale woli nie pytać.

– Wie pan?

– Wiem, Jesper. I zaraz złożę mu wizytę.

Rzeźnik Melsom idzie wzdłuż Suhms gate, w dół Norabakken i zagląda do szaletu, gdzie zmywa krew z dłoni. I tak musi to zrobić. Dwóch mężczyzn się odsuwa, zostawiają go w spokoju. Dalej rzeźnik Melsom już się nie zatrzymuje, dopóki nie dociera na Uranienborg Terrasse. Tam odszukuje właściwe nazwisko, Carl Hvidt, wchodzi na drugie piętro, dzwoni do drzwi i zakłada ręce za plecy. Otwiera drobna, pięćdziesięciokilkuletnia kobieta.

– Czy zastałem Carla Hvidta? – pyta Melsom.

– Tak, to mój mąż. O co chodzi?

– Chciałem tylko serdecznie podziękować za lato. Mój syn był na jego koloniach dla niedorozwiniętych.

Kobieta trochę się dziwi, ale go wpuszcza i idzie po męża. Melsom czeka. Może czekać tyle, ile trzeba. Oby tylko nie stracił wściekłości. Nie traci jej. Rozgląda się dookoła. Tyle tu mebli, że prawie nie ma jak się ruszyć. W salonie wisi wenecki żyrandol z zielonymi kulami i listkami. Na kanapie siedzą chłopiec i dziewczynka, czytają książki. Podnoszą oczy, uśmiechają się i dalej przerzucają kartki. Melsom kiwa im głową, nie podoba mu się, że tu są. Przychodzą państwo Hvidtowie. Carl Hvidt jest w niebieskim garniturze z kamizelką. Pali fajkę. Wyciąga rękę. Melsom mimo wszystko ją ściska.

– Carl Hvidt. Czyim pan jest ojcem?

– Josteina. Josteina Melsoma.

– Tak, pamiętam go. Zabawny chłopiec. Pan jest rzeźnikiem, prawda? Albo właścicielem sklepu mięsnego na Kirkeveien?

– Czy mogę pomówić z panem w cztery oczy?

– O co właściwie chodzi?

– Chciałbym, żeby pańska żona i dzieci stąd wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Albo my możemy przejść gdzie indziej.

Carl Hvidt patrzy na Melsoma i ogarnia go niepokój. Niewielki, przejawiający się jedynie mocniejszym zaciśnięciem warg na ustniku fajki.

– Dlaczego?

– Ponieważ mam wzgląd na innych ludzi. W przeciwieństwie do pana.

Żona chce wyjść, ale Carl Hvidt ją powstrzymuje.

– Proszę powiedzieć, co panu leży na sercu, panie Melsom.

Ale serce rzeźnika jest tak ciężkie, że nie ma już więcej słów. Melsom uderza Carla Hvidta w twarz zaciśniętą pięścią. Fajka pęka i upada na podłogę. Żona wydaje z siebie krótki okrzyk. Dzieci podnoszą głowy znad książek. Nie zauważyły, co się stało. Widzą tylko ojca, który przeciąga dłonią pod nosem, pluje krwią i podnosi wzrok.

– To nie było zbyt przyjemne – mówi.

Rzeźnik Melsom wraca do domu, niezadowolony i zawstydzony. Był winien Josteinowi więcej. Powinien uderzyć solidniej. Powinien był włożyć w ten cios również miłość, a nie tylko samą wściekłość. Ellen nie pyta, gdzie był. Ale widzi zakrwawione knykcie na prawej ręce. Przed pójściem spać opatruje mu rany. Nie pyta, co zrobił. W środku nocy Jostein przychodzi do sypialni i kładzie się między rodzicami, tak jak dawniej, kiedy był dzieckiem, dzieckiem, którym już nie jest.

Dzień później rzeźnik Melsom czeka na policję. Nikt nie przychodzi. Pewnie mają inne, pilniejsze sprawy. W filii Spareskillingsbanken na Nedre Slottsgate był napad z usiłowaniem zabójstwa, zmasowane siły policji poszukują sprawców. Ze wszystkich stron słychać policyjne syreny. Następnego dnia Melsom również czeka na próżno. Policja po niego nie przychodzi. Mija tydzień. Później kolejny. To prawie nie do wytrzymania. Życie toczy się swoim torem, jak niektórzy to nazywają, natomiast rzeźnik Melsom stoi w miejscu. Tylko rany na ręce się goją. Codziennie rano widzi Jespera mijającego jego sklep. Jesper odwraca się prędko, ze smutkiem. Tak samo jest, kiedy wraca ze szkoły. Czasami przechodzi tamtędy również wieczorami. Niesie wtedy niedużą, wygniecioną teczkę biurową. W końcu przestaje się pojawiać, a może po prostu wybiera inną drogę. Przychodzą klienci, robią zakupy, rozmawiają o wszystkim i o niczym, o małych i dużych sprawach. To tylko część prowadzonej ściszonymi głosami rozmowy, która wędruje ulicą, zatrzymuje się, wzdycha albo się śmieje. Całe szczęście, że policja złapała tych rabusiów. I to w stodole w Eidsvoll! Tego, że Szwecja pokona Norwegię trzy do jednego w meczu reprezentacji na Stadionie Ullevål, należało się spodziewać. Oprócz norweskiego gola. Co się dzieje w Korei? Będzie wojna? Dzięki Bogu, że to tak daleko. A autobus, który się wywrócił na Klemetsrud? Ilu w nim było pasażerów? Czterdzieścioro ośmioro, a tylko troje zabrało pogotowie. Rzeczywiście anioł stróż nad nimi czuwał. W któryś piątek w sklepie pojawia się pan Løkke. Chciałby dwa antrykoty, jeśli mają. Owszem, pani Melsom ma. Odkrawa dwa ładne kawałki. Tłuszcz w miękkim, czerwonawym mięsie przypomina marmur. Pan Løkke pyta również, jak długo, jej zdaniem, trzeba je trzymać na patelni. Po dwie i pół minuty z każdej strony, wtedy będą dobrze usmażone, ale nie suche. A czy rzeźnik wie, że antrykot

wymawia się z „t” na końcu, a nie bez „t”, jak mówi, niestety, wiele osób, również kelnerzy? Pan Løkke wymawia to głośno, najpierw „antryko”, a następnie poprawnie „antrykot”. Rzeźnik Melsom, który stoi odwrócony plecami i porządkuje półki, tylko kiwa głową. Wie, jak wymawiać nazwy mięsa, które sprzedaje, ale dziękuje za naukę. Pani Melsom pyta, czy pan Løkke będzie miał gościa, a nauczyciel w całej swojej skromności wyjaśnia, że jutro przychodzi do niego na obiad pewna pani, poznał ją w restauracji Regnbuen. W Regnbuen? Tak. Ciche westchnienie. A jak się miewa Jostein? Brakuje im go w klasie. Zwłaszcza Jesper za nim tęskni. Jak mu się wiedzie w tej nowej szkole? Jostein jest teraz w domu, odpowiada pani Melsom, bo rzeźnik ma akurat coś pilnego do załatwienia na zapleczu. Chory jest? To chyba nic poważnego? Dobre do tego są pieczone ziemniaki, mówi pani Melsom, a u Maślanego Petersena za rogiem mają pyszny sos bernaise. To się wymawia „berne”, mówi pan Løkke, bez końcowego „e”, bo to z francuskiego, tak jak antrykot. Wraca rzeźnik Melsom i chętnie otwiera panu Løkkemu drzwi. W „do widzenia” wymawia się wszystkie głoski.

Policja nie przychodzi też ani w sobotę, ani w niedzielę. Na tym polega kara. Rzeźnik Melsom to wie. Karą jest czas oczekiwania. Powinien był uderzyć mocniej, w dodatku dwa razy, wtedy byliby tu już dawno. W poniedziałek nie ma siły dłużej czekać. Chce iść aż na Møllergata pod numer dziewiętnaście, sam zgłosić się na komendę, ale wtedy pani Melsom tupie nogą. Obejmuje męża i patrzy mu w oczy.

– Jestem dumna z tego, co zrobiłeś, rozumiesz?

Rzeźnik Melsom kiwa głową.

– Powinienem był mocniej uderzyć.

– Wyglądało na to, że uderzyłeś dostatecznie mocno.

– Tylko w drzewo.

– A teraz zostawiamy to już za sobą.

– Za sobą? A co z Josteinem?

– On też zostawi to za sobą.

W chwili gdy rzeźnik Melsom chce pocałować żonę w usta, nareszcie uspokojony, ba, wręcz pobłogosławiony, tak to czuje, bo to już koniec,

rozlega się dzwonek do drzwi od zaplecza. Melsom się wzdryga.

– Przyszli! Niech to cholera!

Pani Melsom wychodzi do kuchni i wraca z Jesperem. Chłopiec jak zwykle niesie tę swoją niedużą teczkę i wygląda jak gryzipiórek. Nagle wydaje się rzeźnikowi tak komiczny, że mężczyzna wybucha śmiechem. To Jesper ma go aresztować za pobicie kierownika Carla Hvidta? Melsom nie może przestać się śmiać. Ma wrażenie, że nie śmiał się tak już od miesiąca. Nawet się nie uśmiechnął. W końcu żona musi go powstrzymać. Za dużo tego dobrego.

– Mogę się zobaczyć z Josteinem? – pyta Jesper.

Rzeźnik bierze się w garść, prowadzi Jespera przez pokój i zatrzymuje się przy drzwiach między łazienką a kuchnią. Jesper uświadamia sobie, że nigdy wcześniej nie był u Josteina, tylko w sklepie. Tu na górze też mają telefon. Ale prawie nie ma mebli. Może dlatego, że rzeźnik jest taki wielki i musi mieć dużo miejsca.

– Znów byłeś na lekcji muzyki? – pyta cicho.

– Tak.

– A co grasz?

– Beethovena.

– Nie jest trudny?

– Jest.

Wreszcie rzeźnik puka do drzwi i otwiera je delikatnie. Lampa na biurku się pali. Ale zasłony są zaciągnięte. Jostein siedzi na podłodze i przegląda książkę. Podnosi głowę i się uśmiecha.

– Tylko nie siedźcie za długo – mówi rzeźnik i zamyka drzwi.

Jesper też siada na podłodze, rozgląda się. Pokój Josteina jest większy niż hol. Na ścianach tapeta w zielone listki. Gdyby się nie wiedziało, jak jest naprawdę, można by pomyśleć, że się siedzi w lesie w majowy wieczór, a przecież jest październik. Poza tym stoi tu dużo książek, niektóre grube. Jostein się nie zmienił, odkąd ostatni raz się widzieli, ale Jesper dostrzega różnicę. Zauważył ją od razu. Jostein nie ma żadnej blizny ani siniaka. Nie ma szram po uderzeniach batem ani otwartych

ran. Chodzi o spojrzenie. Jest zwrócone w dół. Kiedy Jostein podnosi wzrok, spojrzenie nigdy nie trafia w cel. Zaraz przyciąga je do siebie.

– Grałeś?

Jesper kiwa głową.

– Co grałeś?

– Beethovena.

– Trudny jest?

– Nie.

Przez chwilę nic nie mówią. Jostein udaje, że czyta książkę. Potem podnosi głowę i znów dzieje się to samo. Spojrzenie nie trafia w cel.

– Wiesz, co się dzieje w Norwegii każdego dnia?– pyta.

– Co?

– Zgadnij.

– Umiera dwadzieścia jeden osób.

– Ile?

– Dwadzieścia jeden! – krzyczy Jesper.

– Nie, pięćdziesiąt dziewięć. A sto siedemdziesiąt trzy się rodzą. Siedemdziesiąt dwie biorą ślub. Trzy przecinek trzy miliona...

– Miliona?

– Co? Tak. Trzy przecinek trzy miliona papierosów się wypala. Zjada się dwadzieścia tysięcy dwieście kilogramów czekolady. Wysyła się pięćset sześćdziesiąt tysięcy listów. W Oslo ląduje trzydzieści dziewięć samolotów. A zgadnij, ile jest rozmów telefonicznych.

– No, mów.

– Jeden przecinek trzy miliona.

– Rzeczywiście dużo.

– Ale dzieje się jeszcze więcej rzeczy.

– Wiesz, jak teraz nazywamy pana Løkkego?

– Co?

– Wiesz, jak nazywamy pana...

– Nie wiem. Jak?

– Pan Lykke[10].

– Dlaczego?

– Bo na każdej ostatniej lekcji możemy grać w dwa ognie.

Potem znów przez jakiś czas nic nie mówią, aż w końcu Jesper pyta:

– Co się stało na tych koloniach?

Jostein się nachyla.

– Nie słyszę, co mówisz.

– Jak było na koloniach? – woła Jesper.

– Ciemno.

– Jak to ciemno?

Jostein opiera się o zieloną ścianę.

– Po prostu ciemno.

– W ciągu dnia też?

– Przez cały czas.

– Mnie możesz powiedzieć.

– Co?

– Przecież mam za ciebie słuchać.

Patrzą na siebie i spojrzenie Josteina wreszcie trafia w cel.

– Zamykali drzwi od zewnątrz.

Jesper wstaje.

– Zadzwoń do mnie – mówi.

Jostein dalej siedzi. Kiedy zamyka oczy, czasami robi się jaśniej. W końcu się podnosi, przechodzi przez pokój stołowy, mija łazienkę i zatrzymuje się przy telefonie. Rodzice stoją w salonie i obserwują syna. Jostein sprawdza numery – te najważniejsze i warte zapamiętania są zapisane w osobnym zeszycie, który leży na książce telefonicznej. Potem dzwoni do informacji i pyta o numer do Jespera Kristoffersena. Pani w informacji nie może znaleźć żadnego Jespera Kristoffersena. Kirkeveien sto dwadzieścia siedem, Oslo trzy, mówi Jostein, przyciskając słuchawkę do ucha. Czy może chodzić o Ewalda Kristoffersena? Pani w informacji odczytuje Josteinowi numer, musi go powtórzyć dwa razy, a Jostein jak najszybciej zapisuje go w zeszycie, bo

to również numer wart zapamiętania. Jostein od razu telefonuje. Odbiera Ewald.

– Słucham, tu mieszkanie Kristoffersenów.

– Mówi Jostein Melsom. Czy mogę rozmawiać z Jesperem Kristoffersenem?

– Jesper jeszcze nie wrócił do domu. Jostein? Miło cię słyszeć. Jak ci się żyje, chłopcze? W dechę? Czy tylko w deseczkę?

– Nie, tu nie pada.

– Naprawdę? No to deszcz musiał przenieść się do nas.

– Mogę mówić z Jesperem? – powtarza Jostein.

– Jespera nie ma. O, właśnie wchodzi. Miałeś szczęście. Zaczekaj chwilę.

Ewald ostrożnie kładzie słuchawkę na stole, odwraca się do Maj, kręci głową i idzie po Jespera, który odwiesza kurtkę w przedpokoju.

– Telefon do ciebie – mówi szeptem.

– Kto?

– Jostein. O rany, ale on już źle słyszy!

Jesper czym prędzej idzie odebrać telefon. Głos Josteina dobiega z daleka.

– Jesper?

– Tak, to ja.

– Nie będziesz za mnie słuchał.

– A co…

– Będziesz dla mnie grał.

– Tak?

– Tylko tyle.

Jostein się rozłącza. Jesper stoi ze słuchawką w ręku. Wreszcie ją odkłada, przynosi teczkę, idzie do salonu i stawia nuty na pianinie. To wciąż sonatiny Beethovena. Zaczyna mu już wychodzić pierwsza, ale go nudzi, z wyjątkiem trzech ostatnich tonów. Stine śpi w łóżeczku ze szczebelkami. Maj się nad nią pochyla. Ewald zapala papierosa, bo to już i tak nie ma żadnego znaczenia, i patrzy na Jespera.

– Czego się nauczyłeś tej jesieni od naszego Włocha?

Jesper zamyka pianino.

– Reperowania.

Posiedzenie zarządu odbyło się u pani Berit Nordklev w dniu 11.12.1950 r. Obecne były: panna Aasland, pani Foss, pani Arnesen, pani Kristoffersen oraz pani Berit Nordklev. Pani Dagny Hoffman, która pragnie znaleźć się w składzie nowego zarządu, zgłosiła chęć pomocy w szykowaniu paczek świątecznych.

Przygotowano 58 paczek ubraniowych, wyłącznie z nowymi rzeczami (dar od Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przydzielony oddziałowi przez kancelarię okręgu). Do każdej paczki dołączono kartkę świąteczną z życzeniami od oddziału.

Ponadto rozdano 10 par butów i 20 paczek z żywnością (o wartości 20 koron każda) plus jedną dodatkową paczkę będącą darem od kupca O. Laachego. Współpraca z rzeźnikiem Melsomem ustała. Decyzję taką podjął Melsom ku wielkiemu żalowi zarządu. Trzy egzemplarze magazynu świątecznego Czerwonego Krzyża otrzymali: Oswald Hansen, przebywający w Szpitalu Ullevål, panna Tillisch oraz pani Tengelsen z domu starców na Rosenborgu. Te dwie panie wraz z panną Else Lange i panią Lie zrobiły na drutach 16 par rękawiczek i skarpet, które dołączono do paczek. Życzenia świąteczne wysłano do panny Lange i pani Lie, do pani Esther Andersen oraz do obu diakonis.

Paczki rozdzielono w sposób następujący: ½ rozdano za pośrednictwem parafii Fagerborg, a ½ za pośrednictwem Biura Opieki Społecznej. Trzy paczki trzem sierotom, Anne, Aase i Inger Hansen, przekazano bezpośrednio.

Pani Hulda Engen, która wcześniej tej jesieni otrzymała drewno, zgłosiła się na dwa dni przed Wigilią i poprosiła o sweter dla siostrzeńca, który pilnie go potrzebuje. Otrzymała 4 motki włóczki, wydziergać ma go już sama.

ZŁODZIEJE

Margrethe Hall budzi się w pustym łóżku. Patrzy na zegarek, który zdjęła z ręki i położyła na nocnym stoliku. Już dziewiąta. Do czego to podobne? Powinna się poderwać i zacząć dzień. Już od dawna powinna działać. Ale co ma robić? Leży jeszcze chwilę, nasłuchuje. To inne dźwięki, obce, inne rzeczy, nienależące do niej. To tramwaj na Frogner plass, a nie trolejbus na Kirkeveien. Nie może się powstrzymać od myśli, że leży w łóżku innej kobiety. Czuje się równie niewdzięczna, jak smutna, i tłumaczy sobie: przynajmniej zmieniłam pościel. To moje prześcieradło. Idzie do łazienki. Jest tam prysznic. Woda płynie letnia i nigdy całkiem się nie nagrzewa. Margrethe jednak się kąpie i przez chwilę marznie. To przyjemne. Olaf nakrył dla niej w kuchni. Nie nawykła do jego śniadań, składających się wyłącznie z owsianki i wody. Wolałaby coś słodkiego. Chociaż troszeczkę. Ale wkrótce pewnie się do tego przyzwyczai, do tego braku słodyczy. Podziwia Olafa. Nastawia kawę i zamyka okno, do tej pory uchylone. Śnieg w ogrodzie nagle wydaje się niebieski. Zanosi dwie filiżanki do antykwariatu. Olaf siedzi przy biurku w głębi i się nie odwraca. Margrethe zatrzymuje się i czeka. Olaf powoli przegląda dużą, cienką książkę. To *Fletnia chińska*, numer 263 z trzystu numerowanych egzemplarzy, sygnowany przez tłumacza, poetę Eugena Franka. Olaf nareszcie ją zdobył. Kartki są suche i cienkie, prawie przezroczyste. Musi pilnować temperatury, żeby nie rozpadły się w proch. Jakaż to przyjemność ją trzymać, jakaż przyjemność mieć ją w rękach. Rozstanie z nią będzie bolesne. Byle komu jej nie sprzeda. *Fletnia chińska* musi trafić do dobrego domu. Już wie, kto ją dostanie. Høegh senior. W okresie międzywojennym jego statki pływały na Wschód, on sam zresztą też. Wzrusza już sama dedykacja: *Mojej Żonie*, opleciona pięknym ornamentem.

– Dzień dobry – mówi Olaf Hall.

– Trochę ten dzień zmarnowałam, już prawie południe.

Olaf się odwraca i widzi Margrethe z filiżankami kawy w obu rękach. Ragnhild nigdy tu nie schodziła. Olaf się śmieje.

– I co z tego? Możesz spać tak długo, jak chcesz.

– Chętnie będę wstawać razem z tobą.

– Ty i Halfdan tak wstawaliście?

Margrethe przez chwilę wydaje się zakłopotana.

– Zastanawiałam się nad czymś.

– Tak?

– Nie moglibyśmy zaprosić Kristoffersenów na święta?

– Chcesz tego?

– Chciałabym zobaczyć małą Stine. I Jespera.

– Sądziłem, że będziemy mieć te święta tylko dla siebie. To nasze pierwsze święta.

Margrethe zdobywa się na uśmiech.

– Masz rację. Taka jestem głupia.

Olaf kładzie *Fletnię chińską* na kolanach.

– Ta kawa chyba już całkiem wystygła.

– Przecież lubisz zimną, prawda?

Olaf znów się śmieje.

– Myślałem głównie o twojej, moja droga.

Margrethe rusza w jego stronę między ciasno ustawionymi półkami i stosami książek. Olafowi się to nie podoba. Nie serwuje się kawy wśród tych delikatnych drogocenności; herbaty także, jeśli chodzi o ścisłość. Może drinka? Ale najwyżej kropelkę koniaku na dnie kieliszka, żeby przypieczętować dobrą transakcję. Nic jednak po sobie nie pokazuje. Jest wyrozumiały. Kocha ją. Margrethe z czasem się nauczy. Użyła dzisiaj perfum, które Olaf tak lubi, choć oczywiście nic nie może się równać z zapachem książek.

– Miałeś jakieś wieści od Bjørna? – pyta Margrethe.

Olaf nie wie, jak to się dzieje. Widzi tylko przewracającą się filiżankę, tę w lewej ręce Margrethe. Usiłuje zapobiec katastrofie, ale jest już za późno. Kawa spływa mu na spodnie, na książkę rozłożoną na kolanach,

suche stronice natychmiast chłoną niemal czarny płyn, litery się rozmazują, mglą, znikają. Olaf wstaje i odsuwa ociekający kawą egzemplarz książki jak najdalej od siebie. Margrethe zasłania twarz rękami, wypuszczając z nich również drugą filiżankę.

– Sparzyłeś się?

Olaf Hall ze zdumienia aż otwiera usta.

– Czy się sparzyłem? Myślisz, że mnie to obchodzi? Naprawdę sądzisz… Ty…

Zastyga, skrzywiony. Margrethe wyjmuje chusteczkę z kieszeni sukienki.

– No powiedz to. Ty idiotko.

Chce go wytrzeć, ale Olaf odpycha ją wolną ręką.

– Nie dotykaj mnie! Bardzo cię proszę. Nie dotykaj!

Margrethe się cofa, klęka, zbiera skorupy filiżanki i spodeczka, cały czas patrząc na Olafa.

– Nie chciałam.

– Oczywiście, że nie chciałaś! Masz mnie za głupca?

– Nie, to ja jestem głupia.

– Nie powtarzaj tego zbyt często, bardzo cię proszę. Boże, wiesz, ile warta jest ta książka?

Margrethe Vik spuszcza głowę, żeby ukryć łzy.

– Ja nic nie wiem.

– No właśnie.

Olaf Hall idzie do drzwi. Margrethe słyszy, że zmienia buty.

– Dokąd idziesz?

– Trochę się ochłodzić.

Drzwi się za nim zatrzaskują, a ona podnosi się powoli, niemal leniwie. Jak ją nazywał na początku? Biletem przesiadkowym? Czy jej czas już minął? Książka leży na podłodze, brudna, zaplamiona. Margrethe podnosi ją delikatnie i kładzie na biurku. Jedna kartka odpadła. Margrethe próbuje umocować ją z powrotem. To na nic. Czyta pierwsze wersy dziewczęcej skargi, pochodzącej *z Szi-King*, zbioru

chińskiej poezji powstałej od dwunastego do siódmego wieku przed Chrystusem.

Proszę cię, o, mój miły, nie chodź naszą wioską.
Nie wspinaj się na wierzbę, której strzegę z troską.
Ja ci miłości mojej darować nie mogę[11].

Potem Margrethe zanosi skorupy na górę do kuchni i wyrzuca je do śmieci. Chciałaby czym prędzej wrócić na dół i umyć podłogę, ale rezygnuje. Nie chce narobić więcej szkód. Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Tak jakby tego nie wiedziała. A może nie ma siły. Nie ma siły zejść w ten zapach, kojarzący się z kulkami na mole i oborą. Stoi przy parapecie, przez chwilę bezsilna i przerażona. Czy on podniósł rękę, żeby ją uderzyć? Nie, to był tylko gest, niefortunny zbieg okoliczności. Nie jest w stanie przypomnieć sobie kolejności zdarzeń: filiżanka, książka, Olaf. Nie, potknęła się, a Olaf podniósł rękę, żeby osłonić siebie i drogocenną książkę. Tak było. A później? Czy później też nie podniósł ręki? Nie, nie myśli jasno. Jest niemądra. To jej wina, ale nie myśli jasno. Margrethe Hall nie ma siły dłużej czekać na Olafa. Szykuje się do wyjścia, ciepło się ubiera, wkłada do torebki dwie karteczki do prezentów i wychodzi. Jest zimno, minus dwanaście. Na ulicach leży twardy, śliski śnieg. Ale jest zaskakująco jasno. Najpierw u Hagena na Bogstadveien kupuje lalkę w sukience i prosi ekspedientkę, żeby ją elegancko zapakowała. U Øyego znajduje mały krawat, niebieski w ukośne paski, i prosi o tę samą usługę. Idzie dalej wzdłuż Jacob Aalls gate, a gdy dociera na stare śmieci – chociaż oddaliła się od nich zaledwie kilka miesięcy temu, w dodatku wcale nie tak daleko, bo Oslo 3 zmieniło się zaledwie o jeden numer, w Oslo 2 – czuje się prawie tak, jakby wracała do domu. Najtrudniejsze jest przyzwyczajenie się nie do drugiego człowieka, myśli Margrethe Hall, tylko do jego nawyków i rzeczy, do wszystkiego, co jest do niego przypisane. Powinna była to wiedzieć. Powinna była wiedzieć, że człowiek składa się z wielu drobnych ruchów i żaden z nich w zasadzie nie jest nowy. Wchodzi na klatkę i widzi swoje nazwisko na plakietce

przy skrzynkach pocztowych. To jak spotkanie z duchem. Idzie na górę i dzwoni do drzwi Kristoffersenów. Po chwili otwiera jej Maj ze Stine na ręku. Margrethe wybucha płaczem. Maj ją wpuszcza, wystraszona i zaskoczona, w ogóle nie przejmując się tym, że akurat pomyła podłogi.

– Ależ, kochana, co się stało?

Margrethe bierze głęboki oddech.

– Potrzebne mi pióro!

– To chyba nie powód do płaczu?

Maj znajduje pisak w kieszeni płaszcza Ewalda. Margrethe siada w kuchni. Na karteczkach pisze: *Dla Jespera od cioci Margrethe* i *Dla Stine od cioci Margrethe*. W zamyśleniu mocuje karteczki do wstążek, którymi obwiązane są paczki. Maj wraca z salonu, gdzie położyła Stine, i siada obok niej.

– Wyglądałyście razem prześlicznie – mówi Margrethe.

– Masz na coś ochotę?

– Nie, nie, zaraz idę.

Maj patrzy na paczki.

– Nie musiałaś.

– Powinnam napisać, że są też od Olafa?

– A ty jak uważasz?

– Nie wiem.

– Ja też nie. Zrobię jednak trochę kawy. No i spróbujesz pierwszych świątecznych ciasteczek.

Maj podgrzewa to, co zostało w dzbanku. Milczą przez chwilę, Maj nakrywa na kuchennym stole i wystawia spodeczek z dwoma *sirupssnipper*, ciasteczkami ozdobionymi migdałem. Margrethe patrzy w sufit, wzdycha i próbuje ciastka.

– Pyszne – mówi.

– A tobie jak wyszły?

– W tym roku nie piekłam.

– Nie piekłaś? Nic?

– Olaf nie jest przyzwyczajony do świątecznych ciasteczek.

– Ale ty jesteś, prawda?

– Próbujemy się do siebie dostosować najlepiej, jak umiemy.

Maj nalewa kawę.

– Szczęściara. Ja też bym chętnie zrezygnowała z całego tego pieczenia.

Milczą, pochylone nad filiżankami.

– Myślisz, że zdążę się zobaczyć z Jesperem, zanim będę musiała iść?

– Chyba jeszcze nie wychodzisz?

– Jest dużo rzeczy do zrobienia, nawet jeśli się nie piecze.

– Zaraz po szkole Jesper miał iść z Ewaldem na dzwonnicę ratusza.

– Naprawdę? Na dzwonnicę?

– Ewald dostał zezwolenie na trzy osoby, ale ja odmówiłam.

– Jak on się czuje?

Teraz kolej na płacz Maj. Ale Maj nie płacze.

– Lekarze powtarzają, że zostało mu niedużo czasu. Powinni już wrócić.

– Może oglądają ulice ustrojone na święta?

– Na pewno, skoro już wybrali się do miasta…

– Na ślubie był taki chudy.

– Teraz jeszcze bardziej schudł. No i w dodatku wbił sobie do głowy coś takiego…

– Co?

– Że nie umrze przed ojcem, przed Alfredem.

– Jego ojciec jest w domu opieki na Tåsen?

– Tak. Może dożyć co najmniej stu dwudziestu lat.

– No ale to przecież dobrze. Będziesz miała Ewalda jeszcze przez wiele lat.

– To jest jak jakieś zawody! Wykańczają mnie!

– Niech się trochę pościgają.

Maj zasłania twarz dłońmi, łzy kapią jej spomiędzy palców.

– Jestem zła, prawda? Zła. Właśnie tak.

– Nie mogłabyś być zła, nawet gdybyś się starała.

– Przecież nie chcę, żeby on umarł. Ja…

– Wiem. Zobaczysz, będzie dobrze.

Maj opuszcza ręce na obrus i czuje, jak to jest, gdy przez moment nagle wszystko wydaje się takie jak dawniej. Kiedy ta chwila mija, patrzy na karteczki przy prezentach.

– Uważam, że powinnaś zostawić je tak, jak są – mówi.

– Tylko ode mnie?

– Tak, tylko od ciebie.

– Na pewno tak będzie dobrze.

– A w przyszłym roku będziesz mogła napisać, że prezenty są od was obojga.

– Tak, w przyszłym roku będą od nas obojga.

Margrethe wstaje, ma ochotę zapytać, czy może skorzystać z telefonu, i zadzwonić do Olafa. Chciałaby z nim jak najszybciej porozmawiać. Nie dzwoni. Dziwnie by to wyglądało. Życzy Maj wesołych świąt i postanawia iść prosto do willi przy Nordraaks gate, nie zaglądać do rzeźnika Melsoma, chociaż tak planowała. Kiedy wychodzi na zewnątrz, światła, które było wcześniej, już nie ma. W cieniu wszystko traci kontury i z wolna zlewa się ze sobą. Maj stoi w oknie i macha, ale Margrethe się nie odwraca. Budzi to w Maj niepokój, a nawet podejrzenia. Przecież każdy się odwraca i macha tym, u których był z wizytą. Chyba że jest z tej wizyty niezadowolony. Ale dlaczego Margrethe miałaby być niezadowolona? Przecież rozmawiały. Może mówiła za dużo o sobie, nie dopuszczając Margrethe do słowa? Taki musi być powód. Później, wieczorem, Maj powinna do niej zadzwonić i powiedzieć, że nie chciała, aby tak się stało. Dzwoni telefon i Stine budzi się jednocześnie, czy też raczej po krótkiej chwili, która zostawia miejsce na ruch, na działanie. Telefonuje Ewald. Chce uprzedzić, że trochę się spóźnią, zajrzą jeszcze na cmentarz. Akurat dobrze się składa. Skąd dzwoni?

– Z budki telefonicznej w parku Frogner. Jesper chce z tobą rozmawiać.

– To drogo wyjdzie, Ewaldzie.

– Ja funduję, pani skarbniczko. Jesper jeszcze nigdy nie rozmawiał z budki.

Maj słyszy najpierw jakąś szamotaninę, a potem oddech Jespera. Niemal go widzi w postaci szronu na linii. Podnosi głos, aby mieć pewność, że jej słowa dotrą na miejsce.

– Fajnie było na dzwonnicy, Jesper?

– Nie.

Połączenie się zrywa, a może czas wyznaczony na rozmowę przez ostatnią monetę się skończył. Ewald wyjmuje z ręki Jespera słuchawkę, odwiesza ją z trzaskiem na miejsce i wychodzi, gwałtownie i bez namysłu. Na moście Vigelanda Jesper ledwie za nim nadąża. Wkrótce już mu się nie chce gonić ojca. Wlecze się z tyłu. Ewald też się zatrzymuje. Jesper widzi jego plecy, czarny płaszcz, którego poły wiatr unosi i opuszcza jak skrzydła. Ewald zawraca.

– Dlaczego powiedziałeś mamie, że na dzwonnicy nie było fajnie?

Jesper nie wie, jak ma to wyjaśnić, jak przetłumaczyć ten dźwięk, bo akurat kiedy byli na górze, dzwony wybiły wpół do trzeciej i ów ton jest jak ciężka kropla, która nie chce się oderwać, nie chce spłynąć.

– Myślałem, że pyta, czy było strasznie – odpowiada.

– To który z was jest głuchy, ty czy Jostein?

– Jostein.

Ewald się zastanawia i po długim namyśle akceptuje wreszcie tę odpowiedź. Oczywiście, że nie było strasznie. Idą na cmentarz i odnajdują miejsce spoczynku babci Jespera ze strony ojca. Na niektórych grobach w pobliżu palą się świeczki, lśnią jak żółte punkciki w ciemności prószącej z cyprysów. Ewald żałuje, że nie wziął ze sobą nic, co mógłby zapalić. Jest bezmyślny. Bierze Jespera za rękę.

– Dziadek i babcia mają tyle samo lat – mówi Ewald.

– Babcia nie żyje – przypomina Jesper.

– No tak, ale to nie przeszkadza, żeby mieli tyle samo lat.

Jesper chwilę się nad tym zastanawia.

– Babcia w grobie też się starzeje?

– No nie, to nie całkiem tak. Ale urodzili się w tym samym roku, w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym, i tego nikt im nie odbierze. Bez względu na to, jak bardzo będą nieżywi.

Nagle dostrzegają, że między grobami nadchodzi mężczyzna – zbyt lekko ubrany, w samym garniturze. Widzą, kto to jest. To Olaf Hall. Ewald się odwraca i mówi cicho:

– Zachowujemy spokój i udajemy, że go nie widzimy.

Jesper jest jednak świadkiem czegoś zdumiewającego. Ten pan, nowy mąż pani Vik, szybkim ruchem nachyla się nad jakimś nagrobkiem, bierze stojącą na nim grubą świecę i prędko przechodzi do innego grobu. Nagle między jednym a drugim krokiem Olaf Hall napotyka spojrzenie Jespera; może chce coś powiedzieć, ale w końcu udaje, że nic się nie stało, i stawia świeczkę, którą wziął, czy raczej ukradł, przy tym innym nagrobku, ledwie wystającym spod śniegu.

– Już nas zobaczył – szepcze Jesper.

– Niech to diabli porwą.

Ewald się odwraca i widzi Olafa Halla grzebiącego w śniegu obiema rękami.

– Jesteś pewny?

– Tak.

– Przywitał się?

– Potrzebne mu zapałki.

Ewald puszcza Jespera, wyjmuje z kieszeni pudełko i podchodzi do Olafa Halla, który prostuje się z uśmiechem.

– Nie zimno panu? – pyta Ewald.

– Ja nigdy nie marznę.

– To ma pan szczęście.

Olaf Hall bierze zapałki i zapala świecę. Płomień przez chwilę przechyla się na różne strony, ale w końcu nieruchomieje w ciemności.

– A pan? Rzucił pan palenie?

– Nie mam nic do stracenia.

Olaf Hall przygląda się Ewaldowi, który jest już niemal nie do poznania.

– Potrzebuje pan pomocy? – pyta.

– Pomocy?

– Chwieje się pan.

– Nie, nie potrzebuję.

– Na pewno? Nie chciałbym, żeby się pan przewrócił.

– Nie przewrócę się.

– Nie mogę obiecać, że postawię pana z powrotem na nogi. Śnieg jest głęboki.

Olaf Hall chce ująć Ewalda pod ramię, ale ten odpycha jego rękę.

– Nie przy małym. Niech mi pan lepiej odda zapałki.

– Oczywiście.

– Proszę pozdrowić panią Vik.

– Ma pan na myśli panią Hall, prawda?

– Tak, tak, panią Hall. Od Jespera też.

Olaf Hall wręcza Ewaldowi pudełko zapałek, kiwa mu głową i pospiesznie oddala się wąską, ośnieżoną ścieżką. W kwiaciarni Radoor na Frognerveien kupuje gwiazdę betlejemską. Kiedy wchodzi do domu, w przedpokoju jest tak gorąco, że ledwie może złapać oddech. Zdejmuje buty. Ma mokre skarpetki. Ściąga je i boso idzie do kuchni, gdzie czeka Margrethe. Na kominku za jej plecami pali się ogień. Jedno z polan akurat się załamuje, sypiąc iskrami. Margrethe nie patrzy na niego. Ręce trzyma złożone na kolanach. Czy będzie musiał przed nią uklęknąć?

– Dałaś sobie radę sama? – pyta.

– Z czym?

– Z rozpaleniem w kominku. Nie ma ciągu. Mnie to nigdy nie wychodzi.

Margrethe próbuje się uśmiechnąć.

– Potrafię to zrobić.

Olaf wychodzi, z pewnością po kapcie, ale wraca z gwiazdą betlejemską, wypakowaną z papieru.

– Wybacz mi.

– Musisz coś włożyć na nogi.

– Wybacz mi – powtarza Olaf.

Margrethe podnosi głowę i przyjmuje kwiat. Trzeba go podlać. Wstaje, delikatnie odkręca wodę i patrzy, jak sucha, jasna ziemia wsysa ją w siebie i robi się ciemna, ciężka i żywa.

– To ty musisz mi wybaczyć – mówi.

– Nie żartuj.

– Już nigdy więcej nie przyjdę do ciebie z kawą.

Olaf się śmieje.

– No tak. Kawę będziemy pić w kuchni. Albo w salonie. A może w łóżku?

Margrethe stawia kwiat na parapecie.

– Może.

Olaf podchodzi bliżej.

– Lubisz pić kawę w łóżku?

– Możliwe. Może w niedzielę.

– A dlaczego nie w inne dni?

– Chyba nie powinniśmy przesadzać.

Stoi odwrócona do niego plecami. Olaf ją obejmuje. Margrethe nie wie, czy to ona go ogrzewa, czy to on ją chłodzi. Słyszy jego głos przy uchu.

– Tylu rzeczy o tobie nie wiem. Codziennie mogę cię pytać o coś nowego i lepiej cię poznawać.

– Ja też.

– To spytaj mnie o coś.

– Lubisz czerwoną kapustę?

Olaf Hall się śmieje.

– Nie możesz wymyślić czegoś bardziej intymnego?

– Intymnego?

– No… Osobistego.

Margrethe nie ma pojęcia, jakie pytanie zadać. Wybiera pierwsze lepsze, jakie jej wpada do głowy.

– O czym śnisz?

– O tobie.

– To chyba od tej pory będziesz miał koszmary.

Całuje ją w kark.

– Nie. Najsłodsze sny.

– Nie wygłupiaj się.

– Położymy się na trochę?

– Przecież jeszcze wcześnie…

– Powiedziałem n a t r o c h ę.

Margrethe czuje, że Olaf ją ciągnie.

– Tutaj?

– Przecież lubisz, jak jest ciepło, prawda?

Olaf zdejmuje marynarkę i rozpościera ją na podłodze w kuchni. Kładą się na niej, blisko siebie. Jest niewygodnie. Margrethe usiłuje znaleźć lepszą pozycję. To niewykonalne. Olaf ujmuje jej rękę i prowadzi do sprzączki paska. Margrethe ją rozpina, zamyka oczy i wsuwa rękę głębiej. Nie jest niechętna. Olaf wzdycha. To wszystko. Margrethe próbuje, ale to na nic. Olaf ją obejmuje, a ona nie wie, co ma robić w tych objęciach. Nie potrafi temu sprostać. On wkrótce się odwraca. Ona patrzy w sufit. Nie jest nieszczęśliwa, jest po prostu pusta. Ale również skrępowana. Widzi, jak ciepłe powietrze wznosi się i zawisa pod sufitem.

– Masz pozdrowienia od Ewalda Kristoffersena – odzywa się Olaf.

– Gdzie go spotkałeś?

– Na cmentarzu.

Margrethe czuje ukłucie. Nie chce go, ale ono mimo wszystko jest. Ma wrażenie, że przez to staje się jeszcze bardziej pusta.

– To tam chodzisz, kiedy chcesz się ochłodzić?

Olaf również kładzie się na plecach z rękami pod głową.

– Wygląda strasznie. Sama skóra i kości.

– Naprawdę?

– Był taki moment, że się zastanawiałem, czy nie wezwać karetki.

– Aż tak?

– Jeszcze gorzej. Przez chwilę mi się wydawało, że zaraz tam umrze.

– Boże. Szybko poszło.

Jakiś czas leżą w milczeniu, wpatrzeni w ciepło unoszące się pod sufitem w postaci fali zakurzonego powietrza. Ciałem Margrethe wstrząsa dreszcz. Olaf bierze ją za rękę.

– Mam nadzieję, że dotarł do domu cały i zdrowy.

– Myślisz, że...

– Żal mi tylko chłopca.

– Tak, biedny Jesper. Też był na cmentarzu?

Olaf się śmieje.

– Ciekawski chłopczyk. Przepraszam, nie ma się z czego śmiać.

– Zadzwonię do niej. Do Maj. Dowiedzieć się, czy wszystko w porządku.

– To miłe z twojej strony.

Margrethe wstaje, zdrętwiała i wyczerpana. Olaf dalej leży. Lubi leżeć na twardym. Zapina spodnie i jeszcze zatrzymuje Margrethe.

– Powiedz im, że tam często ktoś kradnie świece z grobów.

– Na Cmentarzu Zachodnim?

– Tak. Ktoś zabrał świecę z grobu Ragnhild i przestawił na inny. Wyobrażasz sobie takie łajdactwo?

– I co zrobiłeś?

– Oczywiście zabrałem świecę z powrotem.

– Do czego to ludzie są zdolni!

Olaf puszcza ją ze śmiechem.

– Jeśli to się zdarzy jeszcze raz, doniosę policji na tego stolarza, który jest tam pochowany. Uff, okropny jestem, że tak mówię.

Margrethe wyciera ręce w fartuch, idzie do przedpokoju i wykręca numer. Telefon odbiera Ewald. Szkoda, że nie Maj. U innych, przynajmniej u większości, to gospodyni podnosi słuchawkę, tak się to ułożyło, taki system powstał sam z siebie, niepotrzebne były żadne umowy ani planowanie. Może dlatego, że mężczyźni są mniej gadatliwi

niż kobiety? Jedno w każdym razie jest pewne: mężczyźni nie gadają przez telefon o najprzeróżniejszych sprawach, od razu przechodzą do rzeczy i odkładają słuchawkę. Margrethe słyszy w tle jakieś dźwięki. Pianino.

– To Jesper gra? – pyta.

– Tak. Ćwiczy.

– Bardzo ładnie, aż pomyślałam, że to w radiu.

– Powiem mu to.

– To Beethoven?

– Tak, z pamięci. Pewnie chcesz rozmawiać z Maj?

– W zasadzie nie, Ewaldzie. Chciałam się tylko upewnić, czy bezpiecznie dotarłeś do domu z cmentarza.

Na Kirkeveien 127 na chwilę zapada cisza.

– Owszem – odpowiada w końcu Ewald.

– No to się cieszę.

– Dziękuję za troskę. Nie musicie się o mnie martwić.

– To już nie będziemy.

– Coś jeszcze?

– Tak. Olaf mówi, że podobno niektórzy ludzie kradną czy przestawiają świece na cmentarzu. Chce, żebyście o tym wiedzieli. Jesteś tam?

Ewald kiwa głową. To taki jego zły nawyk – kiwanie głową i gestykulowanie podczas rozmowy przez telefon. Odkłada słuchawkę i przez chwilę stoi zagubiony, bardziej naznaczony śmiercią niż kiedykolwiek. W mieszkaniu zapada cisza. Ewald prawie wbiega do salonu. Maj nachyla się nad łóżeczkiem Stine. Jesper, niezadowolony, siedzi przy pianinie z rękami na kolanach.

– Pani Vik myślała, że słyszy radio – mówi Ewald.

Maj odwraca się do niego.

– Nie chciała ze mną rozmawiać?

– W zasadzie nie.

– To po co dzwoniła?

Ewald musi się zastanowić.

– Powiedziała, że ktoś kradnie świece z grobów.

– I zadzwoniła, żeby ci o tym powiedzieć?

– Spotkaliśmy tego antyka na cmentarzu.

– Olafa Halla?

– Oporządzał trochę grób swojej byłej żony.

– Dlaczego, na miłość boską, nic mi o tym nie powiedziałeś?

Ewald znów się zastanawia. Jak długo Stine będzie mogła tu spać? Wkrótce trzeba jej będzie zmienić łóżeczko. Niedługo zacznie chodzić do szkoły. Czas płynie. Ani się człowiek obejrzy. Ani się obejrzy, a już minie. Może Stine będzie mogła przenieść się do holu, a Jesper zamieszka w kuchni? Nie, wtedy będzie przeszkadzał Maj. Albo odwrotnie, ona jemu. Ani jedno, ani drugie nie jest dobrym rozwiązaniem. A gdyby tak zburzyć ścianę do kredensowego i podzielić hol na dwie części? Ale wtedy puste mieszkanie pani Vik pewnie zwaliłoby się na nich. Ewald przeklina architekta, który tyle uwagi poświęcił temu, żeby było ładnie, zamiast zaprojektować jeszcze jeden pokój.

– Mam mnóstwo rzeczy do przemyślenia – mówi.

Maj podchodzi do męża i delikatnie przeczesuje palcami jego rzadkie, wilgotne włosy.

– Przepraszam.

Jesper zamyka pianino i wstaje.

– To on kradnie świece.

Oboje patrzą na syna.

– Kto? – pyta Ewald.

– Ten, który zabrał też panią Vik.

Kiedy Jesper kładzie się spać, słyszy ich głosy. To niesłuszne, że mieszkanie stoi puste. Tak mówi Ewald. To niesłuszne, że stoi puste, teraz gdy tak bardzo brakuje mieszkań. A może jednak słuszne. Tak mówi Maj. Może to słuszne, że pani Vik je zatrzymała. Ale głównie Jesper słyszy kroplę w głowie. To ciemne brzmienie, które wciąż się

kołysze. Zamyka oczy, przekonany, że już do końca życia będzie godziną wpół do trzeciej.

Sprawozdanie roczne za rok 1950, Oddział Fagerborg

W skład zarządu wchodzą: pani Nordklev (przewodnicząca), pani Lund (wiceprzewodnicząca), pani Kristoffersen (skarbnik), pani Larsen (sekretarz), pani Arnesen i panna Aasland (rezerwowe członkinie zarządu).

W roku 1950 odbyło się 5 posiedzeń zarządu.

Członkinie zarządu oraz wolontariusze asystowali przy prześwietleniach rentgenowskich oraz na prośbę Norweskiej Misji wśród Ludu Izraela zaopiekowali się 50 żydowskimi dziećmi z Niemiec podczas ich przejazdu przez Oslo.

Oddział przekazał 360,– koron na pensję dla przedszkolanki w Szpitalu Centralnym. We wspólnej wycieczce do Muzeum Ludowego wzięły udział 24 osoby starsze. Zakład Bakkebø dla umysłowo chorych koło Egersund, dawny obóz Slettebø, który został przejęty przez Główny Urząd ds. Wrogiego Mienia, otrzymał od naszego oddziału wsparcie w wysokości 400,– koron oraz 10 par obuwia, a cały Norweski Czerwony Krzyż przekazał na ten cel aż 250 000,– koron z tak zwanego Funduszu Zapałczanego[12].

Uczestnictwo oddziału w kiermaszu i sprzedaży znaczków skutkowało dobrymi wynikami. Nie stwierdzono żadnych nieprawidłowości. Na kiermasz w parku Studenckim oddział oddelegował ośmiu pomocników dziennie przez 15 dni.

Sekcji Pomocy Dzieciom Czerwonego Krzyża Okręgu Oslo przekazano 10 wyprawek niemowlęcych. W budżecie na rok 1951 przewidziano na nagrody 1000,– koron.

Potrzebującym z rejonu oddziału przekazano żywność, obuwie, garderobę zrobioną na drutach i inną, ogółem 90 paczek. W pojedynczych przypadkach udzielono wsparcia finansowego. Pięć starszych członkiń Czerwonego Krzyża przez cały rok robiło na drutach skarpetki dziecięce i rękawiczki.

Oslo, 2 stycznia
(podpis) Berit Nordklev, przewodnicząca

JAZDA NA KOŹLE

Pana Lykkego nie ma w szkole. Krąży wiele plotek. W końcu wszystkie okazują się prawdziwe. Klasa w tym czasie ma zastępstwo. Zastępcą jest młody, chudoręki człowiek w okrągłych okularkach. Siedzi za katedrą z tymi chudymi rękami założonymi na piersiach i każe uczniom czytać po cichu. Po tygodniu zaczynają go dręczyć. Po dwóch tygodniach zaczynają tęsknić za panem Lykkem. Kiedy kończy się miesiąc, styczeń, nauczyciel nareszcie wraca. Nie jest już wtedy ani Lykkem, ani Løkkem. Wraca jako pan Uløkka. To jego nowe nazwisko. Pan Uløkka, Nieszczęsny. Tylko on o tym nie wie. Chodzi tak powoli, że ledwie zdąży dojść do katedry, a już jest dzwonek na koniec lekcji. Twarz ma wychudzoną i bladą. Kreda w jego palcach zmienia się w pył. Jest po prostu duchem, który nachyla się przy czarnej tablicy. Jesper bacznie go obserwuje. Jesper śledzi go wzrokiem. Jesper wszystko ze sobą łączy. Pan Uløkka martwi się na zapas. Właśnie tak robi. Boleje nad śmiercią Ewalda, chociaż Ewald jeszcze nie umarł. To dziwne. Jesper w tych dniach czuje się blisko związany z panem Uløkką. Sam chciałby namartwić się na zapas, żeby się uporać ze zmartwieniami. W tych dniach nikt w klasie nie ma śmiałości rozrabiać. Pan Uløkka jest pod ochroną. Chłopcy widzą ból, który dźwiga, akceptują go i są posłuszni po koniuszki palców. Ale któregoś dnia rano okazuje się, że smutek, bez względu na to, skąd się wziął, trwa już za długo. Amnestia straciła termin przydatności. Pan Uløkka przesadza. Smutek, który dzień wcześniej budził respekt, w nocy stał się śmieszny. Jesper od razu to wyczuwa. Pochyla głowę, bo nie ma siły na to patrzeć. Smutek jest brzydki. Trzeba się go wstydzić. Jest jak zwichrowany cylinder. Cierpienie przypomina łachmany. Klasa również to zauważa. Drapieżniki wyczuwają gnijące mięso, ale popełniają błąd, wielki błąd, bo wydaje im się, że pan Uløkka stał się również niegroźny. Jesper wie, że się mylą. Chciałby powstrzymać to, co nadchodzi. Nie wie tylko jak.

Kuli się. Ivar ze Smestad, który w tym tygodniu jest dyżurnym, podnosi rękę. Zostaje mu udzielony głos.

– Jak pan właściwie wpadł w tarapaty?

Cała klasa z wyjątkiem Jespera leży na blatach ławek, próbując opanować śmiech. Mimo to słychać zduszone parsknięcia, prawie ryki. Pan Løkke stoi za katedrą, trzymając ręce za plecami. Stoi tak długo. Jak długo może tak stać? To wie tylko pan Løkke. Z czasem w klasie zapada cisza. Nikt nie ma odwagi się roześmiać. To inny rodzaj ciszy. Jesper ją bada. Nigdy nie słyszał nic podobnego. To gwałtowna pauza, zawierająca w sobie wszystko. Ale zupełnie cicho nie jest. W głowie Jespera ciągle wisi mroczna kropla. Ivar ze Smestad nie wytrzymuje tego i znów podnosi rękę.

– Powiedziałem coś złego, panie Lykke?

Wówczas dzieje się coś, czego klasa się nie spodziewa. Nawet Jesper. Pan Løkke unosi rękę i w tej samej chwili rozlega się dzwonek. Dzwonek na koniec lekcji? Czy może wszystkie kościelne dzwony zaczęły bić równocześnie? Te na Fagerborgu, Vestre Aker, Sagene, Uranienborgu i w kościele Pastorów? Czy może jedno i drugie? Czy znowu zaczęła się wojna, czy to pokój nastał na nowo? Może to dzwony w ratuszu się pomyliły, zastanawia się Jesper, a może to się dzieje tylko w jego głowie? To alarm przeciwpożarowy. Klasa zamiera. Nikt nie ma odwagi się poruszyć. Szkolne podwórze wkrótce wypełnia się uczniami, alarm ciągle wyje. Pan Løkke wciąż stoi z uniesioną ręką. Przez chwilę przypomina nazistę.

– Mamy się tu spalić? – pyta pan Løkke.

Nikt nie odpowiada.

– Mamy po prostu się tu spalić? – powtarza.

Dyżurny się podrywa.

– Inne klasy już wyszły – mówi.

– Dlatego że nie wiedzą, co to dyscyplina!

W rzędzie pod oknem wstaje inny chłopiec. Robert z Frøen.

– Za tablicą jest dym! – woła. – Za tablicą jest dym!

Cała klasa oprócz Jespera, który nie widzi żadnego dymu, rzuca się do drzwi. Chłopcy potykają się o siebie, przewracają ławki, odsuwają kopniakami krzesła, zrzucają na podłogę piórniki i kałamarze. W końcu znów jest cicho. Pan Løkke bierze Jespera za rękę.

– Chodź już – mówi.

Jesper zarzuca tornister na ramię, uznaje bowiem, że tego dnia nie będzie już więcej lekcji. Na korytarzu leżą rozrzucone kurtki i drugie śniadania. Przy schodach pan Løkke puszcza rękę Jespera i rusza na górę.

– Niech pan tego nie robi – prosi Jesper.

Ale pan Løkke go nie słyszy albo nie chce słyszeć. Wspina się po kolejnych stopniach, aż znika na podeście, tam gdzie schody skręcają, widoczna jest tylko jego ręka na brązowej poręczy. Jesper spieszy do ostatnich drzwi. Na podwórzu nauczyciele i nauczycielki szukają swoich klas, a uczniowie kręcą się niespokojnie, nie mogąc znaleźć stałych miejsc i pozycji. Wszyscy sprawiają wrażenie zagubionych i nieszczęśliwych. Jesper staje przy murze. Dopiero teraz to czuje: ma pustą głowę. Jest bezgłośny. Ta ciemna, ciężka kropla wreszcie się oderwała i wypływa. Jesper płacze uszami. Nagle wszyscy nieruchomieją, tworząc na podwórzu przypadkowy wzór, i zadzierają głowy.

Na dachu między kominami ukazuje się pan Løkke. Ledwie utrzymuje równowagę. Musi rozłożyć ręce. Musi przykucnąć. Przez tłum zebranych przechodzi westchnienie. Ktoś wydaje z siebie okrzyk i równie szybko zasłania usta ręką. Nie można go przestraszyć. Na miłość boską. Przy fontannie z wodą pitną zbiera się rada pedagogiczna. Czy trzeba wezwać policję? Karetkę? Dozorca proponuje, by razem z nauczycielem gimnastyki, panem Åhlenem, weszli na górę i po prostu ściągnęli pana Løkkego, który siedzi okrakiem na kalenicy. Jest jeźdźcem. Na grzbiecie szkoły na Majorstua wjeżdża w zachód słońca, który już zaczyna się za miastem, barwiąc wzgórza na niebiesko, a w jego blasku skocznia Holmenkollen przypomina paznokieć, który zdrapuje z nieba resztki światła. Pan Løkke jedzie konno. Inspektor woli jednak przemówić mu do rozumu.

– Niech pan się weźmie w garść! – woła.

Nie powinien był tak mówić. Pan Løkke przekłada nogę, na tyłku zjeżdża po gładkich dachówkach i zatrzymuje się przy rynnie. Siedzi tam i majta nogami. Kolejne krzyki. Dwie dziewczynki z trzeciej mdleją, zajmuje się nimi nauczyciel śpiewu, Hultgren. Ktoś płacze. Jakiś chłopiec z siódmej zadaje pytanie: „Myślicie, że nas zwolnią, jak on zleci?". Ale pan Løkke nie zlatuje, tylko układa dłonie przy ustach jak tubę, żeby wszyscy go słyszeli:

– To tylko ćwiczenia!

Jesper odwraca się i wychodzi. Idzie z zamkniętymi oczami, w duchu głośno licząc kroki. Dolicza do osiemnastu; wtedy trąbi jakiś samochód i Jesper otwiera oczy. Tuż przed nim przejeżdża szambiarka, na moment otacza go smród, smród gówna, smród całego tego gówna, które ci, którzy mają wychodki na podwórzu, zdążyli wysrać od ich ostatniego opróżniania, a szambiarz z widłami do gnoju stoi z tyłu na stopniu, odwraca się i macha do niego. Z Briskeby na pełnym gazie nadjeżdża wóz strażacki. Będą gasić pana Løkkego. Z taką samą prędkością w dół Kirkeveien gna karetka ze Szpitala Ullevål. Jesper wymiotuje przy auli Armii Zbawienia. Potem wchodzi do rzeźnika i pyta panią Melsom, czy może dostać szklankę wody. Oczywiście, może. Czy źle się czuje? Wygląda trochę blado na twarzy. Jesper kręci głową i pije. Pojawia się też pan Melsom i wręcza mu paczkę. Papier jest wilgotny i czerwony.

– Dla ojca – mówi rzeźnik.

Jesper o nic nie pyta, tylko chowa paczkę do kieszeni wiatrówki i wychodzi. Przed sklepem spotyka Josteina, który odciąga go na bok.

– Słyszałeś, co się stało z panem Løkkem?

– Nie musisz krzyczeć.

– Słyszałeś, co się stało z panem Løkkem?

– Co?

Jostein się rozgląda i nachyla bliżej.

– Został oszukany.

– Oszukany?

– Oszukała go jakaś babka, która zwiała ze wszystkimi jego pieniędzmi.

– Z jakimi pieniędzmi?

– Co?

– Pan Løkke miał pieniądze?

– Wypłacił oszczędności i jej pożyczył.

– Skąd wiesz?

Jostein się rozgląda.

– Słyszałem.

– Słyszałeś?

– Tak. Bo co?

– Nie, nic.

Jostein odwraca się do Jespera i odchyla rękami oboje uszu. Mało brakuje, a wzbije się w górę i pofrunie nad Fagerborgiem.

– Nie jestem głuchy, do cholery. Tylko trochę niedosłyszę.

Jesper idzie do domu i myśli: to Jostein słucha za mnie. Słucha plotek. W domu chwilę siedzi przy pianinie, ale nie gra. Kiedy dostatecznie długo wpatruje się w nuty, zaczynają tańczyć. Niektóre spadają, inne się wznoszą. Tam gdzie Enzo Zanetti drżącym ołówkiem napisał *fortissimo*, nuty wypalają dziurę w kartce. Tam gdzie napisał *lente*, prawie znikają między linijkami. Jesper wstaje niespokojny, chociaż w głowie ma pustkę. Od palców u stóp aż po czoło, po całym ciele chodzą mu mrówki. Matka woła na obiad. Jesper idzie do kuchni. Stine też siedzi przy stole na swoim krzesełku. Matka karmi ją szarą kaszką, pełną grudek. Ewald mocuje serwetkę przy górnym guziku koszuli, która ma za szeroki kołnierzyk. Wszystko jest na niego za duże. Na stole stoją jasny lapskaus i chrupki chleb. Ewald sobie nakłada. Jesper patrzy na niego. Coś się stało. Ojciec jest odmieniony. Jesper myśli: już umarł. Nagle orientuje się, o co chodzi. To tylko kwestia włosów. Rzadkie włosy, które jeszcze się trzymają, są rozsmarowane na czaszce i ufarbowane na ciemniejszy kolor. Postarał się, żeby ładnie wyglądać. Zrobił to dla nich, dla Maj, Jespera i Stine. Jesper wolałby, żeby ojciec to sobie darował. Bo Ewaldowi wcale nie jest z tymi włosami do twarzy. Wygląda po prostu sztucznie. Kojarzy się z reklamą pasty do butów albo smoły do papy. Jesper nie ma odwagi dłużej na niego patrzeć i spuszcza wzrok. Na jego talerzu nagle pojawia się lapskaus. Matka nic nie mówi. Jest zajęta

Stine, która próbuje odtrącić łyżkę. Ewald przygląda im się ze zdziwieniem.

– Nie słyszeliście?

Maj pospiesznie na niego zerka.

– O czym?

– Co się przydarzyło panu Løkkemu. Nawet ty nic nie wiesz, Jesper? Przecież…

Maj mu przerywa:

– Nie musisz mówić o tym przy obiedzie, Ewaldzie.

– Więc już wiesz?

– Pani Melsom mi powiedziała. A Jesper nie musi…

Jesper jej przerywa:

– Ja też już wiem.

Ewald nachyla się nad stołem.

– Co wiesz, Jesper?

– Że jakaś pani ukradła mu pieniądze.

– Naprawdę?

Ewald odwraca się do Maj, która zniża głos.

– Tak, uff. Podobno poznał w Regnbuen jakąś kobietę, która nabiła go w butelkę. Ale nie mówmy o tym więcej. To chciałeś powiedzieć?

– Nie, właściwie nie.

– A co, Ewaldzie?

Ewald milczy przez chwilę, po czym ostrożnie kręci głową, żeby nie zniszczyć fryzury.

– Teraz już rozumiem – stwierdza.

Maj wyjmuje Stine z krzesełka i sadza ją sobie na kolanach.

– Co? Mówisz zagadkami, Ewaldzie.

– Byłem u fryzjera Juliusa. Jak może zauważyliście. A on mi przekazał, że…

Maj wtrąca błyskawicznie:

– Masz naprawdę świetną fryzurę. Nie zdążyłam ci powiedzieć, jak wróciłeś.

Jesper wbija wzrok w talerz. Lapskaus przypomina rzygi. Matka kłamie. Ewald też wie, że ona kłamie. I ona sama to wie. Ewald wzdycha.

– Niedługo zostanie już tylko kilka źdźbeł. Poprosiłem, żeby Julius w miarę możliwości je podkosił.

– Naprawdę świetnie się spisał – mówi Maj.

Jesper nie może już tego wytrzymać.

– I co powiedział?

Ewald podnosi wzrok i znów wzdycha.

– Że pan Løkke skoczył dziś z dachu szkoły.

Jesper zamyka oczy. Maj na chwilę traci oddech i Stine o mało nie wysuwa się z jej objęć.

– Co on robił na dachu?

– O to musisz chyba spytać pana Løkkego. Przypuszczam, że szukał swoich oszczędności.

– Nic mu się nie stało?

– Chcesz wiedzieć, czy odwalił kitę?

– Wyrażaj się przyzwoicie. Okaż przynajmniej trochę szacunku.

Ewald się zamyśla i dopiero po chwili odpowiada:

– Strażacy serdecznie go powitali. Nie ma nawet zadrapania. Ale po drodze pewnie trochę się przeziębił.

– Dzięki Bogu.

Ewald długo wpatruje się w Jespera, który otwiera oczy.

– Nie byłoby fajnie? – pyta Ewald.

– Co?

– Wylądować w żaglu strażaków.

Przez resztę wieczoru Jesper udaje, że odrabia lekcje, a tak naprawdę tylko siedzi przy stoliku w holu i czeka, aż mrówki znajdą sobie mrowisko i pójdą spać. Nikt niczego nie wyczuwa, bo tego wieczoru i tak wszystko wygląda inaczej. Kiedy kładzie się do łóżka, długo nie

może zasnąć. Po jakimś czasie, ale wcześniej niż zwykle, przez hol przechodzi matka w nocnej koszuli. Posyła Jesperowi pocałunek, a drzwi do sypialni zostawia otwarte. Ewald śpiewa w łazience. Wszyscy chcą być szczęśliwi. Potem i on przychodzi, w pasiastej piżamie, do której musi nosić pasek. Unosi rękę. Chude pozdrowienie w przelocie, a może tylko chce przesunąć palce przez włosy, cały czas tak samo gładkie. Jesper myśli: wszystko już się wydarzyło. To straszne. Ostatni raz widzi ojca pokonującego tę drogę, z kredensowego do sypialni. Ale w momencie gdy Ewald ma zamknąć drzwi, waha się. Czy chłopiec płacze? Nie, to tylko cień przesuwa się po jego twarzy. W ten sposób dotyka nas noc. Stoi przez chwilę. Do jakiego miejsca w ciemności należy cień? Ojciec też zostawia uchylone drzwi, aby było słychać, czy nikt nie płacze. Uchylone są wszystkie drzwi na świecie. Ewald kładzie się do łóżka. Maj śpi obok niego. Oddycha spokojnie, równo. Przyjemnie tego słuchać. Przyjemnie przy tym zasypiać. Ona należy do niego. On do niej. Teraz może jej to przysiąc. Może dotrzymać tego, co przysiągł: że będzie ją kochał, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Nawet jeśli ona znajdzie sobie innego. Ewalda budzą lęk i pożądanie. Przed jego oczami pali się płomień. Widzi w ciemności. Poduszka jest wilgotna i prawie czarna. Włosy się do niej przykleiły. Odrywa się od niej. Maj nadal śpi. Ewald kładzie się na niej najdelikatniej, jak potrafi. Musi być delikatny. Jest taki chudy, że żona może się o niego pokaleczyć. Nie chce wyrządzić jej krzywdy. Chce ją kochać. Chce ją kochać mocniej niż kiedykolwiek. Maj jest miękka i chętna. Ewald chce w nią wejść. Początkowo mu ulega. Przez chwilę. Potem zaczyna się opierać. Nie chce go. Ale Ewald się nie zatrzymuje. Nie może się zatrzymać. Maj próbuje coś powiedzieć. Obraca się z boku na bok. Kopie, bije i stęka. Budzi się z krzykiem i odpycha go od siebie, ale ręce natrafiają wyłącznie na powietrze. Maj z trudem łapie oddech, kołdra leży na podłodze, na którą przewróciła się kolumna światła. Łóżko obok niej jest puste. Maj siada.

– Ewald?

Jeszcze raz powtarza jego imię, tym razem niemal krzycząc:

– Ewald?

Narzuca szlafrok na ramiona i wychodzi do holu. Jesper siedzi na łóżku. Widzi, jak matka się zbliża. Nagle opadają go wyrzuty sumienia. Są tak ciężkie, że musi zakryć twarz rękami. Wie, skąd się wzięły: Jesper poznał prawdę wcześniej niż matka. Dowiedział się jako pierwszy. Matka pyta ostrożnie, chociaż pomieszczeń do przeszukania jest niewiele.

– Gdzie ojciec, Jesper?

– Odwalił kitę.

– Co ty mówisz?

– Odwalił kitę!

Maj kładzie mu ręce na ramionach i zaczyna go szarpać. To nie pomaga. Może nim szarpać, ile chce. Nagle widzi, że drzwi do jadalni są zamknięte. Puszcza go. Puszcza wszystko, co ma. Chce natychmiast gwałtownie otworzyć drzwi, ale się opanowuje. Otwiera je najciszej, jak potrafi, żeby nikogo nie obudzić. I nie budzi. Stine śpi. Ewald siedzi na podłodze oparty o pianino. Farba z włosów spłynęła mu na twarz.

Pierwsze posiedzenie zarządu w roku 1951 odbyło się u panny Vandy Aasland 2 lutego. Obecne były: pani Nordklev, pani Lund, pani Foss i panna Aasland.

Pani Nordklev odczytała sprawozdanie z poprzedniego posiedzenia zarządu oraz z ostatniego posiedzenia Komitetu Wykonawczego. Odczytała również listy z podziękowaniami od odbiorców paczek żywnościowych itp. rozdanych na święta, a także inną korespondencję.

Postanowiono zrezygnować z usług pani Wådeland jako rewidenta. Ustalono, że walne zgromadzenie odbędzie się 7 lutego. Skarbnik Kristoffersen – która nie mogła być obecna na zebraniu, ponieważ właśnie straciła męża i jest w związku z tym bardzo zajęta – przygotowała następujący projekt budżetu:

Fundusz żłobkowy	*2000,– koron*
Kolonie letnie	*400,– koron*
Wycieczka dla osób starszych	*400,– koron*
Paczki żywnościowe na święta	*400,– koron*

Przyjaciele Pacjentów

Grimegård – ośrodek dla niedorozwiniętych dzieci *1000,– koron*

(pod warunkiem, że inne oddziały dofinansują pensję przedszkolanki w Szpitalu Centralnym w wysokości 720,– koron)

Zarząd postanowił wysłać wieniec na pogrzeb Ewalda Kristoffersena.

KOLEJNOŚĆ

Najgorsze, że myśli o rachunkach. Ileż to będzie kosztowało? W przyszłości nie będą sobie mogli pozwolić na szastanie pieniędzmi. Maj składa ręce i spuszcza wzrok. Czy konieczne były aż dwa kandelabry? I muzyka na żywo? Nie mogła poprzestać na organach? Czy organy, które już są na chórze, nie zapewniają dostatecznie żywej muzyki? Mogła poprosić Enza Zanettiego, żeby coś zagrał. Zresztą – dlaczego nie Jesper? A trumna? W zakładzie pogrzebowym mieli tańsze modele. Maj wybrała jednak najdroższy. Białą dębową trumnę z rzeźbieniami. Inne sprawiały wrażenie ubogich, a może to pracownik zakładu powiedział, że wyglądają biednie? Przecież i tak trafią w płomienie. Musiało ją zamroczyć. Dobrze, że przynajmniej nie trzeba się martwić o nowy nagrobek. Ewald może spocząć razem z matką pod starym, pod którym któregoś pięknego dnia spoczną wszyscy. Ale wygrawerowanie jego nazwiska też kosztuje. Maj cieszy się, że zrezygnowała z konsolacji. Zaczyna płakać. Ewald zasłużył na coś lepszego. Trio kończy *Odgłosy wiosny* Sindinga. Pastor otwiera księgę, żeby odczytać słowa ostatniego pożegnania. Jesper nie składa rąk. Zamiast tego zaciska dłonie w pięści. Podjął decyzję: nigdy nie będzie grał na pogrzebach. Dziadek, Alfred Kristoffersen, brzydko pachnie. Albo nie mył się od ich poprzedniego spotkania, albo ma cuchnący oddech, a prawdopodobnie jedno i drugie. Siedzą obok siebie w pierwszym rzędzie. Jest dużo miejsca, ale mimo to ciasno. Jesper nie może przysunąć się do matki, bo skończyłby u niej na kolanach, a ona ma dość własnych zmartwień. Kołnierzyk koszuli wrzyna mu się w szyję. Niedługo Jesper nie będzie mógł oddychać. To się chyba kiedyś musi skończyć? Alfred Kristoffersen kładzie dłoń na ramieniu Jespera. Czy ten chłopiec nie potrafi przez chwilę usiedzieć spokojnie? Najwyraźniej nie. Alfred też tego nie potrafi. Przerywa pastorowi, podchodzi do trumny i staje przy niej, odwrócony do wszystkich tyłem. Widzi między innymi słowa ostatniego pożegnania od Oddziału

Fagerborg Okręgu Oslo Norweskiego Czerwonego Krzyża. Widzi szarfę od kolegów z Dek-Rek. Miarka się przebrała. Cóż to za miejsce pracy, agencja reklamowa? Sami gogusie. To żadna praca. Alfred Kristoffersen ma ochotę skomentować to w paru słowach. Ale co innego leży mu na sercu. Chce powiedzieć, że tak nie powinno być. Synowie nie powinni umierać przed ojcami. Ojcowie powinni umierać pierwsi. Istnieje pewna kolejność, której nie należy łamać. O tym chce mówić. Ewald spełnił swój obowiązek. Umarł przed Jesperem, chociaż opuścił ich za wcześnie. Mógł poczekać jeszcze kilka lat. Ale Alfred Kristoffersen nie dopełnił obowiązku. Przeżył. Nie ma nic przeciwko śmierci, tak się po prostu złożyło. Chce prosić wszystkich o wybaczenie tego niedopatrzenia. Odwraca się ku żałobnikom. Żałobnikom? Wyglądają na obojętnych. Czy w ciemności któraś z pań nie robi na drutach? Alfred staje twarzą w twarz z obojętnym życiem. Kaplica jest za duża. Zbyt wiele w niej pustych miejsc. Gdy przyjdzie jego kolej – oby stało się to szybko, najlepiej jeszcze dziś wieczorem – chciałby jak najmniejszą kaplicę. Nie, pogrzeb ma być cichy, tak będzie najlepiej. Tak powinno być napisane w nekrologu, którego jego syn nie zdążył zamieścić: *pogrzeb na życzenie zmarłego ma być cichy*. W piwnicy domu opieki na Tåsen mają niedużą kaplicę. To wystarczy. Tam będzie mógł leżeć w spokoju. Alfred Kristoffersen otwiera usta. Ale przygotowane słowa utykają mu w sercu, utykają w gardle, więc mówi co innego:

– Nie zdążyłem powiedzieć tego mojej żonie i zapewne Ewald, o ile go znam, również zbyt często tego nie mówił. Kochana Maj, byłaś dobrą żoną dla mojego lekkomyślnego syna przez te wszystkie lata, których i tak było o wiele za mało.

Alfred wraca na swoje miejsce w pierwszej ławce. Przez chwilę panuje cisza; pastor trzykrotnie posypuje trumnę ziemią na cześć ciała i duszy Ewalda Kristoffersena. Potem drewniana skrzynia zapada się pod podłogę przy dźwiękach pieśni *Stjernesangen* z muzyką Sibeliusa. Jesper obserwuje trumnę. Dokąd ona idzie? Wykorzystają ją jeszcze raz? Trumna to statek. Maj bierze Jespera za rękę, przechodzą środkiem kościoła i zatrzymują się na schodach. Jest zimno. Słońce wisi nisko między grobami, śnieg lśni. Wkrótce wychodzą też inni. Ceremonia kończy się przy grobie. Tak było napisane w nekrologu. To jest grób. Maj

ma wyrzuty sumienia. Wstydzi się. Czy nie chciała dla męża czegoś lepszego? Przecież on tak chętnie się bawił. Nie wie, co ma ze sobą zrobić, ale nie ma wyboru. Musi tu stać. Jest wdową. Przewodnicząca Oddziału Fagerborg, pani Nordklev, mówi:

– Weź sobie trochę wolnego, Maj.

– Lepiej mieć jakieś zajęcie.

Pani Hall, dawniej pani Vik, ściska Maj.

– To takie smutne – szepcze.

Maj odpowiada jej również szeptem:

– Zapomniałam ci powiedzieć, że znaleźliśmy twoją obrączkę.

– Słucham?

– Znaleźliśmy twoją obrączkę w sypialni.

Maj czuje, że jest winna Margrethe wyjaśnienie, ale Olaf Hall im przerywa. Zdejmuje prawą rękawiczkę.

– Moje kondolencje.

– Przykro mi, że nie zorganizowałam nic po pogrzebie – mówi Maj.

– Tu była dostatecznie ładna uroczystość. Proszę o tym nie myśleć.

Doktor Lund najpierw podchodzi do Jespera.

– Pobiegamy sobie razem, jak śnieg stopnieje?

Jesper tylko kiwa głową. Nie ma ochoty biegać z doktorem Lundem, z nikim nie ma ochoty biegać.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, to po prostu zadzwoń albo zajrzyj. – Doktor Lund zwraca się teraz do Maj.

– Dziękuję.

Pani Lund mu wtóruje:

– Musisz na siebie uważać.

Maj prawie nie rozróżnia kolegów Ewalda z Dek-Rek. Po kolei podaje im rękę. Sprawiają wrażenie zakłopotanych, nie na miejscu. Ten, który nazywa się Ravn, mówi, chociaż właściwie nie musi:

– Idziemy teraz do Bristolu powspominać Ewalda.

Maj się uśmiecha.

– Idźcie. Ewald też by z wami poszedł.

Ravn się rozjaśnia.

– No właśnie!

Maj uświadamia sobie, że życie toczy się dalej. Po drugim kieliszku już nie będą mówić o Ewaldzie, a przy trzecim całkiem o nim zapomną. Woda, napotykając przeszkodę, opływa ją bokiem albo zalewa. To smutne i prawdziwe, ale przynosi również ulgę. Maj znów ma wyrzuty sumienia. Rudjord kładzie jej rękę na ramieniu.

– W trudnych sytuacjach stają się jak dzieci – mówi.

– Nie szkodzi.

– Ale w gruncie rzeczy to dobre chłopaki.

Rudjord przepuszcza pannę Bryn, sekretarkę, która chce wręczyć Maj podłużną kopertę.

– Chłopcy się złożyli – mówi.

Maj nie rozumie.

– Złożyli?

– Nie jest tego wiele, ale może wystarczy na przetrwanie pierwszego załamania.

Maj ciągle nie może pojąć, o co chodzi.

– Załamania? Jakiego załamania?

Panna Bryn zaczyna się niecierpliwić, jest urażona.

– Na pewno nie będzie łatwo. Proszę wziąć te pieniądze.

Maj nagle ogarnia chłód, ale czuje też pewną radość.

– Dziękuję, ale nie wezmę. Nie potrzebuję wsparcia. Proszę je raczej przeznaczyć na działalność Przyjaciół Pacjentów Czerwonego Krzyża.

Następny w kolejce jest na szczęście fryzjer Julius z Grandu. To nieduży, wypielęgnowany człowieczek z brzuchem, który zaczyna się już od zagłębienia w szyi. Nie zdejmuje grubych rękawic.

– On naprawdę umarł tego dnia, w którym go ostrzygłem?

Maj kiwa głową.

– Niestety, tak. Przynajmniej miał ładną fryzurę na koniec.

Fryzjer jej nie słucha, stoi zamyślony.

– Coś takiego zmusza człowieka do refleksji – mówi.

Rzeźnik Melsom odsuwa go życzliwie i wyciąga wielką, prawie siną dłoń. Palce Maj znikają w niej, boi się, że nigdy ich nie odzyska.

– To wielka strata dla Fagerborga – oznajmia rzeźnik.

– Pięknie powiedziane.

Pani Melsom wtóruje mu zgodnie:

– Bez Ewalda to już nie będzie to samo.

Maj dopiero teraz zwraca na nią uwagę.

– Chyba nie zamknęliście przez nas sklepu?

Rzeźnik kręci głową.

– Kiedy wielcy ludzie odchodzą, trzeba ograniczyć godziny otwarcia.

Jesper patrzy w górę i myśli: ja też zamknąłem sklep. Kiedy ktoś umiera, człowiek ma wolne. Potem dostrzega Enza Zanettiego, zbliżającego się w szerokich czarnych spodniach, zniszczonych kaloszach i jasnym płaszczu z wielbłądziej wełny, z którego zwisają luźne nitki. Maj cofa się o krok, a potem, potknąwszy się, przechyla się w jego stronę i zanim włoski pianista rozrywkowy, który dzisiaj nie wygląda wcale smutniej niż zazwyczaj, zdąży się odezwać, oświadcza:

– Jesper nie przestanie grać na pianinie.

Czerwieni się, a Enzo Zanetti z uśmiechem odwraca się do Jespera.

– No to się cieszę. A ty?

– Tak, ja też.

– Wobec tego widzimy się we wtorek o wpół do szóstej.

– Mogę kogoś przyprowadzić?

– Byle nie całą gromadę.

– Tylko jedną osobę.

Enzo Zanetti spogląda na Maj.

– Nie może pani tak tu stać i marznąć. Jeszcze się pani rozchoruje.

– Dziękuję. To się niedługo skończy.

Jako ostatni na schody wchodzi Alfred Kristoffersen, przygarbiony i powolny, lecz mimo wszystko zdecydowany. Maj go obejmuje.

– Dziękuję za to, co powiedziałeś. Cieplej mi się zrobiło na sercu.

Stary człowiek jest zakłopotany.

– To nic takiego. Po prostu tak powiedziałem.

– Pójdziesz z nami do domu?

– Nie wiem.

– Jeszcze nie widziałeś Stine.

– Nie wiem – powtarza Alfred Kristoffersen.

– Zobaczysz się z moją matką.

Alfred Kristoffersen patrzy na cmentarz. Drzewa wydają się zupełnie czarne na tle niemal fosforyzującego śniegu. Słychać odgłos spadających kropli.

– Może kiedy indziej – mówi. – Kiedy indziej.

Alfred Kristoffersen schodzi po schodach i rusza ścieżką między grobami. Ręce trzyma za plecami, a idzie tak wolno, że jego cień zostaje na stromych krawędziach odgarniętego śniegu, który równie powoli zapada się pod lutowym słońcem.

Maj dziękuje pastorowi za przeprowadzenie ceremonii.

Po powrocie do domu Jesper wbiega po schodach na górę. Zatrzymuje się jednak na ostatnim stopniu i czeka na matkę. W taki dzień nie należy się spieszyć. Powinien iść jak dziadek, dostojnie, z rękami za plecami, z pochylonym karkiem. Ale na schodach pachnie ciastem czekoladowym, to ciężki, mroczny, słodki zapach. Jesper ma ochotę na ciasto. Wolałby mu się oprzeć, ale ma ochotę. Chce napełnić nim usta. Dopadają go jeszcze większe wyrzuty sumienia. Jak można o czymś takim myśleć w taki dzień jak ten? Poza tym postanowił przecież, że nie będzie gruby. Już raczej woli się rozchorować. Woli umrzeć. Matka go dogania.

– Jak myślisz, skąd ten zapach?

Babcia musiała ich usłyszeć, bo otwiera drzwi i zapach wciąga Jespera do kuchni. Ciasto czekoladowe stoi na stole nakrytym dla trzech osób. Jesper nie ma odwagi go tknąć. Tylko patrzy. Na cieście nie ma świeczek. Nikt dziś nie ma urodzin. Zero świeczek. Rok zerowy. Wreszcie przychodzą matka z babcią. Stine śpi. Przespała prawie całe życie. Nie wie, co ją omija. Jesper chce usiąść, ale musi najpierw umyć ręce. Idzie do łazienki i opryskuje je letnią wodą. Przegląda się w lustrze i wciąga policzki. Jest teraz tak samo chudy jak ojciec. Ale dziś mimo

wszystko może tyć. Nie umie się powstrzymać, żeby nie pobiec do kuchni. Babcia odkrawa kawałek ciasta i kładzie na talerzyku Maj.

– Nie rozumiem, jak mogłaś pozwolić, żeby go spalili.

– Mamo! Nie teraz!

Jesper zatrzymuje się na środku kuchni.

– Kogo spalili?

– Nikogo, Jesper. Chodź, zjesz. – Maj wstaje i podaje mu swój kawałek ciasta. Jesper chowa ręce za plecami.

– Kogo spalili? – powtarza.

– Kogo zabierzesz na lekcję muzyki? Mnie?

– To ojciec się pali?

Maj siada i patrzy na matkę, która prawie już skończyła swoją porcję.

– Smaczne?

Babcia nie podnosi głowy.

– To ja je upiekłam.

– Widzisz, co narobiłaś? Musiałaś mówić o paleniu?

Babcia przeciąga serwetką po drobnych ustach i odwraca się do Jespera.

– To się nazywa kremacja. Całe ciało staje w płomieniach, a reszta się topi w wielkim piecu.

– Zęby też?

– I zęby, i paznokcie. Nic nie zostaje. Nie spróbujesz ciasta?

Jesper kręci głową. Nigdy więcej nie będzie rąbał drewna. Babcia i tak kroi mu kawałek.

– U nas tak się nie robi. My grzebiemy w ziemi. Wszystko, w całości.

Maj ma ochotę uderzyć pięścią w stół, ale się powstrzymuje.

– To dlatego, że na wsi jest więcej miejsca – stwierdza.

– To dlaczego wszyscy chcą mieszkać w mieście i być kremowani? Nie możecie się przenieść do nas?

Maj wzdycha.

– Ojciec dzwonił?

– Powiedział, że zadzwoni tylko wtedy, gdy stanie się coś złego. Poza tym nie lubi prosić kupca o przysługę.

– Nie pora, żebyście założyli sobie telefon?

Babcia fuka.

– Gdybyście mieszkali bliżej, nie byłoby takiej potrzeby.

– Jeśliby coś się stało, nie wiadomo, czy ojciec dałby radę dojść do sklepu.

– W każdym razie nie dzwonił.

Jesper staje przy oknie i pozwala im gadać. Pozwala im się wygadać, chociaż one nigdy do tego punktu nie dojdą. Na podwórzu ktoś ulepił nowego bałwana. Tym razem nos ma z marchewki czy z jakiegoś patyka, a oczy z dwóch kapsli od mleka. Jesper nie wie dlaczego, ale go to oburza. Nie powinno tak być. Nie powinno się robić więcej bałwanów. Nigdzie nie powinien stać żaden bałwan. Wieczorem, kiedy Jesper już leży, głodny i nagle nieszczęśliwy, telefon jednak dzwoni. Maj odbiera. Przypuszcza, że stało się coś złego. Owszem, stało się, ale nie to, co przypuszcza. To dyżurna z domu opieki na Tåsen. Czy jest u nich Alfred Kristoffersen? Nie wrócił z powrotem po pogrzebie, na który wybrał się w ciągu dnia. Używa właśnie takiego zestawu słów: „nie wrócił z powrotem". Znajdują go później na Cmentarzu Zachodnim. Siedzi w śniegu niedaleko grobu, w którym to, co po nim zostanie, garść pyłu i obrączka ślubna, wkrótce spocznie razem z jego żoną, synem i innymi, którzy przyjdą później.

Walne zgromadzenie członków odbyło się przy Gabels gate 43 dnia 7 lutego o godz. 20 (ogłoszenie w „Aftenposten" 31 stycznia, jak zwykle z 8-dniowym wyprzedzeniem). Nie stawił się nikt oprócz członkiń zarządu.

Odczytano sprawozdanie roczne oraz rachunek wyników. Rachunki zostały poddane kontroli rewidenta, który stwierdził, że są prowadzone prawidłowo. Wszyscy wręcz chwalili panią skarbnik Kristoffersen, która mimo trudnego dla siebie czasu wspaniale wywiązała się ze swoich obowiązków. Jest wzorem człowieka oddanego pracy charytatywnej w Norwegii.

Następnie przeprowadzono wybory nowego zarządu, który zgodnie ze statutem sprawuje władzę przez dwa lata. Zarząd opuszczą pani Lutken i pani

Nordklev. Żadna nie chce kandydować ponownie. Pozostałe członkinie zarządu, włącznie z rezerwowymi (pani Lessund, pani Foss, wdowa Kristoffersen, pani Larsen, panna Aasland, pani Lund i pani Arnesen), wybrały dwie nowe członkinie, panią Dagny Hoffman i panią Mirandę Dunker.

FINANSE

Jostein leży na podłodze z zamkniętymi oczami. Z rękami i nogami rozłożonymi na boki przypomina anioła. Plecami słyszy muzykę, kołysanie płynące z fortepianu, które zatacza coraz większe kręgi, a jednocześnie zamiera, aż w końcu całkiem znika w nieprzemijającym hałasie świata. Nikt lepiej niż Jostein nie wie, że cisza nie istnieje. Wszędzie jest ruch, a on wyczuwa każde, nawet najmniejsze drgnienie. Aż chce mu się śmiać. Beethoven łaskocze. Jostein słyszy kaszel Włocha, a później trzask zapalniczki i płomień pojawiający się na malutkim knocie. Wkrótce następuje głębokie zaciągnięcie się aż do brzucha, a wtedy zaczynają piec oczy, chociaż są zamknięte. Jostein je otwiera. Kiedy patrzy, słyszy jeszcze gorzej. Miał rację. Włoch stoi obok Jespera i pali papierosa. Zapalniczka leży na półce. Jesper zaczyna od początku. Nigdy nie kończy z Beethovenem. Jostein wstaje i wychodzi. Idzie do łazienki. Enzo Zanetti śledzi go wzrokiem, dopóki nie znika mu z oczu.

– Ten chłopiec nie może tu być.

Jesper przestaje grać.

– Dlaczego?

– Denerwuje mnie.

– Dlaczego?

– Dlaczego i dlaczego. Dlaczego ty ciągle pytasz dlaczego?

– Przecież pytałem, czy mogę kogoś przyprowadzić.

Enzo Zanetti jest rozdrażniony; napełnia kieliszek po brzegi. Wstrzymuje się z wychyleniem go, patrzy gdzieś daleko poza Jespera. Kieliszek trzyma w obu rękach. Mówi z akcentem wyraźniejszym niż kiedykolwiek. Reperacja najwyraźniej się nie powiodła. Musi się reperować dalej.

– Sądziłem, że masz na myśli mamę. Mama może przychodzić. Ale kolega nie.

– Miałem pana od niej pozdrowić – mówi Jesper.

Enzo Zanetti opróżnia kieliszek i staje przy oknie, tyłem do Jespera. Wieczory są jaśniejsze. Światło się odwróciło. Jostein wraca. Enzo Zanetti spogląda na niego.

– Co słyszałeś?

– Co?

– Wiesz, o co pytam.

Jostein się zastanawia.

– Że pan jest pijakiem.

Teraz z kolei Enzo Zanetti musi się zastanowić. W tym czasie dolewa sobie do kieliszka i również to wypija.

– Kto oprócz ciebie mówi, że jestem pijakiem?

Jostein wzrusza ramionami. Enzo Zanetti robi krok w jego stronę.

– Kto tak mówi? – pyta jeszcze raz.

Jostein znów wzrusza ramionami, już nie taki pewny siebie.

– Tak tylko słyszałem.

Enzo Zanetti śmieje się głośno i podnosi kieliszek.

– We Włoszech jestem abstynentem, a tu, w Norwegii, pijakiem.

Godzina się kończy, jeszcze zanim minie.

W drodze do domu Jesper odzywa się pierwszy:

– Dlaczego tak powiedziałeś?

Jostein się zatrzymuje. Stoją przed Szkołą Berlego. Z rynien kapie. Od czasu do czasu kawał lodu zsuwa się z dachu i spada na ziemię.

– Bo to prawda.

– Nieprawda.

– Sam przecież tak mówił. Że w Norwegii jest pijakiem.

– Ty tylko udajesz, że nie słyszysz.

– Co?

Idą dalej przez Professor Dahls gate i mijają Vestkanttorget, gdzie lodowisko jest już tylko kałużą; na jej środku stoi bezdomny z plecakiem i parasolem. Wygląda tak, jakby chodził po wodzie. Jeszcze się nie ściemniło.

– Ty tylko udajesz – powtarza Jesper.

Jostein znów się zatrzymuje.

– Wiesz, dlaczego „pomocne patyczki” tak się nazywają?

Jesper kręci głową.

– Nie.

– Bo pomagają kłuć[13].

Jostein się śmieje, śmieje się jeszcze inaczej niż przedtem, brzmi to tak, jakby powietrze uchodziło z nadmuchiwanego materaca.

– To nieprawda – mówi Jesper.

– Wymyślimy coś?

– A co?

– No właśnie musimy wymyślić.

Jostein wyciąga zapalniczkę i rozgląda się dokoła. Jesper mocniej przytrzymuje teczkę i cofa się o krok.

– Nie rób tego – mówi.

– Czego?

Jesper podchodzi bliżej, wskazuje na zapalniczkę.

– To nie twoje.

– Nie usłyszałem.

– Zapalniczka. To zapalniczka Zanettiego.

Jostein znów się śmieje tym powietrznym śmiechem, przeciąga kciukiem po błyszczącym młoteczku i z jego dłoni tryska ukośny płomień.

– Tak?

– Zwinąłeś ją.

– Myślisz, że zauważy?

– Musisz oddać.

– Muszę?

Płomyk się kurczy i nagle robi się ciemno. Właśnie na tym polega niebezpieczeństwo. To, co niebezpieczne, może pchnąć w różne strony

i nie da się określić jego miejsca. To, co niebezpieczne, milczy. Jesper bierze głęboki wdech.

– Mogę ją oddać za ciebie.

Płomyk znów się pojawia; oświetla twarz Josteina, która wydaje się sztywna i obca.

– Dlaczego?

– Żeby się nie zorientował.

– No to bierz.

Jesper się waha, podchodzi bliżej, znów się waha, staje.

– Po prostu mi ją oddaj – powtarza.

– Weź sobie.

– Nie podobało ci się, że dla ciebie grałem?

Jostein rzuca zapalniczką, na której jeszcze przez moment widoczny jest płomień, a potem znika, gdy ląduje na roztopionym lodowisku. Jesper biegnie za nią. Słyszy, że gdzieś coś syczy, ale nic nie widzi. W końcu ten odgłos zamiera, lecz zaraz zastępuje go inny. Jesper się rozgląda. Przy przedszkolu stoi bezdomny i obraca w palcach coś błyszczącego. Jesper powoli do niego podchodzi. Przy każdym kroku chlupie mu w kaloszach. Nie jest Jezusem. Jezus chodził boso albo w sandałach. Serce mu wali. Serce wali w samotności. Serce drży, kiedy uderza. Jesper zatrzymuje się przed bezdomnym, który podnosi zapalniczkę do ust i pije z niej, opróżnia ją z ognia, po czym wyciąga rękę. Dłoń owinięta jest brudnym bandażem. Widoczne są jedynie koniuszki palców, brudne paznokcie. Jesper je liczy i nie dochodzi dalej niż do czterech, jednego palca brakuje. Słyszy też serce bezdomnego – ciężkie, nierówne uderzenia pod długim ciemnozielonym płaszczem; z ust mężczyzny wydobywa się benzynowy oddech. Wszyscy tego wieczoru się boją. Jesper bierze zapalniczkę i odbiega. Jostein czeka na niego. Idą razem na Valkyrien, nie odzywając się do siebie. Na ostatnim odcinku się rozdzielają. Jostein idzie Kirkeveien, natomiast Jesper wybiera Jacob Aalls gate. Tak się po prostu dzieje. Jesper myśli: pierwszy raz mam nieprzyjaciela. Nieprzyjaciela? Musi usiąść na schodach sklepu kolonialnego na Jessenløkken. Nie może się rozpłakać. Mocno ściska teczkę z nutami. Kiedy podnosi wzrok, na Marienlyst widzi księżyc

zawieszony na słupie latarni. Kalosze przemokły, każdy waży trzysta kilo. Zapalniczka rdzewieje. Jesper wlecze się do domu. We wszystkich pokojach jest ciemno z wyjątkiem jadalni, gdzie Maj pochyla się nad miesięcznymi rachunkami. Na chwilę podnosi głowę. Już ma spytać, dlaczego Jesper wraca tak późno, ale się powstrzymuje. Zostawia go w spokoju. Jesper odwiesza ubranie, zapala lampę w holu, wyjmuje nuty z teczki, podchodzi do pianina i tam je kładzie.

– Josteinowi się podobało? – pyta Maj.

Jesper wzrusza ramionami i dalej stoi.

– Książka telefoniczna przyszła – mówi.

– Co?

– Ty też źle słyszysz?

– Ależ, Jesper!

– Leży na wycieraczce.

– To dlaczego jej nie przyniosłeś?

Jesper znów wzrusza ramionami.

– Stawiasz pasjansa? – pyta.

– Pasjansa?

Jesper wydaje się nieswój, wręcz nonszalancki, a jednocześnie zawstydzony.

– To co tak liczysz?

– Nic.

– Po prostu nic?

– Wszystko kosztuje.

Budzi się Stine. Oboje nasłuchują. Mała przez moment kwili, a potem cichnie jeszcze bardziej niż poprzednio. Sen odbiera jej dźwięki. Jedynie na krótką chwilę wynurzyła się z głębiny, żeby zaczerpnąć oddechu. Maj wychodzi po książkę telefoniczną. Jesper siada przy stole. Patrzy na kartkę, nad którą ślęczała matka. To rachunek wystawiony przez szefa Gminnej Rady do spraw Kościołów i Cmentarzy w Oslo: opłata za kremację – 60 koron, muzyka – 90 koron, urna – 12 koron, organy – 40 koron, dekoracje – 150 koron, VAT od urny – 2,40 korony. Majątek. Przy wydatkach na dekoracje matka postawiła znak zapytania.

Na odwrocie również coś napisano: *Zgodnie z prawem norweskim prochów nie wolno przechowywać prywatnie*. Jesper nie słyszy, że matka wraca, dopóki nie staje w drzwiach z książką telefoniczną w ręku. Odkłada wtedy kartkę i pyta:

– Dziadek też jest taki drogi?

Matka się śmieje.

– Tak. Na niczym nie oszczędzamy.

Jesper wstaje i przeciąga palcami po włosach.

– Nie jesteśmy dusikrupami.

– Słucham?

– Ani męczygroszami.

Matka patrzy na niego zaskoczona i dopiero po chwili uświadamia sobie, co usłyszała. Robi krok w jego stronę.

– Tylko nie zaczynaj mówić jak twój ojciec, Jesper! Obiecaj mi, że nie będziesz tak mówił!

Jesper się garbi, zawstydzony i wściekły. Chce ją wyminąć. Maj go zatrzymuje.

– Przepraszam, Jesper. Nie miałam nic złego na myśli. Bardzo cię proszę.

Jesper nie ma siły się wyrywać. Opiera czoło o jej fartuch. Później jedzą w kuchni kolację. Potem Jesper myje twarz i zęby, wkłada piżamę, pakuje tornister, chowa zapalniczkę pod podręcznik do prowadzenia gospodarstwa domowego i kładzie się do łóżka. Kiedy wszyscy oprócz Jespera już zasną i słychać jedynie własny język kamienicy, Jesper zakrada się do salonu, zapala najmniejszą lampkę, siada na kanapie, kładzie książkę telefoniczną na kolanach i delikatnie zaczyna ją przeglądać. Literki są takie małe i tyle tu nazwisk. Przy każdym nazwisku są cyfry, które trzeba wykręcić, żeby się dodzwonić. A gdyby wszyscy zaczęli telefonować równocześnie, co by się wtedy stało? Jesperowi zaczyna się od tego kręcić w głowie i musi zacząć od początku. Łatwiej czytać nuty. Wreszcie znajduje ojca. Wśród tych, których nazwiska zaczynają się na K. Kristoffersen, Ewald. Nie może powstrzymać się od myśli: ile spośród tych osób już nie żyje? Ile już nie działa? Mimo wszystko robi to: wsadza palec wskazujący w pierwszy

otwór na tarczy, obraca nią do oporu i puszcza. Powtarza tę czynność sześć razy: 55 14 30. Potem przyciska słuchawkę od ucha i słyszy inny sygnał, zniecierpliwione ostrzeżenie: z a j ę t e. Tam, dokąd się dodzwonił, jest zajęte. Napełnia go to smutkiem, tak różnym od wszystkiego, co do tej pory czuł, że niemal odbiera mu to oddech i wywołuje mdłości. Bo ten smutek jest przemieszany z zazdrością. Jesper czuje się głęboko urażony. Ojciec nie ma dla niego czasu. Zaraz jednak pojmuje, jak jest naprawdę. To on jest zajęty, a ojciec zazdrości żywym. Jesper odkłada słuchawkę.

Komitet Wykonawczy Norweskiego Czerwonego Krzyża zorganizował posiedzenie zarządu w domu sióstr dnia 13.03.1951 r.; poprowadziła je przewodnicząca pani Esther Andersen. Najpierw panna Birgit Henriksen odczytała sprawozdanie z poprzedniego posiedzenia zarządu. Następnie pani Esther Andersen odczytała sprawozdanie roczne oraz rachunek wyników. Komitet Wykonawczy rozdysponował środki w następujący sposób:

Centrum Rekonwalescencji	*7500,– koron*
Przyjaciele Pacjentów	*2500,– koron*
Emerytowane siostry	*2000,– koron*
Wolontariat szpitalny	*1000,– koron*
Zmywarka	*5000,– koron*

Komitet Wykonawczy otrzymał wniosek o wsparcie finansowe przedszkolanek w Szpitalu Centralnym. Działalność ta jest rozszerzana, zatrudniono jeszcze jedną osobę. Zaproponowano, aby każdy oddział udzielił wsparcia na ten cel w wysokości 500,– koron rocznie lub 50,– koron miesięcznie, zobowiązując się jednak do płatności na okres nie dłuższy niż rok. Oddziały Tøyen, Grønland i Vaterland już przekazały po 500,– koron. Przedłożono propozycję, aby Grupa do spraw Niemowląt, która ma nadwyżki, również wspomogła ten cel.

W dniu urodzin żony następcy tronu oraz dzień później sprzedawane będą kwiaty (jasnoczerwone goździki). Dochód zostanie przeznaczony dla Narodowej

Rady Kobiet Norweskich. Oddziały poproszono o pomoc w zorganizowaniu sprzedaży.

Pani Dybvig mówiła o pomocy przy pakowaniu ubrań dla Korei. Poruszyła również sprawę wspólnej wycieczki dla osób starszych i poprosiła, aby oddziały poinformowały pannę Henriksen, czy są tym zainteresowane.

Przy obliczaniu dochodów z kiermaszu należy potrącać wartość faktyczną poniesionych wydatków. Oddziały, które wcześniej nie miały na kiermaszu całego stolika, mogą poinformować pannę Henriksen, jeśli w tym roku są tym zainteresowane. Cena za cały stolik jest dwukrotnością ceny za ½ stolika. Tegoroczny kiermasz odbywać się będzie od soboty 8.09 do poniedziałku 17.09. W dniach 12 i 13 kwietnia odbędzie się pokaz mody dla Okręgu Oslo; 12 kwietnia będzie on połączony z wieczorkiem tanecznym w cenie 15,– koron. Prosimy oddziały o pomoc przy sprzedaży biletów. Wyznaczony zostanie termin zwrotu biletów, które się nie sprzedadzą.

Uczestników zebrania zaproszono na herbatę i kanapki, a następnie oprowadzono po domu sióstr.

13.03.1951 r.
Else Larsen, Berit Nordklev

PRZYJAŹŃ

Olaf Hall przegląda *Fletnię chińską*, którą postarał się odrestaurować najlepiej, jak potrafił. Książka jednak nigdy nie będzie jak nowa. Zresztą wcale nie o to chodzi. Po pozycji antykwarycznej musi być widać jej rzeczywisty wiek, inaczej prawdopodobnie nie jest prawdziwa, lecz powinna być również w dobrym stanie. *Fletnia chińska*, tak czy owak, nie jest w dobrym stanie. Straciła wartość. Olaf musi ją wycofać. Nie może czegoś takiego wypuścić na rynek. Zaszkodziłby swojemu dobremu imieniu i opinii. A opinię jeszcze trudniej odrestaurować. Mógłby pewnie sprzedać ją jakiemuś parweniuszowi, jednemu z tych nuworyszy, którzy odkuli się na wojnie albo dorobili się łatwo w branży żeglugowej, a teraz chcą zapełnić biblioteki w willach przy Madserud allé i Kristinelundveien. Równie dobrze mogliby kupić tapetę. Nie, Olaf Hall zatrzyma *Fletnię chińską* dla siebie. Książka może mu sprawić pewną przyjemność. Może także przypominać Margrethe o jej błędzie. Olaf nasłuchuje. Margrethe wytwarza w domu zupełnie inne dźwięki niż te, do których jest przyzwyczajony. Nagle słyszy listonosza. Olaf Hall wie dokładnie, która jest godzina: dziesiąta czterdzieści, to pierwsza runda z listami. Odczekuje chwilę i idzie po pocztę. Powietrze jest ciepłe. Delikatny wiatr wyciąga z cienia resztki śniegu. Wśród rozmaitych katalogów leży list. Nie jest zaadresowany do niego. To list do Margrethe. Do Margrethe Hall. Jej nazwisko wypisano na maszynie. Znaczek jest duński. Na kopercie nie ma nadawcy. Olaf Hall patrzy w kuchenne okno. Margrethe macha do niego. On też unosi rękę i śle jej w powietrzu pocałunek. Margrethe ze śmiechem kręci głową, ale powtarza jego gest, również posyła mu całusa. Olaf zanosi pocztę do antykwariatu, a Margrethe nastawia kawę i nakrywa do stołu. Chleb jest czerstwy. Kroi cienkie kromki. Ma ochotę spytać Olafa, czy nie mogliby kupić tostera. Miło byłoby zjeść grzanki, choćby w niedzielę. Jeśli się nie myli, to w piwnicy na Kirkeveien wciąż stoją słoiki z dżemem z czarnej porzeczki. Na moment ogarnia ją panika. W niczym nie ma porządku.

To uczucie zaraz mija. Kawa jest gotowa. Dochodzi wpół do dwunastej. Olaf się dzisiaj spóźnia. Margrethe jest głodna, ale nie je, czeka na niego. Wreszcie słyszy go na schodach. Olaf idzie najpierw do salonu. Wkrótce jednak przychodzi do kuchni i siada. Margrethe nalewa mu kawę.

– Żebyś się tylko nie przeziębił.

– A co? Dlaczego?

– Kwiecień. Chłodno, chociaż świeci słońce, po prostu tego nie czujesz.

Olaf ze śmiechem przyciąga Margrethe do siebie.

– Do skrzynki pocztowej jest niedaleko.

– Nigdy nic nie wiadomo.

Puszcza ją i próbuje kawy; chwilę siedzi zamyślony, aż w końcu się odzywa:

– Jak myślisz, co będziemy robić w Wielkanoc?

– Nie wiem. Na co masz ochotę?

– Ciebie pytam.

– Moglibyśmy na przykład pojechać na Nesodden.

– Nigdy nie otwieramy domu na wsi przed Zielonymi Świątkami.

– Aha.

– A co powiesz na Kopenhagę?

Margrethe siada i cienko smaruje masłem kromkę chleba.

– Na Wielkanoc?

– Czemu nie?

– Chętnie bym się gdzieś poopalała.

– Nie musisz. I tak ładnie wyglądasz. Poza tym w Kopenhadze też można się opalać. Na Langelinie.

– Pewnie tak.

– Mógłbym pochodzić po antykwariatach, w czasie gdy ty będziesz odwiedzać znajomych.

Margrethe zerka na niego.

– Znajomych?

– A co, nie znasz tam nikogo?

– W Kopenhadze? Nic mi o tym nie wiadomo.

Olaf wręcza jej kopertę. Margrethe długo przygląda się swojemu nazwisku, Margrethe Hall, i usiłuje raz na zawsze do niego przywyknąć. Znaczek jest duński, ostemplowany w Kopenhadze przed czterema dniami. Margrethe nie ma pojęcia, od kogo może być ten list. Rozcina kopertę nożem, wyjmuje kartkę. Również napisano ją na maszynie, to zaledwie kilka linijek. Wystarczy jeden rzut oka, żeby ogarnąć cały tekst. Pierwszą myślą Margrethe jest: pokazać go Olafowi. To list od Bjørna. Równie szybko zmienia zdanie. Nie ma odwagi. Chce oszczędzić Olafa. Nie potrafi jednak udźwignąć tego sama. Bjørn pisze:

Droga Margrethe,

Każdy kiedyś nadgryzł jabłko, a potem je zostawił. Mógł wówczas dość szybko zobaczyć, jak otwarta rana w miąższu brązowieje. Świeżość i smak rozkładają się i gniją. Jeśli takie jabłko poleży dostatecznie długo, ulegnie rozkładowi. Umrą jego komórki. Utlenią się. Właśnie tak przedstawia się sprawa z Olafem Hallem. On nadgryza ludzi i ich zostawia. Tylko tyle chciałem Ci powiedzieć. Jesteś dobrym człowiekiem. Zasłużyłaś na coś lepszego.

Z poważaniem,

Bjørn Stranger

PS Zamierzałem wygłosić tę króciutką przemowę w dniu ślubu, ale zabrakło mi odwagi.

Margrethe chowa kartkę z powrotem do koperty. Robi to powoli, żeby zyskać na czasie. Ma wszystko do stracenia. Nie przywykła do kłamstw. Nie pamięta, kiedy ostatnio skłamała. Jeśli w ogóle, to przed sobą, a to co innego, grzech konieczny. Czym innym jest kłamanie prosto w oczy temu, z kim się żyje. Margrethe hartuje się w ciągu tych kilku sekund. Olaf pyta:

– Od kogo to?

Margrethe chowa kopertę na kolanach.

– Od dawnego kolegi Halfdana.

– To miło. Z jakiej okazji?

– Okazji?

– Tak. Dlaczego pisze?

– Żeby mi pogratulować. Dopiero teraz dowiedział się o ślubie. O moim ponownym zamążpójściu.

– Mówiłaś, że jak on się nazywa?

– Nie mówiłam. Wilhelm Juul. Studiowali razem w Wyższej Szkole Rolniczej w Ås. Halfdan i on.

– A teraz mieszka w Kopenhadze?

– Tak, ma wykłady gościnne na tamtejszym uniwersytecie.

– Wykłady gościnne. Pięknie.

– Halfdan swego czasu też otrzymał taką propozycję. Ale nie chciał. On…

Margrethe chowa kopertę do kieszeni fartucha i wstaje. Jest wykończona. Nie powinna mówić nic więcej. Musi stanąć przy zlewie, odwrócona tyłem. Nie może spojrzeć Olafowi w oczy. On też wstaje, dziękując za jedzenie, chociaż niczego nie zjadł, wypił tylko filiżankę kawy. Kładzie jej rękę na ramieniu. Margrethe przychodzi do głowy, że czytał ten list, że już go czytał, umie otwierać koperty i z powrotem je zaklejać.

– Pójdę się przejść – mówi Olaf.

– Chcesz, żebym z tobą poszła?

– Nie musisz.

– Idziesz na cmentarz?

– Do antykwariatu Damma. Wyszedł nowy katalog.

Kiedy Margrethe słyszy, że Olaf zamknął za sobą furtkę, wybucha płaczem. Nie wie, jak długo tak stoi. Odkręca kran i opłukuje twarz zimną wodą. Potem wykonuje zwyczajne czynności. Mają ją pozbierać w całość. Sprząta z kuchennego stołu i zmywa. Chodzi o zachowanie spokoju. Kłamstwa wymagają spokoju. Każdy ruch zawiera w sobie rozsądek, któremu musi zaufać. To nie pomaga. Powinna się pozbyć tego listu. Spalić w kominku. Ale po co, jeśli Olaf i tak go już przeczytał? Może iść do fryzjerki i zrobić trwałą. Tego też dawno nie robiła. Może zadzwonić i umówić się jeszcze na dzisiaj. Będzie dobrze wyglądała, kiedy Olaf wróci. Odwiesza fartuch na haczyku przy spiżarce, wstawia dzbanuszek ze śmietanką do lodówki i zatrzymuje się z dłonią na

chłodnych, gładkich drzwiczkach. W czym pomoże ładna fryzura, jeśli to prawda? To nie może być prawda. Margrethe ogarniają nagle wyrzuty sumienia. Wstydzi się. Jak mogła pomyśleć coś takiego? Jak w ogóle mogła pomyśleć coś takiego o Olafie? Czuje przytłaczające oddanie dla niego. Robi jej się żal Olafa. Nie będzie wierzyć temu tchórzliwemu, mściwemu maminsynkowi, pasierbowi, który ucieka z podkulonym ogonem. Margrethe zamyka lodówkę, z powrotem narzuca fartuch i przechodzi do salonu. Tam jest co robić. Trzeba zetrzeć kurze, podlać kwiaty, wytrzepać dywany. Czas jakoś minie. Bierze się do pracy z radością intensywniejszą niż kiedykolwiek, bo płynącą z miejsca ukrytego w niej tak głęboko, że potrzeba dodatkowej siły, aby ją wydobyć. Przypomina to uniewinnienie, pozbycie się brzemienia, ze względu na tę lekkość, którą owa radość w sobie niesie. Nagle jednak Margrethe zauważa książkę leżącą na niskim stoliku do kawy. To *Fletnia chińska*. Okładka jest zabrudzona. Grzbiet w plamach. Margrethe znów się zapada. To lawina lecąca w tę samą głąb, z której powstała radość, teraz już w gruzach. Czy Olaf położył tę książkę specjalnie po to, aby przypominać Margrethe o tym, co się stało? Że to jej wina? Margrethe siada na kanapie. Jest tu obca. Nigdy nie przyzwyczai się do tych nawyków, do tego języka, do tej przeszłości. Może Bjørn ma rację: może Olaf ugryzł jej kawałek, a resztę zostawił? Teraz Margrethe się rozpada. Ulega rozkładowi. Chce gdzieś odłożyć *Fletnię chińską*, tę bezwartościową pozycję, usunąć ją sprzed oczu. Nie rusza jej. Nie ma odwagi. Jest bliska płaczu. Nie płacze. To wybór. Jeszcze raz przezwycięża, nie bardzo wie co, ale przezwycięża. Podchodzi do okna, furtka jest zamknięta. Wzdłuż płotu ciągle leży śnieg, brudne plamy. Wszystko jest brudne. Nie widzi Olafa. Pospiesznie idzie do przedpokoju, wykręca numer Maj i wkrótce słyszy, że ktoś odbiera.

– Dzień dobry, tu mieszkanie Maj Kristoffersen.

Margrethe uśmiecha się do słuchawki.

– Jak się miewacie?

– To ty, Margrethe?

– Tak, przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie, nie, Stine śpi i…

– Chciałam się tylko dowiedzieć…

– Żyję każdym dniem z osobna.

– A Jesper? Jak to przyjmuje?

– Niewiele się odzywa.

– Zawsze tak było.

– W dodatku pokłócili się z Josteinem, synem rzeźnika.

– To minie. Na pewno niedługo znów będą w przyjaźni, przekonasz się.

– No, nie wiem. Martwię się. Czasami za dużo tego dobrego. Uff, co ja wygaduję.

– Ale dalej gra? – pyta Margrethe.

Maj się śmieje.

– Podobno skończył z Beethovenem i zacznie grać kogoś, kto się nazywa Atie.

– Satie.

– Tak, Satie, masz rację. Musisz przyjść go posłuchać. Nie mogłabyś?

– Owszem, bardzo chętnie.

Przez chwilę milczą, marnując kosztowny czas, ale one być może stwierdziłyby, że przeciwnie, że pociechę daje im sama świadomość obecności tej drugiej. Maj pyta w końcu:

– A ty? Jak…

Margrethe jej przerywa:

– Znaleźliście moją obrączkę?

– Tak. Leżała… – I Maj sama sobie przerywa: – Wiesz, co dzisiaj zrobimy?

– Nie. O czym ty mówisz?

– Pójdziemy na pokaz mody!

– Pokaz mody? No nie, naprawdę nie mogę.

– Oczywiście, że możesz. Organizuje to Czerwony Krzyż. O pierwszej. Wezmę ze sobą obrączkę.

– Wyglądam okropnie, Maj. Mam straszne włosy i…

– Na pewno nie.

– Nie widziałaś mnie.

– W takim razie nie będziesz osamotniona. Ja wyglądam jak czarownica.

Umawiają się przy Teatrze Narodowym za pół godziny. Margrethe szykuje się na tyle, na ile to możliwe. Towarzyszy jej przykre uczucie, którego nie udaje jej się pozbyć. Nie jest pewna, z czego się ono składa i w jakim kierunku podąża. Za wcześnie na wiosenny płaszcz, a za późno na zimowe palto. Wkłada kurtkę, na szczęście na podszewce. Chowa do torebki list Bjørna i pisze karteczkę do Olafa. Spotyka go przy drzwiach.

– Wybierasz się do fryzjerki? – pyta Olaf.

Margrethe spuszcza wzrok.

– Do fryzjerki? Nie, idę tylko na zakupy. I spotkać się z Maj.

– Z Maj Kristoffersen?

– Tak, ona tyle przeszła. Najpierw Ewald, a potem teść.

– Myślisz o wszystkich.

– Byłyśmy przecież sąsiadkami.

Olaf wsuwa jej dwa palce pod brodę i unosi jej twarz, tak aby mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Ale od czasu do czasu musisz pomyśleć też o sobie – mówi. Opuszcza rękę, wchodzi do domu, zatrzymuje się i poklepuje swoją torbę.

– Mogę dziś przyrządzić obiad. Kupiłem befsztyki z wieloryba.

Margrethe udaje się zdążyć na tramwaj na Frognerveien, ale na każdym przystanku ma ochotę wysiąść. Pomyśleć o sobie? Naprawdę ma takie okropne włosy? Powinna była włożyć chustkę. Ale konduktor wcale dziwnie na nią nie patrzy, przeciwnie, uśmiecha się i wydaje jej resztę, dwadzieścia pięć øre, lekko się przy tym kłaniając. Margrethe podnosi głowę, kiedy docierają na długie, łagodne wzgórze, Glitnebakken, schodzące do samego miasta, do teatrów, kin, hoteli i restauracji. Ile razy może podnosić głowę? Wysiada przy Teatrze Narodowym, gdzie czeka już na nią Maj, która wzięła ze sobą Stine. Margrethe nachyla się nad wózkiem i widok tego maleńkiego człowieka,

od razu otwierającego oczy i uśmiechającego się na swój sposób, sprawia, że Margrethe zapomina o wszystkim – myśli tylko o czasie, który upłynął od ich ostatniego spotkania. Czy mała jest podobna do Ewalda? Potem Margrethe ściska Maj, obejmują się, przez chwilę trudno powiedzieć, która którą pociesza. Ludzie mijający je w to nieco chłodne, ale pogodne przedpołudnie w połowie kwietnia – urzędnicy, gospodynie domowe, chłopcy na posyłki, aktorzy i studenci – widzą jedynie wzajemny uścisk, który prawdopodobnie kojarzy im się z czymś przyjemnym. Później Maj i Margrethe przechodzą kawałeczek przez Karl Johans gate do Grandu, gdzie ma się odbyć pokaz, i to w samej Sali Lustrzanej. Ale tam dowiadują się od portiera, że pokaz przeniesiono do Bristolu, do Sali Mauretańskiej. Maj żałuje, że w ogóle przyszła, nie ma ochoty tam iść, ale teraz już nie może się wycofać. Pospiesznie skręcają za róg na Rosenkrantz' gate. Maj ma nadzieję, że nie spotka nikogo z Dek-Rek. Nie wie dlaczego, ale po prostu nie ma na to ochoty. Zostają wpuszczone do ciemnego foyer Bristolu, w którym perfumy pań przechodzących tędy przed nimi nie są w stanie zabić zapachu tytoniu, drinków i obcisłych spódniczek. Pachnie tu Ewaldem w jego zły dzień. Maj przechodzi dreszcz, odwraca się. Witają je aż cztery wystrojone przedstawicielki Komitetu Wykonawczego wraz z wiceprzewodniczącym Norweskiego Czerwonego Krzyża, Jensem Meinichem. Maj i Margrethe czują się tak głupio w tym towarzystwie, że aż muszą się do siebie uśmiechnąć – są w tej sytuacji we dwie. Szatniarka chętnie zajmie się Stine. Ale Margrethe musi najpierw zejść na dół, aby przypudrować nos. Pani Nordklev, nadchodząca z przeciwnej strony, spogląda za nią w stronę schodów.

– Czy to pani Vik? – pyta cicho.

– Pani Hall.

– Strasznie pani Vik zmizerniała.

A jednak jest tu ktoś z Dek-Rek. Zza fortepianu wstaje Rudjord. Macha do Maj, która wychodzi mu naprzeciw. Właściwie cieszy się, że ma powód, aby zostawić panią Nordklev. Rudjord ściska jej rękę.

– Jak się pani miewa?

– Tak sobie.

– W każdym razie wygląda pani dobrze, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Maj się czerwieni i kręci głową.

– Proszę nie uskuteczniać ze mną reklamy, panie Rudjord.

Rudjord się śmieje i zapala papierosa.

– Już dawno miałem do pani zadzwonić, ale postanowiłem jeszcze trochę odczekać. Chodzi o pośmiertną odprawę Ewalda i rentę. Może już na to czas?

– Chyba nie ma żadnych niezgodności?

– Nie, nie, wprost przeciwnie. Czy mogłaby pani po prostu któregoś dnia zajrzeć do biura?

Maj kiwa głową i szybko wraca do Margrethe, która czeka przy Sali Mauretańskiej. Znajdują dwa wolne miejsca przy stoliku między kolumnami. Jest tam już mnóstwo pań, pań w każdym wieku, brakuje tylko takich poniżej trzydziestki. Rozlega się szum. Przypomina to rój pszczół, który przemieszcza się falująco w jedną i w drugą stronę. Nagle zapada całkowita cisza. Panie wstają. Maj i Margrethe także. Wprost przeciwnie, powtarza w myślach Maj. Co ten Ewald znów wymyślił, chociaż już nie żyje? Margrethe łapie Maj za ramię, o mało jej nie przewracając. Wchodzi księżniczka Astrid. Towarzyszą jej wiceprzewodniczący i dwóch adiutantów z zamku. Siadają przy stoliku tuż przy scenie. Można zaczynać. Orkiestra Thunesa gra wiązankę popularnych melodii, a później występuje konferansjer – jego głos wszyscy znają z radia, ale reszta jego osoby nie jest tak sławna. Wita przedstawicielkę rodziny królewskiej oraz wolontariuszki, po czym podkreśla, że dochód z imprezy zostanie przeznaczony na kolonie letnie dla osieroconych dzieci. Te słowa wywołują oklaski. Wiceprzewodniczący Norweskiego Czerwonego Krzyża również musi zabrać głos; opowiada – zdaniem większości zbyt rozwlekle – o pracy organizacji, kładąc nacisk na międzynarodowy charakter sprawy, s p r a w y, i przy okazji wymienia Koreę. Jak my otrzymaliśmy pomoc po wojnie, tak naszym obowiązkiem jest pomagać innym. My również jesteśmy częścią świata. Wiceprzewodniczący powtarza te słowa: „My również jesteśmy częścią świata”. Wreszcie przychodzi kolej na

modelki. Wszystkie trzy są równie śliczne, ale jedną z nich jest miss Oslo z ubiegłego roku, Bente Sørum ze Slemdal, i to ona zbiera najwięcej oklasków. Najpierw pokazują proste stroje wieczorowe. Spódnice wciąż są półdługie, lecz obecnie liczą się żakiety w pepitkę. Poza tym ubrania są tak obcisłe w talii, że modelki przypominają klepsydry na wysokich obcasach. Jakim cudem w ogóle oddychają? Żaden z tych ubiorów i tak nie może się równać z tamtą niebieską sukienką, którą Maj mierzyła w domu towarowym Steen & Strøm. Wzdycha w duchu. Wszystko w jej życiu zmieniło się w d a w n i e j. Znów rozlega się muzyka, orkiestra Thunesa gra *Weź moją sympatię*, a perkusista, na tę okazję również wokalista, śpiewa:

Weź moją sympatię
Wszystko w niej się mieści
To, co pragnę ci dać
Musimy sobie ufać

Później ponownie wchodzą modelki, tym razem w lekkich, niezobowiązujących strojach codziennych, każda w oryginalnej angielskiej furażerce – czarnej, granatowej i butelkowozielonej. Te czapki budzą szczególny zachwyt. Margrethe nachyla się do Maj.

– Pamiętałaś o mojej obrączce?

Wreszcie radiowy głos, tym razem z wyraźnym ożywieniem, zapowiada tegoroczną modę plażową, do wykorzystania latem być może na plażach Huk albo Ingierstrand. Wszystkie kostiumy są dwuczęściowe, bardzo śmiałe, ale nie wulgarne, chociaż więcej pokazują, niż ukrywają. Maj znów czuje w sobie to westchnienie – może wydobywa się ono z piersi wszystkich obecnych, bo przecież nie ma tu pań poniżej trzydziestki – ona za nic w świecie nie będzie mogła włożyć takiego kostiumu. Nie jest już tak szczupła jak kiedyś. Wprawdzie nie utyła, ale ciało przestało być tak chętne do współpracy, opiera się, ciężkie i kłótliwe. Określa się je tylko jednym słowem: w d o w a. Żałoba jest jak wałek tłuszczu. Tak widzi to Maj. Orkiestra Thunesa gra hymn królewski i wszyscy wstają. Maj odbiera Stine w szatni, a Margrethe

prowadzi wózek do Teatru Narodowego. Zanim się rozstaną, Maj oddaje jej obrączkę, włożyła ją do małej kopertki, która została po pogrzebie Ewalda. Margrethe prędko chowa ją do torebki. Ale Maj jeszcze coś leży na sercu, aż boi się to wypowiedzieć.

– Tylko nie gniewaj się na mnie, Margrethe.

– Ja miałabym się gniewać? Dlaczego…

– On cię chyba nie oszuka? Mam na myśli Olafa.

– Jak możesz mówić coś takiego? Olaf miałby mnie oszukać?

– Jednak się gniewasz.

– Wcale się nie gniewam, tylko…

Maj zbiera się na odwagę.

– Myślę o twoim mieszkaniu, które stoi puste, i…

– Chwilowo. Olaf mówi, że teraz nie warto sprzedawać.

– Aha. Przepraszam.

– Nie musisz przepraszać. Dobrze rozumiem, dlaczego pytasz.

Maj patrzy, jak Margrethe oddala się pospiesznie i podchodzi pod Glitnebakken, mijając jarzącą się reklamę na samej górze narożnego budynku od strony Drammensveien: *Czas płynie, Gjensidige trwa*. Wkrótce Maj słyszy dźwięk dzwonów na wieżach ratusza. Jest trzecia. Myśli o Ewaldzie za każdym razem, gdy dzwony wybijają pełną godzinę i pół godziny, a czasami również przy każdym kwadransie. Musiałaby się przenieść do innego miasta, żeby o nim nie myśleć, a nie wiadomo, czy nawet wtedy by jej się to udało. Nie jest również pewne, czyby tego chciała. Ewald powinien ją teraz zobaczyć. Co by pomyślał? Że nigdy nie ujrzy jej w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym?

Maj wraca na Rosenkrantz' gate, idzie do Dek-Rek. Równie dobrze może to już mieć za sobą. Zostawia wózek na dole i ze Stine na rękach jedzie windą do biur na piątym piętrze. Mężczyźni w pracowni projektowej na moment przerywają pracę i witają się z nią, wciąż skrępowani. Ci wyrafinowani kawalerowie, zwykle tak mocni w gębie, umiejący zabajtlować dziewczynę w blasku księżyca, nagle miękną i nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Maj ma tego świadomość. To nie jej

promienność i kształty robią na nich takie wrażenie, o nie, nic z tych rzeczy. Ten czas, jak wiadomo, już minął.

– Dziękuję za wasz podarunek – mówi.

Chłopcy kiwają głowami i oddychają z ulgą.

E, to nic takiego, wyskrobali po kilka groszy, inaczej być nie mogło. Przecież Ewald tyle razy im stawiał. Potem muszą obejrzeć z bliska Stine. Skóra zdjęta z ojca, mówią, z matki też, plotą, sami nie wiedzą już co, że też to musi być takie trudne. Sekretarka, panna Bryn, prowadzi Maj do Rudjorda; chętnie zajmie się bobasem, w czasie gdy Maj będzie rozmawiała z szefem. Maj siada w saloniku, który Rudjord urządził w kącie gabinetu, tak będzie mniej formalnie.

– Czy mogę zaproponować pani coś do picia? – pyta.

Maj kręci głową.

– Nie, dziękuję. Przyszłam tylko powiedzieć, że jednak przyjmę ten podarunek.

– Podarunek?

– Ten, na który złożyli się koledzy.

– A, tak, oczywiście! Cieszę się. – Rudjord idzie po kopertę i wręcza ją Maj.

– Te pieniądze pójdą na lekcje muzyki Jespera – mówi.

– Wspaniale.

– Gra na pianinie.

– Musi pani być z niego dumna.

– I jeszcze jedno.

– Tak, słucham?

– Czy nie możemy mówić sobie na ty, tak jak wcześniej, zanim zostałam wdową?

Rudjord siada i zapala papierosa.

– Bardzo chętnie. Przepraszam. A pani… to znaczy ty zawsze będziesz tu mile widziana.

Kładzie na stole jakieś papiery i zaczyna je przeglądać.

– Tak jak mówiłem, Ewald był człowiekiem umiejącym patrzeć w przyszłość.

– Owszem, wiedział, że umrze.

– Mówisz bardzo bezpośrednio. Podoba mi się to. Ale nie tylko o to mi chodzi. Miał też idee, wizje.

– Pięknie powiedziane.

– Taka jest prawda. I w ostatnim roku podwyższył składkę swojej polisy na życie. Wiesz, że mamy adwokata, który zajmuje się takimi sprawami, prawda?

– Skąd miał na to pieniądze?

– Skąd? Składka jest potrącana z pensji.

Maj musi na chwilę odwrócić wzrok, bo tak bardzo, bardzo piecze ją w oczy świadomość, że tyle razy krzyczała na Ewalda za to, że trwoni pieniądze. Ale teraz nic nie powinno jej już piec. Powinna czuć ulgę. Bierze się w garść i znów patrzy na Rudjorda.

– Czy to oznacza, że…

Rudjord nie pozwala jej dokończyć.

– Sprawa, niestety, przyjęła zły obrót. Towarzystwo ubezpieczeniowe nie uznało tej podwyżki, ponieważ Ewald wiedział, że umrze.

– Nie miał co do tego absolutnej pewności.

– Towarzystwo ubezpieczeniowe, niestety, uważa, że miał. Szpital to potwierdza.

– Ale on chyba nie stracił tych pieniędzy?

– Nie, nie. Ewaldowi, to znaczy tobie, zostanie wypłacone tyle, ile się należy według pierwotnej polisy, a także to, co Ewald wpłacał dodatkowo.

Przez chwilę milczą. W końcu Maj chowa kopertę do torebki i mówi:

– Przynajmniej świadczy to o jego dobrej woli.

Rudjord odprowadza ją do drzwi i tam się zatrzymuje.

– Spodobało mi się to, co powiedziałaś – mówi.

– Ja?

– Proszę nie uskuteczniać ze mną reklamy. Ale czy to oznacza, że mi nie wierzysz, że nie wierzysz nam, a konkretnie branży reklamowej?

Maj trzyma torebkę w obu rękach.

– Może troszkę przesadzacie. Czasami.

– Jak to?

– Na przykład dopranie prześcieradeł, żeby były tak białe, jak na zdjęciu w reklamie, jest kompletnie niemożliwe.

– Ale marzysz o tym, żeby były tak białe?

– Owszem, chyba tak.

– No i właśnie to sprzedajemy. Nie kłamstwa. Marzenia.

– Mimo wszystko uważam, że powinny być jakieś granice.

Rudjord się śmieje i otwiera drzwi.

– Panna Bryn zamówi ci taksówkę. My za nią zapłacimy.

– Nie trzeba.

– Może i nie, ale i tak to zrobimy.

Maj zjeżdża windą na dół, kładzie do wózka Stine, która cały czas spała, i czeka na zewnątrz. Wiatr jest teraz chłodniejszy, dmucha chłodem w plecy i w kark, bez względu na to, w którą stronę się obróci. Taksówka, czarny mercedes, na szczęście przyjeżdża szybko, wyłania się zza rogu przy hotelu Bondeheimen i zatrzymuje się tuż przed Maj. Kierowca staje na chodniku, przesuwa kaszkiet do tyłu i lustruje pasażerki. Wózek też ma jechać? To się nazywa przeprowadzka. Ale kiedy wspólnymi siłami udaje im się go złożyć, mieści się w końcu w bagażniku. Taksówkarz najchętniej umieściłby tam również dziecko, bo ma nowe skórzane siedzenia i nie chciałby, żeby się zaświniły wymiocinami czy innymi odchodami. Maj go uspokaja. Dziecko jest czyste, nie ma powodu do zmartwień, a jeśliby coś miało się stać, ona potrafi zadbać, żeby to coś wylądowało na jej płaszczu. Wreszcie siada z tyłu ze Stine na rękach. Nigdy nie jechała taksówką ani samochodem bez Ewalda. Myśli o tych wszystkich rzeczach, które znów będzie musiała robić po raz pierwszy. Kamienice i mur wzdłuż Szpitala Centralnego na Pilestredet przesuwają się w szarej mgle. Siedzenia są tak głębokie, że Maj ma wrażenie, iż tkwi na dnie miasta. Mijają browar

Frydenlund i pływalnię na Bislett, w taksówce woń słodu miesza się z zapachem chloru. Marzenia? To mężczyźni marzą. Marzą kosztem kobiet. Właśnie tak jest. Na Norabakken stoi koń z pyskiem zanurzonym w płóciennym worku. Na wozie leżą liście, żwir i gałęzie, ostatnie bagaże zimy. Maj chce mimo wszystko zapłacić, aby mieć pewność, że wszystko jest zgodnie z zasadami, ale kierowca się zaklina, że firma Dek-Rek już uiściła rachunek, więc jeśli się uprze, żeby wziął od niej pieniądze, to będzie musiał ją przewieźć jeszcze raz. Na to Maj nie ma czasu. Prosi, żeby kierowca zatrąbił, aby Jesper, jeśli jest w domu, mógł podbiec do okna i zobaczyć, że jego matka razem z młodszą siostrą przyjechały taksówką. Nie widzi go jednak. Taksówkarz pomaga jej wprowadzić wózek na klatkę. Po otwarciu drzwi do mieszkania Maj od razu zauważa w przedpokoju tornister i brązowe buty rzucone na podłogę. W salonie Jesper siedzi na taborecie do gry na pianinie, a obok stoi Jostein, nachylony nad jego ramieniem. Zdaje się, że znów są przyjaciółmi. Nie zauważają jej. Są we własnym świecie. Maj ich tam zostawia. To ich świat. Jeszcze tylko chwilę przygląda się chłopcom. Są ciągle dziećmi, ale wojna, której prawie nie pamiętają, a mimo to nie potrafią zapomnieć, rzuciła na nich cień, w którym ich wiek błądzi. Noszą w sobie mrok dorosłych. Ich dziecięcość jest zamaskowana. Stine natomiast nie ma żadnych obciążeń, nie licząc tego, że wychowa się bez ojca, którego w ogóle nie będzie pamiętać. Zapamięta jedynie nieobecność, zupełnie inną niż strata, jaką znają Jesper i Jostein. Wspomnienie to żałoba. Historia to pojednanie.

W dniu 17 kwietnia posiedzenie zarządu odbyło się u pani Dunker. Z wyjątkiem pani Else Larsen obecny był cały zarząd, a ponadto stawiły się pani Nordklev i pani Lutken.

Pani skarbnik Kristoffersen poinformowała, że Komitet Wykonawczy zwrócił 186,31 korony, co stanowi 10 procent opłaty od ubiegłorocznego kiermaszu. Przesłano nam również wniosek pewnej pani z prośbą o ubrania. Po uzyskaniu bliższych informacji zdecydowano o nieudzielaniu wsparcia.

Poruszono kwestię nowej przewodniczącej. Nie znaleziono jednak rozwiązania, ponieważ żadna z obecnych członkiń zarządu nie może podjąć się

pełnienia tej funkcji.

Wpłynął wniosek pani Krogh, zamieszkałej na osiedlu Własne Domy w dzielnicy Adamstuen, z prośbą o dobry, gruby dywan, ale zarząd stwierdził, że nie może spełnić takiej prośby.

Odnośnie do kiermaszu we wrześniu rozważano, jakie przedmioty przeznaczy się w tym roku na loterię. Zarząd uzgodnił, że tym razem należy skoncentrować się na trzech większych fantach zamiast, jak wcześniej, na większej liczbie mniejszych przedmiotów.

Nasz współudział w sprzedaży „Kwiatu żony następcy tronu" okazał się wielkim sukcesem, ponieważ za pośrednictwem Okręgu Fagerborg sprzedano aż 14 000 kwiatów. Oddział nie uzyskał żadnych dochodów z tego tytułu.

Przypisy

[1] 19 grudnia 1943 roku w portowym rejonie Filipstad w Oslo podczas wyładunku ze statku „Selma" doszło do wybuchu ponad 800 ton amunicji. W wyniku eksplozji oraz pożaru, który po niej nastąpił, zginęło 45 Norwegów i ok. 75 Niemców, a ok. 400 osób zostało rannych. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] W języku norweskim liczebnik „siedem" (*sju*) ma wymowę zbliżoną do „szu". *Mann* (norw.) – mężczyzna.

[3] Domy sióstr – budynki z pokojami mieszkalnymi przeznaczonymi dla pielęgniarek, stawiane przy szpitalach.

[4] Jørgen Moe (1813–1882) wraz z Peterem Asbjørnsenem (1812–1885) zebrał i wydał norweskie baśnie ludowe.

[5] *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2014.

[6] 17 maja 1814 roku w Eidsvoll podpisano konstytucję proklamującą niepodległość Norwegii.

[7] Henrik Wergeland (1808–1845) – norweski poeta, dramaturg i prozaik. Dzięki niemu 17 maja uznano za święto narodowe.

[8] Wspólne wakacje (*fellesferie*) – na ogół trzy ostatnie tygodnie lipca, podczas których zamykanych jest wiele firm i zakładów pracy, a pozostałe instytucje, banki oraz sklepy pracują krócej.

[9] Idiom oznaczający codzienny znój.

[10] *lykke* (norw.) – szczęście.

[11] *Z księgi Szi-King*, przeł. Leopold Staff, w: *Wiersze zebrane*, t. II, Warszawa 1955, s. 166.

[12] Na Fundusz Zapałczany, utworzony w 1925 roku, do dziś przekazywana jest pewna określona kwota od każdego sprzedanego pudełka zapałek, nazywanych „pomocnymi patyczkami”.

[13] *en stikke* (norw.) – patyk, drewienko, *å stikke* (norw.) – kłuć, a także uciekać, znikać.